

ATENEUM.

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK III.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO.
ulica Królewska, Nr. 23.

1877.

Pp. Prenumeratorów, którzy wnieśli prenumeratę tylko do d. 30 Czerwca r. b., uprasza się o wczesne ponowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłaniu dalszych zeszytów.

SPIS RZECZY.

I. KRÉSY UKRAINNE PO „LICHOLECIU“ DO „RUINY“. Przez *A. Jabłonowskiego* . . . . Str. 1

II. NA PRZEŁAJ ŚWIATA. Przez *St. Warnkę* (dokończenie) 34

III. SPINOZA I JEGO NAUKA na tle ogólnego rozwoju myśli filozoficznéj. Przez *L. S. W.* (dokończenie) . . . 46.

IV. POSTRZELONA, powieść Williama Black'a, przekład *Maryi Faleńskiéj* (dokończenie) . . . . . . 79.

V. STAN EKONOMICZNY POLSKI W LATACH 1782—1792. Przez *Tadeusza Korzona* (ciąg dalszy). 149

VI. KWESTYE I STOSUNKI AGRARNE. Nowa książka Księcia Wasilczykowa (dokończenie). Przez *Włodzimierza Spasowicza* . . . . 179.

VII. KRYTYKA: 1) Listy Juliusza Słowackiego do matki. Tom I. Listy z lat 1830—1835. Tom II. Listy z lat 1836—1849. Lwów. 1876. Przez *S.* . . . . 206.

2) Goethe, znaczenie jego prac na polu Biologii i Filozofii przyrody. Studyum, odczytane na publicznem posiedzeniu Towarzystwa Lekarzy Płockich przez D-ra Tymoteusza Stępniewskiego, vice-prezesa tegoż Towarzystwa, Warszawa 1877. Przez *B. R.* . . . . 213.

VIII. KRONIKA NAUKOWA. Przez *Bronisława Rejchmana.* 214.

IX. KRONIKA MIESIĘCZNA. Przez *Aleksandra Głowackiego.* 226

X. KONKURS HISTORYCZNY (Ogłoszenie zarządu Towarzystwa Przyjaciół Nauk Pozn.) . . . . 239.

KRÉSY UKRAINNE

PO „LICHOLECIU" — DO „RUINY."

Kulisz—Istorija wozsojedinienija Rusi. Tom I. i II. S. Peter. 1874.— Archiw jugo-zapadnoj Rossii. Cz. III. Tom. I.—Izsledowanije o Kozaczestwie. W. Antonowicza. Kij. 1863.

Szajnocha—Dwa lata dziejów naszych 1646. 1648. Tom I. i II. Lw. 1865 i 69.

Źródła dziejowe Tom V-ty. Lustracye królewszczyzn Ziem ruskich: Wołynia, Podola i Ukrainy z pierwszéj połowy XVII wieku—wydał A. Jabłonowski—Warsz. 1877.

Tempora mutantur!... Oto i na starych krésach ukrainnych, pogańskich, nakoniec — czasu fale unoszą z sobą niepowstrzymanie dawne żalów gorycze, w obliczu nowych nadziei odziedziczone waśnie cichną, zarzewia niechęci długich przygasają, wzrok nabiéra coraz większéj mocy jasnego widzenia; więc téż i dzieje same odsłaniają się dziś mniéj namiętnemu oku w postaci swéj bardziéj żywéj, prawdziwszéj. Przyczyny dawnych rozżalań się obustronnych, z biegiem czasu, ze zmianą sytuacyj i okoliczności, ustąpiły już prawie zupełnie; ustępuje zatém i samo rozjątrzenie w zapatrywaniu się na przeszłość kraju. Świadomość téj przeszłości, przeświadczenie o niéj, stają się, wśród wyżéj umysłowo stojących, pełniejsze, trzeźwiejsze. Ztąd i w poszukiwaniach następnie, chodzi już więcéj o prawdę historyczną bezwzględną, o rozjaśnienie istoty rzeczy, o zdobycie pewności—niezachwianéj, objektywnéj. Przybywa téż coraz więcéj

źródeł i materyałów, dających możność mocniejszego oparcia się na podstawach faktycznie niewątpliwych. Spotykają się zatém, w obliczu prawdy poważnéj, przedstawiciele najprzeciwniejszych obozów—podają sobie dłoń i wspierają się wzajem w wysokiém zadaniu śledzeń dziejowych. Widzieć się to daje i wśród najnieprzebłagańszych przeciwników naszych—ożywianych dotąd, nieprzemożenie, braterską nadewszystko zaciętością. Znikają tedy i tam powoli panujące dotąd obłędy. Znika owo konwencyjne seminarsko-chutorowe pojmowanie życia, razem ze znanemi ideałami idyllicznéj gminności, a które zabarwiło takim fałszywym kolorytem całe dzieje ubiegłe ziem ukrainnych. Znika oraz dziko-sentymentalne rozczulanie się w tonie filantropii—wątpliwéj zbyt ceny; podobnie, jak równie podejrzanéj bardzo wartości, rozwodzenie się nad krzywdami jedynie i wyszukiwanie li powodów rekryminacyj. Znika też, tyle niedalekowidzące, negowanie absolutne kultury zachodniéj. W następstwie zaś tego, z pomroki uprzedzeń namiętnych poczyna się wyłaniać prawda dziejowa w rzeczywistéj, niezmąconéj swéj postaci; poczynają się odsłaniać widoki, choć surowe lecz jaśniejsze i nieskończenie bardziéj ujmujące niż wszystkie poprzednie, najudatniejsze nawet fantazmata. Wreszcie z realniejszém usposobieniem co do oceniania faktów życia w ogóle, traci skrzydła i dawny ów, tyle spowszedniony popęd artystycznego wytwarzania z dziejów południowych jakiegoś elegicznego poematu, jakiéjś tragedyi wyjątkowéj. Wszystko jednem słowém daje nam już nowego zwrotu zapowiedź.

Taką zapowiedź, między innemi, zdaje się nam dawać niewątpliwie nawet przytoczone na czele dzieło jednego ze znanych powszechnie badaczy przeszłości ziem ukrainnych p. Kulisza; jego Historya Rusi, któréj piérwsze dwa tomy, przed paru już laty, z największém zaciekawieniem i szczerą, mimo wszystko, uprzejmością powitaliśmy.

Zdziwi to może niepomału samego jéj autora, który z wielu względów może miéć słuszne powody poczuwania się wcale nieuprawnionym do tego; ale musimy go uspokoić starém przysłowiem naszém: „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.“ Oczywiście—i uprzedzamy o tém z góry — nie wiąże nas wcale jego tam słowo przedwstępne: nie tyle dla tego, iż zawiéra w sobie ogólne uwagi mniéj ściśle odnoszące się do naszego przedmiotu, lecz że jest przedewszystkiém, z przykrością to powiedziéć musimy, kwintessencyą płytkich i dawno już na spoczynek wieczny skazanych sądów, usterek i przywidzeń pewnéj historycznéj niby szkoły,—za powtórzenie których, niech autor sam w obec siebie odpowiada... Zapowiedź nowego zwrotu widzimy w samym faktycznym dziejów Rusi obrazie jedynie,

jaki on tam przed naszemi oczyma wspaniale roztacza—w tém czystém tam srebrze, którego nie zdoła zdeprecyować, dodany, ze znawstwem przemyślnego mistrza uwodzącego się względami doraźnéj praktyczności, niższéj ceny aliaż, niemający właściwie nic na seryo wspólnego z poważną historyą, a użyty chyba li jako passe-par-tout swego rodzaju. Nie tu wszakże dotykać wartości moralnéj procederu tego—rzecz to powagi osobistéj autora. Chodziło nam głównie o uzasadnienie tylko wybrania jego pracy za osnowę, na któréj zamierzamy tu, przy pomocy innego rodzaju wątku, rzucić kilka zarysów mogących scharakteryzować wybitniéj dziejowe koleje ziem ukrainnych, po „licholeciu" do ich „ruiny"—a jaką to epokę, niemal całą, dwa wydane tomy wzmiankowanego dzieła p. Kulisza właśnie obejmują. Cenimy bowiem wysoce, co w tém dziele jest cennego—bez względu, że niejedna tam rzecz musi nas dotykać boleśnie w świecie pamięci.—Lecz przystąpmy do samego obrazu.

Jak nawałnica, ciężarna tysiącem gromów straszliwych, przeszła po nad Rusią dnieprową burza mongolska. Legły od jéj wichrów niszczących zamki i świątynie, spustoszały sioła „smerdów," rozpierzchły się namioty „czarnych kłobuków," pierzchli i kniazie, i bojary z ich „czeladzią," życie ustąpiło w puszcz ciemnie, ustąpiło ku górom, w załomy niedostępne, pola szerokie zaległy dziką stepową pustynią. Kijów, „macierz grodów ruskich," spoczął na wieki, zdawało się, w gruzach. Jeśli zaś co uchroniło się od zagłady na przestworach „ziemi" jego rozległéj, „ziemi ruskiéj" per excellentiam, od Słuczy i Morachwy aż ku Dońcowi, po za Dniepr sędziwy—to, poddane „atamanom" miejscowym, płaciło ciężką dań chańskim „baskakom." I zapamiętał lud na wieki epokę owę okropną, zwąc ją dotąd w swych mglistych wspomnieniach „licholeciem!"

Lecz na szczęście, siła nawalnic—w dziejach, jak w naturze—krótkotrwała. Potężna wola Czyngiza, co wstrząsnęła światem całym starym i stworzyła mocarstwo olbrzymie, skupieniem sił straszliwe, ożywiała nie długo jego następców. Hordy Batu-chanowe niebawem się rozprzęgły, rozpadły się na drobne składowe swe zastępy, walczące z sobą wzajem. Ruś odetchnęła. Była wszakże tak obezwładnioną, że nie posiadała w łonie własném mocy dostatecznéj do obalenia ciężącego nad nią daléj jarzma. Dzieła tego dokonała dopiéro Litwa, która, urosłszy przez ten czas w swych borach niedostępnych

do znacznéj potęgi, po zagarnięciu sąsiednich ziem krewickich i poleskich, zatknęła swą zwycięzką a zbawczą prawdziwie chorągiew i nad dolnym Dnieprem, przynosząc zarazem zapewnienie swobody całéj tam stepowéj krainie.

Giedymin i Olgierd umieli w grozie trzymać tatarstwo, Witold marzył o zniesieniu zupełném przemożnéj onego siły: pod litewskimi namiestnikami Podnieprze poczęło wracać do życia. Ale, sama zaledwie co z barbarzyństwa wychodząca, Litwa nie była w stanie sprostać wielkiemu dziejowemu zadaniu zupełnego podźwignięcia Rusi, nie była w stanie jéj należycie zaludnić i do kultury europejskiéj przychylić. Zadanie to przypadło następnie w udziale Polsce.

Tym czasem, nim do tego przyszło, Litwa, ogarniając dolne Podnieprze, wprowadziła tu w zasadzie zupełnie nowy administracyjny i polityczny porządek. Zastała ona krainę tę, obok żywych w niéj śladów zniszczenia po wielkim mongolskim pogromie, w stanie najzupełniejszego społecznego rozstroju. Co było możniejsze—kniaziowie, bojarstwo, usunęło się było w okolice bardziéj bezpieczne, ku zachodowi przeważnie—i nie wracało. Wracał przedewszystkiém rozproszony lud wolny i odtwarzał na gruzach i zgliszczach dawne swe gminy grodowe lub sielskie o starych, ile to było możliwém, wiecowych porządkach. Nieliczne sioła, wolne teraz po większéj części od bojarów swych dawnych, przytulają się ku gminom grodowym, miejskim. Bojarowie znaczniejsi, pozostali w niewielkiéj liczbie, poprzestają li na władaniu swemi, przez czeladź niewolną zasiedlonemi ziemiami. Smerdowie zaś płacą dań Tatarom, lecz rządzą się w gminach swych samoistnie.—Otóż Litwa, uwolniwszy kraj od Tatarów, wnosi tu w następstwie porządek swój feudalny. Ziemie zostały rozdane jako lennictwa kniaziom i bojarom rusko-litewskim. Władcy ci nowi, usadowieni na Rusi, poprzestawali li na daninie, otrzymywanéj od mieszkańców, za obronę od najazdów tatarskich. Danina zaś ta dawała im możność zaciągania, ówczesnym trybem, z miejscowych żywiołów, potrzebnéj siły zbrojnéj. Że zaś uważali oni podwładną im krainę za źródło sił wojennych przedewszystkiém, więc też nie wdawali się wielce w zarząd onéj wewnętrzny. Gminy ruskie odetchnęły tedy jeszcze swobodniéj. Rycerstwo drużynne kniaziów i bojarów feudalnych litewskich, tak przybyłe z nimi, jako téż nabierane na miejscu wśród żywiołu wolnego nie stanowiło, ile się zdaje, oddzielnéj uprzywilejowanéj klasy, nie szerzyło praw swych z uszczerbkiem reszty ludności; nadto, jako lud zaciężny było one uważaném za „sługi" i zostawało w zupełnéj od zwierzchników swych zależności. Dawni bojarowie ruscy, pozostali na miejscu, byli w znaczniejszéj części zepchnięci przez książąt litew-

skich ze stanowiska uprzywilejowanej klasy i powinnościami obarczeni. O ile posiadający osobistą własność ziemską, obowiązani oni byli do wszelkiej posługi wojennej na rozkaz zwierzchniczego pana; wpływ ich atoli na gminy wiejskie zniknął. Zatrzymując dawną nazwę bojarów, zachowali oni jedynie wolność osobistą, co do znaczenia zaś swego, występują jako sługi książęce. Ich to właśnie potomstwo spotykamy później jako bojarów „pancernych" i „putnych." Pozostała ludność Rusi, w czasie przejścia onéj pod panowanie litewskie, składała się z dwóch klas: wolnych członków gmin i niewolników osadzonych niegdyś przez bojarów ruskich. Gminy wolne pod panowaniem Litwy używają dawnych swych praw wiecowych. Są ślady znaczenia politycznego gmin miejskich aż do czasu zaprowadzenia w nich prawa magdeburskiego. Gminy wiejskie wracają do dawnego prawa sądu własnego, osłabionego niegdyś przez „tywunów" książęcych, rządzą się i sądzą na zgromadzenich „kopnych", a płacąc daninę książęciu, pozostają przy swobodném władaniu swych ziem. Osadnicy siół niewolnych, „rabowie", „czeladyni", rozbiegli się byli widać po większéj części w czasie pogromu mongolskiego, zrywając w ten sposób faktycznie zależność swą od bojarów. Wypada nawet przypuszczać, że takowe zamienienie się w pustki siół niewolnych było też główną przyczyną, zmuszającą bojarów do przenoszenia się z Podniepirza w księztwa zachodnie. Pozostałe zaś po „licholeciu" sioła niewolne, były zdaje się, z nastaniem władzy litewskiéj, w znacznéj części uznane na dziedzictwo tych z kniaziów nowych, na dzielnice których przypadły. Każdy zatém lenny książę litewski, odnośnie do swéj dzielnicy, posiadał podwójne znaczenie: najprzód polityczne, mocą którego był on zwierzchnikiem kraju, posiadał prawo do daniny od gmin i przewodnictwa siłom zbrojnym; a obok tego— dziedziczne, mocą którego był władcą siół, osadzonych ludźmi niewolnymi. Pierwsze lub drugie z tych znaczeń kniazia rozwinęło się, to mniéj to więcéj, stosownie do miejscowości, w jakiéj on był dzielnicę swą otrzymał, oraz od dalszych losów tych dzielnic. Główniejsze z rodów książęcych litewskich, co się usadowiły na Podnieprzu, byli to naprzód Olelkowicze, idący od Włodzimierza Olgierdowicza na Kijowie, i mniemani potomkowie krwi Olgierda książęta Wiśniowieccy, Koreccy, Rużyńscy i in. Władza tych kniaziów, udzielnych w pewnéj mierze, była tu silną: bojarowie mieli znaczenie sług książęcych przeważnie, inaczéj zupełnie jak w Rusi Czerwonéj, na Wołyniu i Podolu; za to gminy wolne, uwojennione ciągłém opędzaniem się od Tatar, umiały stać przy swych prawach.

Lecz porządek taki wystarczał zaledwie ku obronie kraju. A tymczasem rozwój ogólniejszych wypadków, w niepowstrzymanym

swym biegu, zbliżył stepowe krainy, za pośrednictwem Litwy, ściśléj z Polską.

W dobie dziejowéj, kiedy Ruś ukrainna weszła ostatecznie. w skład politycznego systematu, zespalających się od świtu XV-go w. z sobą ściśléj Litwy i Polski, przedstawiała ona jeszcze właściwie jedno niezmierzone, wzdłuż i wszerz, pasmo puszcz, pustyń i bujnie dzikich uroczysk, nieposiadające prawie szczérze rolniczéj ludności. Jeszcze na początku wieku XVI-go trzy zamki ukrainne Bar, Bracław i Kijów stanowiły jakby trzy kopce graniczne linii krésowéj od Tatar, po za którą bujały swobodnie po stepach nieprzejrzystych stada koni dzikich i tabuny koczowników. Otóż przeważnym warunkiem faktycznego posiadania ziem ruskich i posiadania tego moralném uprawnieniem, było przedewszystkiém ich zaludnienie, urządzenie i zagospodarowanie.

Zadanie też to piérwotne Polska należycie spełniła.

Zaludnienie i zagospodarowanie krain Rusi Czerwonéj, razem z Wołyniem starym i Podolem, zostało dokonaném w wieku XV i XVI; z piérwszym zaś brzaskiem XVII stulecia przyszła kolej i na dalsze—ukrainne, stepowe pustynie południowéj Rusi. Sięgały one od krętych nurtów bystrego Dniestru, w średnim onego biegu, przez szeroce rozpostarte stepy nadbożne, aż daleko po za Dniepr stary, w niedościgłe pastwiska połowieckie, ogarniając całą południowo-wschodnią dzielnicę wznoszącéj się Rpltéj, krainę onéj najżyzniejszą, a zarazem krésową, leżącą na rozgraniczach dwóch światów. W pustyniach tych południowéj Rusi rozpoczął się odtąd dopiéro żywy ruch osadniczy. Nie było w tym ruchu, oczywiście, nic zamierzonego, nic kierowanego z góry: był on zupełnie swobodnym, jako nieodzowny wynik ogólnego ówcześnie zwrotu w wewnętrznéın życiu Rpltéj ku zadaniom ekonomicznym, w kierunku rolniczym wyłącznie, a jaki był już dawno zapanował na Powiślu, nim na Ruś z kolei przeniknął. Miała tu szeroki przestwór przed sobą inicyatywa prywatna, chociaż przeważnie działo się tu wszystko pod osłoną władzy najwyższéj, reprezentowanéj przez siedzących na zamkach królewskich starostów. Z saméj téż natury rzeczy, ze względu na ciągłą trwogę od najazdów tatarskich, musiał ten ruch początkowo kierować się głównie ku takim miejscowościom pogranicza, które najpewniejszą nadzieję obrony nastręczały; tam się więc skupiały najczęściéj chutory i sioła. Dla tego więc ukrainne, na przestworach bezbrzeżnych pustyniami leżące, wciąż posuwające się naprzód, starostwa królewskie, były właściwie piérwszemi stanowiskami głównemi, z których, przy potężnéj inicyatywie, idącéj postępowie i coraz silniéj z zachodu, tak z natchnienia władzy zwierzchniczéj najwyższéj, jak i sąsiedniego bratnie-

go a wyżéj w oświacie stojącego społeczeństwa, poczęło się odrodzenie téj Rusi. Z których to stanowisk przedewszystkiém, kultura zachodnia, bezpośredniéj się tu zaszczepiająca i silniéj oparta, posuwała się bez przerwy w głąb' stepów, pługiem zdobywczym i obronnym mieczem.

Nie brakło téż nigdy osadników pustyniom, szczególnie naddnieprowym, gdy do nich z kolei przyszło. Uczucie swobody gnało bez ustanku roje najdzielniejszéj, a dociskanéj już w prastarych województwach Rpltéj zbyt uciążliwemi obowiązkami, ludności wiejskiéj na krésy; szlachtę nęciły zarówno żyzna gleba i harce z Tatarami; panowie zaś wielkich tam fortun szukali. I spełniało się w ten sposób samo przez się wielkie zadanie tu dziejowe narodu—obrony i szerzenia miedz chrześciańskich.

Praca nad dziełem kolonizacyi ukrainnych ziem ruskich szła z nadzwyczajnym pośpiechem: popierano ją z istnie gorączkowym zapędem, którego żadne przeszkody, żadne niebezpieczeństwa osłabić nie zdołały. Na nieszczęście atoli, w osadnictwie tém stanowczo potém wzięła górę wielka własność, przemogły włości pańskie, nieznanych w innych dzielnicach Rpltéj obszarów. W staréj Polsce możnowładztwo, przetwarzając Rpltą jakby w rzeszę niezależnych pańskich włości, nie spotykało na swéj drodze przeszkód poważnych ani w tłumie drobnéj szlachty, ani w miastach, ani tém bardziéj w stanie włościańskim. Kolonizacya pustyń ziem ruskich, w interesie magnatów, odbywała się do pewnego czasu również bez przeszkód wewnętrznych. Lecz gdy nowa Polska, utworzona na obszarach południowéj Rusi i zaludniona, w ostatecznéj rachubie, przeważnie przez lud ruski, przewyższyła przestrzenią, obfitością płodów ziemi i ilością mieszkańców, mniemaną metropolię „pańskiego“ obecnie tu prawa—prawo to, kodyfikowane przez uchwały sejmowe, zetknęło się tu na ostre z zapoznaném prawem ludu.

Jako zapaśnik główny w obronie nieuznawanego przez możnowładców prawa ludu, wystąpił tu na widownię dziejową żywioł, który z początku sam był niezbędném narzędziem pomyślności kolonizacyi pustyń ukraińskich, a następnie ujrzawszy się zewnątrz prawa, stanął zacięcie przeciw wszelkim dążnościom szlachty. Byli to mianowicie „Kozacy“. Żywioł, który do takiego stopnia zapełnia sobą odtąd dzieje ziem ukrainnych, że musi tu zwracać w obrazowaniu następném szczególniejszą, jeśli nie wyjątkową zupełnie naszę uwagę.

Nim wszakże zwrócimy się do scharakteryzowania początku i istoty „kozactwa“, uważamy za nieodzowne—należyte określenie tu poprzednio, z góry, tego prawa „pańskiego“, które się właśnie rozszerzyło z czasem i nad Ukrainą, a które to podoba się historykom

małoruskim, w ich zaś liczbie p. Kuliszowi, jeszcze dotąd, nazywać jako „jus ducale“,—„jus polonicum“ wyłącznie; prawem—nie ruskiém wcale, anty ruskiém nawet. Wystarczy tu nam przecię wskazanie samo na znane im dobrze fakta, aby rzecz tę odrazu postawić na jaśni i wykazać dowodnie, o ile jest powagi historycznéj w twierdzeniu, że późniejsze porządki możnowładcze, którym na krésach postawili tak dzielnie czoło kozacy, były to porządki polskie,—nie ruskie: gdy Ruś obdarzyły niby dzieje — wyjątkowym przywilejem wiecowości i demokratyzmu. Otóż przypominamy im:—Wszelkie porządki pańskie, możnowładcze, i wszystko, co z niemi jest ściśléj połączoném, przychodziło na Ukrainę pustynną—jeśli nie z Litwy, urzędownie, to przedewszystkiém z Rusi Czerwonéj. Szczeréj ruskości Rusi téj Czerwonéj, obejmującéj oraz Wołyń i Podole stare, nikt właściwie nigdy nie przeczył. Ruś ta Czerwona, w znaczniejszéj swéj części, dopiéro w r. 1340 zjednoczoną została z Polską; odtąd tylko jedynie poczęła ulegać bezpośredniemu onéj wpływowi. Polska wszakże nie miała potrzeby zaprowadzać tu porządków pańskich, możnowładczych: porządki te przemagały na Rusi owéj już przed półtorastu laty do jéj zjednoczenia za Kazimiérza W. Przed półtorastu laty już, możne bojarstwo było tu właściwym panem kraju: władza książęca skrępowaną, wiecowa swoboda gmin zdeptaną, ziemie rozszarpane między rody potężniejsze i ludem niewolnym osadzone. Naprożno tacy autokraci, jak Roman i Daniło, całe życie pracują nad ukróceniem bojarstwa. Nic nie pomogło wymordowanie, skutkiem tajnéj zmowy książąt Igorewiczów, 500 znaczniejszych z bojarów halickich 1208 r. Dowolnie oni rozrządzają tronem książęcym, przywołują nawet cudzoziemców, a potém i sami się na nim sadowią, jak naprz. Władysław, wygnany 1211 z Halicza przez Polaków i Węgrów; jak Dobrosław i Sudycz, panujący już za czasów Daniła. Otóż bojarstwo stało tu górą: posiadało szerokie włości, miało swe pułki i t. p. A przecież „jus polonicum“ jeszcze tu nie obowiązywało; wpływ nawet zewnętrzny Polski był równoważonym przez wpływ węgierski. Polska tedy ogarniając Ruś ustaliła jedynie porządki, które tam zastała; następnie sankcyonowała tylko zwierzchniczą swą władzą dalszy onych rozwój; lecz „metropolią pańskiego prawa“ dla Rusi—wcale nie była. Prawo to na Rusi południowéj, co wyłoniła z siebie nadto całe rojowisko kniaziów, było w niéj per excellentiam „prawem ruskiém“, miejscowém. Mniejsza, że to tak nie harmonizuje z mniemanym monopolistycznym demokratyzmem ruskiego ducha.

Ale przejdźmy do Kozactwa.

Nazwa „Kozak“, znaczyła piérwotnie tyle, co wolny łówca, w ogóle człowiek bez domu i ziemi.

Początek „Kozactwa“ sięga czasów bardzo głębokich.—Gdy po „licholeciu“, po mongolskim pogromie, Ruś południowa legła pustyniami, na widowni tych pustyń rozpostarł się świat tatarski koczowy. Stepy, oddzielające osady słowiańskie od osad tatarskich, nie należały piérwotnie do nikogo. Tatarzy uważali je za przyrodzoną osłonę swych koczowisk od zamachów własnych danników; dla świata zaś ruskiego były one długo jakby morzem, na które się puścić nikt nie odważał. Lecz, gdy z jednéj i z drugiéj strony nastąpiła z czasem potrzeba wysunięcia się po za granice stałych siedlisk, powstały wśród Tatarów i Rusi kupy przedsiębierczych ludzi, którzy znajdowali możność utrzymania się w bezludnym stepie, w oddali od „oczahów“—„kurzeni“ swych ojczystych. Drużyny takie miały postać oddzielnéj luźnéj hordy, która w czasie spokojnym niknęła między ludnością, posłuszną zarządowi ogólnemu kraju, w czasie zaś wojny lub ochotniczéj wyprawy na rybne lub myśliwskie łowy, stawiła sobie zwierzchność obieralną i działała samoistnie w widokach swego stowarzyszenia. Takowe na pół wojenne, na pół myśliwskie kupy, towarzystwa, oddawna były znane u Tatarów pod nazwą „kozaków;“ w Rusi dalszéj zaś i w Polsce „kozactwo,“ podług świadectw piśmiennych, zjawiło się jednocześnie, w różnych oddalonych wzajem miejscowościach, nie piérwéj jak w końcu XV-go wieku dopiéro.

Zapominają jednak wymienieni na czele historycy Ukrainy, podnieść w należyty sposób ten niezaprzeczony a niemałego znaczenia fakt, że istniała na stepach bliższych Kijowa, za Rosią i Trubeżem, od wieków, między światem turańskim a słowiańskim, ludność pośrednia, która teraz właśnie piérwsza mogła się była puścić na „kozakowanie“ tatarskim trybem, pociągając swym przykładem i resztę ukrainnego ludu. Rozumiémy tu znanych dobrze w dziejach starożytnéj Rusi, tureckiéj krwi, koczowników, ogólną nazwą „Czarni-Kłobucy“ (Karatuli) zwanych,—którzy zruszczeni, usłowianieni oddawna, nie przestawali być „Brodnikami“ błędnymi, i nie mogli,—zdradziwszy niby sprawę Rusi (nad Kałką) ostatecznie,—zniknąć gdzieś w łonie hord tatarskich, lub ujść bez śladu, ze śmiertelnie wrogą sobie bracią Połowcami, za Dniestr i na Węgry. Otóż ci to—Torcy, Berendeje, Kowuje, Czerkasy przedewszystkiém, jednémsłowem odwieczni tu, o czarnych po dziś dzień ukraińskich „kłobukach“ baranich, koczownicy—ci to, krewniacy tatarscy, z saméj natury rzeczy, piérwsi poczęli pewnie staczać z nimi w odwecie boje podjazdowe. Za nimi poszli junacy stałych osad pobliższych — i t. d.

Kozactwo wśród Tatarów było znaném oddawna. Polscy kronikarze wspominają nawet o odrębnéj hordzie kozackiéj, w obec czterech znanych hord głównych. Nie była to wszakże nigdy horda

we właściwém znaczeniu, lecz klasa tylko ludzi, podjazdowéj, łupiezkiéj wojnie oddanych, jaką się spotyka w wielu miejscach jednocześnie: w naddniestrzańskim Białogrodzie (Ak-kerman), Perekopie krymskim i dońskim Azowie. Byli to najzuchwalsi, najdokuczliwsi między Tatarami najezdcy.—Wreszcie do ostatniéj doby istnienia krymskiego chaństwa, „kozakanı“ zwał się tam osobny dział wojska, złożonego właśnie z murzów, ułanów i kozaków.

Na wzór kozaków tych „ordyńskich“ oddawna potworzyły się były, na całéj linii stepowego dwóch światów rozgranicza, towarzystwa, kupy wojenne kozaków ruskich. Spotykamy téż wcześnie na Rusi wschodniéj kozaków: razańskich, putywlskich, dońskich. Poprzedzili ich wszakże, co do czasu nastania, w południowéj Rusi kozacy dnieprowscy—którzy, przy nieustanném zbrojném zetknięciu się ze swymi azyatyckimi przeciwnikami od Białogrodu i Perekopu, przejąwszy ich rodzaj wojny i życia, ich strój a nawet główną stroju ich odznakę, słynny, od podgolonego czuba zwisający, dystyngwowany rycerski „osełedec,“ przybrali wcześnie i nazwę ich rycerską.

Istotnie cały porządek u kozaków naszych, razem z nazwami, jest turański: ich „kosze“ (koczowiska główne stad zjednoczonych—„kchosz“), „kurenie“ (ogniska pojedyńcze—„odżak“), ich „atamani“ (bacowie stad lub gmin starszyzna) i cały ustrój prawie, datujący napewno, zdaniem naszém, jeszcze od czasu, kiedy to Czarni Kłobucy, stając koczowym koszem pod bramami Kijowa, decydowali o wyborze Monomachowiczów na wielko-kniaziowską stolicę.

Wreszcie, po upływie wieków i w życiu polityczném wyosobniających się właśnie Tatarów krymskich była chwila przedsiębierstw pokojowych, sprzyjająca wielce zbliżeniu się ich ściślejszemu z sąsiadami. Chwila ta bezpośrednio poprzedziła upadek Konstantynopola i ustalenie się potęgi tureckiéj dokoła Czarnego morza. Zużywszy siły swe w walkach domowych, wrócili wtedy Tatarzy do prastarego spokojnego pasterskiego życia. Wtedy téż właśnie, przy panującym pokoju sąsiedzkim, mogło nastąpić i żywsze zbliżenie się koczowników słowiańskich z turańskimi. Trwało to przez cały ciąg 30-letniego prawie panowania Hadży-Dewlet-Gireja, pod którego mądrą władzą ucichły były niemal zupełnie pograniczne najazdy wzajemne, i zdawało się, iż świat koczowniczy na kresach Rusi południowéj uspokoi się nazawsze, uporządkuje. Ale przyszli Turcy i zniweczyli wszelkie nadzieje.

Rozpoczął się wprawdzie wcale inny stan rzeczy na pograniczu, zaraz od wstąpienia na chanat krymski wojowniczego Mengli-Gireja; lecz przełom ostateczny odbył się dopiéro po zdobyciu przez Turków wschodniéj cesarskiéj stolicy. Dawne łupiezkie najazdy wzno-

wiły się z niesłychaną mocą i fanatyzmem świéżo roznieconym, a niesłychanym przedtém. Gdy zaś do tego przyłączyły się jeszcze sąsiedzkie zwady o pastwiska, o stada, o „gony“ zwierzynne i rybne „wchody,“ łatwo zrozumiéć, że na rozgraniczu, złagodzone nieco stosunki znowu się rozsrożyły—i rozpoczęła się walka przerwy niemająca. Co więcéj nadto, podniecała ją wciąż odtąd nienasycona potrzeba „jassyru,“ t. j. niewolnika rozmaitego, dla nowych panów byzantyńskiego cesarstwa. Ubodzy bowiem Tatarowie, widząc iż dostarczanie bogatym Turkom jeńców daje bardzo znaczny dochód, zamienili nadal doraźne swe najazdy na stały przemysł.

Rozsrożenie się to dziczy azyatyckiéj zmieniło następnie nie tylko złagodzone już nieco stosunki pomiędzy dwóma światami, słowiańskim i tatarskim, lecz nawet same onych dotychczasowe granice. Linia bowiem graniczna posiadłości litewskich, idąca dotąd brzegiem morza od ujść Dniestru do Dniepru, odsunęła się teraz niesłychanie daleko w głąb’ kraju, tak że piszący w końcu wieku XVI geograf Sarnicki powiada jeszcze, iż zamek Bar wzniesionym został u samego wejścia do Tataryi. Z całéj prawie Ukrainy późniejszéj spędzoną została na nowo ludność jéj ruska, nietylko rolna lecz i koczowa. Nieco późniéj dopiéro linia strażnicza posuniętą została w step do Bracławia, który, z jednéj strony wysyłał swe rozjazdy ku Kamieńcowi podolskiemu, a z drugiéj, ku Białéjcerkwi. Białocerkiewskie zaś rozjazdy spotykały się na zachód z bracławskiemi, na wschód zaś z kijowskiemi. Po tę więc linią, rozciągała się do końca XVI-go w. „Ukraina“ polska, to jest krésowa kraina Rzeczypospolitéj. Po tę linią tylko uprawiane były wtedy pola, a wśród nich sadowiły się sioła, chutory i pasieki, ochraniane przez mogiły strażnicze, na których stały straże zamkowe śledzące obrotów tatarskich. Daléj zaś ku Perekopowi ciągnęły się na kilka dni drogi tak zwane „dzikie pola,“ stepy bezbrzeżne, widownia nieustannych teraz najazdów tatarskich, jakie rozpoczęło srogie spustoszenie Kijowa 1482 r. przez Mengli-Gireja właśnie dokonane.

W takim stanie kraju, „Niż“ dnieprowski, obfitujący w zwierza i rybę, był dostępnym jedynie dla przemyślników wojennych, których spotykamy w aktach współczesnych (1499 r.) pod nazwą „kozaków.“ Byli to przedewszystkiém śmieli junacy zdobyczy szukający, którzy przy okoliczności stawali się po tatarsku stepowymi pasterzami „czabanami“ i trudnili się nawet handlem zamiennym. Zna ich wcześnie Kijów, przywożących tam ryby i hulaszczo pędzących życie. O kozakach zaś wojownikach piérwszą wiadomość

podają kronikarze polscy pod rokiem 1508, wspominając o jakimś Polusie „ruskim sławnym kozaku i rycerzu.“

Naprawdę wszakże, „kozactwo,“ w szerszém wojenném znaczeniu, powołała do życia potrzeba skuteczniejszéj obronności starostw ukrainnych. Starostowie zamków strażniczych królewskich, czy to dla odwetu Tatarom, czy dla uprzedzania ich napadów, poczęli, piérwsi, sami po tatarsku najeżdżać wrogie „ułusy“. Zwało się to „chodzić w kozaki“. Nie inaczéj postępowali i kniaziowie ukrainni dla ubezpieczenia swych dziedzicznych włości. Pusta więc tylko fantazya potworzyła owych piérwotnych hetmanów kozackich, ukraińskich, ich następstwo chronologiczne w tém dostojeństwie i sam tytuł hetmański nawet: owych Lanckorońskich, Daszkowiczów, Wiszniowieckich, Rużyńskich. Byli to właśnie starostowie królewscy, po większéj części i sami dziedzice znacznych włości i dzielnic dawnych książęcych, stojący jednocześnie na straży ziem ukrainnych: Lanckoroński jako starosta chmielnicki, inni zaś jako namiestnicy królewscy, na zamkach w Kaniowie i Czerkasach.

Piérwotnie też i mowy być jeszcze nie mogło o wyosobnieniu się kozaków jako klasy, lub o jakiéjś wybieralności przewodców kozackich. Wyrażenie atoli „chodzić w kozaki“ zdaje się wskazywać, że kozactwo istniało początkowo nawet i niezależnie od straży pogranicznéj, którą dowodzili starostowie. Oni zaś tylko zastosowali jakby środki swoje do obyczai kozackich, przejęli obyczaje te dla swéj drużyny. Tém niemniéj wyprawy ich na Tatarów przyczyniły się znakomicie do rozwoju kozactwa, jako siły przeciwdziałającéj łupieztwu azyatyckiemu.

Z kozakujących w ten sposób starostów królewskich ukrainnych największego rozgłosu nabył Ostafi Daszkowicz, starosta czerkaski i kaniowski. On piérwszy też pomyślał o utworzeniu stałéj 2-tysięcznéj straży na Dnieprze, na „czajkach,“ wspieranéj przez oddział paruset koni. — Projekt ten mądry przedłożył on stanom Rzpltéj osobiście na sejmie piotrkowskim 1533 roku. Mówiono tam nadto o założeniu zamków na ostrowach dnieprowskich, o utworzeniu szkoły rycerskiéj za „porohami,“ lecz, na nieszczęście, na tém się jedynie cała rzecz skończyła.

Tymczasem na miejscu, samo położenie zmuszało do radzenia sobie podług możności, stosując się do nieodzownych warunków otoczenia—szczególnie na wysuniętéj najdaléj w głąb' „pól dzikich“ strażnicy ukrainnéj. Rozumiémy tu Czerkasy. Stanowią one jakby prototyp zamku ukrainnego.

Na tém tu przedwieczném widać (z w. XI) stanowisku Czarnych Kłobuków, Czerkasami zwanych, których pamięć przecię hi-

storycy nasi bez potrzeby pomijają, począł się tedy wytwarzać i do skupionéj siły przychodzić, najzupełniéj już samoistnie, odrębny żywioł wojenny. Starostowie królewscy sami z potrzeby musieli wzrost onego popiérać. Codzienne bowiem niebezpieczeństwo od ordyńskich łupieżców prowadziło po całéj Ukrainie do tego, że nietylko straż zamkowa i pozostali bojarowie, lecz i wszyscy mieszkający w pobliżu zamku musieli uczestniczyć w jego obronie. Ztąd mieszczanie miast, leżących wewnątrz kraju, byli mieszkańcami spokojnymi; mieszczanie zaś „zamkowego przysądu“ na pograniczu stanowili lud wojenny. Dawny, przedtatarski porządek tu rzeczy zmienił się niewiele; na starych téż obyczajach wznosiło się i kozactwo. Sama potrzeba życia—ubezpieczenie się od najazdów i tyle ponętne łowy w dzikich polach, osobliwie za porohami przetwarzały mieszczan w kozaków, a kozaków w mieszczan. Wytworzyła się nadto przy boku starosty wojenna klasa uprzywilejowana, rodzaj szlachty pogranicznéj, tak zwani starościńscy „służebnicy“ w znacznéj części bojarowie i przybysze. Widzimy tedy w Czerkasach, jako na punkcie najbardziéj wysuniętym, wcale porządnie uorganizowaną siłę zbrojną. Obejmuje ona wszystkie klasy. Wyższą klasę téj stolicy kozactwa dnieprowego stanowili starościńskie „sługi,“ pod przewodnictwem których mieszczanie przejeżdżali szlaki tatarskie, a do liczby których należeli i dawni miejscy „potużnicy,“ co otrzymali od króla listy wyzwolone; drugą klasę stanowili właściwi mieszczanie; trzecią zaś—tak zwane „pospólstwo,“ w liczbie téj i kozacy, to jest ludzie żyjący wyłącznie z łowu i zarobku, i po większéj części niefamilijni i nieosiedli. Inni bowiem mieszczanie tylko „chodzili w kozaki,“ tylko bywali czasem kozakami przez rodzaj swych zatrudnień. Niezawsze jednak chodzący na zdobycz za porohy kozacy byli posłusznymi starostom; lecz że byli oni zawsze potrzebni, wypadało więc nieraz im pobłażać. Otóż w Czerkasach téż, z saméj natury rzeczy, najwcześniéj i najsilniéj rozwinął się duch kozacki, wytworzył się wzór kozactwa, naśladowany przez inne miasta ukrainne. Stały się zatém one naprawdę stolicą dnieprowych kozaków, do takiego stopnia, iż piérwéj nim zaporozki Niż, zostawszy stałym ich przytułkiem, dał im nową nazwę „Niżowców“, zwani oni byli przez sąsiadów północnych „Czerkasami,“ – która nazwa objęła z czasem i cały nawet lud ukrainny, o ile lud zbrojny. Do Chmielnickiego było to miasto najbardziéj okozaczoném.

Znakomitego kontyngensu kozactwu i w ogóle żywiołom wojennym na krésach ukrainnych dostarczyło téż stare ruskie bojarstwo drobne.

W ziemiach ruskich Rzplitéj ocalała była, po „licholeciu,“ od mongolskiego pogromu, reszta książęcych drużyn, znana pod nazwą bojarów i sług wolnych. „Bojarzyn“ u książąt dawnych warego-ruskich, był podobnież sługą, ale sługą znacznym. Po zniesieniu książąt panujących, bojarowie ziem ruskich razem ze sługami pospolitymi, pozostali bez właściwego zadania, jako ciało społeczne; w części tedy rozproszyli się po ziemiach obcych, w części zaś po ziemiach nowych (litewskich przeważnie) władców, lub też wstępowali dawnym trybem do ich przybocznéj drużyny zbrojnéj. Prawo „odjazdu“ od jednego księcia do drugiego przechowali oni w swym obyczaju z podania. W wieku XVI-ym, gdy już kozactwo urosło do pewnéj potęgi, znaczenie bojarstwa, jako klasy społecznéj, osłabło jeszcze bardziéj—wszędy w ogóle. Wpadło ono w jakąś sytuacyą nieokreśloną, straciło wagę swą prawną. Na Ukrainie tedy bojar czasem znaczył mniéj niż mieszczanin, czasem więcéj. Stan ten od wieków nie był ziemiańskim wybitnie lecz służebnym, nie wszedł zatém w zupełności, w przeważającéj swéj masie do rzeszy herbownéj. Zniżeni, zdrobniali w ten sposób pozostali bojarowie zachowywali przecię daléj swą nazwę, zarówno jako rękodajni słudzy pańscy, oraz starościńscy służebnicy, nawet i wtedy, kiedy panowie nie odróżniali już ich od włościan, od poddanych. W łonie towarzystwa kozackiego jedynie zaprzestawali oni zwać się bojarami i przekładali nazwę kozaka nad nazwę bojara, w istocie swéj tyle tamtéj blizką. U książąt warego-ruskich bowiem, bojarowie i wolne sługi „kozakowali“ przeciw Połowcom lub innym sąsiadom, zupełnie w podobny sposób, jak potém u starostów królewskich i dziedziców dóbr prywatnych, przeciwko późniejszym przedstawicielom wrogiego Rusi żywiołu. Jednostajność potrzeb ekonomicznych i strategicznych wywołała następnie powtórzenie się w życiu staréj drużynności. Lecz dopóki istniał warego-ruski porządek, dotąd nie mogło powstać samoistnego kozakowania członków drużyny. Obcy drużynnéj i wiecowéj zasadzie absolutny feudalizm, zaprowadzony na Rusi przez Litwę i wzięty od niéj w spadkobierstwie przez Polskę, sprowadził rozdział, jeśli nie jedynéj, to prawdopodobnie bardziéj ściśle dawniéj zespolonéj z sobą asocyacyi wojennéj na dwa odłamy, podobne do siebie powierzchownie z powodu jednostajności zatrudnień, lecz w istocie swéj wręcz sobie przeciwne, aż do nieodzowności wywołania z czasem śmiertelnéj walki, jaka też między szlachtą a kozakami rzeczywiście nastąpiła. Pozostali zaś jakby w dobie przejścia tylko, pośrodku pomiędzy nimi, bojarowie różnili się od ludu przypadkowém tylko posiadaniem ziemi—czasami na pra-

wie dziedziczném, daleko częściéj zaś na prawie lenném; główną atoli wyróżniającą ich od ludu cechę, stanowił przechowany obyczaj przechodzenia z miejsca na miejsce, niepostrzeżony nawet przez prawodawstwo. Bojarowie tedy podawnemu byli to słudzy, nie zaś lud roboczy. Stanowili oni przecię klasę nieznmiernie użyteczną dla możnych posiadaczy tak dziedzictw, jak królewszczyzn, przy ówczesném rozproszeniu osad i pustynności całéj Ukrainy: czy to jako „putni“, czy jako „pancerni“, pod obowiązkiem zawsze służby podwodowéj lub wojennéj, czy też wprost jako „służebnicy“ pańscy lub starościńscy po zamkach królewskich. Z czasem wszakże bojarowie stawali się kozakami przedewszystkiém. Rzemiosło ich bowiem było bardzo blizkiém kozackiego, ich służba u panów była podobną do kozackiego „błąkania się.“ Nie kto inny więc, lecz bojarowie przedewszystkiém związali kozactwo z drużynami epoki udzielno-wiecowéj.

Wytężona do najwyższego stopnia obronność całego krésowego kraju była niezbędnym warunkiem samego w niém życia przy ówczesnym tu stanie nieprzerwanéj podjazdowéj wojny z poganami. Nic bowiem nie pomagały ani przyrzekana chanowi „donatywa“— „haracz,“ ani stosunki przyjaźni niby Zygmunta I-go z sułtanem. Rozzuchwalone ubogie tłuszcze tatarskie nic już od łupieztwa powstrzymać nie mogło. Ziemie więc ukrainne boleśnie bardzo taki stan dotykał. Kijów ledwie się trzymał na starém swém popielisku i pozostawał często zupełnie bezludnym. Białocerkiew i Kaniów, obok Czerkas, służyły za punkta zborne dla śmiałych kup, jakim dowodzili w odwetowych wyprawach królewscy starostowie. Zaludnienie kraju ograniczało się na chutorach i pasiekach, które powstawały lub znikały w miarę większego lub mniejszego bezpieczeństwa ze strony Krymu lub Dniestru dolnego, zajętego przez Nogajców i Turków. Ale dla tego bezpieczeństwa właśnie trzeba było „zalegać na polu“, trzeba było „kozakować“, jak to robił Pretwicz, sławny starosta nowo wzniesionego przez królowę Bonę zamku w Barze, jak to robili sąsiedni jego towarzysze broni i władzy. Od samego Halicza też do Czerkas bywały rozrzucone punkta zborne drużyn kozackich, posuwające się w step naprzód lub cofające się w tył, stosownie do powodzenia nad tatarstwem wdzierającém się bez przerwy trzema znanemi „szlakami“. Osadnictwo tedy osłaniane przez kozaków wzrastało, kraj się podnosił.

Zaludnienie atoli pustyń ukrainnych, podobnie jak rozwinięcie się kozactwa odbywało się, rzec można, przeciw woli władzy najwyższéj. W wyższych sferach urzędowych panowało przekonanie, iż Tatarzy nie napastowaliby krain Rzeczypospolitéj, gdyby starościń-

scy służebnicy i kozacy zamków pogranicznych nie chodzili w „dzikie pola“ czatować na ordyńców, i nie uprowadzali ich stad. Lecz w stolicy w ogóle zawsze miano błędne wyobrażenie o rzeczywistym na krésach stanie rzeczy. Na kozaków więc poczęto powoli patrzéć jako na kupy swawolne jedynie, nie zaś jak na ludzi zmuszanych do kozakowania też odwetowego najbardziéj. Naprawdę dawali się oni już dobrze we znaki, pod okiem starostów i mimo nich, swym pogańskim przeciwnikom. Z odwetem zaś i myśliwstwem łączyły się coraz bardziéj łotrowanie i swawola. Poczęły zatém iść na nich do króla skargi za skargami od hana i z Porty. Wypadało więc pomyśléć o wczesném ujęciu w kluby rozwijającego się samopas tego żywiołu wojennego.

Myśl „zregestrowania“ kozaków, przypisywana zwykle Batoremu, daje się dostrzédz w urzędowych dokumentach jeszcze w r. 1540 w pięć lat po śmierci Daszkowicza. W tym bowiem roku zawiadujący województwem Kijowskiém kniaź Koszyrski, przy surowém napomnieniu za sprzyjanie swe najazdom kozackim na tatarskie ułusy, otrzymuje nakaz królewski zaciągnąć wszystkich kozaków do regestru i takowych ściślej nadal pilnować.

Po upływie pewnego czasu, król Zygmunt August w r. 1560 znów nakazywał, aby ukraińscy starostowie nie ważyli się wysyłać swych służebników i kozaków „w dzikie pola”. W r. 1572 zaś oświadczając księciu Dymitrowi Wiszniowieckiemu zadowolnienie swe z jego zwycięztw nad Tatarami, zabrania mu utrzymywania straży stałéj na zamku wzniesionym przezeń na jednym z ostrowów dnieprowych i nakazuje nie pozwalać na wycieczki samowolne kozaków. Lecz wszelkie podobne rozkazy królewskie pozostawały bezskutecznemi; moc okoliczności i warunków miejscowych na krésach brała zawsze górę. Surowość nawet niektórych starostów, powolnych zaleceniom władzy najwyższéj, prowadziła jeszcze bardziéj do tego, iż lud z pod ich przysądu liczniéj zbiegał za porohy, gdzie znajdował sobie dowódców, którzy mu zapewniali wszelką swobodę poruszeń, jak naprz. tenże sam słynny kniaź Dymitr i inni.

W obec tego starali się kozacy oddawna upewnić sobie stałe miejsce pobytu za „Porohami.” Inaczéj zostawaliby oni zawsze w zupełnéj zależności od starostów królewskich, a wreszcie nie mogliby nawet bronić skutecznie Dniepru od Tatarów i Turków. Oddawna też wolne „zajmy“ na Niżu dnieprowym były przedmiotem sporów pomiędzy miejscową władzą starostów czerkaskich a kozakującymi mieszczanami. Widocznie kozacy, jako niezależni koczownicy pustyń niżowych, wciągali do swego towarzystwa mieszkańców osiadłych i razem z nimi użytkowali z toni rybołowczych

i „uchodów,“ t. j. ostępów myśliwskich, odpędzając od nich Tatarów; starostowie zaś mienili zajmy te własnością królewską i na wolnych przemyślników nakładali opłaty. Sprzeciwiać się starostom w miastach nie było możności: tam kozacy i kozakujący mieszczanie zostawali w rękach starosty z całém swém mieniem. Na czółna rybackie i myśliwskie przyrządy, oraz oręż, bez którego niepodobna było trzymać się na Niżu,—na to wszystko mógł starosta nałożyć rękę, przy pomocy służebników, przywiązanych do niego wyjątkowemi wolnościami. Niezbędném więc było posiadanie za Porohami miejsca, niedostępnego dla ukrainnych przedstawicieli władzy królewskiéj, a w którém nietylko mienie kozackie mogło być bezpieczném w czasie zimy, lecz i sami kozacy mieliby stałe schronienie od prześladowań starostów. Nie zwracali oni nadto uwagi na układy pokojowe króla z sułtanem tureckim i grabili kupców, idących karawanami z Krymu, mimo Czerkas, do Putywla lub Kijowa. Już więc ta jedna okoliczność robiła dla nich niezbędném posiadanie kryjówki niedosiężonéj, tak dla królewskiéj sprawiedliwości, jak i dla siły-tureckiéj. Przekonawszy się tedy z Wiszniowieckim o niemożliwości utrzymania się na wyspie Chortycy, usadowili się z czasem kozacy znacznie niżéj Porohów, przy ujściu rzeczki Czartomłyka na ostrowie Bazawłuku, gdzie urządzili oni sławną swą „Sicz,“ t. j. mocną zasieką ubezpieczony „kosz“ ich główny, pod osłoną któréj śmiało mogli odtąd stawić czoło ordyńcom.

Lecz ubezpieczenie się materyalne było tu niedostateczném. Osada zaporozka mogła się trzymać na swém niebezpieczném stanowisku jedynie przy nadzwyczajném wytężeniu sił duchowych, jakie kozacy w dumach swych nazywali „łycarstwo“,—rycerstwem. Zależało ono na męskiéj gotowości na wszystko, co tylko mogło się zdarzyć w oddali od miejsc zaludnionych Ukrainy, zależało na cierpliwém znoszeniu wszelkich trudów i niedostatku, na zachowaniu spokoju przy wszelakich wypadkach i niepowodzeniach. Nie znajdując szczęścia w życiu rodzinném i społeczném, Zaporożcy utworzyli sobie rodzinę bez kobiéty. Siebie wzajem zwali braćmi, „bracczykami“, a swego „atamana“—„bat'kiem“, ojcem. Samo wprowadzenie kobiéty do Siczy wzbronioném było kozakowi pod karą śmierci, choćby to była jego matka rodzona. „Sicz—maty, a Wełykyj Łuh—bat'ko“, przyśpiewywali Zaporożcy. Ponure więc uczucie odosobnienia od świata i zwykłych uciech onego wyrażało się w ich życiu. Wesołość zaporozka, którą bracczycy niżowi tyle się szczycili, z któréj byli tak dumni, a jaką stawili swéj młodzieży za obowiązek, była to wesołość tragiczna, pochodząca od rozczarowania w życiu i łączona nieustannie z ironią lub sarkazmem, w dowód pogardy dla zwodniczych

onego ponęt. Niebezpieczeństwo wisiało nad głową Zaporożca każdéj chwili, życie jego było najzupełniéj niepewném jutra; ztąd wieczna obojętność na śmierć, którą kozacy zaporozcy wprowadzali w zdumienie obcych. W podstawie siczowego bractwa leżał nadto swego rodzaju ascetyzm. Wypowiadał się on głównie w gotowości na śmierć, w spartańskiém znoszeniu dolegliwości fizycznych, w zupełnéj obojętności na wszystko, co ceni człowiek w zwykłém życiu. Lecz nie brakowało też Zaporożcowi i pewnéj pociechy duchowéj, moralnéj. Posiadał on wiarę w życie przyszłe. Wierzył, iż tępić bisurmanów, szkodzić im wszelkiemi możliwemi środkami—było zasługą u Boga. W tém zaś głębokiém uczuciu nieprzyjaźni dla bisurmanów było oraz coś tradycyjnego, był wyraz nienawiści dla krwi mongolskiéj od czasów „licholecia". Mniejsza, iż Sarnicki, nie bez pewnéj względnie do czasu słuszności, w dziele swém: „Descriptio veteris et novae Poloniae," powiada o kozakach rzecz dziwną: „Religio apud eos magna ex parte Machometana". Uczucie nienawiści zupełnie zastępowało religijność u tych ludzi, co nie posiadali ani cerkwi, ani popa, na przestrzeni mil trzydziestu.—Że Zaporożcy bowiem, już przed czasami Chmielnickiego, mieli posiadać cerkiew w Siczy—należy to, jak wiele innych podobnych rzeczy, do legend pobożnych.

Charakterystyczną bardzo jest formuła powoływania ludu na wyprawę przeciw bisurmanom, jakiéj używali oni (w XVI w.), przychodząc w tym celu na Ukrainę. Brzmi ona: „Kto chce za wiarę chrześciańską być posadzonym na pal, kto chce być ćwiertowanym, kołowanym, kto gotów znieść wszelkie męki za krzyż święty, kto się nie boi śmierci; —przystawaj do nas! Nie trzeba bać się śmierci: od niéj się nie uchronisz! Takie to kozackie życie!"

Nie każdego też oni przyjmowali do swego wojennego bractwa. Dla wstąpienia do ich „kurzeni" wymaganą była głośna sława lub próba surowa. Nie pytali oni ani o ród, ani o dostojeństwa. Sami atamanowie zaporozcy, po obraniu na ich miejsce innych, stawali się prostymi kozakami. Sprawy prywatne rozstrzygali Zaporożcy większością głosów w kurzeniu; w sprawach zaś ogólnych, wojsko całe dotyczących, postanowienia wydawała „rada", w któréj uczestniczył każdy z równém prawem głosu. Termin przebywania za porohami dla nikogo nie był oznaczonym: można było przyjechać do Siczy i wyjechać z niéj w każdym czasie. Bez względu, jakichby zbrodni kto się piérwéj mógł był dopuścić—bractwo zaporozkie w to nie wchodziło; lecz natomiast surowo były karane występki, popełniane w obrębie przysądu zaporozkiego. Za kradzież najmniejszéj rzeczy, spotykała kara śmierci. Za zabicie towarzysza, przestępcę zakopy-

wano do ziemi, razem z zabitym. Pijaństwo między zaporożcami nie było uważaném za wadę, lecz w czasie wypraw przeciw nieprzyjaciołom, pod obawą kary śmierci, przestrzeganą była trzeźwość. Niebezpieczne położenie kosza zaporozkiego wymagało surowéj karności. Więc téż, mimo swobody przyjazdu i odjazdu, mimo równości pomiędzy członkami wojennego bractwa, porządek w działaniach i czujność strażniczych stanowisk na Niżu słynęły nawet między polskiém rycerstwem. A Paprocki w swym „Ogrodzie królewskim“ (1594) świadczy, że: „Wiele chudych pachołków potciwych dla ćwiczenia w rycerskich sprawach tam jeździ, i z paniąt ruskich, podolskich, między nie nie mało zajeżdża, bo między niemi dobrze się wyćwiczyć może w porządek i w czynność rycerską.“

Była to więc rzeczpospolita, powstała skutkiem oddziaływania ducha słowiańskiego przeciw tatarskiemu. Z jednéj strony, przechowywała ona główne rysy swego pochodzenia, mianowicie—wiarę chrześciańską i bohatérskiego ducha; z drugiéj —przyswoiła sobie obyczaje najezdnicze, bez których istniéćby nie mogła. Stała się tedy z konieczności „hordą,“ oddaną nieustannéj wojnie podjazdowéj, podobną do hordy śmiertelnych swych wrogów.

Wojowniczość wszakże kozacka w ogóle była połączoną na nieszczęście ze swawolą, pobudzającą coraz żywiéj władze Rzeczypospolitéj do uznania nieodzowności ujęcia niesfornych żywiołów w należyte karby. W r. 1572 tedy król Zygmunt August polecił hetmanowi koronnemu, Jerzemu Jazłowieckiemu, wybrać lepszych z kozaków do służby królewskiéj. Wybrańcom tym został przeznaczony żołd ze skarbu królewskiego; zostali oni uwolnieni z pod władzy i sądownictwa urzędników ukrainnych, a poddani bezpośrednio zwierzchnictwu hetmana koronnego; dla roztrząsania zaś zajść pomiędzy mieszkańcami osiadłymi a kozakami, przychodzącymi z Niżu do królewskich miast i zamków, naznaczonym został „starszym“ i sędzią nad wszystkimi niżowymi kozakami szlachcic białocerkiewski, Jan Badowski.

W obec tego wszystkiego, Rzeczpospolita, — pozostawiwszy Dniepr dolny w spornéni posiadaniu niżowych kozaków i Tatarów, jakby wyrzekła się była ziem, leżących po za krésą zamków ukrainnych, a pisarze polscy XVI wieku wprost powiadali, iż Zaporożcy siedzą na ziemiach tatarskich. Zygmuntowi Augustowi i jego radzie zdawało się być rzeczą możliwą utrzymanie stałych stosunków pokojowych z sułtanem tureckim, który obiecywał wieszać na hakach murzów tatarskich, jeśli się poważą wrywać do posiadłości Rzeczypospolitéj, a natomiast wymagał ukrócenia rozbojów kozackich.

Płacić dalej hanowi krymskiemu haracz i zwracać go na ziemie moskiewskie znajdowała Rzeczpospolita dogodniejszém dla siebie od wojny z azyatami. Najazdy tatarskie niewielkiemi czambułami na województwa pograniczne uważane były, jako złe nieuniknione, przeciwko czemu używały władze miejscowe środków odpowiednich, jak przeciw łotrowstwu. Podobnież zapatrywał się i rząd tu-recki na kozactwo, niepokojące od czasu do czasu bisurmanów. Usiłowania wszakże władzy najwyższéj, ku utrzymaniu sąsiedzkiego pokoju, nie zdołały przecię przeszkodzić wybujałemu junactwu kresowemu robienia nieustannych wycieczek na cudze posiadłości; tém bardziéj, że sami ziemianie ówcześni ukrainni nie tyle liczyli na dochód z gospodarki, ile na zdobycz - wojenną. Wszystko to zaś prowadziło nieuniknienie do starć Rzeczypospolitéj z Turcyą, którą jątrzyło nadto nieustanne mięszanie się ruskich panów pogranicznych w sprawy mołdawskiéj Wołoszczyzny.

Kozacka wyprawa Świerczowskiego na pomoc hospodarowi Iwonii ściągnęła na siebie gniew Turków, wywołała nareszcie straszliwy w r. 1575 napad tatarski wszystką hordą, jakiego skutki okryły grubą żałobą całe południe Rzeczypospolitéj. Od tego czasu, zamiast dawnych pochwał, zaczęły coraz bardziéj rozlégać się obwinienia kozaków — nietylko o to, że sprowadzają na całą Polskę klęski wojny, lecz oraz, że umyślnie puszczają hordę przez dnieprowskie przeprawy, żeby później łupy od niéj odbijać. Postanowiono tedy wziąść kozaków wszędy w ściślejsze kluby. Dawniejsze bowiem odezwy króla i nagany ze strony samego społeczeństwa nie działały na nich. Prowadzili oni nieustanną wojnę z Turkami i Tatarami dla sławy i zdobyczy. Jakie zaś były następstwa ich przewagi dla Rzeczypospolitéj; — o to oni, oczywiście, dbali mniéj jeszcze od ukrainnych przedstawicieli władzy najwyższéj, którzy, jak Mielecki, Sieniawski i inni na swą rękę robili wyprawy do Wołoszczyzny.

Dzielny król Stefan, wprędce po wstąpieniu na tron zwrócił uwagę i na kozaków, powołując ich w r. 1578 do swéj służby królewskiéj, swawolnych zaś nakazując wojewodzie kijowskiemu, księciu Konstantynowi na Ostrogu, ścigać i tępić wszelkiemi środkami. Organizując zaś po starostwach piechotę łanową czyli „wybraniecką,“ w nieodzownem tego następstwie musiał pomyśléć i o urządzeniu przebywających w ukraińskich starostwach kozaków. Nakazał tedy spisać ich regestr, poddał posłusznych pod zwierzchnictwo starosty czerkaskiego i, dla osłabienia powagi Siczy zaporozkiéj, oddał tym zaregestrowanym kozakom, na główny punkt opory, leżący powyżéj Kaniowa monaster trachtymirowski. Odtąd poczęli się dzielić wyraźniéj kozacy na regestrowych czyli grodowych, miejskich i wła-

ściwic tak nazywanych zaporozkich lub niżowych. Po ścięciu Podkowy dał król za hetmana kozakom szlachcica herbu Prawdzic, Oryszewskiego. Regulacyi téj wszakże kozactwa nie należy rozumićć taką, jak ją podają pospolicie historycy Ukrainy—t. j. z podziałem na pułki, ustalonėm dostojeństwem hetmańskiém i t. d.

Do czasów króla Stefana, tytuł „hetmana“ kozackiego przynależał każdemu, kto zgromadzał koło siebie kozaków na wyprawę lub utrzymywał ich, jako straż przy swym dworze. W ten sposób spotykamy jednocześnie w aktach nazwiska hetmanów kozackich: Lanckorońskiego, Wiszniowieckiego, Rużyńskiego i innych, mniéj znacznych. Byli to wszystko, jak wiémy, królewscy starostowie ukrainni, którzy, dla odpędzenia Tatarów i prześladowania ich w powrocie z najazdu, wchodzili w rozmaite ugody z wojowniczymi mieszkańcami pogranicza dla „przemysłu“ kozackiego. Drużyny ich zwały się „kozakami“, w znaczeniu ludzi, oddanych zdobyczom, oni zaś sami mianowali się „hetmanami“, „atamanami“ raczéj, jako ich przywódcy.

Nazwa ta „hetman“ wymaga tu przecię dokładniejszego wyjaśnienia, tém bardziéj, gdy dotychczas żaden z historyków Ukrainy nie umiał go wyróżnić należycie od podobnię brzmiącéj nazwy „ataman“ — i wcześniéj, i częściéj używanéj wśród kozaków od piérwszéj. Naszém zdaniem, nazwa „hetman“ wcale była piérwotnie nieznaną wśród kozaków i w ogóle na Rusi: naczelników drużyn wojennych, jak miejscami naczelników gmin, zwano z azyatycka „atamanami“ wyłącznie — a Polacy jedynie, w swéj wymowie, zastępowali wyraz ataman, w znaczeniu wojennego dowódcy, wyrazem, lepiéj sobie znanym—„hetman“,—choć oznaczającym już nieskończenie wyższe w Rzeczypospolitéj dostojeństwo. Dopiéro, gdy „atamanowie“ zaporozcy, po spotężnieniu kozactwa, poczęli zmiérzać do zupełnego uniezależnienia się i zrównania się z „hetmanami“ koronnymi, wtedy i sami jęli przybiérać ich tytuł. W taki sposób zatém dwa te wyrazy „ataman“ i „hetman“, tak różnego pochodzenia: jeden, przybywający z Tatarami, z głębin Azyi, z wyżyn palących Iranu, drugi — z ciemnych puszcz hercyńskich staréj Germanii, spotkały się na Dnieprze, jakby w braterskim splocie, nie do rozerwania. A tymczasem, mimo wspólnego aryjskiego pochodzenia, mimo brzmienia podobnego bardzo, w znaczeniu swém gramatyczném wielce różne są dwa te wyrazy. Nazwę „ataman“ zdobili zwykle sami kozacy synonimicznym wyrazem „bat'ko“, ojciec. Polacy zaś tłómaczyli ją urzędowie jednoznacznym równie wyrazem „starszy“, np. w tytule „starszy wojska zaporozkiego“. „Hetman“ znów, u Czechów „hejtman“, powstał z niemieckiego „Hauptmann“ — tyle, co „capi-

taine" — głowa, zwierzchnik, dowódca naczelny. Mimo też braterskiego splotu wyrazów tych na Dnieprze, zwierają one w sobie tak różną istotę, że przedstawienie wszystkich ewolucyj w ich znaczeniu wzajemném wypowiedziałoby całe dzieje Ukrainy.

Do czasów Batorego, kozacy, jako stan, a nawet jako osobna korporacya, w miastach ukraińskich jeszcze nie istnieli. Wspomniane wyżéj poddanie kozaków w roku 1572 przez Zyg. Augusta pod osobną po za starostami władzę sądową, jako środek doraźny tylko, niczemu nie przyświadcza; król Stefan zastaje ich w dawnym stanie. Na Zaporożu kozakiem nazywał się każdy, przyjęty przez „bratczyków" tamecznych do ich „towarzystwa;" w miastach nazwa ta określała rodzaj i charakter życia, lecz żadną miarą prawa jednostek lub klasy całéj. W sposób podobny używa się dziś wyraz „czumak," przez który rozumiémy człowieka téj lub innéj warstwy, trudniącego się wołową furmanką. Póżniéj już, gdy kozactwo wystąpiło z myślą samorządu, odrzucając juryzdykcyą starostów w dobrach królewskich i dziedziców w pańskich włościach, mieszkańcy miast poczęli wyraźnie dzielić się na „mieszczan" i „kozaków." Wtedy „posłusznymi" zaczęto nazywać właściwie domy mieszczańskie, „nieposłusznymi"—kozackie. Mieszczanie posłuszni odbywali główną w te czasy powinność, służbę wojenną, pod dowództwem starostów królewskich, a nieposłuszni wybierali sobie dowódcę wolnemi głosami; lecz jedni i drudzy tak ściśle z sobą byli zespoleni, iż wyraz „kozacy" w aktach urzędowych prawie nie był używanym; administracya, rzec można, znała mieszczan tylko.

Otóż, w ostatecznym wyniku widzimy, iż początek kozactwu dały przedewszystkiém miasta ukraińskie, zmuszone przez swe położenie samo do przyswojenia sobie obyczajów najezdniczych, dla tém skuteczniejszego opędzania się od Tatarów. Miasta te zaludniały się przez wychodźców z bezpieczniejszych względnie miejsc, dokąd, w czasach mongolskiego „licholecia," chronili się byli mieszkańcy równin dnieprowych. Główną masę nowych osadników stanowiła, oczywiście, ludność ruska. Lecz zasilali ją też znacznie i wychodźcy z właściwych ziem polskich. Wieloliczne bowiem pobudki prowadziły żywioł polski na krésy te pogańskie. Religijność, tak ściśle połączona w XVI w. z uczuciem miłości dla kraju, podniecała szlachtę znaczniejszą do rycerskich czynów poświęcenia w walce z poganami; niejednego prowadziła tu żądza zemsty na Tatarach; mnóstwo też gnała nędza i chęć zdobyczy. Zaludniały się w ten sposób pustynie krésowe, a wśród nieprzerwanéj walki o bezpieczeństwo nowych osad wzmagało się i kozactwo.

Zasilał je téż znacznie żywioł tak zwanych ludzi swawolnych, jakich wszędy życie ówczesne wytwarzało tłumy, osobliwie wśród służebników pańskich—szlachty i niepłatnych żołniérzy, którzy to miewali aż zanadto powodów do opuszczania pańskich i królewskich chorągwi i przechodzenia pod buńczuk hetmana zaporozkiego, zkąd już trudno im było wrócić do dawnego życia. Nowemu zaś oddawali się tém bardziéj z całą duszą, wnosząc w nie tyleż zapału, co goryczy. Dla tego więc i jedynie dla tego, działalność wojska zaporozkiego nosiła już od początku piętno pewnéj niechęci ku władzy zwierzchniczéj. Niechęci społecznych i narodowych nie istniało wcale wśród kozactwa piérwotnego, jak nie istniało téż jeszcze ani materyalnych, ani moralnych interesów, które późniéj rozdzieliły kozaków i szlachtę na dwa wrogie obozy. Zaporoże téż nie było przytułkiem jedynie pospólstwa, szukającego tam chleba powszedniego, lecz zarówno ludzi znaczniejszych, mających na widoku cele moralne, familijne i polityczne.

Głównem zadaniem była tu jeszcze zawsze *obrona* ziem ukrainnych od pogan, osłona rozwijającego się potężnie wśród pustyń krésowych osadnictwa: wszystko tu zatém tchnęło duchem wojennym. Gdy województwa środkowe Rzpltéj oddane były już wyłącznie tylko pracom pokojowym, Ruś zostawała wciąż jeszcze krainą rycerskości: była jéj wspaniałą widownią, co więcéj, była nawet kolebką bohatérów. Wszyscy prawie hetmanowie koronni—to jéj dzieci wyłącznie, wszyscy prawie wojownicy polscy tu się wychowywali, wśród straży krésowéj. Służba krésowa była u szlachty na Rusi nietylko wynikiem nieodzowności położenia kraju, ale potrzebą moralną, potrzebą dumy, wymogiem samego towarzystwa. Młodzieniec, co nie odbył służby krésowéj, był uważanym za niedoświadczonego, nie posiadał powagi w towarzystwie. Na służbie krésowéj panowie w młodości swéj zawiązywali stosunki, które nieraz stawały się dla nich bardzo cennemi, po wstąpieniu z czasem na arenę polityczną. Tam téż rozwijał się najpotężniéj i ów duch samodzielności, tyle cechujący społeczeństwo polskie. Służba krésowa, pełna przygód i niebezpieczeństw, przyuczała szlachtę do śmiałéj przedsiębierczości, nieznającéj z czasem miary. Tu wyrabiały się charaktery, porywające społeczeństwo polskie ku tak rozległym, chociaż fantastycznym przedsięwzięciom, jak zdobycie carstwa moskiewskiego i rzucenie sił polsko-rosyjskich na Turcyą. Lecz tu również miało swe źródło i surowe rycerstwo zaporozkie, negujące polską i wszelką politykę państwową. Długo wszakże istniała dobra zażyłość pomiędzy żyjącą na sposób kozacki szlachtą ze straży krésowéj a kozakami niżowymi; nieraz téż możne

paniątko jakie, jak np. kniaź Bohdan Ružyński, lub głośny Samuel Zborowski, stawało na czele tych ostatnich.

Król Stefan, w widokach zaprowadzenia ściślejszego porządku po całéj Rzpltéj w ogóle, jako też w obliczu potrzeb zamierzonéj stanowczéj walki z półksiężycem, miał zwrócone pilne oko i na żywioł kozacki. Starał się on wszelkiemi siłami ukrócić onego niesforność i ująć go w należyte karby. Nie oszczędził tedy i śmiałego Podkowy, ani Zborowskiego Samuela, co na swoję rękę puszczał był się na kozakowanie. Zaporoże atoli nie wielce było powolném zaleceniom królewskim. Co gorzéj, wysłanego do nich z ostatniém napomnieniem dworzanina królewskiego, Głębockiego, Niżowcy utopili w Dnieprze. Wprawdzie hetman ówczesny kozaków posłusznych, ks. Michał Ružyński syn Bohdanów, przysłał winowajców do Kijowa; ale cóż?—namiestnik wojewody, ks. Matusz ze Zbaraża Woroniecki, nie miał śmiałości, czy dobréj woli, rozprawić się z nimi, jak należało. A tymczasem i król Stefan wprędce umarł. Po jego zaś śmierci, kozactwo jeszcze swobodniéj puściło wodze swéj samowoli, tém bardziéj, że z wielkim mężem razem pogrzebano i jego wielki plan wojny powszechnéj z Turkami.

Po śmierci Batorego, o ile z jednéj strony powiększyła się swawola krésowego rycerstwa, utrzymującego ścisłe związki z niżowymi kozakami, o tyle z drugiéj wzrosła ku nim niechęć strony konserwatywnéj, stanowiącéj podstawę rządu Rzeczypospolitéj. Ludzie, którzy wyżéj nad wojnę stawili kolonizacyą spokojną pustyń ukrainnych i starali się zaszczepić w Polsce zachodnie nauki, razem z dobrobytem państw cywilizowanych, widzieli w kozakach złe, jakie wypadało niszczyć najbardziéj stanowczemi środkami. Tymczasem kozacy, popierani zawsze przez żywioły wojownicze pomiędzy szlachtą ukrainną, tém bardziéj poczęli najazdami swémi morskiemi dokuczać Turkom. Porta tedy ostatecznie, za wszystkie krzywdy swych poddanych, doznane od kozaków, postanowiła powetować na Rzeczypospolitéj. Zawisła więc nad nią na prawdę straszliwa burza turecka.

W obec grożącego niebezpieczeństwa tedy, na sejmie r. 1590 w Warszawie, przedsięwzięto z jednéj strony ograniczyć samowolę kozactwa, a zarazem spożytkować siły ich dla wojny z Turcyą. Postanowiono zatém uorganizować za Porohami z niżowych kozaków wojsko, posłuszne władzom Rzeczypospolitéj. „Starszy" (ataman) onego winien być szlachcic, posiadający na Ukrainie własność nieruchomą; „setnicy" także mają być naznaczani z osiadłéj szlachty. Starszyzna i wojsko przysięgną, iż bez pozwolenia hetmana koronnego nie będą robili żadnych wypraw do ziem sąsiednich,

ani grabić obcych kupców; bez wiedzy starszyzny nikogo do swego towarzystwa przyjmować nie będą. Regestr kozacki będzie się znajdować u hetmana. Nikomu też w ogóle nie miało być wolno puszczać się na łowy w „dzikie pola”, pod najsurowszą odpowiedzialnością i grozą kary śmierci nawet. Dla kontroli zaś wykonywania ścisłego powyższych postanowień, mimo starostów często bardzo pobłażliwych, naznaczono dwóch „dozorców”. A obok tego, na bliską wojnę, zalecono hetmanowi wezwać potrzebną ilość niżowców do służby królewskiéj.

Mocą powyższéj konstytucyi, władza najwyższa Rzeczyplitéj wyłączała kozaków ze składu miejskiéj i wiejskiéj ludności „Ukrainy” i pozwalała im istnieć jedynie „na Niżu,” „za Porohami.” Rozrywała ona przez to pomiędzy osiadłą a koczującą ludnością Ukrainy ów związek, który był jednym z głównych warunków kolonizacyi Rusi. Chciała trzymać Zaporożców nieustannie na Niżu, gdy oni koczowali tam latem jedynie. Wreszcie za nieposłuszeństwo groziła karą śmierci, a pilnowanie ścisłego przestrzegania prawa powierzała dwóm bezsilnym „dozorcom“, mającym pobiérać rocznie po 300 zł. ze skarbu. Oczywiście więc, środki podobne mogły tylko rozdrażnić kozaków, lecz nie ukrócić ich swawoli. Ale Rzeczpospolita w układach swych z Turkami dała uroczystą obietnicę okiełznać kozaków. W tymże więc roku jeszcze, uniwersałem królewskim nakazano staroście śniatyńskiemu, Mikołajowi z Buczacza Jazłowieckiemu, zaciągnąć do służby królewskiéj tysiąc wyćwiczonych w wojenném rzemiośle ludzi, wznieść na uroczysku Krzemieńczuku, lub gdzie w stepie, zamek, zkądby można było trzymać na wodzy junactwo krésowe. Starostowie naddnieprzańscy atoli nie mieli powodu spieszyć z poparciem energiczném nakazu królewskiego, obowiązującego ich do utrzymywania następnie nowego zamku — i zamek ten, tak niezbędny dla bezpieczeństwa i spokoju Rzeczypospolitéj całéj, nie stanął;—srogie nakazy przebrzmiały bez skutku. Zdawało się zatém, że nie pozostawało Rzeczypospolitéj już nic innego, jak ustąpić przemocy okoliczności i zużytkować, po dawnemu, wojennie, wybujałe żywioły, jakie się były nagromadziły na ziemiach krésowych. W takim razie kozacy niezawodnie z buntowników staliby się najlepszém i najtańszém wojskiem, „jurt” krymski nieodzownie byłby upadł, upadłaby o wiek wcześniéj i potęga Porty. Ale przeważne usposobienie umysłów ówczesnéj szlachty nie pozwoliło na to.

Między możną szlachtą bowiem ziem ukrainnych, nad wszystkiém wziął już ostatecznie górę popęd gospodarczy, osadniczy, kolonizacyjny. Obok czego kolonizatorowie Rusi zamierzyli byli asymilować ją najzupełniéj do innych ziem Rzeczypospolitéj—nie

pod względem języka przecię, o który wtedy niewiele troszczono się, i nie pod względem wiary, o której myślało jedno duchowieństwo, lecz co do porządków społecznych i ekonomicznych, jakie w ziemiach ukrainnych były wcale różne jeszcze od typu, przeważającego we wnętrzu Rzeczypospolitéj.

Początkowo kolonizacya ziem ukrainnych rozwijała się bez najmniejszéj przeszkody wewnętrznéj. Ani drobna szlachta ukrainna, przyjaźniąca się i kumająca z kozakami, ani właściwie tak zwani mieszczanie, ani miejscy i zaporozcy kozacy nie zwracali dotąd uwagi na wyrastające co roku pańskie miasta i sioła; jeszcze mniéj rozumieli znaczenie pańskiéj władzy nadal ludzie, nienależący do ich warstwy: rataje, czabani i tym podobny lud roboczy, rozproszony po futorach i wsiach ukraińskich. W początku kolonizacyi Ukrainy, jaki dla jednych miejscowości sięgał połowy XVI wieku, a dla innych piérwszéj ćwierci w. XVII-go, po upływie 20-letniéj lub 30-letniéj „woli“ lub „słobody“, prawie jedyną powinnością mieszkańców miasteczek i siół była wojenna służba pod dowództwem starosty lub dziedzica, gdyż najważniejszą sprawą dla kraju była obrona onego od Tatarów. Służba ta nie była uważana za uciążliwą, ponieważ stanowiła nieodzowny warunek życia na pograniczu. Bez rozkazu wcale władzy miejscowéj, każdy wieśniak winien był nieustannie trzymać się na baczności od ordyńców. Nawet do roboty w pole nie mógł on wychodzić inaczéj, jak gromadą i zbrojnie. Okupując u Tatarów krwią ziemię rodzinną, walcząc, wojując z nimi o każde pastwisko, o każde siedlisko, po lat wiele, wieśniacy ukraińscy byli gotowymi w każdéj chwili do zbrojnego wystąpienia. Potrzeba sama robiła tu każdego żołniérzem. W lustracyach dóbr starościńskich z początku XVII w. rzadko spotykamy daniny, pobierane od mieszczan; daleko częściéj lustracye te mówią o domach mieszczańskich, z których żadnych opłat nie brano, lecz każdy mieszczanin obowiązanym był jedynie odbywać służbę wojenną konno i orężnie pod dowództwem starosty lub jego namiestnika. Tacy zaś mieszczanie zwali się „posłusznymi“. Obok nich wymieniają lustracye mieszczan „nieposłusznych“, nazywając ich wprost „kozakami“, o których zwykle się powiada, iż oni żadnéj powinności, ani posłuszeństwa nie czynią; często zaś, że mimo to, zajmują dla siebie wyłącznie grunta miejskie. W wielu miejscach siedzieli chutorami zasłużeni żołniérze chorągwi pańskich i wybranieckich lub cudzoziemskich rót, którzy otrzymywali nieokreślone prawo użytkowania z większego lub mniejszego kawałka ziemi, wymierzając go sobie, jak to się mówiło wtedy, „na szable“, utrzymując zbrojną ręką nadane sobie onéj posiadanie. Wychowańcy

obozów wojennych, przywiązani do życia osiadłego przez interesa familijne, przechowywali swe przyzwyczajenia i pod strzéchą chutoru. Razem z posłusznymi i nieposłusznymi krésowcami, gotowi oni byli w chwili każdéj odpędzać ordyńców, a przy okoliczności ujmowali się za siebie i w stosunku z władzą miejscową. Posiadacze rozległych dóbr ukraińskich, wyprosiwszy sobie dożywotnie lub dziedziczne prawo na ziemie, pozostawali sami w starych swych „gniazdach" lub stale znajdowali się przy dworze; na Ukrainę zaś posyłali swych oficyalistów, lub tak zwanych „osadczych", którzy działali w ich imieniu i kolonizowali kraj na ich korzyść. Lud krésowy, nabrawszy ducha wojennego w ciągłéj walce z Tatarami, cenił nadewszystko przymioty osobiste każdego i nie krępował się niczém w stosunku z pańskimi dworzanami. Szlachta zaś w ogóle traciła znaczenie swe uprzywilejowane w kraju, gdzie swoboda osobista, bogactwo, potęga i nawet głośna sława były dostępne zarówno dla herbowych, jak i nieherbowych. W początku zjawienia się kozactwa, ludzie stanu pospolitego chadzali na zdobycze pod dowództwem szlachty, z rozwinięciem zaś onego, szlachta brała udział w wyprawach, którym przewodniczyli zdolni i doświadczeni ludzie „pospolici". Okoliczność ta, więcéj jak cokolwiekbądź, zacierała różnice stanu mieszkańców ukrainnych. Szlachta miejscowa nie mogła w żaden sposób lekceważyć ludu ukrainnego; owszem, w wielu razach ubiegała się ona o jego przychylność. Obrona siedlisk i stad, ucieczka przed ordyńcami i ukrywanie się w niedostępnych dla nich miejscach, nakoniec zostawanie w niewoli tatarskiéj, wszystko to się przedsiębrało lub znosiło na równi z ludźmi nieherbowymi. Bez względu na to, kto przyszedł na Ukrainę, potężne warunki bytu miejscowego poddawały jego wolę, pojęcia i skłonności ogólnemu biegowi życia. Nietylko korzyści wspólnych wypraw łowieckich i wojennych, lecz bezpieczeństwo majątku i życia zależało tu od ściślejszego zbliżenia się z ludem. Nawet język sam, zanoszony na Ukrainę z głębi ziem szczéro-polskich, mimo wyższą uprawę onego i powszechne już w wyższych klasach używanie, ustępował sile ludowéj ruszczyzny.

Przypływ polszczyzny do ziem ukrainnych jest rzeczą późniejszego czasu. W początku kolonizacyi onych, ziemianie starych ziem koronnych, przed ostateczną unią w Lublinie, nie zapuszczali się tu liczniéj; opustoszone zaś przez Mongołów przestwory staréj Rusi zajmowali przeważnie samiż Rusini, posuwający się tu stopniowo od wierzchowisk Buga i Dniestru lub z przestronnego Polesia. Język polski był im znany, jako język władzy, jako język średnich i wyższych szkół, których na Rusi dalszéj do końca XVI-go wieku

nie było wcale, jako język piśmiennictwa wreszcie, który tylko co wziął górę nad zmartwiałą łaciną. Pisali oni w tym języku wojenne swe relacye i listy, podobnie jak dowódcy kozaccy czasów późniejszych, lecz w stosunkach codziennych niewątpliwie używali mowy ruskiéj. Do drużyn kozackich nie przemawiano oczywiście inaczéj, jak po rusku. Pieśni historyczne, powstałe w łonie tych drużyn, wskazują, jaki tam żywioł przemagał. Nawet Tatarzy, koczujący niegdyś po Podolu tak byli sobie przyswoili ruską mowę, iż, w sto lat po wygnaniu swém przez Witolda do Dobruczy, jeszcze byli takowéj nie zapomnieli. A jak powszechnie wiadomo, kasztelan Mieleszko nawet na sejmie konwokacyjnym po śmierci Batorego przemawiał z ruska. Co się zaś tyczy wyznań łacińskiego i greckiego, z których piérwsze szerzyło żywiół polski, drugie zaś ruski podtrzymywało — trzeba pamiętać, że do końca XVI-go wieku nie rozpoczęły one jeszcze były znanéj późniejszéj walki między sobą. i obadwa rozmyślały nad tém jedynie, w jakiby sposób obronić się od reformacyi, grożącéj w owe czasy nietylko kościołowi zachodniemu, ale i wschodniemu w obrębie Rzeczypospolitéj. W stosunku do kozactwa—duchowieństwo ruskie nie przyjmowało żadnego udziału w onego wytworzeniu i w czasie piérwszych kozackich wojen z panami zachowywało się względem wojska zaporozkiego jak najbardziéj obojętnie, żeby nie powiedzieć — nieprzyjaźnie.

Ze swéj też strony, kozacy na wyprawach swych i zaporozkich stanowiskach obchodzili się zupełnie bez duchowieństwa. Oczywiście, bywały pojedyncze przykłady religijności Zaporożców, ale twierdzenie, jakoby już od piérwszych czasów istniała na Siczy cerkiew Pokrowy należy do legend późniéj utworzonych. Owszem, w czasie wypraw r. 1637 i 38, kozacy najbardziéj taili zamiary swe przed miejscowymi parochami, a mnich jeden błahoczestywy śledził nawet za nimi i dawał o nich wieści wojsku koronnemu. Metropolita Piotr Mohyła, bez ogródek, w druku nazywał ich „rebellizantami". Błahoczestywy pan ukrainny, Adam Kisiel, pisał o kozakach, jako o ludziach bez wiary, „religionis nullius". Wszystko świadczy jedném słowem, że kolonizacya Rusi odbywała się bez udziału wschodniego duchowieństwa, którego działalność hierarchiczna wreszcieześrodkowywała się wtedy nie w Kijowie, jak piérwéj i późniéj, lecz w Wilnie.

Wpływ nauki rzymsko-katolickiéj również nie wielce dotykał rycerstwa krésowego i piérwszych kolonizatorów ukrainnych polskiego pochodzenia: piérwszy bowiem biskup łaciński, czasowo przebywający w Kijowie, znany Wereszczyński, przyjechawszy tu

roku 1589, nie zastał ani jednego kapłana, ani jednego kościoła i ołtarza, oprócz kapliczki zamkowéj, w któréj urzędnicy zamkowi konie swe stawiali, oraz malutkiego kościoła dominikańskiego na Padole, z jednym tylko zakonnikiem. Nie było to zaś skutkiem jakiéj niechęci ku łacińskiéj wierze, bo téż niedbali ówcześni Kijowianie zapędzali bydło swe i do cerkwi ś. Zofii, swobodnie zaciekającéj od deszczów. W ogóle zaś, w owe czasy, duchowni błahoczestywi i księża łacińscy, bez różnicy, spełniali posługi religijne tak dla wyznawców cerkwi wschodniéj, jak i dla rzymsko-katolików. Księży łacińskich było wtedy tak mało, nietylko w Kijowszczyznie, lecz i na Wołyniu, że parochowie ruscy chrzcili dzieci, dawali komunią świętą i grzebali umarłych śród rodzin polskich; a miejscowi Polacy do takiego stopnia nie robili różnicy między księżmi łacińskimi i ruskimi, że hierarchia łacińska musiała aż wypraszać sobie u króla Stefana uniwersał do władyków błahoczestywych, wzbraniający ich podwładnym dalszego wdawania się w sprawy religijne katolików. W taki sposób, wyznanie wcale nie przeszkadzało wychodźcom ziem środkowych Rzeczypospolitéj łączyć się ścisłemi węzłami z miejscową ludnością krésową.

Wreszcie, bądź co bądź, powoli, niepostrzeżenie, krésowa szlachta drobna obydwu narodowości przeobrażała się na pospolitą Ruś kozacką, nie krępując się ani wyznaniem, ani językiem, ani bezużytecznemi w pustyniach ukrainnych herbami.

Obrona bowiem granic, połączona z bezpieczeństwem rodzin i majątku, była tu wszystko pochłaniającém zadaniem życia. Wszystko służyło temu zadaniu na Ukrainie. Nawet zewnętrzna postać kraju miała piętno długiéj walki ludności osiadłéj z koczownikami. Otwarta ze wszech stron równina okryta była nasypiskami, z których mieszkańcy wpatrywali się w dalekie widnokręgi stepowe, czy się nie podniesie gdzie kurzawa od nachodzącéj hordy. Do dziś dnia jeszcze mogiły, kurhany, okrągłe okopy z podwójnemi wałami, rozwartemi w postaci półksiężyca u wejścia, czworoboczne szańce i tak zwane „źmijowe“ wały uderzają tam wędrowca swoją mnogością. Znaczna część tych nasypów odnosi się do epoki pogranicznéj walki z Tatarami. Nowa osada w owe czasy zaczynała zwykle od tego, że otaczała wybraną dla osiedlenia miejscowość wałem; następnie sypała na widowni stepowéj strażnicze kurhany, dla utrzymywania na nich czat nieustannych. Szereg podobnych kurhanów łączył często bliższe osady z dalszemi. Nawet wojsko koronne, w czasie leż na krésach w spokojnym czasie, było obowiązanem sypać mogiły strażnicze; a na krésach powstała była nawet osobna klasa robocza—„mogilników“, którzy odegrywali bardzo ważną rolę w cza-

sie wojen kozackich, jako saperowie, okopujący skutecznie tabory powstańcze. Konstytucye sejmowe regulowały od czasu do czasu stróżowanie krésowe i nieraz uwalniały mieszkańców miasteczek pogranicznych od procesów, pozwów i banicyj, ze względu na niebezpieczeństwa, na jakie były one narażone. Piérwsze miejsce jeszcze w początku XVII wieku zajmowały strażnice w Białéjcerkwi, zkąd, podług wyrazów konstytucyi, „wszystką Ukrainę ostrzegano od inkursyj pogańskich". A nad całą nieskończoną siecią szlaków, strażnic i mogił krésowych panował, jako główny punkt strażniczy, zamek dawny Rów, nazwany na cześć królowéj Bony, Barem. Po Kamieńcu podolskim była to najmocniejsza twierdza ukrainna, która „patrzyła na trzy szlaki tatarskie". Zostawała ona stale, jako starostwo, w posiadaniu hetmanów koronnych, którzy z urzędu byli najwyższymi stróżami granic Rzeczypospolitéj; najbliższy zaś nadzór nad wszystkiemi strażnicami i czatami w XVI w. miał sobie powierzonym zależny od hetmana, osobny „strażnik trzech szlaków".

Stan podobny nieprzerwanéj zbrojnéj obronności musiał się téż w naturalny sposób odbić i na stosunkach społecznych ludności ukrainnéj. Obok potomków znakomitych rodów szlacheckich, nabywali tu szerokiéj wziętości, nietylko u ludu, lecz i w sferach rządowych, osoby pochodzenia pospolitego. Natarczywa potrzeba posiadania ludzi, którzyby śledzili za poruszeniami drapieżnego tatarstwa i umieli je odpędzać, nietylko zmuszała władzę do popierania kozackich obyczajów wśród miejskiéj ludności ukrainnéj i osypywania pochwałami szczęśliwych śmiałków, lecz przywodziła ją do konieczności przebaczania najcięższych przewinień każdemu, ktoby przesłużył ćwierć roku w straży krésowéj i odznaczył się jakim czynem odważnym. Wielu banitów przychodziło na Ukrainę, odznaczało się w gonitwach za Tatarami i wracało najspokojniéj do dawnego otoczenia. Lecz inni zostawali na zawsze w społeczności krésowéj, wnosząc w nią szczególny piérwiastek swawoli, wyrobiony na szlacheckich sejmikach i w związkach wojskowych. Wolność, któréj poruszeniom wszelakim sprzyjało samo położenie Ukrainy, łatwość znalezienia ludzi, gotowych na najzuchwalsze przedsięwzięcia, i słabe działanie praw, stanowionych dla ziem krésowych przez władzę najwyższą, pozwalały tu każdemu śmiałemu charakterowi rozwinąć się w całéj pełni. Tymczasem wspólna początkowie dążność obrońców i kolonizatorów Ukrainy podlegała zmianom pod wpływem polityki najwyższéj władzy Rzeczypospolitéj, która to powoływała kozaków pod chorągwie królewskie, to przedsiębrała przeciw nim środki, przytłumiające ich wrodzoną wojowniczość, a czasem robiła jedno i drugie razem. Skutkiem tego, wśród ludności Ukrainy powstało dwie

klasy: jedna, któréj interesa zgadzały się z widokami władzy centralnéj Rzeczypospolitéj; druga, któraby istniéć nie mogła, nie przeciwdziałając onéj nakazom. Obiedwie one miały swych przedstawicieli, swych bohatérów, których jedni wynosili pod niebiosa, inni zaś osypywali przekleństwami. Z jednéj strony, wśród szlachty osiadłéj stanęli na polu wojennėm możnowładcy, pragnący zniszczyć kozaków aż do samego ich imienia; z drugiéj zaś — ze skozaczonéj masy ukraińskiego pospólstwa wystąpili dowódcy, marzący o wytępieniu całéj szlachty. Nieukróceni w swéj woli, potężni duchem, niestrudzeni w niesieniu wojennych ciężarów, jedni i drudzy, w porównaniu z mieszkańcami środkowych ziem Rzeczypospolitéj, byli prawdziwymi „lwami, pragnącymi uczty krwawéj". Nie znając miary swéj samowoli, doprowadzali oni każdy swój zamysł do ostateczności i, tworząc dokola siebie nowe pokolenia nieokiełznanych zwolenników pewnych zasad, gotowali dla Rzeczypospolitéj burzę, która wstrząsnęła nią następnie aż do samych podwalin.

Do wyrobienia w mieszkańcach krésowych znanéj dzielności umysłu przyczyniały się niepomału ciągłe żywe przykłady najniespodziańszéj utraty majątku, rodziny, wolności i życia. Z pomnożeniem się zaludnienia południowéj Rusi, najazdy tatarskie stały się tak częstemi, że hetman Żółkiewski przypomina ich za swéj pamięci aż 30 „wielką hordą", nie licząc pomniejszych. Tatarzy niewiele trudnili się rzemiosłami, handlem, przemysłem, nie mieli obszernych posiadłości dla pobierania z nich danin, byli zamknięci w granicach ubogiego w pastwiska półwyspu, z którego wykoczowywali ku rozkosznym pobrzeżom Dniepru, Bohu i Dniestru nieinaczéj, jak pod obawą kozackiego napadu. Dla tego ziemie Rzeczypospolitéj były dla nich jedynėm źródłem wzbogacenia się. Upędzali oni bydło, porywali wszelką rzecz ruchomą, lecz szczególnie upędzali się za „jasyrem", który potém przedawali do niewoli na wszystkie strony Wschodu. Społeczeństwo wschodnie potrzebowało zawsze niezliczonego mnóstwa niewolników i niewolnic rozmaitego wieku, a głównymi dostarczycielami tego towaru byli Tatarzy, dostający go po większéj części z Rusi. Ze szczególniejszą pożądliwością chwytali ordyńce dzieci, wychowywane potém przeważnie na janczarów, owych najzaciętszych przeciwników chrześciaństwa. A myśl ta już sama robiła jeszcze głębszém wrażenie, wywoływane przez tatarskie najazdy. Pod wpływem oczekiwanych codziennie niespodzianek, wyrobiły się na Ukrainie rysy charakteru i obyczajow, niespotykane w innych ziemiach Rusi. Czasami Ukraińcy uderzają postrzegacza głęboką tęsknotą swych pieśni i melancholią serc, czasem zaś — skłonnością do rozpaczliwych przedsięwzięć, lub jakąś bezmyślną wesołością, która

jakby usiłuje zagłuszyć wielki, niewysłowiony ból. Ztąd u nich owe tragiczne przeciwieństwo między widomą wesołością i tęsknotą ukrytą, nawet w grach i obrzędach. Okropności oddalenia od własnéj rodziny, niewolnictwa nieutulonego i nielitościwego barbarzyństwa pogańskich ciemiężców, opiewane po Ukrainie, od czasów piérwszéj onéj kolonizacyi, usposabiały równie umysł ludu do tragicznego zapatrywania się na życie. Rozpasana śmiałość, pragnienie choćby chwilowéj radości, choćby takiéj radości, jaką daje nadzieja pomyślności zamysłu, zupełne zapomnienie następstw i obojętność na śmierć—takowemi były ogólne rysy charakterów, z któremi możnym kolonizatorom przyszło potém mieć do czynienia. Lecz, do czasu, póki osadnicy wysiadywali długoletnią swą „wolę“, stosunki między ludem a klasą panującą były pokojowe, oparte na dobrowolnych układach i wzajemnéj korzyści. Na ponurém więc tle, stanowiącém widownię krésowego bytu, wesoło, szumnie i barwisto igrało nieskrępowane jeszcze kozackie, rolnicze i mieszczańskie życie.

Zdawało się tedy ludowi krésowemu, że już nigdy nie będzie mieć innych ciężarów, nad ubóstwo, pędzące kozaka z domu na przemysł niebezpieczny, nie będzie innéj niedoli, oprócz téj, która nieustannie groziła mu z po za stepowych mogił i okopów strażniczych. Lecz panowie, co już ogarnęli byli swemi włościami cały południowo-wschodni pas, po za Kijowem, Kaniowem, Czerkasami, Białocerkwią, aż do podolskiego Kamieńca, poczęli powoli dawać czuć obecność nowego na Ukrainie prawa. Kozacy w początku nie zwracali uwagi na tę władzę, jaka postanowieniem sejmowém roku 1590 daną była nad nimi szlachcie miejscowéj, i nie zazdrościli rozmnożeniu się na Ukrainie pańskich włości. Szlachta miejscowa trzymała wtedy jeszcze za jedno z kozakami, żyła z nimi „za pan brat“, chodziła obyczajem kozackim na przemysł wojenny, a jéj dobra, przy obfitości niezajętych przez nikogo ziem na Ukrainie, wcale nie krępowały kozaków, owszem, zapewniały jeszcze ich rodzinom bezpieczeństwo od tatarskich najazdów. Lecz zaludnienie pustyń ukrainnych postępowało z szybkością nie do uwierzenia; pańskich siół i miasteczek przybywało z każdym rokiem; ziemia coraz częściéj stawała się między mieszkańcami krésowymi przedmiotem zwad krwawych; własność nieruchoma drożała, a razem z tém zmieniły się i dawne stosunki pomiędzy panami i kozactwem. Szlachta ukrainna rok po roku coraz bardziéj wyosobniała się od kozaków w bycie swym i interesach; gospodarstwo wiejskie, na gruncie urodzajnym, wynagradzało ją za pracę daleko pewniéj, jak chadzanie z kozakami na przemysł wojenny; z podniesieniem się powszechnego

go dobrobytu, wystąpiła potrzeba bardziéj porządnéj administracyi; na sejmikach powiatowych obmyśliwano środki ukrócenia wszelakiéj swawoli, a najbardziéj — kozackiéj; nakoniec, zrodziła się natarczywa potrzeba roboczych rąk dla mnóstwa nowych osad, skupiających się na pograniczu; od wolnych dotąd osadników, stanowiących rodziny kozackie, dziedzice włości poczęli wymagać czynszów i pańszczyzny, nazywając ziemią „pańską“ dawne „zajmy“ kozackie. Nie dosyć tego: z pańskiéj téj ziemi, na któréj ocucił się z czasem nieznający dotąd właściwie pana osadnik ukrainny, jemu, jako „poddanemu“ pańskiemu, nie wolno było wychodzić, podług upodobania, za Porohy, w dzikie pola. Następnie, panowie poczęli zwiększać miodowe i inne daniny, wprowadzili powołowszczyznę od stad i pokuchowszczyznę od warzenia gorących napoi, zaczęli brać opłatę od żaren, oddawać w dzierżawę miejsca rybołowne, pobiérać myto przy wjeździe do miasta lub wsi na targ. Jednėm słowem, wytwarzali porządek na krésach ukrainnych, podobny do istniejącego w ziemiach środkowych Rzeczypospolitéj. Starostowie dóbr królewskich byli to ciż sami panowie możni i postępowali w starostwach tak jak we własnych dobrach dziedzicznych, a co było dokuczliwszém dla ludu — zarządzali nie sami osobiście, lecz władzę swą powierzali namiestnikom, drobnym dzierżawcom i arendarzom, którzy podwładnych nie szczędzili. To więc wszystko, od czego ojcowie i dziady wieśniaków ukraińskich uciekali z głębi krain, poddanych dawniéj już porządkom możnowładczym, przyszło z kolei po ich śladach i na Ukrainę. Z Ukrainy zaś przesiedleńcy nie mieli gdzie już uciekać daléj, chyba do tatarskiéj i tureckiéj niewoli. Pozostawało tedy albo się poddać porządkom pańskim, albo bronić swéj nieuznanéj przez obowiązujące prawo swobody, co sił starczy. Warunki miejscowe i owoczesny stan rzeczy w Rzeczypospolitéj sprzyjały temu ostatniemu.

c. d.
(~~dok.~~ nast.)

A. Jabłonowski.

NA PRZEŁAJ ŚWIATA.

III. Kanał pomiędzy oceanem Atlantyckim i Spokojnym.

(dokończenie).

3.

Od czasu jak Aleksander Humboldt, bezpośrednio po swoim powrocie z Ameryki, poruszył drzémiącą od czasów Korteza myśl przebicia istmu amerykańskiego, nie przestała ta kwestya zaprzątać umysłów i projekta kanałów posypały się jak z rogu obfitości. Ludzie fachowi i dyletanci, niemający wyobrażenia o naturze kraju i trudnościach technicznych, jakie podobne przedsięwzięcie zwalczyć musi, występowali każdy z odrębnym projektem, a każdego był „wyborny“ i „obiecywał niesłychane korzyści.“ Toż i książę Napoleon Bonaparte, późniejszy cesarz Napoleon III, skracał sobie długie godziny więzienia w Hamm kreśleniem linii kanału, który przez rzekę S. Juan, jeziora Nikaragua i Managna, miał połączyć dwa oceany (1). Jeżeli nieznajomość natury kraju dotychczas nie dopuściła urzeczywistnienia idei kanału, to właśnie ta nieznajomość wytworzyła taką mnogość projektów, których obecnie istnieje nie mniéj, jak 27. Najśmielsze projekta można było ogłaszać bezkarnie, bo nikt nie mógł z dowodami w ręku zaprzeczyć twierdzeniom bezpodstawnym i wymarzonym kombinacyom. Te projekta miały zresztą swą dobrą stronę, wywołały badania, wyprawy exploracyjne i dzięki

(1) Canal of Nicaragua, or a projekt to connect the Pacific and Atlantic Oceans by means of a canal, by *N(apoléon) L(ouis) B(onaparte)*. London. 1846.

im, znamy dzisiaj lepiéj amerykański istmus i możemy ocenić dość dokładnie wartość rozmaitych projektów.

Warunki dobrego kanału, odpowiedniego potrzebom handlu powszechnego i żeglugi oceanicznéj, są następujące:

a. Dobre, bezpieczne, obszerne i głębokie porty na początku i na końcu kanału.

b. Kanał powinien być o ile możności bez szluz; zatém nie prędzéj należy podjąć projekt kanału z szluzami, dopóki najdokładniéj nie zostanie wykazane, że kanał w poziomie oceanów jest niemożliwy.

c. W kanale nie powinny pod żadnym warunkiem dać się uczuć silne prądy, które mogłyby powstać z powodu różnicy przypływu i odpływu w Atlantyku i w oceanie Spokojnym.

d. Kanał powinien na całéj swéj długości posiadać wody obfitość, i to przypływającéj mu z najbliższego sąsiedztwa, aby nigdy nie potrzebowały okręty czekać.

e. Powinien kanał być takich rozmiarów, aby statki największéj objętości wygodnie przepływać go mogły.

Kanał, któryby powyższym warunkom nie odpowiadał, jest zupełnie niepotrzebny i wybudowanie go byłoby stratą kapitału i pracy. Toż z miarą tych warunków w ręku przypatrzmy się kolejno wszystkim dotychczasowym projektom, które dla lepszego poglądu podzielimy na sześć grup podług krajów, przez które mają być przekopane, t. j. przez Tehuantepec, Honduras, Nicaragua, Costa-Rica, Panamę i Daryą.

Tehuantepec. Przesmyk ten 217 kilometrów szeroki najpiérwéj zwrócił na siebie uwagę, bo już Kortez myślał właśnie tamtędy, bezpośrednio u stóp wyżyny mexykańskiéj, poprowadzić kanał. I anarchiczna republika mexykańska podniosła ten projekt, i w r. 1842 uzyskał p. de Garay od ówczesnego prezydenta, jenerała Santa-Anna, koncesyą na zbudowanie kanału. Garay sprzedał tę koncesyą północnym Amerykanom, i od tego czasu rząd Stanów Zjednoczonych zajął się tą sprawą i kazał kilkakroć dokładnie zbadać przesmyk, ostatecznie w r. 1871 przez kap. Shufeldta. Nadinżynier kolei żelaznej na Tehuantepec p. Williams, a jeszcze więcej kap. Shufeldt, bardzo gorąco popierają myśl kanału przez Tehuantepec, pomimo wszelkich trudności, jakie pokonać przyjdzie. Shufeldt proponuje(1) zbudować kanał od Minatitlan nad rz. Coat-

---

[1]) *Robert W. Shufeldt:* Reports of explorations and surveys to ascertain the practicability of a Ship-Canal between the Atlantic and Pacific Ocean by the way of Tehuantepec. Washington. 1872.

sacoalcos aż do Salina Cruz nad Pacyfikiem. Będzie on 230 kilometrów długi, 7 metrów głęboki, w podstawie 19, a na powierzchni 48 metrów szeroki. Od Minatitlan ma się kanał posunąć skanalizowaném korytem rzeki Coatsacoalcos, którą opuści przy ujściu rzeki Sarapia i odtąd za pomocą 61 szluz piąć się będzie na wierzchołek wyżyny Tarifa, 8 kilometrów szerokiéj a 198 metrów nad poziom Pacyfiku wzniesionéj. Z téj wyżyny zstąpi kanał przez 63 szluz na krótkiéj linii 13 kilometrów do rzeki Chicapa i wzdłuż tejże, ale i tu jeszcze z pomocą 8 szluz, do morza. Każda szluza ma być 100 metrów długa, 13 szeroka a 7 głęboka. Rzeka Coatsacoalcos jest bardzo temu projektowi pomocną, bo na 56 kilometrów od ujścia jest spławną dla okrętów, które nie głębiéj jak 12′ zanurzają się w wodzie, a z łatwością możnaby ją zrobić jeszcze głębszą. Ale za to na wyżynie Tarifa nie ma wody, dla żywienia kanału i szluz.(1) Shufeldt proponuje 43 kilometry długi aquaedukt, któryby wody górnego Coatsacoalcos wprowadził na wyżynę, i oblicza, że dostarczy on najmniéj 50 metrów kubicznych na sekundę. Lecz cóż to za koszt, a w porze suchéj z pewnością nie dostarczy górny Coatsacoalcos tyle wody. I do tego 132 szluz, a podług innego projektu nawet 144—to nie dla handlu powszechnego droga, bo zbyt wielki koszt i strata czasu. Amerykanie północni szczególnie się zajmują przesmykiem Tehuantepec, bo tamtędy najbliższa droga, i to dla nich rozstrzygające. Sami oni o sobie powiadają: „Gdyby trzeba koniecznie iść do piekła, a dwie prowadziły do niego drogi, wybralibyśmy krótszą". W rzeczy saméj różnica pomiędzy drogą przez Panamę, a przez Tehuantepec jest bardzo znaczną. Z Nowego Orleanu do S. Francisco jest przez Panamę 5.675 mil morskich, przez Tehuantepec tylko 3.800. Z Nowego Yorku do S. Francisco przez Panamę 6.650 mil morskich, przez Tehuantepec tylko 5.251. Niezawodnie dla południowych stanów Ameryki północnéj byłby kanał tego rodzaju nadzwyczaj pożytecznym; Williams ma słuszność, gdy pisze (2), że kanał Tehuantepec byłby ujściem Mississipi do oceanu Spokojnego.

Lecz pomimo to wszystko przyjście do skutku tego kanału jest bardzo nieprawdopodobném. Nad brzegiem zatoki mexykańskiéj nie ma ani jednego dobrego portu, przytém wybrzeże ogromnie niezdrowe: nad Pacyfikiem leżą laguny nadbrzeżne, połączone z oceanem przez wązką cieśninę Boca Barra, w których piasek tworzy mielizny niebez-

(1) Explorateur. 1875. I. 128, 129.—Revue de deux Mondes. 1 Juin 1852. Emile Chevalier: Les Américains du Nord à l'Isthme de Panama.

(2) The Isthmus of Tehuantepec. New-York. 1852.

pieczne. Na zachód od tych lagun jest wygodna i dobra przystań La Ventosa, lecz niezasłonięta przed wiatrami południowo-zachodniemi, które wieją od Czerwca do Sierpnia. Zatém ani dobrych portów, ani na rozdziale wód potrzebnéj ilości wody, i szluz 132: wszystkie te okoliczności razem wzięte przedstawiają projekt kanału Tehuantepec, jako bardzo niekorzystny.

Jeszcze mniéj ma widoków inny projekt przecięcia całego przesmyku na wskroś w poziomie morza. Kosztowałoby to nie mniéj, jak 5 miliardów franków i trzy generacye ludzi musiałyby nad nim pracować. Te liczby są dostateczną krytyką całego tego projektu (1).

Honduras nie przedstawia nigdzie dogodnéj dla kanału drogi. Wprawdzie istnieje dawny projekt, aby z laguny nadbrzeżnéj Golfo Dulce, która stoi w połączeniu z zatoką Amatique, poprowadzić kanał wzdłuż rzeki Polojoc czyli Cajabon, ale daléj wznosi się Kordyliera i nie można było wyszukać żadnéj rzeki, któraby można ułatwić zejście na brzegi Pacyfiku. Za to w Honduras znajdujemy wklęsłość, którą już dawno Squier wskazał, jako wyborną linią dla kolei żelaznéj, to jest z Puerto Caballos doliną rzeki Ulua, Humaja i Goascoran do zatoki Fonseca. Kolej ta jest obecnie rozpoczęta.

Nicaragua ze swemi dwoma wielkiemi jeziorami i ich odpływem rz. San Juan musiała po wszystkie czasy przedstawiać się jako najdogodniejszy pasaż pomiędzy oceanami. To téż w tę stronę najczęściéj zwracały się myśli twórców projektów i Sir Belcher, ks. Napoleon, Emile Chevalier, Thomé de Gamond, Bailey, Orville Childs, Verveer, Belly, Blanchet i inni przez środek tego wielkiego jeziora kréślili linie swych kanałów. Aż dziewięć rozmaitych linij spiéra się tutaj z sobą o piérwszeństwo.

Piérwsza proponuje skanalizować za pomocą szluz na całéj linii rzekę S. Juan, następnie przez jezioro Nicaragua do rzeczki Panaloja, nią za pomocą szluz wspiąć się do wyżéj leżącego jeziora Managna, które leży około 46 metrów nad poziomem morza, a z niego łożyskiem skanalizowanéj rzeczki Estew Real za pomocą szeregu szluz spuścić się do zatoki Fonseca. Dwa inne projekta różnią się od piérwszego tylko tém, że jezioro Managna chcą połączyć bezpośrednio z oceanem Spokojnym, jeden z wybornym portem Realejo, drugi z ujściem rzeczki Tamarinda. W piérwszych dwóch razach, cała długość kanału wynosiłaby 500 kilometrów, w trzecim tylko 400 kilometrów. Niekorzystną dla tych projektów jest miałkość jeziora Managna, które pra-

(1) Explorateur. 1876. Vol. III. 312. Droulllet: Exploration de l'Isthme Interocéanique.

wdopodobnie nie zdoła dostarczyć masy wody potrzebnéj dla kanału do Pacyfiku uchodzącego.

Więc umyślono pominąć Managnę i z jeziora Nicaragua przez około 400 stóp wyniesiony próg Rivas dostać się do oceanu, do Porto Brito. Rzeczki Lajas i Grande miały ułatwić przeprawę przez wzgórza. Lecz i ten projekt, nawiasem powiedziawszy, jeden z najdawniejszych przez Orvilla Childsa nakréślony, chroma na trudność skanalizowania rzeki San Juan. Długość téj rzeki, katarakty, rodzaj ziemi na brzegach, która składa się w części z mułu i humusu, który poruszony zabójcze miazmy będzie rozszérzał i uczyni niepodobną pracę robotników, stanowią trudności, które raczéj obejść, aniżeli zwalczyć należy. Dla tego Thomé de Gamond proponował, aby nie kanalizować rzeki S. Juan, lecz za pomocą szeregu tam zatopić całą dolinę téj rzeki i utworzyć tym sposobem szereg jezior leżących jedno nad drugiém, w głębinach których zniknęłyby katarakty rzeki. Projekt Gamond'a różnił się i tém od projektu Childse'a, że na stoku oceanu Spokojnego omijał rzeczki Lajas i Grande, które przedłużały drogę, lecz wycinał w prostéj linii w skale 20 kilometrów długi kanał, żywiony wodą z jeziora Nicaragna (1).

Blanchet rozwinął myśl Gamonda jeszcze daléj. Proponuje on, aby przez olbrzymie tamy, zbudowane przy ujściu rzeki S. Juan i rzeczki Grande, rozprzestrzenić poziom jeziora Nicaragua o ile możności aż do brzegów Atlantyku i Pacyfiku Tym sposobem nie byłoby potrzeba ani jednéj szluzy, tylko na każdéj stronie kanału za pomocą wind hydraulicznych, jakie są w użyciu w Hawre, gdzie je zowią „bacs flottants", i w Hollandyi, gdzie się nazywają „chameaux de la mer", będzie się windowało okręty 37 metrów w górę, albo tyleż spuszczało na dół (2). Przyznać należy, że pomysł śmiały i świetny: szluzy, które są dla wielkiej i pospiesznéj żeglugi przeszkodą stanowczą, w projekcie Blanchet'a szczęśliwie usunięte, ale pytanie, czy takie zatamowanie rzeki S. Juan jest rzeczywiście możliwém, i dla tego należy odczekać, dopóki dolina téj rzeki, jako téż uchodzące do niéj poprzeczne doliny nie zostaną dokładnie zbadane. W każdym razie i ten projekt musiałby ustąpić piérwszeństwa kanałowi, któryby na równi z poziomem morza zbudować można.

Trzy inne projekta Nicaraguy dotyczące różnią się od poprzednich tylko tém, że coraz to inne ujście na stronie oceanu Spokojnego

(1) Explorateur. 1875. II. 270—72. 655. 1876. III. 312.

(2) Explorateur. 1875. Vol. II. 655. 1876. Vol. III. 364. Na posiedzeniu kongresu geograficznego 29 Sierpnia 1875 rozwijał Blanchet obszernie swą ideę.

wytykają kanałowi. Jeden wiedzie kanał rzeczką Lajas aż do wysokości 75 metrów, a potém bardzo nagłym spadkiem do portu S. Juan del Sur. Drugi wyprowadza kanał z jeziora rzeczką Sapoa, gdzie przesmyk oddzielający jezioro od oceanu jest tylko 22 kilometry szeroki a 258 stóp wysoki, i bardzo nagłym spadkiem do zatoki Sulinas. Trzeci zwraca kanał z jeziora ku południowi przez rzeki Nino i Tempisque do zatoki Nicoya. Wszystkie te trzy projekta znajdą przeszkodę w braku wody na wysokości Kordyliery: małe rzeczki, jak Nino, albo Tempisque, które wysychają latem, zupełnie na nic się nie przydadzą.

Costa-Rica. Nawet najeżona wulkanami ogromna wyżyna Costa-Rici nie odstraszyła śmiałych inżynierów, którzy i tam szukali drogi dla kanału. Jeden projekt prowadzi kanał rzeką S. Juan, potém poboczną jéj rzeką S. Carlos i rio Frio do zatoki Nicoya. Rzeczywiście istnieje w tém miejscu wklęsłość w wyżynie, jak to zakonstatował Seebach (1), który odkrył wygodne przejście z doliny rzeki Tempisque do doliny rzeki Frio i S. Carlos, ale i ta wklęsłość jest jeszcze 500′ nad poziom morza wyniesioną, a nadto jest wielce wątpliwém, czy te małe rzeczki dostarczą potrzebną ilość wody. Jeszcze śmielszy jest drugi projekt poprowadzenia kanału z Golfo Dulce do zatoki Chiriqui, na wskroś wyżyny, tutaj w najniższém miejscu 500 metrów, a w przecięciu 1000 metrów wysokiéj a 75 kilometrów szerokiéj. Chyba żeby tunel olbrzymich rozmiarów wybić! Ale pewno słusznie powiada o tym projekcie Maurycy Wagner (2): „Przed tunelem tak długim i dostatecznie wysokim, szerokim i głębokim dla najokazalszych żaglowców objętości 1500 do 2000 beczek ustraszy się pewno nie mniéj fantazya najśmielszego inżyniera, jak i duch przedsiębierczy przed olbrzymiemi kosztami“.

Panama jest najwęższém miejscem całego amerykańskiego istmu, bo od zatoki San Blas na stronie północnéj, do ujścia Rio Chepo na stronie południowéj, nie jest daléj jak 56 kilometrów. Pomimo to kanał zbudowany w tych okolicach napotkałby większe trudności, jak gdzieindziéj. Nie ma, ani z jednéj, ani z drugiéj strony dobrych portów, morze jest tak miałkie, mianowicie na stronie oceanu Spokojnego, że potrzebaby przynajmniéj 7½ kilometrów z każdéj strony i w morze jeszcze kanał prowadzić. Wyniesienie przytém jest dość znaczne, bo najwyższy punkt na linii kolei żelaznéj, która od r. 1855 jest

(1) *Seebach:* Reise durch Guanacasto. Peterm. Mitll. 1865.
(2) *Wagner:* Naturwissenschaftliche Reisen im tropischen Amerika. Stuttgart. 1870.

w ruchu, jest 287′ wzniesiony nad poziom morza, a na każdéj innéj linii jest grzbiet przesmyku jeszcze wyższy. Na rozdziale wodnym nie znajdzie się w porze suchéj dostateczna ilość wody, i panujące czasami zacisza wiatrów byłyby dla okrętów żaglowych, a na te przedewszystkiém liczyć wypada, bardzo niekorzystne. Nakoniec klimat panamski, mianowicie na stoku atlantyckim, jest prawdziwie zabójczym. W czasie budowy kolei żelaznéj, miała kompania przedsiębierców jak największe staranie o zdrowie swych robotników. Sprowadzano mięso solone z Ameryki, bo świéże psuło się natychmiast, dawano ryż, kartofle, chléb z kukurydzy, kawę, herbatę, byli lekarze, szpitale, a pomimo to—ludzie ginęli dziesiątkami i trzeba było co miesiąc płacę podwyższać, żeby pomimo zabójczéj febry mózgowej i dysenteryi znaleźć robotników (1).

Cztery istnieją projekta przebicia Panamy. Wysłany jeszcze przez rząd Ludwika Filipa inżynier Gazella zakreślił linię od ujścia rzeki Chagres, korytem téj rzeki i jéj pobocznéj Trinidad, któréj źródła sąsiadują z źródłami rzeki Caimito, uchodzącéj do oceanu Spokojnego. Najwyższy punkt, który musiał kanał przekroczyć, leżał pomiędzy Cerro Ahoyagua i Cerro de Paja i wznosił się 140 metrów. Gazella nie wiedział wcale, że 15 kilometrów ku wschodowi leży o połowę niższa wklęsłość, gdzie dzisiaj bieży kolej. Proponował on 35 szluz i tunel 5—6 kilometrów długi. Lecz wody dla tych szluz trzebaby wprowadzić aquaeduktem z rzeki Chagres, bo inne wysychają latem (2).

W kilka lat póżniéj Wagner, którego już tyle razy wspominaliśmy, po zbadaniu sumiennem przesmyku, oświadczył się za linią zupełnie równoległą od kolei żelaznéj. Zgadzał się on pod tym względem zupełnie z pułkownikiem Tottenem, który zbudował kolej. Ze strony Atlantyckiéj od Limonbai wznosi się teren bardzo powoli i też do stacyi Gorgona będzie można użyć łożyska rzeki Chagres, potém szluzami, albo tunelem przekroczyć grzbiet tylko 287′ nad poziom oceanu wzniesiony i przez Rio Grande zejść do Panamy. Przestrzeń, którą szluzami, albo tunelem pokonać przyjdzie, nie jest dłuższą jak 15 kilometrów, a gdyby przekop uskutecznić aż do wysokości 46 metrów, to skróci się jeszcze ta odległość do 10 kilometrów. Materyał, z którego się składa tamujące drogę kanału wzgórze, nie przedstawi zby-

(1) E. Chevalier. Revue d. d. Mondes. 1 Juin 1852.

(2) Explorateur. II. 137.—*Lloyd.*—*Laugel:* Les nouvelles communications interocéaniques. Revue d. d. Mondes. 15 Janv. 1857.

tnich trudności, bo jest przeważnie złożony z tufów i konglomeratów, mających jednakże dosyć spoistości, aby i tunel przez nie poprowadzić można. Wagner oświadcza stanowczo, że kanał jest możliwy i że lepsze przedstawia warunki, aniżeli linia Nicaraguy (1).

W r. 1874 wysłał rząd Stanów Zjednoczonych Kap. Lull'a, celem zbadania przesmyku. Lull poprowadził linią tą samą drogą co Wagner, tylko na stoku oceanu Spokojnego zwrócił ją od Panamy do zatoki Vaca del monte. Odradza także kapitan amerykański od poprowadzenia kanału korytem rzeki Chagres, ponieważ w porze deszczowéj jest dopływ wody bardzo nierówny w téj rzece i byłoby wielce trudném go uregulować (2). Cały szereg szluz i brak dobrych portów jest ujemną stroną tego projektu, jak i poprzednich.

Istnieje także projekt, aby przebić przesmyk Panamy w najwyższém miejscu, pomiędzy zatoką San Blas i ujściem rzeki Chepo. Ale tu najgorsze porty z obu stron i próg górski wznosi się w najwyższém miejscu 470 metrów, na jego przebicie potrzeba tunelu 95 kilometrów długiego. Projekt ten zatém nie zasługuje na uwagę.

Darya. Przychodzimy nakoniec do najwięcéj ku południowi wysuniętéj części istmu amerykańskiego, do przesmyku daryjskiego, gdzie dwie znaczne rzeki, Atrato do zatoki Uruba i Tuyra do zatoki San Miguel wchodząca, zdają się ułatwiać wykopanie kanału. To téż Humboldt tam zalecał szukać najdogodniejszéj dla kanału drogi, a obecnie stoi znowu przesmyk daryjski na porządku dziennym. Kongresy geograficzne międzynarodowe w Antwerpii (w r. 1871) i w Paryżu (w r. 1875) zajmowały się bardzo gorliwie tą kwestyą, a i w czasie gdy to piszemy przebywa nad brzegami Atrato komisya międzynarodowa, celem przekonania się o możliwości poprowadzenia tamtędy kanału. Odpowiednio temu żywemu zajęciu, jakie obudził przesmyk daryjski, powstało aż 8 projektów zbudowania przezeń kanału.

Już w r. 1850 proponował Lionel Gisborne poprowadzić kanał bez szluz z zatoki Kaledońskiej do zatoki San Miguel nad Pacyfikiem. Inżynier amerykański Velley poparł ten projekt wykazaniem, że na wybrzeżach obydwóch oceanów znajdą się wygodne i głębokie porty. Lecz jak Gisborne przez Kordylierę 960′ na téj linii wysoką chce poprowadzić kanał bez szluz? Prawdopodobnie nie wiedział, że tak olbrzymia zapora znajduje się w tém miejscu.

Za to więcéj ku południowi ma być przerwa w Kordylierze i tam

(1) Wagner: Skizze des Isthmus von Panama. Peter. Esq. 1861.
(2) Explorateur. 1875. I. 379.

możliwe kanały bez szluz. Na kongresie geograficznym w Paryżu zostały przedłożone trzy takie projekta. P. Lucien de Puydt z zatoki San Miguel dolinami rzek Tuyra, Puero i Turgaudo do Puerto Escoudido del Sur; linia nakreślona przez p. Bionne różni się od poprzedniéj tylko we wschodniéj swéj części, bo kończy się więcéj na południe przy ujściu rzeki Tarena; p. Antoine de Gogorza prowadzi kanał rzeką Tuyra, doliną Aequiacua, przez błota Cacarica do Atrato. Kombinacye tych panów opiérają się na przypuszczeniu, a jak pan Gogorza twierdzi, na fakcie, że istnieje w tém miejscu przerwa w Kordylierze. Lecz przeciw temu twierdzeniu stoi równie apodyktyczne twierdzenie kap. Selfridge, który w r. 1870 zbadał przesmyk daryjski, że taka przerwa nie istnieje. Interesującą tę kwestyą rozbierzemy niżéj obszernie, tymczasem dokończymy przeglądu innych projektów, z których jeszcze tylko dwa wspomnimy: inżyniera Kennish'a i kap. Selfridge'a.

Kennish radzi użyć spokojnéj i głębokiéj rzeki Atrato, a potém jéj pobocznéj Truando, za pomocą których będzie można zbliżyć się na kilkanaście kilometrów do Pacyfiku, od którego oddziela rzekę Truando 506′ wysoka Kordyliera, przez którą należy wybić tunel. Tunel ten nie potrzebuje być dłuższym, jak niecałe 7 kilometrów, i wynagrodzi się tém, że nie będzie potrzeba ani jednéj szluzy (1).

Selfridge idzie korytem rzeki Atrato, która wszędzie ma 9 metrów głębokości, aż do ujścia rzeki Napipi, odkąd już tylko 43 kilometry do oceanu, oddzielonego 200 metrów wysoką Kordylierą. Odtąd posunie się kanał za pomocą 10 szluz do 37 metrów w górę, na téj wysokości zostanie przez skałę przebity 4800 metrów długi tunel, i po stronie oceanu Spokojnego zejdzie kanał znowu 10 szluzami do zatoki Cupica. Gdyby tunel przedłużyć do 6 kilometrów, niepotrzeba by ani jednéj szluzy, i Atrato płynąłby do oceanu Spokojnego (2).

Wszystkie te projekta kanałów z szluzami i tunelami nie mogą wytrzymać porównania z projektem kanału w poziomie morza. Nad projektami pp. de Puydt i Bionne nie będziemy się tutaj daléj rozwodzili, ponieważ oparte są one na bardzo niedokładnych informacyach. Inaczéj jest z projektem p. Gogorzy, który prawie całą przez siebie wytkniętą linią przez inżynierów zbadać kazał, a w obec zaprzeczenia kap. Selfridge, że nie ma depresyi pomiędzy Kordylierą prowin-

---

(1) *Wagner* etc.

(2) *Selfridge*: Reports and surveys to ascertain the practicability of a Ship canal by the way of the Istmus of Darien. Washington. 1874.

cyi Choco a Kordylierą panamską, nie wahał się kapitanowi amerykańskiemu rozmyślnego zarzucić kłamstwa w interesie kolei panamskiéj, która naturalnie jest nieprzychylna zbudowaniu jakiegobądź kanału. P. Gogorzę naprowadziły na proponowaną przez niego linią historyczne studya w archiwach hiszpańskich. Wyczytał on tam, że w r. 1680, 400 flibustyerów na 18 wielkich łodziach, zbrojno i z całym pakunkiem, przedostało się z błot Atrato do rzeki Tuyra na brzegi oceanu Spokojnego, celem zrabowania fortu Santa Maria, gdzie górnicy przechowywali złoto. Musiała więc wtedy jeszcze istnieć pomiędzy dwoma oceanami przynajmniéj taka komunikacya, że flibustyerzy swe łodzie przeciągnąć mogli po błotach. Zgadza się ta opowieść z teoryą Lyella, podług którego stopniowe wzniesienie się tych okolic dokonało się dopiéro po odkryciu Ameryki. Podług Gogorzy, Kordyliera panamska opada nagle pod 8⁰ 7′ szerokości północnéj, a zupełnie ustaje przy błotach Cacarica, sąsiadujących z rzeką Atrato. Andy zachodnie zaś, ciągnące się nad wybrzeżem Pacyfiku, kończą się przy przylądku Garachine, na południe zatoki San Miguel (1). Tam było stosunkowo niedawno jeszcze połączenie oceanów, lecz piaszczyste i szlamiste osady, ziemia, naniesiona przez Atrato i poboczne rzeki Tuyra, zamuliły powoli cieśninę. Potężna wegetacya przyspieszyła utworzenie pagórków i nieznacznego progu, rozdzielającego obecnie rzekę Paya od błot Cacarica.

Wyprawa exploracyjna, wysłana w Styczniu i Lutym r. 1866 przez p. Gogorzę pod kierownictwem inżyniera Lacharme, potwierdziła najzupełniej to przypuszczenie. P. Lacharme posuwał się brzegami rzeki Tuyra, potém jéj pobocznéj Paya, którą znalazł oddzieloną od błot Cacarica, łączących się z Atrato niziutkiém płaskowzgórzem, 4 mile ang. szerokiém, które bardzo łatwo przekopać będzie można (2). Wprawdzie kap. Selfridge, który badał te okolice w r. 1872, zaprzeczył temu i twierdzi on, że Kordyliera jest tam nieprzerwaną, lecz doczekał on się zaprzeczenia ze strony inżyniera wyprawy exploracyjnéj amerykańskiéj, d-ra Maaka, który w raporcie urzędowym przyznaje, że Kordyliera atlantycka jest starszą od Kordyliery nad Pacyfikiem i że w łożysku rzeki Tuyra znajdują się dowody paleontologiczne, że w okresie trzeciorzędowym było tam morze (3).

Kto ma słuszność, czy kap. Selfridge, czy p. Gogorza, dowiémy się prawdopodobnie w niedalekiéj przyszłości od międzynarodowéj

(1) L'Explorateur. 1875. Vol. I. 49. Projet de Percement de l'isthme de Darien par M. Antoine de Gogorza.

(2) Canal interocéanique sans écluses ni tunnels. Paris. 1876.

(3) Explorateur. 1875. Vol. II. 49.

komisyi, która z inżynierem Celler na czele bada właśnie teraz przesmyk daryjski.

4.

Jeżeli wszystkie powyżej wyłożone projekta rozważymy, to z łatwością przyjdziemy do przekonania, że jedynie przez Nicaragua, albo przez przesmyk daryjski, jest kanał możliwy. Wszystkie kanały szluzowe są dla celów żeglugi oceanicznéj zupełnie nieodpowiednie. Zdanie to nie nasze, ale takiego znawcy, jak Ferdynanda Lessepsa, który, tak w prelekcyi mianéj w teatrze w Cluny w r. 1870, jak i na kongresie geograficznym w Paryżu, jasno wykazał niepraktyczność takich kanałów. Albo będzie kanał bez szluz, albo nie będzie żadnego, mówił Lesseps. Lecz i co do Nicaraguy i przesmyku daryjskiego, niemożna dzisiaj jeszcze wyrzec ostatniego słowa. Czytelnicy mogli się przekonać powyżéj, że i tam kombinacye kanałowe są po części na przypuszczeniach oparte, że i tu najpiérwszą potrzebą jest dokładne poznanie gruntu. Przekonanie to było rezultatem kilkodniowéj i żarliwéj dyskusyi na kongresie paryzkim, i już tam powstała myśl utworzenia międzynarodowéj, bezparcyalnej komisyi, któraby miała za zadanie zbadać gruntownie istmus amerykański. Myśl ta została urzeczywistnioną w kilka miesięcy późniéj, gdy 24 Marca r. 1876 ukonstytuowała się „sekcya francuzka międzynarodowego komitetu dla zbadania istmu amerykańskiego", pod przewodnictwem Lessepsa. Sekcya ta pozyskała sobie współudział innych narodów,—nawet japońskiego komisarza nie braknie, i już w Listopadzie ubiegłego roku była w stanie wysłać na miejsce wyprawę exploracyjną.

Tymczasem i z innéj strony sprawa kanału znacznie posunęła się naprzód. 26 Maja r. 1876, upoważnił kongres Zjednoczonych Stanów Kolumbii rząd do zawarcia układu z p. Gogorzą o budowę kanału przez przesmyk daryjski, a dwa dni późniéj został ten układ w Bogota podpisany. Podług tego aktu, są koncesyonaryuszami pp. A. de Gogorza i generał Stefan Türr, którzy złożyli kaucyą 150.000 dolarów i zobowiązali się w przeciągu 6 miesięcy utworzyć korpus inżynierów dla dokładnego zbadania przesmyku. w przeciągu dalszych 6 miesięcy ukończyć te badania, a po dalszych dwóch latach ma już być kanał skończony i oddany do publicznego użytku. Niestety, niepiérwszy to kontrakt tego tenoru zawiéra rząd Kolumbii, a kanału dotąd nie ma! Miéjmy nadzieję, że tym razem próba się powiedzie.

Przed 30 laty pisał książę Napoleon: „Konstantynopol stał się, dzięki swemu centralnemu położeniu, królową starego świata i urósł na emporium handlu Europy, Azyi i Afryki. W nowym świecie znaj-

duje się Nicaragua w tak samo korzystném położeniu. Jak miasto bizantyjskich cesarzy jest punktem środkowym wschodniéj, tak Leon przy jeziorze Nicaragua stać się powinien centrem zachodniéj półkuli. Leży to miasto, tak samo jak Stambuł, pomiędzy dwoma naturalnemi portami, w których mogą zarzucać kotwicę ogromne floty, bezpieczne przed wszelkim napadem. Nicaragua może i musi stać się tém, czém Konstantynopol, emporium powszechnego handlu.“

Oczywiście że to marzenia, bo nie samo położenie geograficzne potrafi podnieść do powszechnodziejowego znaczenia każdy świata zakątek. Konstantynopol przestał być emporium handlowém i cywilizacyjném dla starego świata, od czasu jak Osmanli zatknęli półksiężyc na Hagia Sophia, a kreolów i Indyan środkowej Ameryki żadna siła nie potrafi przerobić na pracowity, energiczny i inteligentny naród. Rasa nie mniéj potężnym jest czynnikiem w dziejach, jak położenie geograficzne i klimat. Lecz z drugiéj strony zaprzeczyć nie można, że położenie geograficzne istmu amerykańskiego nie ma równego na świecie. Spojrzyjmy tylko na mapę Berghausa, a na piérwszy rzut oka zobaczymy, że stare greckie marzenia o środkowym punkcie ziem do żadnéj okolicy świata tak nie przypadają, jak do istmu amerykańskiego. W pośrodku wielkiego kontynentu, sięgającego nieledwie obydwóch biegunów, w pośrodku dwóch największych oceanów, które moszczą drogę do krajów, które były i są piastunami cywilizacyi, do zachodniéj Europy i wschodniéj Azyi, cieszy się istmus rzeczywiście położeniem pod względem handlowym nieporównaném, ale potrzebaby innych ludzi, jak dzisiejsi jego mieszkańcy, aby umieli wyzyskać to położenie.

St. Warnka.

SPINOZA

I JEGO NAUKA

NA TLE OGÓLNEGO ROZWOJU MYŚLI FILOZOFICZNÉJ.

Virtutem incolumem odimus,
Sublatam ex oculis quaerimus invidi.
(Horatius).

IV.

NAUKA SPINOZY.

Najważniejsze wskazówki co do zasadniczych pojęć Spinozy o źródłach wiedzy i metodzie zawierają się w jego dziele „O poprawie rozumu." W ogólności „poprawą rozumu" nazywa Spinoza usunięcie przesądów i wszelkich przeszkód do szczęścia. Doskonała wiedza jest, jak to jeszcze poniżéj zobaczymy, zarazem i doskonałém szczęściem. Do nabycia wiedzy potrzebną jest znajomość *sposobów* nabywania wiedzy i tego, co zwykle nazywamy *metodą*. *Sposobów* nabywania wiedzy Spinoza rachuje cztéry: 1) ze słyszenia albo z innych oznak powierzchownych (np. wiém dzień swego urodzenia; uczniowie rozwiązują zadania matematyczne, na mocy wskazówek nauczyciela, i t. p.) 2) w skutek nieokreślonego, często przypadkowego doświadczenia (np. wiém, że umrę; zadania matematyczne rozwiązują często ludzie, którzy w szkołach nie byli i t. p.); 3) w skutek spostrzeżeń nad jedną rzeczą otrzymujemy ideę innéj rzeczy, jak np., spostrzegając objawy cielesne, wnioskuję o zależności ich od objawów duchowych, ale jaką jest ta zależność, nie wiém. Jest to sposób *analityczny*; 4) z saméj idei rzeczy wyprowadzić drogą rozumowania (a priori) wszelkie możliwe jéj własności, jak to czyni np. geometrya z trójkątem. Jest to sposób *syntetyczny* i, według Spinozy, jedyny prawidłowy. Co do *metody*, Spinoza nie przywiązuje do niéj tyle wagi, co Kartezyusz; wykazuje nawet, że niepodobieństwem jest ustalić prawdziwą metodę, gdyż

co ręczyć będzie za jéj prawdziwość? Zapewne druga, wyższa metoda, a o téj—jeszcze wyższa i t. d. bez końca. Nadto, metoda ściśle jest połączona z samém dochodzeniem prawdy, jest nieodłączną od saméj nauki; prawda jest sama dla siebie wystarczającém kryteryum i innego kryteryum nie potrzebuje: dość będzie, jeśli osiągniemy ideę rzeczy czyli wiedzę, a idea téj wiedzy, czyli wiedza o wiedzy, jest rzeczą zbyteczną. Tu występuje Spinoza, choć niedość jasno, przeciwko kartezyuszowemu *cogito, ergo sum* (poniżéj obaczymy, że indywidualne istnienie człowieka uważa za złudzenie); wszelako, jak się zdaje, uznaje owe 4 zasadnicze punkta metody Kartezyusza, które przytoczyliśmy wyżéj. Nie tworząc więc dokładnego szematu metody, Spinoza podaje tylko ważniejsze luźne wskazówki, któremi wypada kierować się przy dochodzeniu prawdy. Wskazówki te wyglądają na aksyomata, które Spinoza zgóry każe przyjmować; są zaś następujące. 1) Stan myśli *(ordo idearum)* i stan rzeczy *(ordo rerum)* jest jeden, to jest wszystko to, co możemy pomyśléć prawidłowo, rzeczywiście istnieje, i naodwrót, to wszystko, co istnieje, może być pomyślaném. 2) Im doskonalszą jest idea, z któréj czerpiemy wiedzę, tém doskonalszą jest sama wiedza. 3) Duch ludzki posiada idee wrodzone i zdolność zdobycia wiedzy; w przeciwnym razie, sceptycy, jak to już Sokrates wykazywał sofistom, powinniby zwątpić także i o własném zwątpieniu. 4) Wymysły, błędy i nieświadomość należą do sfery *możliwości* i stanowią dziedzinę wyobraźni. Za możliwe uważamy zwykle to, czego przyczyny nie znamy; skoro tylko zaś poznamy przyczynę, wnet wszystko staje się albo koniecznem, albo niemożliwém. 5) Idee czyli pojęcia przedewszystkiém powinny być *jasne*; ta wymagana jasność jest u Spinozy już czémś więcéj, niż u Kartezyusza: u tego ostatniego jasność jest intuicyjną oczywistością, u Spinozy zaś jest to *oczywistość związku* pomiędzy podmiotem i orzeczeniem, *tożsamość* matematyczna, oparta na prawie logicznem tożsamości (A jest A).

Przy pomocy tych prawideł zasadniczych, Spinoza wyprowadza wszystkie twierdzenia swojéj metafizyki, do któréj wyłuszczenia teraz przystąpimy. Znajduje się ona w swoim całokształcie w *Etyce*, wyłuszczona „sposobem geometrycznym“ *(more geometrico)* w postaci twierdzeń, definicyj i dowodów logicznych.

Zabierając się do określenia pojęcia prawdziwéj istności czyli substancyi, Spinoza we wstępie stawia jeszcze następujące dwa aksyomata: 1) wszystko, co istnieje, może istnieć albo samo w sobie, albo w czémś inném; 2) to, co istnieje samo przez się, daje się téż i pojąć samo przez się, to jest do pojęcia istności niepo-

trzeba żadnego innego pojęcia. Ta ostatnia zasada wynika już z wymienionéj powyżéj zasady o tożsamości bytu *(ordo rerum)* i myśli *(ordo idearum)*, a także i z uznania za niemające prawdziwego bytu tego, co zależy od jakichkolwiek przyczyn. To, co istnieje bez przyczyny, to jest bezwarunkowo, nazywa Spinoza *substancyą*, a reszta—to wszystko tylko zwodnicze zjawiska czyli postacie (modi). Następuje szereg twierdzeń, określających substancyą; z tych przytaczamy ważniejsze. 1) Substancya czyli prawdziwa istność jest *wieczna* i *nieśmiertelna*, to jest nie może mieć początku, ani końca — rodzić się, ani powstawać, ani zniknąć jakimkolwiek sposobem, gdyż w takim razie pojęcie substancyi potrzebowałoby innego pojęcia, co jest sprzeczne z powyższym aksyomatem. 2) Treścią substancyi jest *wszystko:* treść tę nazywamy *atrybutami* czyli własnościami; atrybutów musi być nieskończone mnóstwo; poznać możemy tylko atrybuta, saméj zaś substancyi nie znamy, a to wszystko dla tego, że w prawdziwéj istności czyli substancyi nie może być żadnych różnic własności od istoty, żadnych określeń, które byłyby między sobą odmienne lub sprzeczne (wszelkie określenie jest przeczeniem, *omnis determinatio est negatio*), oraz dla tego, że, gdy mówimy o prawdziwym *bycie*, tém samém mówimy już o czémś bezwarunkowém—a więc i treść tego pojęcia musi być bezwarunkową—jest to Bóg, jedno i wszystko. 3) Substancya jest *prostą*, pomimo nieskończonéj pozornéj rozmaitości, i *niepodzielną*, gdyż cząstki mogłyby być albo podobne, albo niepodobne: w piérwszym wypadku, otrzymalibyśmy zawsze jedno pojęcie, gdyż pojęcia o jednakowéj treści zlewają się w jedno; w drugim razie, cząstki niepodobne byłyby negacyą, zaprzeczeniem substancyi—dawałyby pojęcie czegoś innego, co jest niemożliwém. 4) Substancya może być tylko *jedna*, bo gdyby istniało kilka substancyj, mogłyby one być jednakowe lub odmienne: w piérwszym razie, jednakowe pojęcia zawsze w końcu zlałyby się w jedno; w drugim zaś razie, musiałaby istnieć zależność i oddziaływanie substancyi jednéj na drugą, a więc znikłaby bezwarunkowość i bezprzyczynowość substancyi, to jest takie substancye nie mogłyby być substancyami. Cztery te twierdzenia są kamieniem węgielnym metafizyki Spinozy. Wynika więc z nich, że *w rzeczywistości* istnieje tylko jedna substancya—Bóg, a cały świat *zmysłowy* jest to tylko ułudna postać (modus) téj jedynéj substancyi. Wszystko więc w świecie istnieje tylko w Bogu i przez Boga: samodzielnych istot i rzeczy z bytem indywidualnym niemasz. Jak tylko mówimy o czémś, co *jest*, samo to orzeczenie już sięga po za granice świata zmysłowego i stosuje się tylko do sfery nadzmysłowego, bezwarunkowego bytu. Bóg czyli

bezwarunkowa substancya, uważana, jak mówi Spinoza, *sub specie aeternitatis* (z punktu widzenia wieczności), czyli sama w sobie, nie zna różnic atrybutów: *w Bogu nie masz ani rozciągłości ani myślenia*, jako własności odrębnych—są w nim raczéj wszystkie atrybuta w jednym; *nie ma w nim téż postaci* (modi) czyli *zjawisk* (chęci, uczuć, namiętności—postaci myślenia; koloru, ruchu, kształtu i. t. d. postaci rozciągłości), lecz jest jeden równy i spokojny, zaokrąglony i doskonały byt bez różnic, bez zmian i cząstek. Atrybuta, z których dwa główne uznaje Spinoza z Kartezyuszem (rozciągłość i myślenie) i nieskończone postaci obojga dostrzegamy tylko w skutek naszéj ludzkiéj ułomności, w skutek naszego krótkowidzenia. *Same w sobie* nie istnieją ani myślenie, ani rozciągłość, równie jak i *my sami*, myślący i obserwujący, nie posiadamy rzeczywistego bytu indywidualnego, gdyż w rzeczywistości istnieje tylko *jedno*, które zarazem jest wszystkiém—jedyna substancya, Bóg (3).

Postaci czyli zjawiska zmysłowe (modi) Spinoza nazywa także modyfikacyami, zmianami stanu substancyi, rozmaitemi stanami pobudzenia czyli natężenia atrybutów substancyi (4): wyrażenie, oczywiście, nieścisłe, gdyż substancya modyfikacyom i zmianom stanu podlegać nie może, oznaczające tylko, że zjawiska, jako takie, nie mają prawdziwego bytu. Wszelako wypada określić stosunek tego nieprzystępnego, jedynego bytu do widomego świata, według którego, przy pomocy zmysłów naszych, my, krótkowidzący ludzie, kierujemy nasze myśli i poglądy—potrzeba wynaleść most pomiędzy jedyną substancyą i światem nieskończonéj ilości zjawisk (modi). Stosunek ten przedstawia Spinoza w długim szeregu dalszych twierdzeń, stanowiących filozofią przyrody, z których ważniejsze wyniki są następujące:

1) Ponieważ to, co zawiéra się w przyczynie, musi zawiérać się także i w skutku, a to, co wynika z idei rzeczy, wypływa także i z natury téj rzeczy, zatém, im więcéj jest w idei treści, tém więcéj musi być wniosków, czyli z substancyi boskiéj, jako nieskończonéj i bezwarunkowéj, musi wypływać, tak w idei, jak i w rzeczywistości, wszystko, co jest nieskończone i bezwarunkowe. Bóg jest jedyną przyczyną wszech rzeczy, jako istność jedynie istniejąca i przytém wolna od wszelkich bodźców, tak zewnętrznych, jak wewnętrznych. Z tych zasad wynika, że Bóg stworzył wszystko,

(3) Spinoza Ethik wyd. Kirchmanna. I. str. 11—24.
(4) ibid. Tw. 25 (str. 32).

co tylko jest wynikiem jego bezwarunkowéj i nieskończonéj natury, to jest istnieje to wszystko, co jest możliwém. Nadto, wynika ztąd także, iż Bóg stworzył świat z konieczności, nie dla tego, że zechciał, lecz dla tego, że nie mógł nie stworzyć. Oczywiście, mowa tu o stworzeniu *świata zjawisk*, to jest o nadaniu przez Boga téj postaci, dla ludzkich przynajmniéj oczu, swojéj własnéj substancyi, gdyż o stworzeniu téj ostatniéj, jak powiedziano wyżéj, nie może być mowy.

2) To, co wynika z nieskończonéj i bezwarunkowéj substancyi, według powyższego, powinnoby także być nieskończoném i bezwarunkowém. Tych cech jednak nie widzimy w przedmiotach świata zewnętrznego: orzeczenie *być* stosuje się, jak wiémy, tylko do sfery nadzmysłowéj. Ztąd wypada, że znikome i ułudne przedmioty świata zmysłowego muszą także pochodzić od czegoś znikomego i ułudnego, a więc nie od nieskończonéj i bezwarunkowéj substancyi (gdyż, w takim razie, same byłyby nieskończone i bezwarunkowe), ale od jakichś zmiennych pobudzeń, natężeń i porywów téjże substancyi.

Te pobudzenia i natężenia są to—Spinoza wyraża się dość ciemno w tym punkcie—jak się zdaje, *przyczyny*, które dostrzegamy w świecie zewnętrznym. Saméj substancyi boskiéj nie znamy; w świecie zaś zmysłowym widzimy jedynie związek *przyczyn mechanicznych*. Pojęcie o substancyi boskiéj jest rzeczą czystego rozumu; doświadczenie zaś wskazuje nam tylko działanie mechanicznych przyczyn we wszechświecie. Ztąd w dalszym ciągu wnioskuje filozof, że w przyrodzie nie może być nic przypadkowego, lecz są tylko rzeczy konieczne, że świat jest doskonałym, gdyż jest wynikiem doskonałéj substancyi boskiéj, i że nie mógł być innym, jak jest, chyba, gdyby substancya czyli Bóg był innym.

3) Zgodnie z powyższemi wywodami, Spinoza nazywa przesądném przekonanie, jakoby Bóg w stworzeniu świata kierował się ideą *dobra* lub miał jakieś *cele:* w przyrodzie wszystko jest dobrém, i nie masz żadnego celu. Pojęcia bowiem *dobra* i *celu* są czysto ludzkie, ułomne (jak o tém jeszcze niżéj), pochodzące ze złudzenia, jakobyśmy mieli wolną wolę, i z nieznajomości przyczyn, kierujących naszemi uczuciami i chęciami. Złudne te pojęcia człowiek przenosi na przyrodę i niewłaściwie uważa siebie za miarę wszechświata: zdaje mu się, że świat istnieje dla niego, i że Bóg zaszczepił w świecie dobro dla ludzi. (5).

(5) Etyka. I. Twierdz. 29—36 (str. 34—48).

4) Metafizyka mówi nam wprawdzie o substancyi nieskończonéj i niedościgłéj, ale doświadczenie daje nam dwa szeregi zjawisk: jedne, których istotę stanowi *myślenie*, i drugie, których istotę stanowi *rozciągłość* — to jest zjawiska *duchowe* i *materyalne*. Z naszego ludzkiego stanowiska, musimy przyznać, że Bóg jest nieskończoném myśleniem i nieskończoną rozciągłością czyli nieskończonym duchem i nieskończoną materyą zarazem. Te tylko atrybuta boskie są dla nas przystępne. Bóg posiada ideę o każdym swym atrybucie i o każdém zjawisku — ma wiedzę o sobie i o rzeczach (o zjawiskach, dla ludzi istniejących). Ztąd Bóg jest przyczyną rzeczy materyalnych, o ile je sobie przedstawia pod atrybutem rozciągłości, i przyczyną rzeczy duchowych, o ile je sobie przedstawia pod atrybutem myślenia. Tak więc, Bóg jest przyczyną *materyalną* zjawisk materyalnych i przyczyną *duchową* zjawisk duchowych.

5) Z powyższego wynika, że pomiędzy *myśleniem* i *rozciągłością* — pomiędzy duchem i materyą, jako odrębnemi już w pojmowaniu samego Boga, nie może być żadnego związku przyczynowego, żadnego wzajemnego oddziaływania; ponieważ jednak są to atrybuta jednéj substancyi, może więc istnieć pomiędzy niemi harmonia. Pojęcie o trójkącie i figura trójkąta — to jedno: jest to ta sama rzecz, przedstawiana raz pod atrybutem myślenia, to znowu pod atrybutem rozciągłości. Obydwa te atrybuta, choć niezależne, są więc *nieodłączne:* świat pojęć i świat rzeczy jest jeden, myśl nie może zabiegać po za rzeczywistość, nie masz myślenia bez rozciągłości, ani rozciągłości bez myślenia—nie masz ducha bez materyi i nie masz materyi bez ducha. Jak w człowieku, tak i we wszystkiém — w planetach, w gwiazdach, w zwierzętach i kamieniach—są nierozłączne duch i materya—myślenie i rozciągłość (6).

Tyle wystarcza do zrozumienia głównych zasad metafizyki i filozofii przyrody Spinozy. Z wyżyn abstrakcyi, na których nawet mowa ludzka z trudnością może podołać niesłychanym wysiłkom myśli, zstąpmy teraz do rzeczy jaśniejszych i przystępniejszych — do pojęć *antropologicznych* i *psychologicznych*, do filozofii moralnéj i społecznéj, którym Spinoza poświęca resztę swojéj Etyki.

Główne wypadki roztrząsań filozofa w tym przedmiocie są następujące. Że człowiek nie jest substancyą czyli istnością bezwarunkową, widać to już z tego, iż nigdy dokładnie sam siebie poznać nie może — substancya zaś powinna mieć zupełną świadomość siebie.

(6) Etyka. II. Twierdz. 1—9 (str. 51—56).

Człowiek jest więc tylko *zjawiskiem (modus)*, a dusza ludzka jest ideą czegoś ograniczonego, a mianowicie ciała; zatém i sama dusza ludzka jest *ograniczoną* i dla tego nie zdoła ona posiadać zupełnéj wiedzy. Właściwie myśli nie sam człowiek, lecz Bóg w człowieku, a mianowicie, o ile Bóg przedstawia sobie nie ogół istności, ale tylko naturę ludzką. Ponieważ myślenie i rozciągłość są nieodłączne, więc ani dusza ludzka bez ciała, ani ciało bez duszy istnieć nie mogą. Doskonałość duszy ludzkiéj zależy od doskonałości ciała: ponieważ zaś ciało jest złożoném, więc i dusza jest także złożoną z mnóstwa pojedyńczych idei, co potwierdza również i doświadczenie, wskazując powstawanie idei z pojedyńczych wrażeń. Pomimo to jednak w duszy jest *idea* jedności, a że ciało jest *mnogością*, ztąd wynika, że dusza nie może poznać dokładnie swego ciała: nie wié nawet o czasie trwania ciała czyli życia (7).

O stopniach i wiarogodności poznania i wiedzy ludzkiéj znajdujemy następujące ważniejsze twierdzenia. Przedmioty zewnętrzne czyli zmysłowe wywierają wpływ na ciało ludzkie, gdyż ono samo do tych przedmiotów należy: dla tego, poznając rzeczy, za pomocą wrażeń, 5 zmysłami otrzymywanych, człowiek właściwie poznaje tylko swoje własne ciało i to, jak wiémy, niezupełnie i niedokładnie, i dla tego ta droga poznania nie daje wiarogodnych wyników. Przedmiotem poznania może być i samo poznanie — można mieć wiedzę o wiedzy, ideę o idei; a więc można mieć ideę o duszy, która jest ideą ciała — będzie to *samowiedza*. Ponieważ jednak dusza jest ideą ciała, więc i w samowiedzy musi zawiérać się wiedza o ciele, bez którego samowiedza (poczucie własnego *ja*) byłaby niemożliwą; a ponieważ ciało nasze zależy od wpływów innych ciał, do samowiedzy jest więc koniecznóm wiedzieć także i o tych wpływach: dopóki nie widzę jakiego przedmiotu, nie mogę wiedziéć, że widzę. Tym sposobem wiedza, z wrażeń zmysłowych zaczerpnięta, nie różni się tak bardzo od samowiedzy, jak to się niektórym filozofom wydaje, a oboje razem, wiedza i samowiedza, stanowią piérwszy i najniższy stopień poznania—podmiotowego i niepewnego. Drugi i wyższy stopień stanowią *sylogizmy*, oparte na *ideach ogólnych*, otrzymywanych w skutek porównywania jednakowych wrażeń. Nakoniec trzeci i najdoskonalszy stopień—jest poznanie bezwzględnéj substancyi Boga, gdyż, poznając Boga, poznajemy zarazem wszystko. (8)

---

(7) Etyka. II. Twierdz. 10—30 (str. 57—78). Odpowiednie ustępy nie celują wielką jasnością, szczególniéj Twierdz. 24—31 (str. 75—79), dotyczące ostatnich z przytoczonych wywodów.

(8) Porówn. wyżéj str. 46. Etyka. II. Tw. 40—47 (str. 83—91).

Wolną wolę Spinoza stanowczo odrzuca: wszystko ulega pewnym niezmiennym prawom, a więc i postępki człowieka i same jego chęci. Co więcéj, Spinoza twierdzi, że nawet *wola*, jako władza ogólna, zupełnie w człowieku nie istnieje: mamy tylko pojedyncze *chęci*. Ponieważ zaś te chęci są w gruncie *twierdzeniem* i *przeczeniem* (opierają się na *uczuciu*, to jest na *pociągu* lub *wstręcie* do czegoś, a więc na uczuciu przyjemności lub nieprzyjemności), a twierdzenie i przeczenie są głównemi cechami każdéj *myśli* czyli *idei*, ztąd widać, że *chęci* nie są niczém inném, jak *myślami* czyli *ideami*, podobnie jak i *uczucia*. Tak więc, wierny swoim dążnościom monistycznym, Spinoza odrzuca zwykłe psychologiczne odróżnienie trzech objawów działalności duchowéj—*myśli*, *uczucia* i *chęci*, i zlewa to wszystko w jedno—*myśl* czyli *rozum*. Człowiek posiada rozum i nic więcéj. Błędy i pomyłki, zboczenia uczuć i występki—wszystko to są objawy *nieświadomości*, *braku wiedzy*, *pojęć niejasnych*, jak i samo łudzenie się co do swobody woli jest wynikiem przewagi pojęć niejasnych i braku dostatecznéj wiedzy. Wolna wola przypuszcza *swobodę wyboru* i *możliwość*, któréj odróżnienie od *konieczności* jest jedynie wynikiem pojęć niejasnych. (9).

Zaprzeczenie wolności woli prowadzi Spinozę do następujących wniosków praktycznych.

1) Nastrój człowieka powinien być jasny, pogodny i spokojny, jako wynik przeświadczenia, że życie ludzkie nie jest wypływem dowolności człowieka, lecz że losy jego spoczywają w ręku Boga, zależne są w zupełności od przeznaczenia boskiego.

2) Należy zgadzać się ze swoim losem, obojętnie i z rezygnacyą przyjmować i szczęście i nieszczęście, jako nieodmienne wyroki Boga.

3) Miejsce pogardy, oburzenia i nienawiści przeciwko ludziom złym i przewrotnym powinny zastąpić wyrozumiałość, pobłażliwość, miłość i chętne śpieszenie z pomocą: złość bowiem i przewrotność nie są winą tych ludzi, a niepodobna przecię gniewać się na formułę matematyczną za ukryty w niéj błąd, albo na trójkąt za to, że w nim suma kątów wynosi 2 kąty proste, nie zaś 1 lub 3. Błąd w rachunku trzeba poprawić, a więc i złych oświecać, bo nieświadomość boskiego rozumu jest przyczyną ich błędnych wyobrażeń.

4) Ponieważ rozum jest dla człowieka wszystkiém, należy więc starać się o takie urządzenia społeczne i polityczne, które byłyby oparte na rozumie (10).

---

(9) Porówn. wyżéj str. 47, aksyom 4.

(10) Etyk II. Tw. 48 do końca (str. 92—101).

W trzeciéj księdze Etyki Spinoza rozwija *teoryą moralności*, opierając ją na *afektach*; nie jest to wszelako żadna nowa zasada, tylko z innéj niejako strony przedstawiona ta sama etyka, zależna od metafizyki. Człowiek, powiada nasz filozof, jest istotą *czynną*, o ile jest wyrażeniem istności boskiéj, ale bywa także istotą *bierną*, o ile téj istności boskiéj w sobie nie wyraża. Wyraża zas człowiek istność boską wtedy, gdy ma jasne i pełne pojęcia—prawdziwą wiedzę; a nie wyraża istności boskiéj, gdy ma pojęcia niejasne, wynikające z przedmiotów zewnętrznych. Stan czynny, wyrażający istność boską, jest stanem doskonałości, i każda rzecz, zarówno jak i człowiek, usiłuje zachować ten stan, wytrwać w nim—ztąd *powszechny egoizm* we wszechświecie czyli instynkt zachowawczy. Zachowanie stanu czynnego sprawia *przyjemność* zarówno ciału, jak i duszy; napotkane zaś przeszkody zewnętrzne rodzą uczucie *nieprzyjemności*. *Afektem* nazywa filozof to wszystko, co nie jest myślą (niebardzo zgodnie z zaznaczoną powyżéj dążnością do sprowadzenia wszystkich objawów duchowych do jednego—*myśli)*, a trzy, dopiéro co wymienione objawy: instynkt zachowawczy, przyjemność i nieprzyjemność są to właśnie trzy zasadnicze afekty. Z nich wypływają inne—jedne bierne, niewolnicze i trzymające człowieka w niewoli, drugie—czynne, czyniące człowieka swobodnym. O biernych afektach mówi Spinoza szczegółowo, wylicza je i określa ze ścisłością matematyczną. Tak np. tu należą: *nadzieja*, to jest przyjemność, sięgająca w przyszłość i tycząca się rzeczy, o któréj przebiegu wątpimy; wyższy jéj stopień—*pewność; strach* jest to nieprzyjemność, sięgająca w przyszłość i tycząca się rzeczy, o któréj przebiegu wątpimy, a wyższy stopień strachu stanowi *rozpacz; radość* jest to przyjemność, połączona z pojęciem o rzeczy, o któréj przebiegu nie wątpimy, *smutek* zaś—nieprzyjemność, tycząca się takiéj saméj rzeczy; *miłość* jest to uczucie przyjemne względem osoby, która nam sprawia przyjemność, a *nienawiść*—uczucie nieprzyjemne względem osoby, która nam sprawia nieprzyjemność, itd. Dążąc sam do przyjemności i unikając nieprzyjemności, człowiek także podtrzymuje piérwszą i niszczy drugą i w innych ludziach, a to dla tego, że nieprzyjemność, doznawana przez inną i przytém *podobną* istotę, jest i dla nas nieprzyjemną już tém samém, że wzbudza w nas myśl, iż nas także ta nieprzyjemność może spotkać, i że sam widok téj nieprzyjemności lub wiadomość o niéj sprawia nam nieprzyjemność: ztąd możliwe są takie afekty, jak *ubolewanie*, *spółczucie* itd. Podobnież przyjemność innych ludzi jest także i naszą przyjemnością; nadto, usiłujemy sprawiać ludziom przyjemność, ażeby oni także nam ją sprawiali—ztąd *ludzkość*, *łagodność* itd. Dla tego czujemy *zadowolenie z siebie*, gdy

sprawiamy ludziom przyjemność, a przeciwnie, uczuwamy *wstyd*, *skruchę* itd., gdy sprawiamy ludziom nieprzyjemność. Wszelako, gdy wiémy, że to, co sprawia nam przyjemność, innym sprawia nieprzyjemność, wówczas powyższa harmonia afektów zostaje naruszoną: powstają takie afekty jak *ambicya*, *zazdrość*, *podéjrzenie*, *prześladowania religijne* i *narodowe* itp. Jeżeli miłość ku jakiéj osobie przechodzi w nienawiść, to ta ostatnia będzie daleko silniejszą, niż, gdybyśmy wcale téj osoby nie kochali; tak samo, jeśli zaczynamy kochać osobę, którą dawniéj nienawidziliśmy, miłość będzie silniejszą, niż względem osoby obojętnéj—jedno i drugie dla tego, że do przejścia miłości w nienawiść, lub odwrotnie, potrzeba bardzo wielu przyczyn, gdyż te sprzeczne uczucia oparte są na sprzecznych afektach—przyjemności i nieprzyjemności (11).

Takie i tym podobne są afekta bierne. Afektami *czynnemi* nazywa Spinoza *dzielność (fortitudo)*, która względem samego siebie jest *panowaniem* nad sobą, a względem bliźnich—*wspaniałomyślnością* i wreszcie afekt najwyższy—*kontemplacyą* jedynéj substancyi czyli Boga: z tego to afektu płynie ów nastrój pogodny i niezamącony, który nie jest niczém inném, jak wyzwoleniem się z pod panowania owych biernych i niewolniczych afektów, jak nadzieja, strach, radość, smutek, miłość, nienawiść itd. Przytém nie należy zapominać, że u Spinozy afekt ściąga się zawsze zarazem i do ciała i do ducha, jako do atrybutów jednéj substancyi: tym sposobem, nie rozwiązuje, ale po swojemu rozcina on węzeł kwestyi, trapiącéj psychologów, jak mogą przyjemności lub nieprzyjemności cielesne wpływać na ducha i wzbudzać w nim także przyjemność i nieprzyjemność, lub odwrotnie. Wszelako na fizyologiczne objawy uczuć (rumieniec, drżenie itd.) nasz filozof nie zwrócił należytéj uwagi.

Oczywiście, owo wyzwalanie się z pod panowania afektów, o ile nie jest prostém określeniem owego stanu niezamąconéj pogody, lecz oznacza istotny postęp i doskonalenie się człowieka, jest w zupełnéj sprzeczności z boskim fatalizmem, o którym mówiliśmy niedawno: zasadnicza to niekonsekwencya etyki Spinozy, na którą nie ma lekarstwa.

---

(11) Wszelako niezawsze działają w takich razach bardzo silne przyczyny; może raczéj powodem owych zjawisk jest pociąg człowieka do kontrastów, który niezaprzeczenie istnieje w duszy ludzkiéj. Spinoza nie uwzględnił należycie tego objawu i dla tego nie wyjaśnia takich objawów, jak *ascetyzm, narażanie się na niebezpieczeństwa, działanie na własną szkodę* itd.

Zachowując tę sprzeczność, filozof w ostatnich twierdzeniach swojéj Etyki podaje szczegółowe przepisy tego wyzwolenia się z pod przewagi biernych afektów. Wzmiankowany *egoizm* czyli instynkt zachowawczy jest u niego podstawą, a więc i celem życia i *cnotą*. *Pożytek własny* jest powszechném prawem: dopiéro w organizacyi państwowéj ten egoizm środkami *zewnętrznemi* łagodzi się i przechodzi w tak zwany dzisiaj *altruizm*, to jest wzgląd na pożytek innych członków społeczeństwa; środkiem zaś *wewnętrznym* jest jedynie rozwijanie rozumu, gdyż, jak wspomniano wyżéj, źródłem dobrego i złego zarówno jest jedynie rozum, a raczéj złe nie istnieje, jest to tylko negacya—skutek braku wiedzy, braku jasnych pojęć, a dziedziną złego jest wyobraźnia. Kształcąc rozum i gnębiąc wyobraźnią, możemy dójść do jasnéj wiedzy, która zarazem jest miłością jedynéj substancyi—Boga i kontemplacyą téj powszechnéj istności. Jest to, według Spinozy, najwyższa namiętność, cel zabiegów ludzkich, najwyższa doskonałość, zarazem cnota i nagroda, od saméj cnoty nieodłączna. Ta tylko miłość Boga zdolną jest zapobiedz wszelkim szkodliwym zboczeniom wrodzonéj cnoty—egoizmu. Taki jest ideał moralny Spinozy. O nieśmiertelności człowieka, chociaż ta wynika już z nieśmiertelności jedynéj substancyi, któréj człowiek jest odbiciem (zjawiskiem), Spinoza dodaje jeszcze, że człowiek jest nieśmiertelnym, gdy pogrąża się w kontemplacyi bóstwa. Tą zasadą, wpadającą w mistycyzm, kończy się racyonalny system Spinozy, wyłożony w jego Etyce (12). Pozostaje nam jeszcze powiedzieć o społecznéj teoryi Spinozy.

Teoryą społeczną i *filozofią prawa* Spinoza opiéra na egoizmie i sile, zgodnie z całą swoją metafizyką. *Prawo przyrodzone (jus naturae)* jest to zasada, według któréj każda istota musi żyć i działać, a tém prawem jest *siła*, gdyż, dążąc do własnego zachowania i utrwalenia, które jest zarazem utrwaleniem boskiéj substancyi, każdy przedmiot w naturze przedstawia téż cząstkę mocy boskiéj i ma prawo do wszystkiego, czego chce, czego potrzebuje i co zdziałać może. *Pożytek* jest tu jedynym kierownikiem: zwierzęta słabsze stają się pastwą silniejszych, i jest to zupełnie naturalném. Nawet kamień, powiada nasz filozof, który spada i zabija człowieka, ma do tego zupełne prawo; nawet obłąkany ma słuszność w swoich postępkach, podobnie jak człowiek o zdrowych zmysłach. *Siła*, *prawo* i *koniecz-*

---

(12) Streszczona powyżéj nauka moralna zawiéra się w trzech ostatnich księgach Etyki, z których III traktuje o afektach, IV ma nadpis: „O niewoli ludzkiéj", a V i ostatnia—„O swobodzie ludzkiéj".

ność zlewają się w jedno pojęcie. Tak więc, każdy człowiek ma prawo do wszystkiego, czego chce i co potrafi, nie przebierając w środkach, działając jedynie w celu własnego pożytku i nie oglądając się bynajmniéj na innych ludzi. Według tego prawa naturalnego, żyli i dziś jeszcze żyją ludzie dzicy, kierując się wyłącznie namiętnościami, i niepodobna brać im tego za złe, gdyż natura nie stawia żadnych szranek egoizmowi ludzkiemu (nie zabrania morderstwa, kłamstwa, oszustwa itd.), a dopóki nie dojrzeje rozum, człowiek ma prawo kierować się namiętnościami.

W miarę rozwoju rozumu, pierwotny ten stan ludzkości ulega zmianom. Ludzie zaczynają spostrzegać, że, ponieważ *każdy* z nich ma prawo do *wszystkiego* i, działając wyłącznie w swoim interesie, szkodzi innym, powstaje ztąd wojna wszystkich przeciwko wszystkim *(bellum omnium contra omnes)*, i pokazuje się, że prawo natury zostaje zniweczoném, że powyższa zasada zmienia się w całkiem przeciwną: *nikt nie ma prawa do niczego*, bo pojedyncza jednostka nie ma siły opiérać się całemu mnóstwu wszystkich innych jednostek, które jéj do używania prawa natury nie dopuszczają. Ludzie zaczynają szukać miary—*łokcia*, którym mogliby wymierzyć, co jest własnością téj i owéj jednostki, i miarę taką znajdują w *umowie społecznéj:* widzą bowiem, że nie ma innego sposobu dla zabezpieczenia spokojnego posiadania praw każdéj jednostki, jak dobrowolnie uszczuplić te prawa—przenieść ich cząstkę na *władzę państwową*, ażeby przynajmniéj ratować resztę i spokojnie używać choć drugiéj cząstki praw przyrodzonych. Oprócz widoków *bezpieczeństwa*, które obrana tym sposobem władza zapewnia członkom społeczeństwa, nakłania także ludzi do tego kroku coraz to bardziéj przeważające przeświadczenie, że lepiéj jest kierować się rozumem, niż namiętnościami, i że dla pożytku każdego z członków lepszą jest zgodność i pomoc wzajemna, niż powszechna walka. Tak powstaje, według Spinozy, organizacya państwowa, która jest jedynie organizacyą *siły*, utrzymującéj w karbach namiętności pojedynczych członków społeczeństwa i ustanowionéj *jedynie* dla zapewnienia im *pożytku*. Przenosząc na władzę państwową część swoich praw, ludzie czynią to w nadziei dostąpienia większego pożytku, a choć pozbycie się cząstki praw, w gruncie, jest niekorzystném, wszelako jest rzeczą naturalną, że z dwojga złego (wyrzeczenia się części praw lub utraty wszystkich w powszechnéj wojnie wytępienia), ludzie wybiérają złe mniejsze: wiadomo przecię, mówi Spinoza, że, dla ocalenia życia, święcie dotrzymujemy obietnicy, danéj nawet rozbójnikowi. Ponieważ tedy państwo, zbudowane na egoizmie, jest organizacyą siły, mającą na celu pożytek, przeto, według Spinozy, niepodobna uważać państwa za coś mają-

cego wartość samodzielną, bez względu na cele utylitarne (jak to mniemąli starożytni, przesadzając znaczenie państwa): mogłoby to być jedynie w takim razie, gdyby ludzie kierowali się tylko rozumem, nie ulegając namiętnościom, gdyby więc i państwo było wytworem rozumu, nie namiętności (jak o tém marzył Platon), co jednak tak nie jest. Daléj, ponieważ źródłem prawa jest siła, i każde państwo posiada tyle tylko praw, ile posiada przekazanéj sobie od swych członków siły, ztąd wynika, że państwo, im silniejsze, tém więcéj praw posiada, a bezsilne traci wszelkie prawa.

Następnie, trudno spodziewać się od państwa tego, co nie leży w jego naturze: cnót ani rozumu nie może dać swym członkom państwo, będące jedynie organizacyą siły i mające na celu tylko *bezpieczeństwo*. Spinoza nie żąda cnót ani od rządzących, ani od rządzonych: cnoty bowiem należą do zakresu *moralności*, a tylko bezpieczeństwo i pożytek do zakresu *prawności*; zresztą, jakiemi środkami osiągniętym zostanie cel bezpieczeństwa—strachem czy cnotą, przymusem czy dobrowolném poszanowaniem prawa—rzecz to dla naszego filozofa obojętna. Rozumu ani cnót ludzie nie przenieśli na władzę—przenieśli tylko siłę—a więc pod temi względami władza jest bezsilną; podobnież jest bezsilną co do swobody myśli gdyż myśli swych ludzie nie przenieśli na władzę; tak samo i dla téj saméj przyczyny władza państwowa jest bezsilną w przedmiocie przekonań religijnych—pod tym ostatnim względem może, co najwyżéj, przepisywać tylko *kult* czyli ceremonie *zewnętrzne*, zgodnie z *zewnętrznym charakterem* całéj istoty państwa. (13)

Tém krótkiém streszczeniem społecznéj teoryi Spinozy zakończymy przedstawienie jego nauki. Pozostaje nam jeszcze zastanowić się w krótkości nad źródłami, cechami i wartością téj nauki i nad jéj stosunkiem do poprzedników i do następców, czyli nad stanowiskiem systematu Spinozy w ogólnym rozwoju myśli filozoficznéj. Zadanie to, zbyt obszerne i trudne, gdybyśmy chcieli mówić o nauce naszego myśliciela, wziętéj odrębnie, wyrwanéj z ogólnego związku, uprościliśmy i ułatwiliśmy już piérwszemi rozdziałami mniejszéj

---

(13) Streszczone poglądy Spinozy na społeczeństwo i prawo znajdują się w jego dziełach: *Tractatus politicus* i *Tractatus theologico—politicus*. Spinoza wdaje się tu nawet w drobiazgowe przepisy, tyczące się organizacyi państwowéj. Głową państwa ma być król do którego należy wszystka ziemia; obywatele biorą ją od króla w dzierżawę, za pewną opłatą, ale za to są już wolni od wszelkich podatków i ciężarów. Przy królu znajduje się rada, wybierana przez króla ze wszystkich familij obywatelskich, ale z pomiędzy ludzi, którzy ukończyli 50 lat. Rada zbiera się 4 razy do roku i corocznie ma być w pewnéj części odnawianą; zawsze jednak przy boku króla obraduje delegacya rady, z 50 członków złożona, itp. Szczegóły to dla nas mało ciekawe.

pracy, które czytelnik niespecyalista, przed przeczytaniem końcowego naszego ustępu, zechce sobie w pamięci odświeżyć.

V.

ŹRÓDŁA, CECHY, WARTOŚĆ I STANOWISKO NAUKI SPINOZY.

Piérwsze pytanie, które nastręcza się przy ocenie nauki Spinozy, jest: o ile on był myślicielem oryginalnym? Dokładna i szczegółowa odpowiédź na to pytanie złoży się dopiéro z poniższego rozpatrzenia niektórych właściwości systemu Spinozy; wszelako już teraz w ogólności możemy powiedzieć, że ten filozof był w rzeczy saméj jednym z najsamodzielniejszych myślicieli. Pojęcia substancyi, atrybutu i zjawiska czyli postaci *(modus)*, jak widzieliśmy, Spinoza wziął od Kartezyusza, a więc w gruncie był kartezyańczykiem; ale zniósł dualizm, który panuje w nauce Kartezyusza, oglądającego się na pojęcia chrześciańskie, i uznał tylko jednę, jedyną substancyą. Reforma kartezyanizmu, w tym jednym najgłówniejszym punkcie, nadała nauce Spinozy charakter radykalny i zupełnie odrębny; wszystkie zaś dalsze wnioski z téj głównéj zasady stanowią wyłączną własność Spinozy; wysnute zostały przez niego samodzielnie, drogą czystego rozumowania, zupełnie apriori.

Żadne inne powagi i źródła, oprócz Kartezyusza, nie wywarły żadnego wpływu na Spinozę, a nawet prace poprzedników—filozofów starożytności—mało, albo wcale nie były mu znane. Biografowie Spinozy zgadzają się, że niewiele on umiał po grecku: prawdopodobnie więc nie znał ani Platona, ani Eleatów; wpływów platonizmu w nauce jego nie znajdujemy zgoła, a pewne pokrewieństwo z nauką Eleatów; jak to już widać z naszego wstępu i o czém jeszcze słów kilka powiémy, wypływa poprostu z zaznaczonego już również powyżej pokrewieństwa dróg myśli u wszystkich ludzi, które sprawia, że myśliciele różnych wieków i narodów samodzielnie dochodzą do podobnych, a czasem nawet do jednakowych wniosków. Filozofią scholastyczną i średniowiecznego skażonego Arystotelesa Spinoza znał niewątpliwie, ale i ztąd nie zapożyczył nic zgoła: system jego, jako czysto apriorystyczny, sprzeciwia się doświadczalnym podstawom nauki Arystotelesa; substancya Spinozy jest bytem spokojnym i skrystalizowanym, obcym rozwojowi, który tak ważną u Arystotelesa odegrywa rolę; co się zaś tyczy scholastyki, mógłby wziąć ztamtąd chyba ontologiczną podstawę swéj metafizyki *byt jest*, gdyby nie to, że ta podstawa jest poprostu prawem logiczném (A jest A), znaném już Eleatom.

Mówią jeszcze niektórzy o wpływach żydowskiej religii i filozofii na naukę Spinozy. Znaleźli się nawet tacy, którzy nietylko ten wpływ przeceniają, ale, zupełnie błędnie i fałszywie, każą nam w teoryi Spinozy widzieć kwintesencyą żydowskiego monoteizmu i panteizmu niektórych średniowiecznych przedstawicieli Kabały, z którą niewątpliwie Spinoza był dobrze obeznany. (14) Otóż przedewszystkiém nam się zdaje, że monoteizm nie da się pogodzić z panteizmem, a zwłaszcza monoteizm religii mojżeszowéj, która ściśle wyróżnia Boga jako osobistość, oddzielną od świata, tworzącą świat i panującą nad światem, który jest prochem, niczém, w porównaniu z podnóżkiem tronu Jehowy. Dawne religie pogańskie powstały z ubóstwienia przyrody czyli z najgrubszego panteizmu: bogowie greccy były to uosobione ciała niebieskie i żywioły ziemskie; ztąd nawet w epoce antropomorfizmu, gdy tym bogom ludzką postać nadano, niewiele troszczono się o ich stosunek do świata, nie podawano dogmatów np. o stworzeniu świata przez bogów, niejako czując, że byłoby to zasadniczą niedorzecznością, gdyż właściwie bogowie ze świata powstali. W Indyach—téj klasycznéj ojczyznie właściwego panteizmu — bramini wznieśli się wprawdzie do abstrakcyjnéj idei najwyższego bóstwa, ale znowu połączyli to bóstwo ze światem drogą odwrotną, to jest zaczęli głosić, że wszystko, co istnieje—cała przyroda—powstało z substancyi bóstwa. Grecy otrzęśli się prędko, w religii, jak i w filozofii, z piérwotnych pojęć panteistycznych: w religii woleli pominąć kwestyą stosunku bóstw w ludzkiéj postaci do świata, a w filozofii woleli prawie zupełnie pominąć Boga; Indusi zaś ugruntowali swój panteizm i w religii i w filozofii. Otóż religia mojżeszowa, jako reakcya przeciwko wszystkim religiom pogańskim starożytnego świata, jest zupełném przeciwieństwem wszelkiego panteizmu, jest nauką, w któréj niedościgły duchowy Jehowa jest panem, a świat—niewolnikiem. Wyznający więc monoteizm żydowski i chrześciański (w gruncie z żydowskiego powstały) nie może być panteistą, panteista zaś nie może być monoteistą (15). Jeżeli tedy Spinoza był panteistą—a za takiego prawie powszechnie jest uważany—nie był więc wyznawcą monoteizmu żydowskiego. Zresztą, z przedstawienia nauki Spinozy widzieliśmy, że nie uznaje on Boga osobowego, odrębnego od innych rzeczy istnieją-

---

(14) Straszewski. „Filozofia Spinozy i dzisiejszy panteizm" w Bibliot. Warsz. Marzec 1877. Str. 328. Z historyków filozofii Ueberweg i Schwegler za wiele widzą wpływów żydowskich u Spinozy.

(15) Bardzo trafne, ze znajomością rzeczy skréślone uwagi, wymierzone przeciwko wzmiankowanéj pracy p. Straszewskiego, czytaliśmy w N. 11 Izraelity z r. b.

cych, a więc tém samém nie ulega wątpliwości, że wziął rozbrat z religijnemi wyobrażeniami mozaizmu. Co się tyczy wpływów filozofów żydowskich i Kabały, przypuściwszy nawet tymczasowo, że istotnie Spinoza był panteistą w indyjskiém znaczeniu tego wyrazu—a takiego właśnie panteizmu wyznawcami byli niektórzy z autorów Kabały i talmudystów—nie widzimy potrzeby powoływać się na wpływy tych filozofów, skoro już Xenofanes z Elei, który nie znał ani Kabały, ani filozofów żydowskich (że już nie mówimy o mozaizmie) wypowiedział przytoczone przez nas powyżéj zdanie „wszystko jedno i to jedno jest Bóg". Widać więc, że do téj ostatecznéj zasady zdolnym jest dojść rozum ludzki o własnych siłach, a priori, drogą rozumowania, bez wszelkiéj powagi. Mówiąc o Eleatach, wspomnieliśmy, że podstawą tego twierdzenia było prawo logiczne (A jest A), wysnute z pojęcia bytu *(byt jest)*, zkąd wynikło następnie, że byt musi być jeden, wszystko ogarniający, niezmienny i t. d. Nie inną, lecz tą samą drogą doszedł po 20 wiekach i Spinoza do swego panteizmu. Kabała, filozofowie żydowscy i Talmud są tu zupełnie zbyteczne, i mówiąc o nauce Spinozy, możemy nic zgoła o tém wszystkiém nie wiedzieć. Mniemamy nawet, że autorowie Kabały i średniowieczni filozofowie żydowscy, skoro tylko wpadli w sprzeczny z duchem mozaizmu panteizm, już tém samém utracili prawo do miana *filozofów religijnych* żydowskich. Religia zawsze daje pewne dogmata, z góry przyjęte i niepodlegające dyskusyi pewniki; ztąd filozofia, jako racyonalne dochodzenie, zgoła nie może być *religijną*, a jeśli kiedy przybiérała ten charakter, traciła wszelką wartość i przychodziła do zupełnego upadku, jak to widzieliśmy powyżéj na filozofii scholastycznéj. Panteizm braminów był także filozofią religijną i również utracił w skutek tego wartość naukową. Uważać zaś *czystego racyonalistę* Spinozę, który zerwał ze wszelką religią i powagą, słusznie wyklętego przez żydów, za *filozofa religijnego* żydowskiego, jest w obec tego wszystkiego, co powiedzieliśmy o nauce Spinozy, czystém dziecińśtwem (16).

Jedna tylko jest strona, co do któréj możnaby przypuścić wpływ mozaizmu na teoryą Spinozy, a mianowicie *nazwa Boga*, którą Spinoza nadał swojéj substancyi. Zanim jednak zastanowimy się, czy Spinoza mógł lub potrzebował użyć téj albo innéj nazwy, musimy uprzednio określić ten tak zwany panteizm Spinozy i ocenić w należytém

---

(16) P. Straszewski do tego stopnia uważa za jedno systemata religijne i filozoficzne, że wprowadza nawet wspólną dla jednych i drugich klasyfikacyą, dzieląc je na dwie grupy, podług teologicznych cech *teizmu* lub *panteizmu* (Bibl. W., Marzec, str. 321 nast.).

świetle główne punkta jego nauki. Przedewszystkiém musimy przypomniéć, że dla Spinozy religia i wiedza—to jedno: mądrość jest zarazem cnotą, nagrodą cnoty i najwyższém szczęściem. Nie tworzył więc on nowéj religii, ale starał się wznieść całkowity gmach wiedzy. Punktem wyjścia dla Spinozy, podobnie jak dla wszystkich w ogóle filozofów od Talesa, było pytanie o istocie rzeczy, o prawdziwym bycie, i tę istotę rzeczy uznał Spinoza w istności jednéj i jedynéj, wszystko ogarniającéj i inne istności wyłączającéj. Jest to więc Bóg metafizyczny, czyli istota rzeczy, a panteizm Spinozy jest panteizmem metafizycznym, odmiennym od indyjskiego. Według Spinozy i Kartezyusza, jak widzieliśmy, wszystkie zewnętrzne zjawiska, wszelkie objawy zmysłowe, pojedyncze i indywidualne są złudzeniem: prawdziwego bytu one nie mają, są tylko ułudnemi postaciami *(modi)*. Nie jest więc prawdą, ażeby Spinoza złożył swojego Boga z rzeczy świata zmysłowego, a więc nie był panteistą we właściwém tego wyrazu znaczeniu. Bóg Spinozy nie jest także *przyrodą*, pojmowaną nie w szczegółach, lecz w całości, a atrybuta substancyi boskiéj nie są *siłami przyrody*, jak to błędnie tłómaczą niektórzy historycy filozofii ze szkoły Hegla (17). Atrybuta, myślenie i rozciągłość, wyrażają wprawdzie *treść* substancyi z naszego, ludzkiego stanowiska; te atrybuta właśnie możnaby nazwać *przyrodą* (wyraz i pojęcie, jak wiadomo, nieokreślone i elastyczne); ale nie należy zapominać: 1) że substancya, według Spinozy, w gruncie czyli w naturze swojéj istności, nie zna wyróżnień atrybutów, a raczéj posiada ich nieskończoną ilość w jedności, i 2) że substancya, jako czysty *byt*, jest bezwzględném twierdzeniem *(absoluta positio)*, zupełnie oderwaném od wszystkiego, co zmysłowe: owo *„jest"* stosowane do substancyi, pada w sferę czystego, absolutnego bytu (patrz wyżéj str. 48); jest to czysta kategorya logiczna. Filozof zapytuje najprzód: czyli *byt jest*, a potém dopiéro mówi o jego *własnościach*—atrybutach. Hegliści mięszają jedno z drugiém: ideę bezwarunkowego *bytu* z ideą jego *własności*. Znajdujemy wprawdzie u Spinozy (Et. I, 29) odróżnienie Boga, jako *natura naturans*, od przyrody, jako *natura naturata*, ale to scholastyczne określenie, w naszych oczach, nie ma wielkiéj wagi, i zresztą, pomimo podobieństwa brzmień barbarzyńskiéj łaciny, oznacza tylko wysiłek Spinozy, ażeby dać do zrozumie-

(17) Sam Hegel w III tomie Vorlesungen üb. Geschichte der Philos. i Kuno Fischer w I tomie Geschichte der neueren Philosophie.

nia, że Bóg nie jest przyrodą w zwykłém tego wyrazu znaczeniu, lecz raczéj *źródłem przyrody*.

Naukę Spinozy wypada więc raczéj niż panteizmem, nazwać *monizmem*. Ale i tu trzeba być ostrożnym i wyrozumieć należycie, jakiego to gatunku jest monizm. Powyżéj zaznaczyliśmy w ogólnym rozwoju myśli filozoficznéj (t. II, str. 476.) trzy rodzaje monizmu: 1) monizm materyalistów, uznający istnienie jedynie materyi, któréj tak zwane zjawiska duchowe są tylko objawami, własnościami, nieoddzielnemi siłami; 2) monizm idealistów, według którego prawdziwy byt należy przyznać tylko nadzmysłowym ideom, a cały świat zmysłowy uznać za nieistniejący; 3) nakoniec, monizm, którego niewykończony zarys rzucił Arystoteles, uznający materyą, jako niedoskonały stan ducha, jako stadyum rozwoju na drodze do formy duchowéj. Zobaczmy, jaki jest stosunek teoryi Spinozy do każdego z tych trzech kierunków monizmu.

1) Co się tyczy monizmu materyalistycznego, powyższe streszczenie nauki Spinozy dokładnie wykazuje, że filozof nasz nie był wyznawcą tego kierunku. Materyalizm uważa za jedyne kryteryum prawdy świadectwo zmysłów, zaliczając do sfery bredni i zmyśleń to wszystko, co pod zmysły nie podpada; następnie, opiérając się na teoryi ostatecznych niepodzielnych cząstek (atomów), w których widzi ową poszukiwaną daremnie przez filozofów istotę bytu, wyprowadza wszelkie zjawiska z fizycznego ruchu atomów, który jest pierwiastkową i zasadniczą siłą materyi, źródłem wszystkich innych sił, błędnie dzielonych przez idealistów na siły fizyczne i duchowe. Istnieje tylko materya, a wszelka siła jest jéj koniecznym objawem; myślenie jest fizyczną własnością materyi. Widzieliśmy już dowodnie i raz jeszcze powtarzać tego nie widzimy potrzeby, że zasadnicze twierdzenia Spinozy są całkiem odmienne i wprost nawet przeciwne tym głównym zasadom materyalizmu: Spinoza jedyne źródło prawdy widzi w rozumowaniu i z absolutnego pojęcia substancyi tłómaczy wszechświat, jako jéj objaw, ale niedokładny, właśnie w skutek zwodniczości świadectwa zmysłów. Nie mówi on nigdzie, żeby materya miała być źródłem myślenia i objawów duchowych, ażeby duch i materya były jedno: owszem, jak widzieliśmy, myślenie i rozciągłość są dla Spinozy niezależnemi od siebie, niemającemi żadnego związku i niewywiérającemi na siebie żadnego wpływu atrybutami substancyi, między któremi istnieje jedynie równoległość i harmonia (18).

---

(18) Patrz wyżéj str. 51.

Z tego już widać (co jeszcze i w późniejszych uwagach uzasadnimy), że materyalizm zupełnie nie ma prawa uważać Spinozy za jednego ze swoich patronów: prawdopodobnie, skuszeni nazwą monizmu—kierunku, któremu hołduje Spinoza, moniści materyalizmu zbyt pośpiesznie przyznają się do pokrewieństwa z tym filozofem, nie nabywszy dokładnéj znajomości jego teoryi. Ten sam błąd popełniają i piszący u nas w materyi filozofii: tak z wielkiém podziwieniem wyczytaliśmy niedawno w jednym z artykułów o Spinozie zdania, uznające tożsamość *głównych podstaw* jego teoryi i materyalizmu (19).

Przy zupełném niepodobieństwie i sprzeczności *głównych podstaw*, materyaliści mogą wszelako dojrzéć kilka pokrewnych swojéj nauce *szczegółów* w doktrynie Spinozy. Zjawisko to tłómaczy się tém, że w obec szczytności i doniosłości zadań, podjętych przez naszego filozofa, nie zdołał on wszędzie być konsekwentnym i uniknąć rażących sprzeczności, jak to już po części wykazywaliśmy, przy streszczeniu niektórych szczegółów jego nauki (20). Oprócz tego, nie należy zapominać, że i w teoryi materyalistów jest wiele zdań, a priori powziętych, używanych przez zwolenników tego kierunku do wyjaśnienia zjawisk, nie zaś z tych zjawisk wydobytych. Otóż Spinoza, puściwszy wodze rozumowaniu, doszedł tą drogą i do niektórych wyników rozumowań materyalistów, potrącił niejako o wszystkie, rozumowi ludzkiemu przystępne wnioski apriorystyczne, a choć usiłował zachować logiczny związek z zasadniczemi podstawami swojéj nauki, nie dostrzegł, że w tych właśnie punktach związek ten przerwał i sam wpadł w sprzeczności. Zresztą, objaw to nienowy, że w naukach wielkich myślicieli łatwo odnaléść zarody sprzecznych kierunków, po części przez nich samych od poprzedników przyswojone, po części jako konieczne dowody niedoskonałości rozumu ludzkiego, samodzielnie i stanowczo przez nich wypowiedziane. Tak wspomnieliśmy już powyżéj, że w starożytności zarówno Eleaci, jak Demokryt, opiérali się na Herakleicie; tak samo, zarówno cynicy, jak eudaimoniści i epikurejczycy uważali się za uczniów Sokratesa; tak samo, u Platona można odnaleść okruchy

---

(19) „Któż wszelako nie dostrzeże, iż w jego (Spinozy) systemacie Bóg czyli substancya *daje się lepiéj może zastąpić wyrazem materya* w znaczeniu naturalistów"...(Baruch-Benedykt Spinoza Gaz. Pols. N. 43 z r. b.) Porówn. jeszcze niżéj not. 26.

(20) Patrz wyżéj str. 50. (stworzenie świata zjawisk i przyczyny mechaniczne), st. 52. (stosunek człowieka do substancyi boskiéj) i str. 55 (o wyzwoleniu się człowieka z pod panowania afektów).

systemat w prawie wszystkich jego poprzedników; tak samo nakoniec i w naszych czasach Locke, Kant i Hegel stali się protoplastami rozmaitych, częstokroć sprzecznych kierunków.

Szczegóły, w których Spinoza zbliża się do wniosków materyalistycznych, są dwojakie: jedne metafizyczne, drugie, tyczące się filozofii praktycznéj, moralnéj i społecznéj. Mając na eraz do oceny tylko metafizykę, drugi ten szereg pojęć zostawiamy na późniéj. Otóż w metafizyce Spinozy dwa są główne szczegóły, do których chętnie przyznają się materyaliści: nieodłączność ducha od materyi i mechaniczny pogląd na przyrodę, według którego, wszystko w świecie odbywa się na mocy prawa koniecznéj przyczynowości. Jaką drogą doszedł Spinoza do tych dwóch twierdzeń—widzieliśmy to powyżéj: podstawą piérwszego jest u niego tożsamość myśli i bytu *(ordo idearum et ordo rerum)* i harmonia atrybutów boskich; podstawą zaś drugiego—sam właśnie rozbrat pomiędzy pojmowaną w myśli substancyą, bezprzyczynową i najwyższą przyczyną, a światem zjawisk zmysłowych, uległym przyczynowości. (21) Nie dla tego zaś bynajmniéj Spinoza uznaje nieodłączność ducha od materyi, ażeby przedmioty zmysłowe były odłamami bóstwa, w fizycznem i dosłownem tego wyrazu znaczeniu, jak w panteizmie indyjskim; ani też dla tego, żeby tak zwany duch miał być siłą nieodłączną od materyi—jéj własnością i wyrobem, jak to utrzymują materyaliści. Przyczynowość u materyalistów, choć zwana koniecznością, prawem itp., będzie *ślepym trafem*, który niewiadomo zkąd się bierze i dla czego materyą kieruje; u Spinozy zaś przyczynowość wynika z ostatniéj przyczyny — z bezprzyczynowéj substancyi czyli Boga. Gdyby kto nam zarzucił, że mniejsza o drogę, na któréj ci lub owi doszli do pewnych wniosków, skoro te wnioski są jednakowe, na to odpowiémy, że *w teoryi* jest to zapewne rzeczą obojętną, ale nie *w praktyczném* zastosowaniu wyprowadzonych wniosków. Tak panteizm indyjski prowadzi koniecznie do fetyszyzmu, chociaż usiłował piérwotnie od niego się obronić: zwierzęta, kamienie itp. powinny być czczone, jako odłamy bóstwa; nieodłączność zaś ducha od materyi, uznawana zarówno przez Spinozę, jak i przez materyalistów, pozwala nam wprawdzie przyznać, że Spinoza, zarówno jak i materyaliści, uznaje *powszechne życie* w przyrodzie, ale nie dochodzi do tych smutnych i złowrogich wniosków, które płyną z zupełnego zniweczenia ducha

---

(21) Patrz wyżéj str. 47 i 51.

uznanego jedynie za własność i wypływ materyi. Tak samo i *rozumna* przyczynowość Spinozy w praktyce jest lepszą od ślepéj konieczności praw bez prawodawcy, któréj hołduje materyalizm.

2). Co się tyczy monizmu idealistycznego, mówiliśmy, że początkiem tego kierunku była doktryna Eleatów. Xenofanes i Parmenides piérwsi dali określenia *bytu*, oparte na logiczném pojęciu *istnienia*, a choć nie rozwinęli swojéj nauki, ale tylko wykazali, *jak należy myśléć* o *prawdziwym bycie*, tém niemniéj wypowiedzieli te same główne określenia bytu, które rozwinął Spinoza. Prawdziwy byt, pojmowany myślą, jest u nich *hén kai pân* (jedno i wszystko), i tak samo nazywali go Bogiem. Jest to więc teorya, najbardziéj z systemem Spinozy spokrewniona. Widzieliśmy również, że ten monizm Eleatów w gruncie jest utrwaleniem dualizmu, gdyż, bądź co bądź, i Eleaci mówią o zjawiskach, jak i Platon mówi o materyi, jako o niebycie i uznaje istnienie zmienności *(genesis.)* Była to, oczywiście, niekonsekwencya, bo, skoro tylko mówi się o *bycie* i *niebycie* i ich wzajemnym stosunku, tém samém mówi się o *dwóch bytach*, a gdy drugi z nich mianujemy *niebytem*, dopuszczamy się nawet rażącéj nielogiczności. Do téj sprzeczności i nielogiczności zmuszało starożytnych myślicieli niezbędne oglądanie się na świat zmysłowy, gdyż, pomimo ciągłego zaprzeczania mu praw do bytu, świat ten, bądź co bądź, istnieje, i filozofia musi się z nim rachować. Absolutny monizm idealistyczny zjawił się dopiéro w ostatnich czasach— w systemie Fichtego, który uznał cały świat zjawisk za istniejący jedynie w duchu ludzkim. Zanim to jednak nastąpiło, dążność monistyczna walczyła ciągle z dualizmem: widzieliśmy, że ten dualizm przeszedł nawet w troistość u Kartezyusza, który uznawał aż trzy samodzielne substancye, w téj liczbie i materyą. Spinoza utworzył monizm absolutny i najwyższy: u niego także substancya jest jedno i wszystko *(hén kai pân)*, jak u Eleatów, ale nie jest to już pojęcie, istniejące *w myśli*, jako przeciwieństwo materyi, lecz *o jednę jeszcze skalę wyżéj po nad myśl i materyą:* jest to logiczna koncepcya czystego bytu, w któréj i myśl i materya jednoczą się i tracą swoje różnice. Spinoza więc sam jeden w dziejach rozwoju myśli filozoficznéj jest przedstawicielem zupełnego monizmu, zarówno oddalonego od monizmu materyalistów, jak i od zaprzeczającego istnieniu materyi monizmu idealistów. W tém właśnie tkwi wzniosłość i oryginalność jego genialnéj koncepcyi.

3). Co się tyczy owego *monizmu* w *rozwoju*, którego zarody widzimy u Arystotelesa, a modyfikacyą u Hegla, który wskrzesił nielogiczną ideę *niebytu*, jako mniemane stadyum w rozwoju *bytu*—teorya Spinozy wprost jest sprzeczną z tym kierunkiem. Byt czyli

substancya u Spinozy jest, podobnie jak byt u Eleatów, skrystalizowaną, zupełną i doskonałą, niedopuszczającą pojęcia rozwoju, od wieków taką samą, wszystko w sobie zawierającą *simul natura* (razem ze swoją naturą), jak mówi filozof. Wszelkie pojęcie *rozwoju* wymaga uznania *indywidualności*, mnóstwa istot; Spinoza zaś utopił wszelką indywidualność w najwyższém pojęciu substancyi. Dla tego to później, Leibnic zarzucał Spinozie tę nieruchomość jego substanstancyi—zupełnie tak samo, jak niegdyś Platon wyrzucał to Parmenidesowi. Dla tego także krytycy porównywają substancyą Spinozy do jaskini lwa, „do której prowadzi wiele śladów, ale z której żaden ślad nie wychodzi".

A jednak, niestety, Spinoza łudził się, gdy sądził, że rozwiązał zagadkę wszechbytu, dotarł do istoty rzeczy i uwolnił umysł ludzki od trapiącej go zmory dualizmu—stosunku świata myśli do świata zmysłowego. Zasadnicze bowiem aksyomata jego teoryi i metoda czysto apriorystyczna podlegają ważnym zarzutom. Punktem wyjścia jest dla Spinozy twierdzenie logiczne: *byt jest*, które równa się logicznemu prawu tożsamości (A=A), gdyż w tém twierdzeniu *jedno pojęcie* jest i podmiotem w formie rzeczownika i orzeczeniem w formie czasownika. Gdy mowa o bycie, niewątpliwie, takie tylko twierdzenie jest prawidłowém, nie można zaś powiedzieć, że *byt nie jest*, że *A jest nie A*, tak samo, jak nie można powiedzieć: *czarne jest białém*. Wszelako z tego gramatyczno-logicznego zdania nie wynika *rzeczywiste istnienie* bytu, o którym mowa: *A*=*A*, to prawda. *jeśli to A istnieje*, ale jeżeli go nie ma, wtedy i równanie jest fikcyą, *istnienie* zaś *A* z tego równania bynajmniéj nie wynika. Zkąd wiémy, że to *A* istnieje? Potrzeba tu innych rękojmi, innego kryteryum, które ręczyłoby nam, że *A* istnieje, gdyż w przeciwnym razie, powyższe równanie, wyrażające prawo logiczne, można zastąpić równaniem O=O. *Z czarném* i *białém* rzecz ma się inaczéj: tu już wiémy o co chodzi, gdyż czarne i białe znamy z doświadczenia, jako dwie sprzeczności. Logika nie daje treści pojęć, nie uczy nas, co istnieje, a co nie istnieje, lecz daje tylko normy prawidłowego myślenia o materyale, z pewnego źródła zaczerpniętym, nie orzekając nic o jakości tego materyału i o wiarogodności źródła. Wszak można np. powiedzieć, *centaur nie jest meduzą*, i snuć zupełnie prawidłowe logiczne twierdzenia i sylogizmy o centaurach i meduzach, z których jednak byłoby niedorzecznością wyprowadzać *pewne* o tych zmyślonych istotach wiadomości. Dla tego zasada Spinozy o tożsamości myślenia i bytu *(ordo idearum et ordo rerum)* jest błędną, a z twierdzenia: *byt jest*, niepodobna wysnuć ani rzeczywistości tego bytu, o którym mowa, ani jego własności, co jednak czyni Spinoza, podo-

bny w tym punkcie do Eleatów i do scholastyków, którzy tak samo gramatycznie i logicznie, to jest za pomocą deklinacyi i konjugacyi wyrazów: *byt* i *być*, dowodzili istnienia Boga (dowód ontologiczny). Spinoza powiada, że przecię w geometryi twierdzenia dają się wysnuć a priori z saméj idei np. trójkąta, ale przytém zapomina, że geometrya, przy pomocy wyobraźni, pozwala *kreślić figury*, na których mamy możność wypróbować i sprawdzić nasze wywody logiczne: nic podobnego nie bywa przy apryorystycznych rozumowaniach o prawdziwym bycie. To jest właśnie kardynalny zarzut przeciwko metafizyce Spinozy i tych wszystkich, którzy a priori chcą dojść do wykrycia prawd: zarzut to niezbity, niepozostawiający żadnéj nadziei apryorystycznym wywodom. Co innego, gdy chodzi o *samowiedzę wewnętrzną*, w któréj przedmiot jest zarazem podmiotem: dla tego punkt wyjścia filozofii Kartezyusza—*cogito, ergo sum*, jest niewątpliwie doskonalszym i wyższym, niż logiczne twierdzenie Eleatów i Spinozy.

Opierając się na swoim logicznym aksyomacie, Spinoza wyprowadza określenia owego *bytu* głównie negacyjne, przeczące, tak że w końcu owa substancya staje się niejako powszechném zaprzeczeniem, negacyą, choćby już dla tego, że, według samego Spinozy, wszelkie określenie jest negacyą *(omnis determinatio est negatio)*. Uznając więc tę powszechną substancyą Spinozy, wypadałoby chyba zarzucić wszelkie jéj określenia, dać pokój wszelkim o niéj rozumowaniom i pogrążyć się tylko w abstrakcyjnéj kontemplacyi bez słów i myśli, w mistycznym zachwycie. Ślady mistycyzmu, przypominające starożytnego Plotynusa i Jakóba Böhma, istotnie wykryliśmy u Spinozy (22), a daléj od jego substancyi, czyli istotnego bytu, już tylko krok jeden do powszechnéj negacyi, do nirwany budystów i „nieświadoméj potęgi" Hartmanna. Wszelka indywidualność tonie w metafizycznym panteizmie Spinozy, a więc także niemasz rękojmi i dla indywidualnych naszych rozumowań.

Nakoniec widzieliśmy, że stosunek *atrybutów* i *postaci* (modi) do substancyi jest ciemny i niepojęty. Dla czego to my dostrzegamy dwa, tak odmienne atrybuta substancyi, jak myślenie i rozciągłość, skoro ta dwoistość w saméj substancyi nie istnieje? Dla czego to myślenie i rozciągłość są tak różne i nawet ze sobą sprzeczne, skoro nie oddziaływają na siebie, lecz jedynie zostają w har-

---

(22) Patrz wyżej str. 56.

monii, w równoległości? Zkąd pochodzą i jaką mają racyą bytu ułudne zmysłowe zjawiska czyli postaci (modi)? Prawo logiczne: A = A *(byt jest)* oznacza wprawdzie, że proces zmian jest *niepojętym*, ale nie orzeka, że takowy jest *niemożliwym;* doświadczenie zaś stawia nam ciągle ten proces zmian przed oczyma. Potrzeba więc nie odrzucać go, jak idealiści, ale wytłómaczyć, jak np. matematyka tłómaczy ilości ujemne i urojone. Proces zmian *(genesis*, ów niebyt zmysłowy) jest, bądź co bądź, *danym:* trzeba go więc objaśnić na mocy warunków, w skład jego niewchodzących, a jeżeli ten proces istotnie (co niewiadomo) nie należy do prawdziwego bytu, to zawsze niewątpliwie musi z niego wypływać, i ten właśnie stosunek obojga powinien być wyjaśniony przez filozofią, mającą pretensyą do rozwiązania zagadki wszechbytu. Nie uczynił tego jednak Spinoza, podobnie jak nie uczynił żaden inny filozof, a odwieczna odmienność atrybutów myślenia i rozciągłości w doktrynie Spinozy—odmienność, wynikająca niepojętym dla nas sposobem z natury jednakowéj i nieodmiennéj substancyi—nie jest niczém innem, jak zamaskowanym starym dualizmem, którego zmora wychyla się i z pod powijaków uniwersalnego monizmu Spinozy.

Teraz jeszcze słów kilka o właściwościach etycznych i politycznych pojęć Spinozy. W etyce, jak widzieliśmy, panują u Spinozy dwa zasadnicze pojęcia: panowanie konieczności w postępkach człowieka, wyłączające swobodę woli, i wyprowadzanie cnoty z pożytku. Brak swobodnéj woli i egoizm, jako źródło moralności, a w polityce ten sam egoizm, w obec którego prawem jest siła—poglądy to, na pozór wspólne z materyalistami, ale jednak, w dalszym rozwoju, znacznie różniące się od nauki bezwzględnych materyalistów i zwolenników walki o byt.

Tak po pierwsze, co się tyczy kwestyi swobodnéj woli, nie jest to bynajmniéj kwestya téj natury, ażeby zaprzeczenie swobody woli było koniecznie wynikiem teoryi materyalistycznéj, a jéj uznanie—nieodłącznem od filozofii idealistycznéj, albo nawet i od religii. Przeciwnie, historya téj kwestyi wykazuje nam dowodnie, że może żadne inne zadanie filozoficzne nie było tyle podawaném w wątpliwość i atakowaném ważnemi argumentami, właśnie najwięcéj ze strony idealizmu i religii. Filozofia idealistyczna, uznając powszechną przyczynowość, a postępki ludzkie za wypływy charakteru, daleko więcéj ma argumentów przeciwko wolnéj woli, niżli na jéj korzyść; podobnież religia, wychodząc z pojęcia o wszechmocy Boga i o łasce boskiéj, wydała nieprzychylne swobodzie woli poglądy, które znajdujemy u św. Augustyna i w teologii protestanckiéj. Kościół katolicki potępił nawet zbyt bezwględne pojęcie

o wolnéj woli, wyrażone przez Pelagiusza; sam jednak zaszedł daléj na drodze uznania swobody ludzkiéj niż kościół ewangielicki i uznał takową swobodę w zasadzie, z pewnemi wszelako ograniczeniami. Co się tyczy filozofii idealistycznéj, ta pozostawiła kwestyą swobody woli dotychczas nierozstrzygniętą, pomimo kompromisu Leibnica, według którego przyczyny działają na wolę ludzką w sposób *nakłaniający*, nie zaś *zmuszający*, i pomimo teoryi Kanta o swobodzie człowieka transcedentalnéj, jako obywatela innego świata (23). W ogóle jednak daleko więcéj jest argumentów rozumowych przeciwko swobodzie woli niż na jéj korzyść, i według naszego zdania, ta swoboda dla tego jeszcze nie ma powodu obawiać się zupełnego zniweczenia przez filozofią, że owe argumenta są zbyt apriorystyczne; *charakter* człowieka nie jest to coś tak ściśle dającego się określić, ażeby z téj ścisłéj przyczyny wypływały ścisłe skutki—postępki ludzkie, jak *x* z równania algebraicznego. Nic bez przyczyny nie bywa—tak mówi logika, ale w objawach działalności duchowéj człowieka, niedość jeszcze zbadanéj i niedającéj ująć się w formuły apriorystyczne, mogą działać przyczyny, nieznane i nieprzystępne zarówno dla materyalizmu, jak i dla idealistycznéj filozofii. Wiadomo zresztą, że żywotne interesa społeczeństwa wymagają uznania swobody woli, bez któréj niemasz odpowiedzialności, a nawet świadomego działania; nadto, powszechny prawie głos ludzkości wypowiada swoje wewnętrzne przekonanie na korzyść swobody woli, a może to właśnie jest kwestya tego rodzaju, która może być rozstrzygniętą nie rozumowaniem filozofów, ale jedynie drogą wewnętrznéj, bezpośredniéj intuicyi, któréj niepodobna ująć w formułki filozoficzne. Nakoniec, dzieje rozwoju ludzkości świadczą, że do najwyższéj cywilizacyi doszły właśnie narody, uznające swobodę woli; inne zaś, przeciwnie, zatraciwszy wiarę w swobodę woli, wpadły w nieruchomy kwietyzm, nieodłączny od fatalizmu (chińczycy, indusi, turcy).

Co się tyczy materyalizmu, rzeczą jest godną uwagi, że starożytny materyalizm Greków bynajmniéj nie odrzucał swobody woli, lecz, przeciwnie, uznawał ją w całéj bezwzględności. Naród grecki, przeznaczony do wielkiéj roli cywilizacyjnéj, która byłaby niemożliwą przy wierze w fatalizm, odpychał ze wstrętem tę wiarę, a choć znajdujemy ją u kilku poetów, było to tylko odgłosem religij-

---

(23) Wszystkie główniejsze poglądy na swobodę woli z wyczerpującą gruntownością i niezwykłą jasnością są zestawione w dziele J. B. Meyera Philosophische Zeitfragen. Bonn. 1870. VIII Kapitel, Der Wille und seine Freiheit (str. 205—276). W tłómaczeniu polskiém tegoż dzieła (staraniem redakcyi Gazety Polskiéj 1873). str. 241—324.

no-filozoficznych, na gruncie mytologii wzrosłych spekulacyj. Materyalizm Demokryta nie niweczył swobody woli, jak nie niweczy jéj nowszy atomizm. Chociaż bowiem, podług téj doktryny, tak zwane czynności duchowe są objawami materyi, od któréj duch nie różni się wcale; ale jak atomy materyi *niewiadomym* dla nas sposobem wytwarzają myślenie, tak samo téż same atomy, również *niepojętym* dla nas sposobem, mogą wytworzyć swobodną wolę. Tylko *piérwszy* ruch atomów, wytwarzający wolę, musi od pewnych koniecznych praw zależéć, ale używanie dalsze raz wytworzonéj woli może być całkiem dowolne: uczy nas tego i doświadczenie, gdyż przedmiot materyalny nie może znajdować się jednocześnie i na prawo i na lewo, ale myśl i wola mogą jednocześnie przybiérać rozmaite kierunki i odbywać ruchy, od czasu i przestrzeni niezależne.

Bynajmniéj więc atomizm materyalny nie znosi z zasady wolności woli; nie widzimy téż, dla czego materyalizm nowoczesny, w gruncie nieróżny od starożytnego, miałby koniecznie za brakiem wolnéj woli obstawać.

Z tego, cośmy powiedzieli, jest widocznėm, że zdanie Spinozy o braku swobody woli nie jest materyalistycznėm. Powołując się na to, co powiedziane przy streszczeniu etyki Spinozy, przypomnijmy sobie, że brak swobody indywidualnéj jest koniecznym wynikiem jego metafizyki, nieuznającéj *indywidualnego* bytu; owszem, pod pewnym względem, Spinoza uznaje *swobodę*, tylko zmienia jéj nazwę na *konieczność*. Przejście jest tu logiczne: *swobodą* nazywamy *bezprzyczynowość*—to co jest własną przyczyną, a że bezprzyczynowém może być to tylko, co jest ostateczną przyczyną wszechrzeczy, a zatém samo jest czémś bezwarunkowém, koniecznėm, niezbędném, przeto tak zwana *swoboda* ludzka jest *koniecznością*—wypływem ostatecznéj przyczyny, to jest konieczności, w naturze substancyi boskiéj tkwiącéj. Tak więc ów brak swobody u Spinozy jest koniecznością *rozumną*, z najwyższego rozumu wypływającą, nie zaś głuchą i ślepą koniecznością mechaniczną, niewiadomo zkąd powstałą i przez nikogo nie postanowioną, jak u materyalistów nowożytnych. W tym więc punkcie Spinoza stoi wyżéj: istotną swobodę stanowi rozum, i im człowiek jest rozumniejszym, im więcéj pojmuje substancyą boską, tém staje się swobodniejszym w znaczeniu owéj koniecznéj, boskiéj swobody. Występki i wykroczenia są wynikiem nieświadomości; tak i dla Sokratesa wiedza i cnota—to jedno. Zaprzeczenie więc swobody jest u Spinozy raczéj tylko *teoretyczne*, gdyż związek z rozumem boskim—z substancyą—usuwa szkodliwe *praktyczne* wyniki teoryi nieodpowiedzialności. Przy nale-

żytém pojmowaniu, doktryna Spinozy prowadzi nawet na wyżyny etyki chrześciańskiéj, która każe oświecać ciemnych, ubolewa nad złymi, gdyż „nie wiedzą co czynią“ i zamiast potępienia zaleca pobłażliwość słowami Chrystusa: „kto bez grzechu, niech rzuci pierwszy kamień“.

Zupełnie tak samo, jak brak swobody woli, idea bóstwa uszlachetnia i podnosi *egoizm*, będący podstawą moralności u Spinozy. Widzieliśmy, że najwyższy egoizm, według Spinozy, jest to dążność do utrzymania się na wysokości boskiego rozumu, jest to dogadzanie miłości boskiéj, która jest najwyższą namiętnością. I tu więc, pomimo pozornego podobieństwa, Spinoza wznosi się nieskończenie wyżéj nad niedokładne bardzo pojęcie *altruizmu* materyalistów i pozytywistów, którzy jedynie dla tego radzą czynić dobrze ludziom, ażeby i nam dobrze się działo: prawidło chwiejne, pozbawione wyższego regulatora. Spinoza, jak mówiliśmy wyżéj, zna także ów altruizm, ale wyżéj nad niego, jako podstawę, a zarazem i uzupełnienie, stawia kontemplacyą bóstwa — nawpół mistyczny zachwyt, który jest zarazem najwyższym wyrazem egoizmu, najwyższą cnotą i nagrodą.

Nakoniec ten sam egoizm w społeczeństwie jest, podług Spinozy, źródłem prawa, które jest w gruncie siłą. Rozmaite poglądy na początek prawa naturalnego i społeczeństwa, wypowiadane przez filozofów, tak bardzo różnią się pomiędzy sobą dla tego, jak mniemamy, że myśliciele mięszali często obraz tego, *co jest*, czyli dane faktyczne z tém, *co być powinno*, czyli z ideałem według swych pojęć wytworzonym i nakoniec z faktami *historycznego rozwoju* pewnych główniejszych, lub więcéj nam znanych społeczeństw. Starożytni uważali prawo naturalne za wynik odwiecznéj, wrodzonéj człowiekowi sprawiedliwości, a organizacyą polityczną—za najwyższy wykwit ludzkiego rozumu, a więc za rzecz najwyższéj wewnętrznéj wartości: oni to więc ideał uważali za wcielony w rzeczywistości. Spinoza, który pierwszy, po częściowych próbach myślicieli średniowiecznych, zajął się szczegółowo témi kwestyami, istotny fakt walki siły z prawem położył w osnowie swojéj teoryi i, ażeby pogodzić siłę z prawem, kazał wszystkim społeczeństwom rozwijać się na mocy umowy, kontraktu, chociaż przecię wiele państw, jeśli nawet nie wszystkie, powstało drogą naturalnego rozwoju z *rodziny*. Spinoza był więc pierwszym twórcą zdania o *prawie*, jako o *sile*, *walki o byt* i bardzo prozaicznego, od przesadzonych wyobrażeń starożytności nieskończenie niższego pojęcia o państwie, jako o organizacyi wyłącznie policyjnéj, utrzymującéj na wodzy namiętności i powściągającéj walkę o byt. Hobbes i Rousseau (ten ostatni z pewne-

mi zmianami w poglądach na *stan natury*) rozwinęli również ideę kontraktu społecznego, a inni myśliciele, kolejno według ustalonego *ideału*, dawali określenia rzeczywistego społeczeństwa, już to jako związku, opartego nie na egoizmie, ale przeciwnie, na miłości i sympatyi (Locke), albo na poczuciu bezwarunkowéj sprawiedliwości (A. Smith), albo i na egoizmie i na sympatyi potroszę (Fergusson); już to, wskrzeszając poglądy starożytnych, uznawali związek społeczny za wcielenie rozumu (Clarke, Hegel), już to opiérali go na wzajemnych ustępstwach w obec idei obowiązku (Kant) i t. d. (24).

Spinoza więc *fakt rzeczywisty* walki o byt podniósł do znaczenia *teoryi*, nie uczynił jéj jednak *ideałem*, ani téż nie uznał za *stan normalny* społeczeństwa, ale zrobił ją tylko *punktem wyjścia*—pierwszém stadyum w historycznym rozwoju *każdego* społeczeństwa. Popełnił więc ten błąd, o którym wspomnieliśmy powyżéj, gdyż niewszystkie społeczeństwa powstały tą drogą; ale ustrzegł się fatalnéj przesady, w którą wpadli niektórzy nowsi zwolennicy Darwina, *plus royalistes que le roi*, uważający walkę o byt jako stan normalny ludzkości (p. Klemencya Royer). U Spinozy jest to tylko piérwsze stadyum rozwoju społecznego, stadyum wadliwe, niebawem zmodyfikowane, a raczéj zupełnie zniweczone panowaniem rozumu. Tu więc znowu widzimy głęboką różnicę poglądu Spinozy od poglądu nowożytnych zwolenników walki o byt — różnicę na korzyść naszego filozofa, którego przeto krańcowi darwiniści nie mają prawa i w tym punkcie uważać za swego patrona. Przeciwko zdegradowaniu państwa do roli czysto policyjnéj, tak sprzecznemu z przekazanemi przez starożytność wzniosłemi pojęciami o państwie, wypowiedziano wiele zarzutów, których tu powtarzać nie będziemy. Wszelako, zdaje się, że niesłusznie zarzucano tę jednostronność Spinozie, gdyż, bądź co bądź, *ultima ratio* państwa, zabezpieczająca wszelkie prawa i cywilne i polityczne, jest *siła* czyli *przymus*: siły używa państwo nietylko dla powściągnięcia morderstw, kradzieży i w ogóle bezpieczeństwa publicznego, ale także i dla zabezpieczenia spokojnego używania wszelkiego rodzaju praw przez jego członków. Zgodnie ze swojém pojęciem o państwie, Spinoza, jak widzieliśmy, nie przypisuje mu wielkich moralnych i cywilizatorskich celów, pozostawiając to wszyst-

---

(24) Gruntowne przedstawienie wszystkich głównych systematów filozofii społecznéj można znaleść w wyborném zawsze jeszcze dziele Paul Janet Histoire de la Philosophie politique. Paris 1861. Tom I obejmuje starożytność, tom II — wieki średnie i czasy nowożytne. Dzieło to, ze wszech miar zasługujące na przekład polski, jest u nas prawie nieznaném.

ko jednostkom, na zasadach etyki, niedawno wyłuszczonéj, a to co mówi o sferze działań, dla państwa nieprzystępnéj (patrz wyżéj str. 58) chlubnie świadczy, że Spinoza potrafił przeczuć wymagania nowoczesnego liberalizmu i uwalnia go od zarzutu tendencyi zbyt absolutystycznéj, którą z większą słusznością można zarzucić spółczesnemu Hobbesowi. Nakoniec wypada i na to zwrócić uwagę, że chociaż z przytoczonego powyżéj zdania Spinozy, iż państwo ma tém więcéj praw, im jest silniejsze (25), możnaby niejako wnosić, że filozof istotnie sankcyonuje *walkę o byt*, to jednak oprócz tego, iż ten wniosek jest raczéj teoretycznym wywodem z idei przelewu siły i prawa na społeczeństwo przez jego członków, zachodzi jeszcze ta ważna okoliczność, że zakres doskonalenia się moralnego jednostek, nieskończenie wyższy niż zakres działalności państwowéj, stanowi tu przeciwwagę i hamulec: możnaby więc, co najwyżéj, przypuścić, że Spinoza uznaje prawo mocniejszego i walkę o byt, ale *pomiędzy państwami*; pozostawiając jednak członkom, składającym państwo, możność, a nawet *obowiązek* hamowania téj walki i ostatecznie jéj udaremnienia w skutek zbliżania się do wyłącznego panowania rozumu czyli substancyi boskiéj.

Teraz to właśnie, ukończywszy krótką ocenę wszystkich części filozofii Spinozy, możemy powrócić do postawionego wyżéj pytania: czy nazwa Boga, którą dał Spinoza swojéj substancyi, jest tylko czczém brzmieniem, czy mógł on poprzestać na dawnych nazwach metafizycznych *prawdziwego bytu*, *natury rzeczy*, *absolutu* i t. p., czy w saméj rzeczy czcza ta nazwa mogłaby być zastąpioną, według zacytowanego powyżéj poglądu, wyrazem „materya” czy istotnie Bóg u Spinozy „jest całkiem niepotrzebny”? (26).

Odpowiedź na to pytanie, zupełnie przeczącą, daliśmy już właściwie samą oceną. Powyższy rozbiór cech monizmu Spinozy wykazał, jak mniemamy, stanowczo, że monizm materyalistyczny w gruncie jest zupełnie różny od monizmu Spinozy dla tego właśnie, że materyalizm obchodzi się bez Boga; następna zaś ocena etyki i polityki Spinozy, a głównie punktów zasadniczych, na pozór zgodnych z poglądami materyalizmu, dowodnie nam wykazała, że zgodność ta

---

(25) Patrz wyżéj str. 58.

(26) Art. B. B. Spinoza w Gazecie Polskiéj 1877 r. Nr. 43. Zarzut, który tamże czytamy poniżéj, że „Bóg Spinozy bawi się sam z sobą“ tyczy się już owéj rdzennéj sprzeczności *metafizycznéj*, o któréj mówiliśmy tyle razy (głównie na str. 67 i 68).

jest tylko pozorna i że tu znowu głęboką różnicę stanowi idea Boga, od któréj wszystko u Spinozy rozpoczyna się i na któréj wszystko się kończy. Więc chyba ta nazwa nie jest synonimem materyi, nie jest czczym metafizycznym terminem. Możnaby chyba tylko postawić pytanie w tym kształcie: czy Spinoza mógłby się był obejść bez nazwy i idei Boga? Zapewne, że byłby mógł, gdyby chciał być materyalistą i ateuszem, ale taka jak jest, filozofia Spinozy nie może obejść się bez Boga, gdyż ta właśnie idea nadaje najwięcéj wielkości jego nauce. Spinoza nie chciał obejść się bez Boga, nie chciał być ateuszem, za jakiego fałszywie go wystawiano: nie poprzestał więc na pojęciu suchego abstrakcyjnego absolutu, ale utożsamił go z ideą Boga, *jako wrodzoną*, od któréj nie mógł uwolnić się syn Izraela, choć nie utrzymujemy, że byłby od niéj się uwolnił, gdyby nie był żydem z pochodzenia. Zużytkowanie wrodzonéj idei Boga miało jeszcze u Spinozy silniejsze od mozaicznych reminiscencyj pobudki, a mianowicie *pobudki moralne*. Przepisy i poglądy o zbliżeniu się do Boga, o przejęciu się miłością boską i t. d., jako najwyższe cele moralne, nie miałyby żadnéj wartości, gdyby tu była mowa o suchéj abstrakcyi wszechbytu, o powszechnéj materyi, albo atomach. Któżby to mógł przejąć się miłością oderwanéj idei, albo atomów, i pogrążyć się z rozkoszą w ich kontemplacyi? Filozofia moralna Spinozy stanowi, zdaniem naszém, najlepszą część i koronę jego systematu, któréj niepodobna zarzucić nic przewrotnego, żadnych szkodliwych dążności: jest to może jedyny w dziejach rozwoju myśli ludzkiéj szczytny i wzniosły system moralności, niezależnéj od żadnéj z istniejących religij, a jednak w gruncie zależnéj zupełnie właśnie od idei Boga, bez któréj cały ten system, jako pozbawiony podstawy, byłby rozsypał się w gruzy. Etyka jest głównym punktem, do którego ciąży filozofia Spinozy i oto dla czego główne swe dzieło filozof nazwał Etyką. Idea Boga stanowi całą jéj wielkość i nadaje jéj wartość, chociaż nie bez słuszności zarzucają, że ten Bóg Spinozy nie jest osobistym, a gdyby był takim, etyka jego niewątpliwie zyskałaby na praktyczności i przystępności, chociaż wtedy utraciłaby swą łączność z metafizyką, która musiałaby upaść, lub przybrać zupełnie inną postać. Co do nas, uznając wartość etyki Spinozy i słabość jego metafizyki, tém samém już przyznajemy, że ta łączność obojga nie jest rzeczą bezwarunkowo niezbędną. Tak więc, ostatecznie, system Spinozy jest absolutnym racyonalizmem, ale przesiąkłym na wskróś ideą Boga, co czyni jego naukę, metafizycznym i moralnym panteizmem.

Wytknięte powyżej błędy i sprzeczności metafizyki Spinozy nie uwłaczają zresztą wartości jego doktryny, gdyż te błędy i sprzecz-

ności dotyczą rdzenia kwestyj filozoficznych, dotychczas jeszcze przez myślicieli nierozstrzygniętych i których rozstrzygnięcie od czasów Kanta uważamy nawet za niemożliwe. Gdyby nie było tych błędów i sprzeczności, teorya Spinozy byłaby doskonałą, byłaby zjednoczeniem wiedzy i religii, ostatecznėm rozwiązaniem zagadki wszechbytu, a takiej teoryi nie dał nam jeszcze żaden myśliciel i wątpliwą jest rzeczą, czy da nam ją ktobądź w przyszłości, a najmniėj, jak wykazaliśmy, można spodziewać się tego na drodze apriorystycznėj. Widzimy tylko, że ta lub owa teorya nie jest tém, czego nam potrzeba, i łatwiėj potrafimy wykazać braki, aniżeli im zaradzić: sprawdza się tu na wielką skalę, literacka maxyma francuzów „la critique est aisée mais l'art est difficile“ (27).

Bogactwo i obfitość kwestyi, o które musieliśmy potrącać w ciągu niniejszėj pracy, sięgając nieraz i w starożytność i w czasy późniejsze, przywołując i poprzedników i następców Spinozy, wraz z samym wykładem jego systemu, wskazują, że teorya Spinozy jest *uniwersalną*, jest całkowitym systemem ogólnym, piérwszym tego rodzaju od czasów Platona. Filozof nasz nie pominął tu niczego prawie i wszystkie części swéj nauki związał nicią logiczną, o ile to się dało, w obec ułomności rozumu ludzkiego i trudności zadań. Nauka Spinozy jest to niejako ostateczny wysiłek rozumu i przytém rozumu *najtrzeźwiejszego*. Zupełne prawie pominięcie nauk przyrodniczych z ich wynikami i danych empirycznėj psychologii mniėj ciężkim będzie zarzutem, jeśli zważymy, że wówczas te badania i wyniki prawie jeszcze nie istniały, a sam Spinoza takowemi nie zajmował się wcale (28).

---

(27) O zadaniach i niemocy filozofii czytelnik znajdzie wiele jasnych i gruntownych poglądów w artykule p. Goldberga „Filozofia i wiedza“ (Ateneum, Marzec 1877). Mniemamy tylko, że autor czasem zbyt lekceważy zasługi filozofii, która jeśli niezawsze nauczyła myśl ludzką, *co* ma być jėj treścią, to jednak wskazała *jak* myślėć o wszystkich rzeczach i we wszystkich niemal kierunkach i wyplastowała na swém łonie prawie wszystkie umiejętności, które teraz chcą podzielić się jéj puścizną i odpłacają swéj plastunce niewdzięcznością. Co do ostatniego wniosku autora, że *filozofia jest poezyą*, najlepiéj będzie, gdy czytelnik wyda sąd o tém, zestawiwszy to, co mówi autor, z temi wiadomościami, które znajdują się w niniejszéj pracy.

(28) P. Straszewski, we wzmiankowanym już powyżéj artykule (Bibl. Warsz. 1877 Marzec str. 327), widzi w *teoryi Kopernika i odkryciach Kolumba* czynniki poglądów panteistycznych, gdyż „świat w ten sposób rozszerzył nagle dla człowieka granice swoje bez końca i t. d. i umysł ludzki zapomniał o sobie, a pojąwszy cały wszechświat i całą naturę, jako nieskończoną i doskonałą w sobie jedność, tém samém stanął na pantei-

Teorya Spinozy jest wzorem *gimnastyki rozumowéj*, ogarniającéj wszystkie kwestye, dochodzącéj częstokroć do ostatecznych granic, a w innych znowu kwestyach łagodzącéj i łączącéj poglądy krańcowe, jak to w szczegółowéj krytyce wykazano. Miała téż ona znaczny wpływ na teorye myślicieli z końca XVIII i początku bieżącego wieku, zwłaszcza na doktrynę Hegla i Szellinga, którzy przeważnie brali od Spinozy wskazówki, jak należy myśléć o prawdziwym bycie, czyli o absolucie. Z powodu jednak, że sięga najwyższych szczytów abstrakcyi, nauka Spinozy nie była nigdy popularną i rzadko była należycie zrozumianą, sądzona zwykle z wyrwanych pojedyńczo luźnych poglądów i twierdzeń. Tak jedni, zasłyszawszy, że Spinoza nie uznaje Boga osobowego, pospieszyli obwołać go sumarycznie za ateusza; drudzy, słysząc, że Spinoza wszystko nazywa Bogiem, uznali go za panteistę, nie badając bliżéj natury tego panteizmu; inni wreszcie, dowiedziawszy się o monizmie Spinozy, o jego poglądzie na przyczynowość, na wolną wolę, egoizm i prawo, obwołali go za materyalistę. Ten ostatni pogląd, jako wiążący filozofią Spinozy z interesami obecnego ruchu myśli, jest dla nas najważniejszym i dla tego raz jeszcze zwracamy uwagę czytelników na powyższy szczegółowy rozbiór owych punktów stycznych materyalizmu i filozofii Spinozy i na wykazany tam brak wszelkiego powinowactwa obu tych kierunków. Dzisiejsi zwolennicy „siły jako prawa“, przeważnie Niemcy, uczuli teraz nagle wielkie nabożeństwo do Spinozy, znalazłszy u niego to określenie, ale mylą się nieco i oni, jak to również usiłowaliśmy wykazać.

---

stycznem stanowisku“. Wyznajemy, że to rozumowanie mało nam trafia do przekonania a nawet mocno wątpimy, czy odkrycie Ameryki i wykazanie ruchu ziemi mogły w czémkolwiek wpłynąć na pojęcia panteistyczne, znane przed wiekami, a więc i przed Kolumbem i przed Kopernikiem. Zresztą, nie zdaje się nam nawet, ażeby odkrycie Ameryki, to jest dokładniejsze zbadanie kuli ziemskiéj, tak bardzo *rozszerzyło granice świata bez końca*, którego to rozszerzenia nie sprawiła, jak się zdaje, i zamiana uznawanego dawniéj ruchu słońca na ruch ziemi, gdyż samo słońce, jak i sama ziemia, niezliczone gwiazdy, planety i światy *bez końca* były przecież już od wieków dostrzegane i znane, niezależnie od kwestyi, które z ciał niebieskich około którego krąży. Praca p. Straszewskiego ukończoną została w zeszycie majowym, już po napisaniu niniejszego artykułu; wtedy téż także pojawiło się studyum o Spinozie p. Kaszewskiego w I tomie Kwartalnika Kłosów. Z innych pism naszych czasowych, oprócz Gazety Polskiéj, jubileusz Spinozy uczciły mniéj lub więcéj wyczerpującemi artykułami jeszcze tylko Kłosy i Tygodnik Mód. W końcu muszę dodać, że w opracowaniu niniejszego studyum *jak najmniéj* korzystałem z *cudzych komentarzy* na których dziełom Spinozy nie zbywa. Możnaby z nich ułożyć grube kompilacye, ale można także zabłąkać się w tym lesie i czytelników zaplątać w chaos. Dla tego to zbywa niniejszéj mojéj pracy na gęstych imponujących cytatach

Błąkają się i u nas pojedyncze zdania i poglądy Spinozy, którym, jako wyrwanym z organicznego związku całości, łatwo nadać rozmaitą postać i sens sprzeczny. W celu więc ułatwienia poglądu na naukę myśliciela, którego imię, teraz zwłaszcza, w roku jubileuszowym Spinozy, błąka się na wielu ustach, a także w przekonaniu, że wielcy myśliciele, pomimo swych błędów, stanowią chlubę i trwałą ozdobę ludzkości, podjęliśmy niniejszą pracę i składamy ją w hołdzie, jako dar jubileuszowy, pamięci zapomnianego myśliciela z Hagi.

POSTRZELONA.

POWIEŚĆ

Williama Black'a

przekład

MARYI FALEŃSKIÉJ

(Dokończenie)

ROZDZIAŁ XV.

Napis grobowy.

Pani Warrener weszła do pokoju z wyrazem strudzenia na wybladłéj twarzy. Ubrana była w grubą żałobę, którą nosiła po stracie Violetty. Gdy ujrzała tego młodzieńca przed sobą, doznała chwilowo silnego wzruszenia; — obecność jego przypomniała jéj natychmiast, w jak odmiennych okolicznościach widziała go po raz ostatni.

Nie tłómaczył się przed nią wcale z tak spóźnionych swoich odwiédzin; uważał za niewłaściwą w téj chwili wszelką wzmiankę, dotyczącą osobistych jego z nimi stosunków. Powiedział tylko, ile mu przykrą była wiadomość o chorobie jéj brata, i zapytał, jak się ma teraz?

— Chciéj usiąść, panie Miller, rzekła, wskazując mu krzesło, biédna kobiecina, w któréj oczach odbijał się dręczący ją niepokój. Nic się w jego stanie nie zmieniło temi dniami. Bardzo jest osłabiony; ale doktór powiada, że musiał miéć dotąd zdrowie wyborne, i dla tego natura dzielnie w nim walczy z chorobą. Wszystkiego się tego nabawił temi nocnemi przechadzkami; a zaradzić temu nie można było w żaden sposób.

— Ale ma się rozumiéć, że stan jego nie jest niebezpieczny? zapytał Jerzy.

— Nie zdaje mi się, aby tak było, odpowiedziała. Sądziłabym raczéj, że choroba przesilać się poczyna i cokolwiek ustępuje; ale umysł jego po większéj części błąka się jeszcze wśród gorączko-

wych przywidzeń. O, tak; niejedno na złe się dla nas zmieniło, panie Miller, odkąd widzieliśmy się z sobą.

Mówiąc to westchnęła; a nietylko o bracie swoim myślała w téj chwili.

— To prawda, odpowiedział, cokolwiek zakłopotany obawą, aby nie poczęła mówić o Violecie.

— Od bardzo niedawna dopiéro—ciągnęła daléj—miałam sposobność odkryć.... ale może na nic się przyda już dzisiaj o tém wspominać. Cóż nam ztąd przyjdzie, jeśli mówić będziemy o tém, coby stać się mogło, gdyby śmierć nie była zabrała naszéj Violetty? Kiedyś, wiele mi przykrości sprawiało to wasze poróżnienie się. Widziałam, ile ją téż ono zasmucało. Teraz, już jest w spokoju....

— Nie chciałbym, przerwał jéj, odrywać panią dłużéj od zajęć, jakie masz na każdą chwilę przy chorym bracie.

— Nie jestem mu na teraz potrzebną, odpowiedziała, cokolwiek rada z widoku człowieka, wiążącego ją poniekąd ze szczęśliwszą przeszłością.—Posłałam służącę do jego pokoju. Była tu także dzisiaj lady North. Zdaje się, że utracili już wszelką nadzieję odszukania zwłok biédnéj Violetty. Ach! gdyby ona była przy życiu, wiém ja dobrze, gdzieby się chciała znajdować w téj chwili. A jak téż ciągle rozprawia o niéj mój brat w swych błędnych rojeniach,—jak ją wszędzie widzi i wiąże z każdym przedmiotem! O, wielką popełniłam ja w tém wszystkiém pomyłkę; nie przypuszczałam nigdy, aby jego przywiązanie do tego dziewczęcia przekraczało granice przyjaźni;—ale, gdyby nawet była dziś przy życiu Violetta, na cóżby się to przydało? To mię boli dla niéj najbardziéj, że nie nastąpiła zgoda pomiędzy wami przed tym smutnym jéj końcem.

Podczas, gdy mówiła, że wié, gdzieby chciała być Violetta w téj godzinie, gdyby jeszcze żyła, przejmowało Millera dziwne uczucie niepokoju. Zdawało mu się, że może ona nasłuchuje właśnie pod oknem ich rozmowy, w swéj niecierpliwéj żądzy dowiedzenia się prędzéj czegośkolwiek o chorym. Gdyby kto wtedy do drzwi był zastukał, podbiégłby pewnie ku nim, wołając: To Violetta!

— Czy nie mógłbym zobaczyć go, choćby na chwilkę? rzekł, postanowiwszy w zupełności wykonać to, co mu zostało zleconém.

— I owszem, odpowiedziała; zaprowadzę tam pana zaraz. Ale nie spodziéwam, się aby cię potrafił poznać. Gorączkowy jego obłęd silniejszym był dzisiejszego wieczoru; tyle tylko polepszenia uważam, że osłabienie trochę się może zmniejszyło. Bądź pan łaskaw zostawić tu swój kapelusz; widok czarnego kapelusza zawsze mu

na myśl przywodzi ludzi, trudniących się urządzaniem pogrzebów, i zaraz o tych obrzędach rozprawiać poczyna.

Poszedł za nią do pokoju chorego, zkąd, za ich ukazaniem się, wyszła służąca. Bezpotrzebnie wysilał się na jak najcichsze stąpanie; wychudła postać, którą widział wyciągniętą na łóżku, nie zdawała się wcale spostrzegać jego obecności. Ale Jerzy zbliżył się do łóżka i, wziąwszy w swe dłonie jednę z tych rąk szczupłych i kościstych, rzekł:

— Cieszę się, panie Drummond, że ci jest już trochę lepiéj.

Nie widać było na tym chorym apatycznéj obojętności, ani odrętwienia, jakie nieraz bywa wywołane wyczerpaniem sił żywotnych. Policzki cokolwiek zapadłe, zarumieniało podniecenie, rozjaśniające także żywym blaskiem badawcze i niespokojne wejrzenie tych dużych oczu tak wyrazistych. Podczas gdy mówił Miller, uśmiéch swobodny pojawił się na wybladłych ustach chorego.

— Zdaje mi się, że jesteś Jerzym Millerem? rzekł, ciekawie wpatrując się w swego gościa.

— Tak jest; niewymownie ucieszyła mię wiadomość, że przebyłeś już pan najgorsze dni téj niemocy, odpowiedział młodzieniec, dobiérając wyrazów najbardziéj pokrzepiających na jakie mógł się zdobyć. Teraz, musisz się pan dźwignąć jak najprędzéj z tego łóżka i z domu za drzwi wyrzucić twoję chorobę.

— Dziwny miałem sen o tobie Millerze, rzekł Drummond, nie zważając, jak się zdawało, na tę dobrą radę;—było to zeszłéj nocy właśnie; śniło mi się o tobie i o twoich cygarach. Czy sobie przypominasz to olbrzymie cygaro, które zajmowało całą przestrzeń doliny, od Sydenham Hill, aż do Grove Park,—a tyś je dla tego tylko mógł w ręku utrzymać, że ci dopomagały promienie księżyca? Było to wtedy, kiedyśmy wszyscy z Violettą odbywali owę wyprawę do lodowców — a tyś powiadał że niczém Chamouny w porównaniu z niemi.

A czy wiész, że jest to morderstwo nogą zadeptać ogień w resztce cygara; gasić gwałtem to biédne czerwone oko co tam błyszczy, i znowu spogląda na ciebie, jakby cię o litość błagało, kiedy już myślałeś żeś zdławił jego płomień? — a ty znowu przygniatasz je nogą i zabijasz—powiédz sam, czyż nie jest to morderstwem? Takie sny bardzo są męczące; ale można po nich odpocząć sobie wałęsając się po wybrzeżu na przylądku; a tymczasem Jimmy łódź przyrządza i płyniemy tam gdzie mnóstwo przeróżnego ptastwa. Tylko wybiérać tu pomiędzy niém, co się komu spodoba: mew, nurów, czapli bez miary. Wszystka ta rzesza skrzydlata zrywa się gwarnie za naszém przybyciem. Do czegoby tu strzelić? Ot, weźmy sobie na cel

naprzykład tę oto dużą czaplę, co tam krąży w powietrzu nad nami. Ale cóż się znowu stało? Zanim padł strzał, ptak w wodę się zanurza z szybkością błyskawicy i przepada w niéj na wieczne czasy. Toń wygładza się po nad nim, i możesz teraz błąkać się przez nie wiedzieć ile dni po skałach, nic już ztamtąd nie dostrzeżesz; tylko słyszéć będziesz plusk fal nieustanny; one wiedzą o wszystkiém, ale tajemnicy swéj nie wydadzą. Straszliwa to rzecz, owo milczenie jakie panuje nad brzegiem morza, zaraz po piérwszych brzaskach zorzy, okropne ono sprawia wrażenie, wtedy gdy sam jeden tam stoisz, patrząc i wypatrując daremnie; — i tylko słysząc nieustające fal rozhowory.

Gdy to mówił, oczy jego gdzieś się błąkały w przestrzeni; ale w końcu, zwrócił znowu uwagę na swego gościa i zdał się chcieć zebrać myśli rozpierzchłe.

— Czemu nie siadasz, Jerzy? Saro, każ no wina mu podać; musi być przecię w domu.

— Dziękuję bardzo, odpowiedział Miller, nie mam teraz ochoty do wina. Trzebaby koniecznie, abyś się pan oswobodził od tych przywidzeń. Najlepiéj myśli od nich odwracać, o ile można. Spiesz się pan z wyzdrowieniem; już nie daleko do Bożego Narodzenia; trzeba się postarać o święta wesołe.

— Nie daleko, powiadasz? kto taki niedaleko? Czy ten wysoki blady człowiek, w białym całunie? To mi dopiéro towarzysz osobliwy do świątecznéj wycieczki; patrz, jaki on śniegiem przypruszony—idzie—idzie ciągle po przez nocną pomrokę.... a po jego przyjściu, gwiazdy tak samo milczą, jak morskie fale, i nie chcą wyjawić ci tajemnicy;—wołać możesz o to do nich, ile ci się spodoba i ręce ku nim wyciągać — na nic się to wszystko nie przyda...

Siostra zbliżyła się ku niemu i chłodną swą ręką dotknęła zlekka jego czoła.

— Nie trzeba, abyś więcéj mówił, Jamesie, rzekła; musisz teraz wypocząć cokolwiek.

Zwrócił się ku Jerzemu, którego nie zdawał się już teraz poznawać.

— Przebacz mi pan, rzekł, jeśli nadto byłem gadatliwy. Stara to u mnie przywara, dla któréj musisz być pobłażliwym. Był niegdyś ktoś, co lubił mię słuchać,—tak mi się przynajmniéj zdawało; — ale osoba ta odeszła gdzieś daleko; — obcych zaś ludzi może utrudzać moja wielomówność.

Zamilkł, to rzekłszy, ale na krótki czas tylko; albowiem owa ruchliwość wyobraźni, która, wtedy gdy był zdrów nawet, nastrę-

czała mu coraz nowe obrazy i przedmioty do rozumowań, tém się bardziéj wzmogła, w chorobliwym stanie jego dzisiejszym.

— Saro, rzekł znagła, musisz mi zaraz przeczytać ten napis grobowy — zdaje mi się, że jest tam coś niewłaściwego—pewien tego nawet jestem. Przykro mi, że ci ten trud zadaję—ale wiész dobrze, że muszę to wykończyć dzisiejszego wieczoru.

Nie chcąc mu się sprzeciwiać, wzięła ze stołu kawałek papieru, który kazał był poprzednio tam położyć. Był to napis pośmiertny, przeznaczony całemu rodowi wydawców. Czytała go półgłosem bratu, a on poprawiał od czasu do czasu jéj łacińską wymowę.

— Wiedziałem dobrze o tém, rzekł, jakby senno marząc, że wszystko tam nic warte. Co innego wcale miałem na myśli. Weź no Saro inną ćwiartkę papiéru i pióro, powiém ci zaraz co masz napisać.

— Jamesie; odłóżmy to lepiéj na późniéj, odpowiedziała mu łagodnie. Teraz musisz koniecznie trochę wypocząć.

— Potrzebuję na to kilku chwil zaledwie, mówił z naleganiem. Mam w głowie rzecz całą gotową. Wymarzyłem ją sobie we śnie;—bom dobrze wiedział, że tamto na nic się nie przyda.

— Odłóż to pan do jutra, prosił go także Miller, ale chory nie zdawał się słyszéć go wcale.

Pani Warrener zasiąść tedy musiała rada nie rada przed stolikiem, wziąwszy pióro w rękę.

— Cóż mam tedy napisać, Jamesie? rzekła.

— Oto jest napis jaki przygotowałem;—nie chcę aby był łaciński, gdyż zastanowiwszy się, wolę aby go mógł każdy przeczytać i zrozumiéć. Pisz teraz Saro, czy już jesteś gotowa?

— Tak jest, mój drogi.

Począł mówić:

„Te fale, które ją daleko od nas uniosły, nie były tak czyste, jak jéj czysta i prześliczna dusza“...

Poczekał chwilę, dopóki nie skreśliła tych wyrazów, a potém daléj ciągnął, wzrok trzymając w niéj utkwiony:

„A słodycz jéj ciemnych oczu tyle w około siebie łagodnego rozlewała spokoju, ile go daje ciemność nocy, kołyszącéj do snu biédne strudzone dzieci świata. Teraz, gdy jéj już nie ma, zdaje się niektórym z pomiędzy nas, że wraz z nią odeszło istotne światło ich życia...“ Dla czegóż to płaczesz Saro? Już cała ta gorycz dziś przeminęła; a choćby i tak nie było, ukrywać ją należy i śmiało jéj w oczy patrzéć musimy; w tajemnicy téj świat nie powinien miéć udziału, nawet gdyby się gnieździć miała w naszych piersiach na podobieństwo płomienia, i palić je i przepalać, tak że muszą ko

niecznie szukać oddechu w chłodném nocy powietrzu. Zdaje mi się, że było to téj ostatniéj nocy, w któréj z domu wyszedłem.... głos jakiś dochodził do mnie z pośród ciemności... ale zdaleka — bardzo zdaleka... A czy wiész co on powiadał?—Oto powtarzał starą szkocką balladę, dobrze nam znaną, ale odzywał się gdzieś w zatraconéj dali i smutny był bardzo. A jednak, bywają zwykle wesołe te stare pieśni miłosne; bo dawniéj kochankowie nie bawili się w żałosne roztkliwienia, nawet w chwilach w których się z sobą żegnali. Wtedy rycerz, rozstający się ze swą ukochaną, każe podawać sobie czaszę wina, którém zdrowie jéj wypija, zanim go daleko rączy koń uniesie; — to mi był gracki rodzaj pożegnania, wszak prawda? A teraz co?—wszystko się zmieniło, ale nie wiém czy na lepsze; — dziś młoda dziewczyna stoi na platformie dworca kolejowego, a świst zwiastujący odejście pociągu, zdaje się odgłosem swoim przeszywać jéj serce; — albo też młodzieniec na pokładzie statku zajęty umieszczaniem swych pakunków, nawet czasu nie ma zwrócić oczu łzami zaszłych na wybrzeże, gdzie za nim patrzy jeszcze jego narzeczona. Pełno dziś na świecie różnego rodzaju utrapienia; trudno nam nawet pojąć, zkąd dawniejsi ludzie brali ochotę do układania tylu wesołych pieśni. Ale jest przecię koniec temu wszystkiemu;— o, jest, z łaski Boga;—ustanie kiedyś srogi ból serca; szum fal nie będzie już nieustannie udręczał ucha;— pokój wtedy nastanie—pokój i snu wypoczynek.

Odwrócił w drugą stronę głowę i leżał czas jakiś spokojnie; z chwili téj skorzystał Miller, aby pocichu wymknąć się z pokoju, za nim też wyszła pani Warrener, a służąca zajęła jéj miejsce przy chorym.

— Smutny to widok, rzekł Jerzy, nie umiejąc na razie znaleść słowa pociechy dla biédnéj, siostry. Nie zdaje mi się jednak, aby bardzo cierpiał?

— Mniéj teraz się męczy w istocie; ale, poprzednio, stan jego był straszny. A czy uważałeś pan, jak nieustannie przewija się wspomnienie Violetty, przez wszystko co tylko on mówi?

— W istocie; rzecz to dziwna i bardzo też smutna. Ale mam nadzieję, kochana pani, że za moją przyszłą bytnością usłyszę tu lepsze wieści.

Rzekłszy to, pożegnał ją i odszedł. Chłodny wieczór grudniowy rozpogodził się był teraz, i księżyc jaśniéj świécił niż piérwéj; w kilka minut po wyjściu z domu Drummonda, Jerzy napotkał Violettę, przechadzającą się zwolna po samotnym gościńcu. Gdy się do niéj zbliżył, tak udręczona była niepokojem, iż nie zdołała zdobyć

się na żadne zapytanie. Patrzała mu tylko w oczy, usiłując z nich wyczytać, jakie jéj wieści przynosi.

— Bez wątpienia jest bardzo chory, rzekł; ale nie w niebezpieczeństwie przynajmniéj; wierzaj mi Violetto, stan jego nie jest wcale groźny. Powié coś nieraz od rzeczy, wiész, jak to nieraz bywa u chorych w gorączce; ale nie bardzo teraz cierpi i sądzę, że przebył już najgorszy czas swéj choroby.

— Czy chcesz przez to powiedziéć, że jest nieprzytomny? rzekła z cicha.

— No... tak... potrochu.

— I cóż tedy? Czyż nic nie można na to poradzić? zawołała gwałtownie. Czy wiész ty, co to jest kochać kogoś, co jest ciężko chory? na to, aby mu chociaż jednéj chwili cierpienia oszczędzić! zniosłoby się najsroższe męczarnie,—i to jabym z chęcią uczyniła, Ach! to rzecz straszna—nad wszelki wyraz straszna. Oto stoimy tu sobie wśród téj pięknéj nocy, oboje młodzi i zdrowi; w około nas wszystko tchnie miłym spokojem; a tam, on leży, pasując się z tą nieubłaganą mocą usiłującą go pokonać swym zabójczym jadem;— i nic na to pomódz nie możemy! Wyrzekłam się przyjaciół, domowego ogniska, wszystkiego co kochałam, aby go ochronić od troski, od niepokoju; a teraz życie jego jest zagrożone, i nic uczynić dla niego nie jestem w stanie!

Mówiła to z dziwném podnieceniem, a on słuchał uważnie tych mimowolnych wyznań jéj serca. Być może, iż zachwiały one nieco osobiste jego nadzieje; w każdym razie postanowił czekać i działać oględnie.

— Nie tak jest znowu źle z nim, rzekł, jak to sobie wyobrażasz, Violetto. O ile mi się zdaje, życie jego nie znajduje się teraz w niebezpieczeństwie; nie wiele téż cierpi; — jednéin słowem, masz wszelkie prawo do zachowania nadziei, że wróci do zdrowia.

Zdawała się słyszéć go zaledwie. Wsiadła do powozu w milczeniu i nie przerwała go przez całą drogę. Usiłował ją zająć, dotykając różnych przedmiotów, ale mu się to wcale nie powiodło; ciężka troska uciskająca serce Violetty zachmurzała jéj czoło i zasmucała wejrzenie tych pięknych oczu tak wyrazistych.

ROZDZIAŁ XVI.

Przygotowania do ucieczki.

Jerzy Miller został tak nagle wplątany w całą tę sprawę, iż na razie mało miał czasu do zastanowienia się nad nią. Gdy jednak mógł rozważniéj rozpatrzéć położenie, jakie mu w niéj przypadło, znalazł je têm mniéj zadawalniającém, im je baczniéj oglądał. Z początku przedstawiało mu się ono, jako bardzo korzystne. On jeden coś bliższego wiedział o téj młodéj dziewczynie; a raczéj jemu jednemu wiadomém było, że ona żyje; czyż nie wypadało z tego koniecznie, że sama, będąc wśród świata, bez pieniędzy i bez domowego ogniska, zbliżyć się musi z czasem coraz bardziéj do tego jedynego przyjaciela, i że on kiedyś nakłonić ją może potrafi do bliższego z nim związku? Ale wprędce się przekonał, o ile złudnemi są te przypuszczenia. Był on dla niéj poprostu pośrednikiem, łącznikiem; niczém zaś więcéj. Wiele czuła dla niego wdzięczności, ale za to tylko, że jéj wiadomości przynosił o Drummondzie. Wszystkie jéj myśli skupione były około tego człowieka; stanowił on całą istotę jéj życia.

Obecnie tedy Jerzy, chłodniéj rzecz tę rozważając, jak to przystało na bystrego i praktycznego, jak on młodzieńca, gdy spostrzegł jak stały rzeczy, począł oglądać się z pewnym niepokojem na niemiłą odpowiedzialność jaką wziął był na siebie. Czyniąc Violecie obietnicę dochowania jéj tajemnicy, miał na myśli pozyskanie czasu, aby tym sposobem módz wpłynąć na jéj dalsze postanowienia. Ale nie pozwalała mu nawet dotykać w rozmowie tego przedmiotu. Wyszło tedy na to, że był poprostu wspólnikiem najokrutniejszego szaleństwa, czynu, którego pojąć nie czuł się w stanie. To zaś już samo, że go nie pojmował, wystarczało do potępienia w jego oczach Violetty. Czyż nie lepiéj jéj było wybrać się co najprędzéj do ojca, przeprosić go za swoję winę i wrócić do życia wygodnego, w domu zamożnym, zamiast dni całe spędzać w zimnym jakimś sklepie? Ale nie było co z nią nawet mówić o tém. Za piérwszém i drugiem widzeniem się z nim cokolwiek mu napomknęła o powodach tego, co uczyniła, i na tém się wszystko skończyło. Teraz zaś, jakbądź coraz bardziéj czuł się skłonnym do sądzenia jak najsurowiéj jéj postępku, nie śmiał ze zdaniem swojém odezwać się przed nią, w obec tragicznego wyrazu rozpaczy, jakim twarz jéj była napiętnowana.

Jeśli Jerzy Miller nie lubował się w tajemnicach, za to Edward Dowse, sam dosyć skrytego usposobienia, rad był je wszędzie wy-

patrywać; to też pomimo zapewnień Millera, że panna Main z zakładu firmy Dowse nic nie ma wspólnego z dawną jego znajomą, nie przestawał podejrzéwać, że młodzieniec ów wié cośkolwiek o téj tajemniczéj osobistości.

— Ona z pewnością zna któregoś z członków naszego klubu, powtarzał uporczywie.

Nieprzyjemnie było Jerzemu słyszéć Violettę wspomnianą w męzkiém zebraniu, choćby pod obcém nazwiskiem; ale starannie musiał ukrywać to przykre wrażenie.

— Zkądże to wnosisz? pytał niby obojętnie swego towarzysza.

— Ze sposobu w jaki spoglądała na mnie, ilekroć mówiłem o klubie. Przekonany o tém jestem i dojdę wszystkiego, prędzéj czy późniéj.

— Czy wiész Dowse co ci poradzę? oto napisz o tém poemat; powiadam ci, skorzystaj z tak dobréj sposobności.

W ustach Millera, słowa te były szyderstwem. Człowiek taki, jak on, musiał czuć głęboką pogardę dla kogoś, co może sobie godziny zajmować sklecaniem wierszy z wielkim wysiłkiem. Naprawdę, nie wiele sobie nawet cenił towarzystwo Edwarda Dowsa; nie rad był, aby go często widywano w towarzystwie człowieka noszącego byronowskie kołnierzyki i długie włosy, dające mu podobieństwo do artysty.

Prawdopodobnie mieścił się pewien zamiar podstępny w prośbie, jaką młody Dowse zaniósł wkrótce do swéj matki, aby na wieś do siebie zaprosiła pannę Main i pana Millera, na tenże sam dzień, nie uprzedzając ich wszakże o tém, że się z sobą mają spotkać.

— No, no; niech i tak będzie, rzekła wesoło. Poznaję w tém, mój Teddy, romantyczne twoje przywidzenia, jakie miéwasz we wszystkiém. Pokaże się z pewnością, że oni nie znają się wcale; a pan Miller może być niebardzo rad z tego, że siedział u stołu obok osoby, którą może potém spotkać za sklepowym kontuarem. Nie mówię tego bynajmniéj w chęci poniżenia młodéj dziewczyny— co do mnie, lubię ją owszem bardzo; więcéj na panią wygląda niżeli...

— Ach! musisz się przecię tego domyślać moja matko, że nie była wychowaną na to czém jest dzisiaj.

— Być to może, ale wracając do twego żądania, Teddy, czy wiész co chcę zrobić? Oto zaproszę pannę Main do nas na święta Bożego Narodzenia. Smutnoby jéj było spędzać je w swojém samotném mieszkaniu.

Syn jéj bardzo rad był z tego zamiaru. Ani mu nawet do głowy nie przychodziło, żeby się mógł zakochać w pannie Main; ale

obiecywał sobie z jéj obecności przyjemną rozrywkę w jednostajności ich wiejskiego życia. Któż zresztą mógł wiedziéć, czy ów gość tajemniczy nie ożywi czémś niespodzianém tych dni świątecznych? Wigilia Bożego Narodzenia usposabia zwykle wyobraźnią do pewnego podniecenia;—może téż, w chwili zaufania, da się ta młoda dziewczyna skłonić do opowiedzenia im swojéj przeszłości. Jakżeby to pożądaném było urozmaiceniem oklepanych przyjemności dorocznych owego wieczoru, polegających na obfitym obiedzie, oblanym winem szampańskiém!

Ale Dowse ojciec, któremu przypadło zlecenie przedstawienia osobiście tego zaproszenia Violecie, dodał do niego coś z własnego pomysłu, a raczéj uznał za stosowne pewnym wstępem je poprzedzić.

— Czy wiész panno Main, rzekł z serdecznością niby żartobliwą, żeś bardzo niedobrze wyglądała temi ostatniemi czasy? Musiałaś to sama spostrzédz. Nie możemy przecię miéć u siebie choréj osoby, któréj widok nastręczałby kupującym myśl, że urządzamy pomieszkania w sposób niezdrowy dla tych, którzy w nich przebywają. Musimy cię koniecznie uzdrowić. Cóżbyś na to naprzykład powiedziała, żebyśmy cię na wieś z sobą zabrali na jakie parę dni podczas świąt? Serdeczne tam znajdziesz przyjęcie, mogę ręczyć ci za to.

Spójrzała na niego z pewnym wyrazem zakłopotania i rzekła:

— Dziękuję państwu najmocniéj za tyle dobroci; ale doprawdy czuję się teraz całkiem dobrze na zdrowiu.

— A ja tego wcale nie widzę i wymówki téj nie przyjmuję. Mam nadzieję, że nam pani nie odmówisz, po lepszém zastanowieniu się.

— Nie mogę w żaden sposób wyjeżdżać teraz z Londynu, rzekła. Mam tu... bliską mi osobę dosyć ciężko chorą...

— W takim razie, szczérze pani żałuję, odpowiedział trochę zdziwiony jéj słowami. Sądził dotychczas, że wcale nie ma w mieście znajomych. Pewien będąc jednak, że mowa tu o kobiécie, dodał:—W każdym razie, ilekroć zechcesz pani odwiédzić tę chorą, chciéj na to godziny dzienne wybiérać. Chłód wieczorny bardzo bywa szkodliwym w téj porze mglistéj i wilgotnéj.

— Dziękuję bardzo panu za tyle względności, odpowiedziała, bardzo rada, iż nie żądano od niéj bliższych wyjaśnień.

— Ale musisz się pani na to zgodzić, dodał, abyś z nami spędziła przyszłe święta. Żona moja z pewnością na to liczy. Wszakże możesz na tak krótki czas ztąd się wydalić.

— Wierzajcie państwo, że wdzięczną wam być umiém, odpowiedziała Violetta, rzeczywiście wzruszona przychylnością tych ob-

cych ludzi, znających ją od tak niedawna; — ale zdaje mi się, że nie będę w możności zadosyć uczynić waszemu zaproszeniu.

Popatrzał na nią przez chwilę, sam nie wiedząc co myśléć o powodach jéj odmowy. Niekoniecznie bowiem wierzył w ten, który przedstawiała. Na dalsze jednak jego nalegania tymże samym odpowiedziała łagodnym oporem, tak, iż z niczém w końcu musiał odejść.

Dziwne to usposobienie panny Main nieraz bywało u Dowsów przedmiotem wieczornych rozmów, pomiędzy rodzicami i synem, a wyobraźnia tego ostatniego wysnuwała ztąd najrozmaitsze wnioski. Nie omieszkano też zauważyć, że nie skorzystała ani razu z udzielonego jéj pozwolenia odwiédzania choréj przyjaciółki.

Po kilku dniach Violetta poweselała jakoś trochę na twarzy; a także znać w niéj było większe ożywienie, i chętniejszy brała teraz udział w naradach nad doborem obić i materyj, do których ją właściciele zakładu nieraz wzywali. Wnosili ztąd, że lepiéj się miéć musi chora osoba o któréj wspominała, i przypuszczenia te były słuszne. Silna gorączka Drummonda pokonaną została w walce z wyjątkowo zdrowym organizmem. W miarę, jak Jerzy przynosił Violecie te pocieszające wieści, mógł i on także dostrzegać stopniowe rozjaśnienie się jéj wejrzenia i coraz wyraźniejszy spokój na jéj pięknych rysach.

— Opuści zapewne Londyn, mówiła, skoro tylko cieplejsza pora nastanie, wszak prawda? Może się gdzie wybierze na południe, albo téż znowu w Highlandy... Kto wié, czy nie zechce raz jeszcze odbyć téj saméj nadbrzeżnéj wycieczki na *Kormoranie.*

— A ty, gdzie wtedy będziesz Violetto, zapytał Jerzy.

Wzrok jéj, jakby w dal zapatrzony, nie miał jednak wyrazu smutku, gdy odpowiadała:

— Nikt się o tém nie dowié, i nikogo to nie będzie obchodziło. Ty zaś, Jerzy, musisz wejść napowrót w przyjazne stosunki z panem Drummondem. Chcę, abym mogła wtedy, gdy myśl ku wam zwrócę, wyobrażać was sobie zawsze odbywających razem jaką miłą wycieczkę; na polowaniu naprzykład w towarzystwie starego Piotra, albo też żeglujących cichym wieczorem, w pobliżu górzystych brzegów oblanych światłem księżycowém. Pamiętajcie o tém, że ciągle będę was wyobraźnią widziała wesołych, otoczonych pogodą i w sobie ją téż noszących.

— A my, co mamy myśléć o tobie naonczas?

— Nic zgoła, rzekła prawie wesoło. Nie możecie przecięż wiecznie opłakiwać umarłych.

— Nie zastanowiłaś się nad tém, jak uważam Violetto, rzekł do niéj z niejaką goryczą, jakie będzie w tém wszystkiém moje położenie. Widzieć będę rodzinę twoję i przyjaciół ciągle zasmuconych wspomnieniem twojéj śmierci, i wiedząc, że mógłbym uwolnić ich jednėm słowem od tego cierpienia, nie będę w możności tego uczynić. Patrząc na żałobne ich ubranie, uczuję w każdéj chwili, że wspólnikiem jestem bezlitosnego oszukaństwa....

— Wszystko to trwać nie będzie długo i z czasem całkiem przeminie, odpowiedziała mu; biédna Anatolia mocno się ucieszy, pozbywszy się raz swych czarnych sukien, bo jéj z pewnością nie jest w nich do twarzy. Poczciwa ta Anatolia! Myślę, że teraz już przyjaźnie o mnie wspomina; czy nie mylę się w tym względzie?

— Bynajmniéj, i to samo masz prawo wierzyć, co do Lady North.

— Doprawdy? rzekła ze smutnym uśmiechem. Czyż nie widzisz zatém, ile już dobrego sprawiłam mojém usunięciem się ze świata? Gdym była pomiędzy niemi — za życia mojego powodem bywałam niejednego zajścia i nieukontentowania; teraz zaś, puścili oni to wszystko w niepamięć. Pewna jestem, że nierazby kwiaty na mój grób przynieśli, gdyby tylko wiedzieli, gdzie go szukać.

Niepodobna mu jednak było w tak zadawalniający sposób zapatrywać się na owę sprawę; a wyznać musimy, że przykrość jego i zakłopotanie raczéj samolubne miały powody, niżby pochodzić miały ze szlachetnego pragnienia oddania Violetty rodzinie jéj i przyjaciołom. W miarę jak z upływem dni widział zbliżającą się coraz bardziéj porę jéj odjazdu, uczuwał tém większą trwogę, myśląc o ciężącéj na nim odpowiedzialności. Z niechęcią widział się zaplątanym w tajemnicę, która go zmuszała do okłamywania przez resztę życia kilkanaście osób, z któremi ciągle musiał miéwać stosunki. Wszystko to tém go mocniéj kłopotało, że przewidywał, iż wkrótce straci wszelką możność do wywikłania się z owéj matni.

Tego właśnie wieczoru, nastręczyła mu się sposobność do nowych w tym względzie usiłowań. Gdy się już mieli z sobą rozchodzić, Violetta zatrzymała się na chwilę i rzekła z uczuciem:

— Pozwól, abym ci całém sercem podziękowała za przychylność, jaką mi okazałeś. Pamięć o niéj, nazawsze zachowam.

— Nie zapomnij jednak i o tém, odpowiedział jéj, że nie uznawałem nigdy za dobre twego postąpienia. Przeciwnie, ganię je jak najmocniéj. Uczyniłem to, czego żądałaś odemnie, ale... ale nie jestem za nie odpowiedzialny.

— Zgadzam się najzupełniéj na to, i na nikogo nie zrzucam części tego, co na mnie cięży wyłącznie, rzekła z żywością. Ale

poproszę cię jeszcze o jednę rzecz—czy nie mógłbyś mi pożyczyć ze sto funtów?

— Sto funtów? powtórzył ze zdziwieniem, którego przyczyną nie była wcale cyfra żądanéj kwoty.

— Tak jest, odpowiedziała spokojnie. Zwrócę ci te pieniądze, skoro tylko będę mogła; ale może pewien czas upłynąć, zanim się to stanie. Wielką mi tém zrobisz dogodność. Chciałam uzbiérać sobie tyle pieniędzy, ile ich potrzebuję do opuszczenia Anglii, gdzie mogę być kiedykolwiek odszukaną; ale idzie to nader powoli, a mnie głównie na czasie zależy. Jeśli mi tę kwotę pożyczysz, mogę zaraz wyjechać; bardzo mi pilno to uczynić, odkąd wiém, że pan Drummond ma się lepiéj.

Miller milczał przez chwilę. Z chęcią byłby jéj od razu ofiarował w miejscu stu funtów, tysiąc, ale powstrzymała go obawa, aby tego nie uważała za czyn mniéj szlachetny. Mylił się w tym względzie, nadto mało ją znając; nigdy myśl podobna nie byłaby jéj przyszła do głowy. Zastanowiwszy się jednak cokolwiek, zawahał się w obec obawy, aby pożyczka udzielona w podobnych okolicznościach nie zwiększyła jeszcze odpowiedzialności, któréj rad był całkiem się pozbyć.

— Musisz, rzekł, zostawić mi cokolwiek czasu do namysłu.— Ma się rozumiéć, że nie chodzi tu o pieniądze, dodał spiesznie. Zarówno na nie mogłabyś liczyć zawsze, jak na wszystko, czém byłbym w stanie przyjść ci w pomoc. Tylko że... widzisz...

— Chodzi tu o czas tylko, rzekła spokojnie. W każdym razie opuszczę Anglią i nigdy już do niéj nie powrócę. Jeśli mi te pieniądze pożyczysz, spełnię mój zamiar cokolwiek wcześniéj—oto i wszystko. Jeśli tego nie uczynisz, muszę czekać dłużéj.

— Rozumiem to, rzekł, mocno zakłopotany. Ale widzisz Violetto, tym sposobem dopomagam ci do czynu, który odbiéra bliskim twoim wszelką możność odzyskania cię. Dotychczas jest to jeszcze poniekąd możliwém....

— Wtedy chyba, gdybyś zdradził moję tajemnicę; a wiész przecię, że ją słowu twemu powierzyłam.

— Wszystko bywa na świecie możliwém, Violetto. Przypomnij sobie, jakim sposobem dowiedziałem się o tobie. Czyż nie widzisz tego, że Dowsowie wiedzą bardzo dobrze, że cię nie do tego wychowano, abyś siedziała przed biurkiem w jakimś kantorze? Domyślają się, że należysz do wyższego stanu i że jest w przeszłości twojéj jakaś tajemnica. Ma się rozumiéć, że niejednemu ze swoich znajomych o tém będą opowiadali, aż w końcu na kogoś natrafią,

co zna ciebie;—tak samo właśnie, jak się to stało w rozmowie ze mną młodemu Dowsowi.

— To jest właśnie główny powód, dla którego pragnę jak najrychléj odjechać.

— Ale to jest także przyczyna, dla któréj nie powinienem ci w tém dopomagać; mam przekonanie, że zły czyn chcesz spełnić i nie chcę brać w nim udziału.

— A zatém będę czekała, odpowiedziała, z wyrazem pewnego niezadowolenia. Może téż pożyczy mi tę kwotę pan Dowse; o ile go poznałam, zdaje mi się być bardzo uczynnym człowiekiem.

— Zostaw mi trochę czasu, Violetto. Zobaczymy się pojutrze wieczorem, i wtedy przyniosę ci téż wiadomość o panu Drummondzie.

— Niech i tak będzie, rzekła. Mam nadzieję, że potém nie będę już więcéj potrzebowała ciebie utrudzać.

— Dam ci wtedy odpowiédź co do piéniędzy.

Rozeszli się na tych słowach, i Jerzy udał się do domu, niepomierną troską opanowany. Wyraźném było dla niego, że teraz, gdy już stan Drummonda się polepszył, Violetta—byleby miała na to piéniądze — zechce niezwłocznie opuścić Anglią. Dopomagać jéj w tém, stanowiło rzecz niemałéj wagi. Ale z innéj strony, czyż mogła na to pozwolić jego miłość własna, aby odmówił prośbie o pomoc, którą go panna North zaszczycić raczyła? Gotowa może pomyśléć, że powodem tego jest w nim obawa, ażali swe pieniądze odzyska, wszakże już napomknęła o uczynności starego Dowsa, czy nie było to czasem przeciwstawienie?

Zaczął tedy zapatrywać się na rzecz tę z innéj strony. Pożyczając Violecie te piéniądze, nie był przecię odpowiedzialny za sposób w jaki ich ona użyje, tak samo, jak puszkarz sprzedający komuś rewolwer, za pomocą którego jest potém popełnione morderstwo, nie jest zbrodni przez to wspólnikiem. Zresztą, nie szczędził jéj uwag co do owego zamiaru wyjazdu, powiedział otwarcie swe zdanie, dziś zaś, niepodobna mu odmówić pożyczki stu funtów dawnéj znajoméj, która w nim zaufanie swe położyła, w chwili potrzeby.

Przed wieczorem, w dniu przeznaczonym na owo ostatnie widzenie się z Violettą, Jerzy udał się w odwiédziny do Drummonda, stosownie do uczynionego jéj przyrzeczenia. Wiadomości, jakie tam usłyszał, ze wszech miar były dobre. Chociaż chory czuł się jeszcze niezmiernie osłabiony, stan jego polepszał się wyraźnie; mówiąc to, pani Warrener zapytała Millera, czyby nie chciał zobaczyć się z chorym na chwilę?

— Cóż to Jerzy, rzekł Drummond, ujrzawszy go, czy ci się zachciało naśladować miłosiernego Samarytanina, żeś się tu wybrał? Ludzie twego wieku, bardziéj są na miejscu w teatrach lub po balach, niż w pokoju chorego człowieka. A może téż masz upodobanie do tragedyi?—tylko, że cóżby mogło być tragicznego w śmierci tak słabéj i bezbronnéj jak ja ofiary? Spójrz no na moje ręce. Przypuszczam, że nawet oprawca ulitowałby się nademną w chwili, kiedyby już głowa moja leżała przed nim na klocku, i nie uważałby, za stosowne całéj swojéj siły dobyć na podobnego nieboraka. Usiądź no tu i opowiédz mi, co się dzieje na świecie. Nie wolno mi jeszcze samemu czytywać, a wiész, co to jest dowiadywać się czegoś z gazet przez kobiéty, główną rzeczą dla nich ogłoszenia i drobne brukowe wiadomości.

Duże te oczy, tak wyraziste, dawną żywość wejrzenia teraz odzyskały; ale nie było w nich już śladu owego niespokojnego płomienia, który zauważył Miller za swoją piérwszą bytnością. Bystry umysł tego osobliwego chorego równie był téż całkiem rozbudzony, chociaż twarz jego cechował wyraz zmęczenia, również widoczny w ruchach całéj téj wychudłéj postaci.

Miller opowiadał niejednę wiadomość ze świata, a chory zdawał się go słuchać z żywém zajęciem. Ale to, co głównie uderzyło podczas téj rozmowy gościa Drummonda, to sposób w jaki ten ostatni wspominał nieraz—zwłaszcza wtedy gdy jego siostra była w pokoju—o swym poprzednim obłędzie gorączkowym, usiłując dowieść, jak błędném jest mniemanie, że rojenia, wypowiadane w podobnym stanie przez chorego, miewają często związek ze zdarzeniami jego rzeczywistéj przeszłości.

— Czy można sobie wystawić opłakańsze następstwa, powiadał, nad te, jakie pociągnęłoby za sobą u żony przekonanie, że majaczenia jéj męża bezprzytomnego mieściły w sobie pewną część prawdy—że popełnił jakąś straszną zbrodnię, naprzykład? Czy nie zdaje ci się, iż podobnego rodzaju nieporozumienia mogą nieraz doprowadzać do tragicznych powikłań, bez tego całkiem niezrozumiałych? A wiész ty, Millerze, żem ja kiedyś napisał tragedyą?

— Nie słyszałem dotąd o tém.

— Tak było jednak. Ale teraz utwór ten zlał się z piérwiastkowemi siłami natury, albowiem—spaliłem go. Wymaganych „jedności" nie posiadał podobno. Boże mój miły! czy widziałeś kiedy, aby który z wielkich mistrzów, wzrokiem obejmujących wszystką piękność tyle urozmaiconą świata, krępował siebie podporami przydatnemi tylko do drobnych i rzemieślniczych robót? Co do mnie, największe mam upodobanie do dziwacznych postaci, zdających się wcale

bezpotrzebnemi w utworze; i tak samo musiał je autor polubić, skoro z drogi swéj zeszedł, by po nie ręką sięgnąć. Co, naprzykład, może miéć Antylokus wspólnego z treścią „*Zimowego opowiadania*“?—a przecięż, do nikogo na świecie nie mam tak poniżającéj słabości, jak do tego utrapionego Antylokusa. Szkoda wielka, że on nie mieszka w dzielnicy Camberwellu. Bywałby u nas codzień na obiedzie i staralibyśmy się jak najlepiej go ugościć. A także, zwróć no uwagę na piérwszego grabarza *w Hamlecie;*—jakżebyśmy się obejść potrafili bez tego grabarza?

— W istocie, potrzebny on nam wszystkim koniecznie, prędzéj czy później, rzekł z uśmiechem Jerzy.

— Słuchaj no, Millerze, ciągnął daléj Drummond, jeśli masz teraz ochotę do żartów, to sobie chciéj przypomnieć, że o włos tylko chodziło,żebym się ja z tym grabarzem zapoznał, i że mogę zawrócić się jeszcze po to, aby rękę jego uścisnąć, dziękując mu zawczasu, za wydzielenie mi sumiennie tyle miejsca, ile go przyrzekają ogłoszenia, po pismach umieszczane. Jest także jeszcze ów posępny „Jakób”—wielkie miałem zawsze dla niego uznanie, choć nie zdaje mi się, aby z wątkiem rzeczy był tak bardzo związany. Otóż owe „jedności”, których brak mi zarzucano.

— Jakże mógł być krytykowany pana utwór, skoro nie został nigdy ogłoszony?

— Albożto nie wiész, że są krytycy, co umieją zrąbać dzieło, zanim się ukazało, a potém, równemi nogami przez nie przeskoczyć, wcale go nie dotknąwszy? Otóż od piérwszéj téj próby tyle ucierpiała moja tragedya, że postanowiłem na drugą jéj nie narażać. Wyswobodziłem ją tedy stanowczo. Teraz mogę sobie wyobrazić, że się pyłkiem uczepiła skrzydełek motyla, inne zaś jéj cząstki jaśnieją na listkach pierwiosnka, inne znowu mieszczą się w delikatnym rumieńcu młodéj dziewczyny. Tragedya moja nigdy więc istnieć nie przestanie. Gdybym zaś wydał ją był drukiem, cóżby ztąd wynikło? Pewien jestem, że, jakbądź na części składowe mojego bohatéra dobierałem sobie najcelniejsze wzory, jednomyślnie prawie okrzyczanoby go osłem—niezaprzeczonym, zarozumiałym osłem...

Tu przerwała mu siostra, przynosząc w szklance lekarstwo, które wziąwszy od niéj, zaraz wypił.

— Jest to jedna więcéj uprzejmość, rzekł, uczyniona przezemnie mojemu doktorowi. Biorę tę miksturę jedynie dla sprawienia mu przyjemności, gdyż wiém,że nie sprawia mi ona żadnego skutku. Ale, jeśli cię człowiek zdrowo przeniósł przez rzekę i chce ci potém wmówić, że dla tego mu się to powiodło, że miał tabakierkę w kieszeni,

to czyż nie będziesz obowiązany do pewnych względów dla owéj tabakierki?

— Zdajesz się pan miéć naprawdę o wiele lepiéj, rzekł wesoło Miller.

— A czy wiész, czego najwięcéj teraz pragnę? odpowiedział mu Drummond. Oto, żebym raz się doczekał dnia, w którym mi dadzą świéży, biały, wykrochmalony kołnierzyk, w miejsce téj miękkiéj bielizny, którą czuję wkoło siebie, odkąd zachorowałem.

— I może też będzie łatwiéj dogodzić ci wtedy w tym względzie, niż dotąd bywało, rzekła, śmiejąc się, pani Warrener. Już to, o ile mało dbasz w ogóle o swoje ubranie, o tyle co do bielizny i obuwia, zawsze byłeś wielce trudny do zadowolenia.

— A także mocno się cieszę zawczasu na piérwszą szklankę dobrego piwa, którą będzie mi wolno wypić. Czy pamiętasz, Millerze, jak nam wtedy piwo smakowało przy śniadaniu, podczas naszéj piérwszéj myśliwskiéj wyprawy, kiedy to tak strudzeni byliśmy upałem i robotą przy łodzi? Ale prawda, przypominam sobie, żeś nie był wtedy jeszcze z nami.

To rzekłszy, zamilkł i stał się posępnie zamyślony. Pożegnawszy go kilku słowami otuchy i wyrażeniem nadziei bliskiego ujrzenia go całkiem zdrowym, Jerzy odszedł i wybrał się z powrotem do miasta, w okolice zakładu, w którym dzień cały spędzała Violetta.

Po raz to ostatni miał ją dzisiaj zobaczyć. Wziął był z sobą piéniądze, których potrzebowała do natychmiastowego wyjazdu, a raczéj przynosił jéj kwotę podwójną od zażądanéj, nie chcąc, aby się mogła pomylić w ocenieniu powodów jego wahania się. Co zaś do winy, jaką brał na siebie, udzielając jéj owéj pożyczki, ta, zdaniem jego, nie zwiększała się z podwyższeniem jéj cyfry. Wszelako, czuł się mocno zaniepokojony, przechadzając się tam i napowrót ulicą Great-Marlborough, gdzie mu schadzkę naznaczyła była Violetta, odmówiwszy udania się z nim znowu do teatru, jak ją o to prosił. Stanowcza chwila się zbliżała, a nic nie zapowiadało zmiany w drażliwém jego położeniu. Widział, że pozostaje na nim cały ciężar odpowiedzialności od któréj nic go nie będzie już mogło wyswobodzić, albowiem wszelki ślad téj młodéj dziewczyny zostanie stracony, od chwili jéj wyjazdu z Londynu. Stanowisko, na jakie się zgodził, mając je za czasowe, zostanie nazawsze jego udziałem, a któż wié na co go ono może narazić w przyszłości?

Wszystko na tém teraz polegało, czy owa obietnica ma być koniecznie dotrzymana? Zdrowy rozsądek powiadał Jerzemu, że w podobnym razie mógłby, nie krzywdząc siebie, odkryć ojcu Violetty tajemnicę, któréj wspólnikiem nie zamierzał nigdy zostać nazawsze.

Ale z innéj strony znowu, sprawa tu była z kobiétą i młodzieniec wyobrażał sobie najprzód wyraz pogardy, jaki przybierze twarz tej kobiéty, gdy się ona dowié, że złamaném zostało dane jéj słowo, że zawiódł jej zaufanie człowiek w którym je położyła. Wśród tych niepewności Jerzego, pojawiła mu się Violetta.

— Czy się ciągle polepsza jego zdrowie? spytała głosem, którego dźwięk łagodny a zarazem posępny zbudził go znagła z owych rozmyślań.

— O, ma się wybornie, odpowiedział. Tyle jest rozmowny, co i dawniéj, a nie ma już nawet potrzeby zalecać mu spokojności. Zresztą, nie rozmowa to przecię jest utrudzeniem, ale raczéj myśl sama; umysł jego zachował jeszcze pewne gorączkowe pozostałości; jest w nim dotąd jakieś podniecenie, które choremu sen utrudnia. Zresztą, i to prawda, że trudno o sen dobry, dopóki ruchu nie ma—przeszkadza mu także i osłabienie, jakie trwa dotąd; ale, z tym jedynym wyjątkiem, ogólny stan wyśmienity.

Zamilkł potém, sam nie wiedząc, co ma daléj powiedzieć, wreszcie rzekł.

— Przyniosłem ci tu owe pieniądze, Violetto. Ale, w miejsce stu funtów, masz ich dwieście; bo, jeśli chcesz istotnie w daleką podróż się wybrać, byłoby ci zamało tego, co żądałaś.

— Wdzięczna ci jestem nieskończenie, rzekła, biorąc od niego kopertę z bankowemi biletami. Odséłać tobie będę potrochu mój dług; wiém z resztą, że mię naglić nie będziesz.

W téj chwili przyszło mu na myśl, że może, za pomocą tych częściowych przesyłek, potrafi nie stracić całkiem jéj śladu; wątpliwa to była w każdym razie nadzieja, ale i téj się czepiał, w braku innéj.

— Teraz więc, Violetto, rzekł, nic ci już nie przeszkadza do spełnienia twego zamiaru, i po raz ostatni zapewne mam dziś sposobność do błagania cię, abyś się uważniéj zastanowiła nad tém, co chcesz uczynić.

— Dostatecznie to już rozważyłam, odpowiedziała smutno.

— Jeśli mam być szczéry z tobą, odparł z żywością, to i ja także rozważyłem całą tę sprawę i, doprawdy, skoro już do téj przychodzi ostateczności, sam nie wiém czyli nie jestem w prawie.....

— Chcesz pewnie przez to powiedzieć, rzekła spokojnie, że namyślasz się nad tém, czyli masz lub nie złamać dane słowo?

— W istocie, odpowiedział nieco zmięszany owém tak wyraźném postawieniem kwestyi,—miałem zawsze to zobowiązanie za przyjęte tylko do pewnego czasu.

— Co do mnie, pojmowałam je całkiem inaczéj, rzekła; a i ty także wcale zastrzeżenia podobnego nie uczyniłeś na razie.

— Ciężka to rzecz, doprawdy... począł mówić, ale mu zaraz przerwała, mówiąc z wyrazem prośby usilnéj:

— Rozstańmy się chociaż z sobą w przyjaznym stosunku. Tyle mi dałeś dowodów przychylności; zechciéj jeszcze raz być dobrym dla mnie, jak zawsze bywałeś.

— Więc mi nawet nie chcesz dać wiedzieć o miejscu pobytu twego w Ameryce, aby cię tam można było odszukać w razie, gdyby zaszły jakie zmiany nieprzewidziane?

— Nie uczynię tego, odpowiedziała. Umarłą mam być zarówno dla ciebie, jak i dla wszystkich, których za sobą zostawiam. Za jakich lat parę, nie będzie już o tém mowy, tak wam zupełnie wyjdę z pamięci. Zanim to nastąpi, chcę także wyobrażać was sobie szczęśliwych i wolnych od wszelkiéj myśli przykréj; już ci to mówiłam. Widywać was będę wyobraźnią, na myśliwskich wycieczkach lub téż na obiadach u lady North, wśród mojéj rodziny, zawsze swobodnych, rozpogodzonych,—i dobrze mi z tém będzie. A teraz, bywaj zdrów; wdzięczności jaką czuję dla ciebie, nie jestem w stanie wyrazić; byłeś bardzo... o, bardzo dobrym dla mnie.

Odeszła już—a on stał w miejscu, oszołomiony, nie będąc w stanie myśli swych zebrać. Czuł dotkliwy ból w sercu, jakbądź z usposobienia nie był wcale uczuciowym; ciężko go dotykała strata téj istoty tak pięknéj, któréj obraz przez czas jakiś mięszał się z rojeniami przyszłości jego młodocianéj wyobraźni. Widział myślą jéj samotny odjazd do Ameryki—jéj przybycie w ten świat nieznany, gdzie żadna ludzka istota nie poda jéj ręki i pierwszemi krokami jéj nie pokieruje. Jakże osamotniałe miało być jéj życie w téj odległéj krainie! Coraz bardziéj odosobniona w miarę lat upływu, albowiem przeczucie jakieś mu powiadało, że nie zechce ona nigdy wyjść za mąż;—aż w końcu kres jéj nadejdzie, i śmierci pomroka ją ogarnie—a nie będzie z nią na owę straszną chwilę nikogo z tych, których kochała. Tego dnia, Jerzy nie był prawie w stanie przełknąć obiadu w swoim klubie. Znajomi jego przypuszczali, że musiał wcale nieświetne zrobić interesa na spadnięciu nagłém akcyj Costa-Ricas.

Następnego poranku, Violetta poszukała sposobności pomówienia sam na sam ze starym Dowsem.

— Chciéj mi pan przebaczyć, rzekła, jeśli zapytam, czy mogłabym zostać uwolnioną od moich obowiązków z końcem miesiąca?

— Jakto? zupełnie uwolnioną?

— Tak jest, panie; rzekła zcicha.

Dowse uczuł się mocno zdziwiony, a także i potrosze urażony tém oświadczeniem. Wiedział, iż okazał się dosyć hojnym względem

téj młodéj dziewczyny, która dziś chciała porzucać jego zakład, uprzedzając o tém na tydzień czasu zaledwie.

— Chciałbym wierzyć, rzekł trochę sucho, że nie znajdowałaś pani nieprzyjemném stanowisko, jakie u nas miałaś?

— O, nie; bynajmniéj, odpowiedziała. Przeciwnie, okazałeś się pan zawsze dla mnie nader względnym i pobłażliwym.

— Czy chodzi tu może o wynagrodzenie?

— Wcale nie; zapewniam pana o tém. Ale....

— Masz pani pewnie na widoku coś korzystniejszego?

— I to nie. Dla tego tylko ztąd odchodzę, że chcę opuścić Anglią. Jeślibym tak rychłém opuszczeniem zakładu narazić miała pana na jakie niedogodności, ustąpię z chęcią miesięczną moję płacę......

Zaledwie jednak wyrzekła te słowa, pożałowała ich.

— Zdaje mi się, panno Main, odpowiedział jéj na to Dowse, że w sprawach pieniężnych nie bywało nigdy pomiędzy nami nieporozumienia. Tak będzie i teraz. Przykro mi, że chcesz z Anglii się wynieść, ale, skoro tak jest, nie zostaniesz, z pewnością, skrępowana w twoich zamiarach żadnemi zobowiązaniami, względem nas przyjętemi. Czy nie weźmiesz mi pani za złe, jeśli zapytam, jakie masz widoki na przyszłość?

— Żadnych zgoła, odpowiedziała. Wybiéram się do Ameryki.

Spójrzał na nią z zaciekawieniem; wierzyć poczynał, że może cokolwiek prawdy się mieści w niedorzecznych przypuszczeniach jego syna, co do owéj tajemniczéj nieznajoméj.

— No, no, odważna z pani osoba; rzekł wesoło;—trochę nawet może zuchwała, ale, w każdym razie, ducha mężnego. Więc tedy, stanowczo postanowiłaś nas opuścić? Ale,w każdym razie, musisz, zanim to uczynisz, pożegnać się jeszcze z moją żoną.

Zacny ten człowiek, podejrzéwając, iż ta młoda dziewczyna bliska jest kroku bardzo nierozważnego, uważał, iż nikt ją, pewniéj od pani Dowse, odwieść nie potrafi od niego.

— W takich okolicznościach, rzekł, możebyś się pani dała nakłonić do spędzenia świąt z nami?

— Dziękuję panu najmocniéj, ale uczynić tego nie mogę. Wszelako, pojadę z chęcią pożegnać panią Dowse. Czy mogłabym na to wybrać przyszłą sobotę?

— I owszem. Będziemy wszyscy na wsi od piątku do poniedziałku. Sobota jest właśnie drugim dniem świąt. Przyjedziesz pani koleją do Windsoru, a tam już czekać na ciebie będziemy;—ma się rozumiéć, jeśli do tego czasu nie potoniemy. Otacza nas teraz zewsząd jezioro, tak mocno rzeka wylała.

Stanęło tedy na tém, i Violetta nie widząc już przed sobą przeszkody do wyjazdu, zajmować się poczęła potrzebnemi do niego przygotowaniami. Wkrótce miała pakunki swoje gotowe i bilet zakupiony do przeprawy na parowcu tranzatlantyckiego stowarzyszenia. Nad wieczorem, w przededniu świąt, poszła do Covent-Garden i trochę kwiatów tam zakupiła;—nie żaden bukiet okazały, ale skromną wiązankę, złożoną z fiołków i z pierwiosnków; niby widziadło wiosny wśród zimowéj martwoty. Potém, wróciwszy do domu, wyjęła z szuflady ćwiartkę papieru, niewprawną ręką zapisaną, i łzy obfitym strumieniem spłynęły po jéj twarzy, podczas, gdy czytała: „—Kwiaty te posyła panu Drummond osoba, która wiele od niego otrzymała dowodów przychylności”.

ROZDZIAŁ XVII.

Dusza odzywa się do duszy.

Cały ów dzień świąteczny, aż do wieczora, spędziła w swojém mieszkaniu, w części czytaniem zajęta lub kończeniem pakowania swych rzeczy, w części w oknie stojąc i spoglądając w zamgloną ulicę, gdzie sklepy były pozamykane, a każdy przechodzień nosił na sobie świąteczne ubranie. Zdawało się jéj, że ten zimny i posępny dzień nie skończy się nigdy.

Gospodyni domu, wzgląd mając na osamotnienie swéj lokatorki, przyszła jéj zapytać czy nie chciałaby jakiego dodatku do swego obiadu, z powodu święta. Ale panna Main odpowiedziała, że nie będzie w domu wieczorem, a za powrotem chce miéć tylko zwykłą wieczerzę. Zaraz potém nadeszła pani Roberts i koniecznie chciała zabrać do siebie na obiad swą przyjaciółkę, obiecując jéj przyjemne u siebie towarzystwo, ale Violetta odmówiła, składając się poprzedniém zaproszeniem.

Gdy już zmrok bardziéj począł zapadać, wyszła z domu, szalem otulona i gęstą zapuściwszy zasłonę na twarz. Wśród mgły świeciły mętno gazowe latarnie. Pomimo świéżo spadłego deszczu, powietrze ostre było i zimne; miejscami padające na bruk żywsze światło dawało widziéć obmarznięte kamienie; spodziéwać się można było ślizgawicy po za miastem.

Dziwne sprawiał na Violecie wrażenie widok napotykanych przez nią ludzi: każdy dziś zdawał się zadowolony, wyłącznie chwilą obecną zajęty; lub też, jeśli był zafrasowany, to chyba tylko chłodem i myślą, aby na czas stanął w miejscu. Mało kto znajdował

się w téj godzinie na mieście; ulice bardziéj wyglądały opustoszałe niźli nawet w niedzielę; po nad zamkniętemi sklepami widziała światło w oknach; bez wątpienia odbywały się tam miłe przyjacielskie zebrania; śmiano się i rozmawiano wesoło, przed rozpoczęciem uczty wieczornéj. Szła daléj, nie umiejąc prawie zdać sobie sprawy z otaczającego ją świata, dopóki nie napotkała omnibusa, jadącego do stacyi Wiktorya. Siadła do niego i tam znalazła się do końca podróży w zupełnéj samotności.

Całkiem inaczéj rzecz się miała na dworcu stacyi, gdzie wysiąść jéj wypadło. Pełno tu było ludzi, po większéj części młodych, których staranniejsze ubranie świadczyło, iż się za miasto powybierali do znajomych. Zebrani w gromadki, rozprawiali gwarnie, czekając na nadejście pociągu; Violetta obrała sobie zaciemniony kącik w sali i tam zasiadła, aby niczyjéj nie zwrócić uwagi.

W wagonie, znalazła się w towarzystwie kilku osób, stanowiących jedno kółko, bardzo rozweselone, nadto może nawet hałaśliwe; ale pobłażliwą na to była, ze względu na dzień radosnego święta w którego weselu wolno każdemu brać udział. W pobliżu Denmark-Hill, serce jéj prędzéj bić poczęło. Poznała głos posługacza, wywołującego podróżnych, w chwili, gdy się zatrzymał pociąg i wysiadłszy śpiesznie koło niego przebiegła, tak się lękając, aby jéj nie poznał, że nie spójrzała nawet na zielone wieńce, wszędzie wkoło niéj porozwieszane. Po raz to piérwszy zapewne, nie opłacała hojnym datkiem widoku tych świątecznych przyozdobień, urządzanych na dworcu przez służbę kolejową, dla przyjemności podróżnych.

Tu, po za miastem, powietrze czystsze było, ale też ostrzejsze; na szarém tle nieba zaledwie blada gdzieniegdzie jaśniała gwiazdka, po kamieniach mróz się iskrzył, a w cienistych ogrodach koło drogi panowała cisza głęboka. Po przez drzew gałęzie dostrzegała jednak Violetta światła w oknach; a czasami, uchylona gdzieś firanka dawała jéj widzieć w rozjaśnionych pokojach wieńce zielone na ścianach i dzieci tańczące przy dźwiękach wesołéj muzyki. Duża jakaś brama stała otworem; weszła nią w ogród i postąpiła ku laurowym krzewom, po za któremi dawały się słyszeć w willi, oddalonéj o kilkadziesiąt kroków zaledwie, śmiechy, zmięszane z głosami dziecięcemi. Przez firanki muślinowe widać było wdzięczny obrazek życia rodzinnego; Violetta popatrzała na niego czas jakiś. Odchodząc, twarz miała łzami zalaną; po raz to ostatni widziała święta Bożego Narodzenia, obchodzone według angielskiego obyczaju.

Doszła wreszcie do stóp wzgórza Camberwell i wstępować na nie poczęła. Z jakże silnie bijącém sercem zbliżała się do tego do-

mu którego próg przestępowała zawsze z tak błogiém uczuciém zaufania i radości! Spójrzała wokoło siebie; nie było widać nigdzie nikogo na drodze. Odważyła się zejść z niéj cokolwiek i zbliżyć się ku domowi. Stała w miejscu przez parę minut, wpatrując się w niego. Dosyć jéj było tego, co dostrzedz mogła —chciwym wzrokiem objęła spiczaste jego dachy, okna o drobnych szybach, ładną boczną werendę i po nad drzwiami wchodowemi odblask światła lampy palącéj się w sieni. Jak ją srodze udręczała w téj chwili boleść ostatniego pożegnania, o tém nie ma pewnie pojęcia żadna ludzka istota.

Wyobrażała sobie to szczupłe kółko, zebrane w jadalnym pokoiku; widziała tam także chorego, leżącego na kanapie; bez wątpienia, zdobył się na siły do uczestniczenia w skromnéj uczcie rodzinnéj; może w téj chwili właśnie bierze w rękę kieliszek i wnosi zdrowie przyjaciół nieobecnych. Nawet w to wspomnienie nie zostanie ona objęta. Pomyślą jednak o niéj bez wątpienia, podczas tego uroczystego wieczoru dorocznego, a wzmianka ta będzie przyjazna, ze względu na dawne czasy...

Rozpaczliwe łkania, podnoszące jéj piersi, oddech w nich prawie tłumiły; a jednak, jakże jéj ciężko ztąd odejść. Tak niewielka przestrzeń dzieli ją teraz od tych, co jéj najdroższymi są na świecie a wkrótce stanie pomiędzy nimi cały ogrom oceanu!

— Bywajcie mi zdrowi... żegnam was! mówiła do nich w głębi serca, zamierającego prawie w téj chwili od bólu tego duchowego konania. Gdybyście wiedzieli że tak blisko was jestem, wyszlibyście ku mnie i wzięlibyście mię z sobą... jak swoję, tak samo jak dawniéj bywało. Może téż nad tym domem czuwa jaki anioł co go darzy pogodą i spokojem... on wié dla czego ztąd odchodzę. O moi najdrożsi! po raz ostatni żegnam was!

Oddaliła się zwolna, z głową spuszczoną i łkając, minęła znowu owe oświetlone okna, zkąd wychodziły odgłosy muzyki i dziecinne głosy, przesuwając się zcicha pod niemi, niby milczące widmo niedoli.

Niedaleko jednak odeszła, albowiem główny cel jéj wycieczki nie został jeszcze osiągnięty. Po pewnym czasie, uspokoiwszy się cokolwiek, rozglądać się zaczęła wokoło siebie, szukając kogoś coby się podjął jéj przesyłki; ale czas pewien upłynął, zanim się ktokolwiek ukazał na tym gościńcu teraz o pustoszałym. W końcu jednak, ujrzała zbliżającego się chłopaka, który szedł drogą gwizdając. Spytała go, czyby nie chciał odnieść do drzwi wskazanego sobie domu koszyczka, który miała w ręku, wraz z listem. Gdy się zdawał wahać, trochę zdziwiony tém żądaniem, ofiarowała mu szy-

linga, co go zaraz chętnym uczyniło do spełnienia jéj żądania. Podprowadziła go tedy ku szczytowi wzgórza i tam, wskazawszy mu dom Drummonda, oddała list i koszyk, a sama spiesznie w pomrokę się usunęła.

James leżał na sofie w saloniku, z głową opartą o poduszki, Amy zaś grała na fortepianie dla rozerwania go, kiedy wtém weszła do pokoju pani Warrener, niosąc coś w ręku i rzekła:

— Dziwna to rzecz, doprawdy! Oto koszyk z kwiatami dla ciebie, Jamesie, bo i list pod twoim adresem razem oddano.

Mówiła to bardzo wesoło, upatrując w tém czyjęś uprzejmość. Podała mu jednocześnie kopertę, którą zaraz otworzył.

W téjże saméj prawie chwili, przeraził ją wykrzyk nagły. Z najwyższą trwogą ujrzała brata swego, usiłującego wszelkiemi sposoby podnieść się z sofy, na któréj leżał, a twarz jego, śmiertelnie blada, miała wyraz najgwałtowniejszego wzruszenia.

— Jamesie, co ci jest takiego, na Boga?

— Saro, Saro! zawołał, podając jéj drżącą ręką ową ćwiartkę, ona żyje! Ja to czuję, że Violetta żyje! Wiém to, wiém z pewnością, ona jedna mogła o tém pomyśléć—to dusza odzywa się do duszy! Ona—Violetta!...

Osunął się na poduszki, bez tchu i z sił wyczerpany.

— Uspokój się, Jamesie, rzekła mu łagodnie siostra, przerażona do najwyższego stopnia jego stanem i przypuszczając, że zapadł znowu w malignę. Może téż te kwiaty pochodzą od Violetty, ale... nie ma w tém nic pewnego...

— Kobiéto! kobiéto! zawołał czyniąc znowu gwałtowne wysilenie, aby się podnieść, nie stój że tu w miejscu! Każ jéj szukać! każ szukać jéj posłańca! Kto to przyniósł? mów!

— Chłopak jakiś, odpowiedziała, tracąc już całkiem głowę, albowiem widziała, że, pomimo bezładu z jakim brat jéj się wyrażał, był całkiem przytomny.

— Posyłaj za nim—tylko prędko—prędko! Pytaj go kto mu dał ten list i tę przesyłkę...

Wybiegła z pokoju i sama w pogoń się puściła za posłańcem, wśród pomroki. Jeśli to tylko przywidzenie chorego, to mu przynajmniéj trochę ulgi przyniesie owo dogodzenie jego żądaniu. A zresztą, któż to wié? może też jest odblysk jakiś prawdy w nadziei budzącéj się w tym umyśle, który gorączkowe podniecenie mogło obdarzyć rodzajem jasnowidzenia?

Niedługo potrzebowała pani Warrener szukać chłopaka. Stał w pobliżu, pod światłem latarni, przypatrując się swemu szylingowi

i probującego zębami, aby się upewnić, że szczęście, jakie go napotkało, nie było złudzeniem.

— Słuchaj no, rzekła spiesznie do niego, czy tyś to przyniósł do nas te kwiaty?

— Tak jest, pani, odpowiedział chłopak, chowając jak najprędzéj swój skarb do kieszeni.

— Zkąd je wziąłeś? kto ci je dał?

— Dała mi je jedna pani,—napotkałem ją tam, na zakręcie drogi.

— A jak ona wygląda? czy młoda?

— Tak jest.

— A czy wzrostu wysokiego?

— O, tak; twarz miała zasłoniętą, ale zdaje mi się, że płakała.

Pani Warrener drżéć poczęła na całém ciele.

— A w którą stronę odeszła?

— Tędy oto.

To mówiąc wskazywał drogę, na któréj nie widać było żadnéj ludzkiéj istoty, o ile oko zasięgnąć mogło w téj wieczornéj porze. Pani Warrener odeszła tedy do domu, ale kroki teraz stawiała niepewne i twarz miała śmiertelnie bladą, gdy weszła do pokoju, gdzie na nią brat czekał, najwyższym przejęty niepokojem.

— O, Jamesie! zawołała w odpowiedzi na rozgorączkowane niecierpliwością spojrzenie, którém ją objął, czyżby to podobném było? Ów chłopak powiada, że mu te kwiaty odnieść kazała młoda jakaś pani—miała twarz zasłoniętą—ale zdaje mu się, że płakała...

Chory osunął się na poduszki, jak gdyby go znagła siły opuszczały.

— Violetta żyje, Saro, i jest w Londynie, rzekł słabym głosem. Musisz ją wynaléść... Ona żyje.... Nasza Violetta była tu przed chwilą.... A potém szepnął, jakby do siebie, odwracając głowę od światła:

— O, postrzelona, postrzelona dziewczyno, coś ty zrobiła!

ROZDZIAŁ XVIII.

Nieproszeni goście.

Bywają w życiu chwile tak udręczających myśli, że się ono z pewnością o lata całe niemi skraca. Pani Warrener chciałaby była módz się do brata odwołać, aby jéj pomógł w uporządkowaniu bez-

ładnych przypuszczeń, jakie w niéj wywołały jego słowa, i z nią razem rozpatrzył straszliwe wątpliwości, budzące się w jéj umyśle; ale James Drummond leżał w milczeniu, wyczerpany do najwyższego stopnia gwałtownością wrażeń, którym słabe jego siły nie mogły jeszcze podołać. Widziała się tedy saméj sobie zostawioną, w obec położenia nader trudnego.

— Mateczko, czyż to podobna—czy wierzysz, aby Violetta mogła być przy życiu? spytała jéj córka, niemniéj od niéj blada i wzruszona.

— O moje dziécię, alboż ja wiém, co ci mam odpowiedziéć? rzekła pani Warrener, zapatrzona błędnym wzrokiem w przestrzeń i czując budzący się w niéj cały świat myśli, w których zamęcie nie była w stanie się rozpoznać.

Nie ulegało wątpliwości, że młoda jakaś kobiéta przysłała te kwiaty; czyż więc było równie prawdą, że jest nią Violetta, że spędziła cały ten czas w Londynie, tak blisko, myśląc o nich, tak samo, jak oni myślą jéj szukali, i może krążąc nieraz w pobliżu ich domu, aby ich ujrzéć ukradkiém z owém właściwém jéj upodobaniem do wszystkiego co dziwaczne?

Po pewnym czasie namysłu, twarz pani Warrener poczęła coraz bardziéj przybiérać wyraz oburzenia. W przekonaniu jéj, Violetta dla tego tylko mogła tak nagle rozłączyć się ze swymi przyjaciołmi, że nie potrafiła się zdobyć na odwagę wyznania im szczérze swego przywiązania do Jerzego; on więc wié o niéj z pewnością; przez niego téż starała się o nich czegoś dowiedziéć, a jeśli ich sama dotąd nie odwiédziła, łatwém było do zrozumienia, że nie umiała na to się odważyć, po tak szalonym czynie, jak ten, który sobie miała do wyrzucenia. A jednak, przywiązanie pani Warrener do téj młodéj dziewczyny było tak wielkie, że w téj chwili radośnéj nadziei nie zostawało w tém kochającém sercu miejsca na urazę przeciw zbłąkanemu dziecięciu; oburzenia jéj przedmiotem był raczéj Miller, który, wiedząc, że Violetta żyje, nie powiedział o tém nikomu i mogąc oszczędzić cierpienia tym co ją kochali, nie uczynił tego wcale;—Miller, który zaszkodziwszy już przed parą laty pannie North w obec świata swemi przedwczesnemi zalotami, dopełnił teraz miary w tym względzie, ukrywając ją w ten sposób przed rodziną i przyjaciołmi.

— Jamesie, rzekła do brata, jeśli Violetta żyje, to z pewnością wie o niéj jeden Miller. Dla niego tylko mogła nas w taki szalony sposób opuścić.

— Mniéjsza dzisiaj o to wszystko, odpowiedział łagodnie; dosyć nam tego, że ona jest przy życiu. Odszukaj ją Saro i zobacz się z nią. Powiedz, ile nas to, cieszy, że śmierć jéj nie zabrała, i dowiedz

się, czy jest zdrowa i szczęśliwa. Wszystko stało się jak najlepiéj;— nie należy ci ganić jéj za to co uczyniła.

— Ale gdzież ją znaléść potrafię? Ach, Jamesie! wszystko to sprawia mi wrażenie jakiegoś snu dręczącego. Czyż podobna, aby mi na jawie do głowy przychodziły myśli, krzywdzące to biédne dziecię?

Pomodliła się w duchu do Boga o przebaczenie. Postać téj niesfornéj i dziwacznéj dziewczyny utraciła była w jéj pamięci swe cechy ujemne; było to dziś tylko wspomnienie czystéj i szlachetnéj istoty. Gdyby, podczas tego uroczystego wieczoru wigilijnego, danèm zostało Violecie zajrzéć wzrokiem w ten dom tyle jéj zdawna drogi, z litością i z żalem byłaby pewnie widziała ciemną zmorę, jaka teraz zawisła nad jego mieszkańcami.

— Matko, rzekła Amy, zalana łzami, jeśli jest jakakolwiek nadzieja odszukania jéj, musimy tego próbować. Boże mój! cóż to za radość pomyśléć, że może nam być zwróconą nasza Violetta! Wybiérzmy się jak najprędzéj do pana Millera, jeśli sądzisz, że on wié cośkolwiek o niéj;—zróbmy, to mateczko, jeśli tylko jest choćby najmniejsza nadzieja.

— Czy i ty także chcesz tego? spytała pani Warrener brata.

— O tak, tak; to trzeba przedewszystkiém uczynić, zawołał z żywością. Znajdziesz Millera teraz, z pewnością, u ojca, na Sydenham-Hill; Amy wié, gdzie oni mieszkają. A może téż.. ale nie,— to niepodobna, aby był tyle okrutnym;—on wam dopomoże do wynalezienia jéj, jeśli sam nie wié, gdzie się ukryła. Tylko, gdy ją zobaczysz, Saro, nie wypytuj się jéj o nic; niech dla siebie zachowa swą tajemnicę. Poprzestań na tém, co ci powié o powodach dla których to uczyniła. A także, nie zachęcaj jéj do odwiédzenia nas, jeśli, sama o tém nie wspomni. Dowiédz się jak się miéwa i powiédz ile szczęśliwi jesteśmy, zasłyszawszy wreszcie o niéj;—i na tém niech będzie koniec.

— Jakże pewny jest twój wuj, że ona żyje, powiadała pani Warrener do córki, podczas, gdy się obie przebierały w swoim pokoju, na tę nocną wyprawę. Daj Boże, aby to nie było znowu jakie gorączkowe przywidzenie, podobne do tego, jakie miał kiedyś w czasie, choroby; wszak pamiętasz?—wtedy, jak to zdawało mu się, że widzi Violettę siedzącą w krześle, że jest niby jego żoną i zajmuje się właśnie domowemi rachunkami. Słuchając go, można było uwierzyć, że to wszystko jest prawdą; pamiętasz jak się o to kłopotał, żeby sobie oczu nie męczyła tém pisaniem i jak ją przepraszał za to, że nie może dać jéj więcéj pieniędzy.

— Ależ teraz, mateczko, rzecz się ma całkiem inaczéj. Wuj jest zupełnie przytomny; o, doprawdy, może też to nie jest złudzenie!

Gdy kucharka zawiadomioną została, że obiad ma być odłożony do dziewiątéj godziny—obiad mianowicie najuroczystszy w roku—pomyślała, że może zmysły pomięszały się jéj pani. Wróciwszy do kuchni, żaliła się przed młodszą, że w domu, gdzie dawniéj siadano zawsze do stołu pomiędzy szóstą a siódmą godziną, nie ma już teraz żadnego ładu, odkąd państwo ze Szkocyi powrócili; i że doprawdy tak tu smutno teraz i nie wiedzieć po jakiemu, od czasu owego nieszczęśliwego utonięcia panny Violetty, że chyba dłużéj niepodobna będzie w tym domu wytrzymać. Pani Warrener tymczasem, wybrawszy się z córką jak najśpieszniéj w drogę, zdążała pieszo do Sydenham-Hill; z powodu bowiem tak uroczystego święta, trudno było liczyć na inny środek dostania się tam. Obrawszy sobie najkrótszą drogę przez Grun-Lanc, szły obie wązkiemi ścieżkami przez uśmiechniętą dolinę, w któréj niegdyś, podczas słonecznego poranku, odbywał się piérwszy romansowy ustęp życia postrzelonéj pensyonarki, więcéj wtedy zadowolonéj psotną swoją wyprawą, niźli towarzystwem jakie w niéj miała. Teraz pusto tu było wokoło; i tylko te dwie kobiéty czarno ubrane wzrok dostrzegał na dróżynie, jak daleko mógł dosięgnąć. I one też tak samo jak niedawno temu Violetta, spoglądały na oświetlone wnętrza domów, które mijały, i z ich piersi także dobywało się westchnienie, gdy dźwięki wesołéj muzyki do nich dochodziły, bo daleko im było do spokoju i do wesela.

Żadna jednak z napotykanych przez nie po drodze willi, nie iskrzyła się tak żywém oświetleniem, jak ta, przed którą się wreszcie zatrzymały. Okazały ten pałacyk wznosił się już na pochyłości wzgórza i zdaleka był widzialny, wraz ze swemi werendami i cieplarniami, ozdobionémi równie jak i wejście kolorowemi lampami, w tym dniu uroczystym.

W chwili, gdy się tam pojawiła pani Warrener z córką, obiad był już skończony i podawano właśnie wino; ale kobiéty znajdowały się jeszcze w jadalnym pokoju. Może nie wpuszczonoby do domu obcych osób w tak niezwykłéj porze, gdyby nie to, że w sieni była wtedy tylko służąca najęta na ten wieczór i nieznająca miejscowych stosunków.

— Czy jest w domu pan Miller?—mówię o panu Jerzym — spytała jéj pani Warrener.

— Jest, proszę pani, odpowiedziała służąca, trochę zdziwiona temi niewczesnemi odwiedzinami.

— Bądź tak grzeczna, moja panienko, oddaj mu ten bilet wizytowy i powiédz, że chciałabym z nim się zobaczyć na krótką chwilkę.

Służąca wzięła bilet, ale nie wiedząc czy wypada w sieni wchodowéj zostawić te nieznajome panie, uznała za stosowniejsze poprosić je tymczasem do bawialnego pokoju; sama zaś poszła spełnić odebrane zlecenie.

Dziwnie zaprawdę wyglądały owe dwie postaci czarno ubrane; same jedne w tym okazałym salonie, którego sute oświetlenie uwydatniało białe ze złotem obicia, obwieszone dziś zielonemi wieńcami, kwiaty obficie wszędzie porozstawiane i nie mniéj żywych barw kobierzec zasłany na posadzce. Ale wszystkie te szczegóły nie zwróciły wcale w téj chwili uwagi nowo przybyłych.

Młody Miller bardzo wesoło wnosił właśnie zdrowie swojéj czteroletniéj siostrzenicy, siedzącéj naprzeciw niego na wysokiém krzesełku przy stole, kiedy mu oddano bilet pani Warrener.

Na widok jego, zmięszał się cokolwiek i, przeprosiwszy resztę towarzystwa, wyszedł z pokoju. Piérwsze jego zapytanie, skoro tylko ujrzał obie kobiéty, było czy się co złego nie stało panu Drummond.

— O, nie, dzięki Bogu, odpowiedziała pani Warrener, czyniąc wszelkie możliwe wysilenie, aby zachować pozory spokoju. Brat mój ma się dobrze; o coś wcale innego tu chodzi. Możesz pan mi powiedzieć, czy żyje Violetta?

Niespodziane to zapytanie zastało go całkiem nieprzygotowanym. Zmięszał się mocno, sam nie wiedząc co ma odpowiedzieć, i nie był nawet w stanie ukryć swego zakłopotania.

— Panie Miller! zawołała Amy, widzę teraz, że wiész gdzie ona jest. Na Boga zaklinam cię, powiédz nam, czy żyje nasza Violetta i gdzie jéj mamy szukać?

— Doprawdy... rzekł, ale wyrzekłszy to jedno słowo, zaraz się zatrzymał, gdyż z wyjątkiem wyraźnego kłamstwa, nic takiego nie miał do powiedzenia, coby go nie mogło późniéj w kłopot wprowadzić. Ale milcząc znowu, czyż nie naruszał obietnicy uczynionéj Violecie?—Doprawdy—ciągnął daléj—rzecz to wielce dziwna.... i któréj zrozumiéć nie umiem.... Violetta North żyje.... i u mnie szukacie panie o niéj wiadomości!

— Tak jest, u pana. odpowiedziała mu z goryczą pani Warrener. Czy możesz temu zaprzeczyć, że ona żyje? czy możesz wyprzéć się tego, że zachowałes dla siebie jednego tę wiadomość — w jakim celu? tego nie umiém powiedziéć;—żeś patrzał bez litości na naszę

i jéj rodziny boleść? O, zgrozą się czuję przejęta, gdy o tém pomyślę!

Tym razem, krew już poczęła się burzyć w Millerze. Wyraźném było, że odtąd odkrytém zostało istnienie Violetty, cała wina tego wszystkiego, co się stało, miała spaść na niego—na niego, który czuł się całkiem od niéj wolny. Tego już było zawiele. Musiał dziś słuchać w milczeniu wszelkich oskarżeń, jakieby mu rzucano, związany przyrzeczeniem odejmującém mu najzupełniéj możliwość obrony.

— Nie rozumiém wcale pani, rzekł. Zkądże to przypuszczenia, że Violetta jest przy życiu?

— Czy możesz pan zaprzeczyć, że wiesz o tém? rzekła gorąco pani Warrener. Ależ to szaleństwo, czyste szaleństwo! zawołał śmiejąc się. Zkądże pani przychodzi, zarzucać mi coś podobnego? Gdybym wiedział, że ona żyje, jakiż miałbym powód to ukrywać? Cóżby mi z tego przyjść mogło? Nie, to już doprawdy nadto jest niedorzeczne. Powiédz że mi pani przynajmniéj, kto ci tę myśl podsunął? Zkąd wnosisz, że ona żyje?

Pani Warrener nic mu nie odpowiedziała na te pytania, czcze tylko słowa w nich widząc. Wahanie się Millera w piérwszéj chwili wyraźném dla niéj czyniło, że cała ta dziwna tajemnica jest mu znaną i że nagłe przeczucie Drummonda czémś inném było jak przywidzeniem wyobraźni, podnieconéj długą gorączką.

— Więc nie chcesz nam pan powiedziéć gdzie jest Violetta? rzekła stanowczo.

W téj chwili, drzwi otworzyła służąca, nie wiedząc, że się ktoś znajduje w salonie i weszły do niego domowe panie; co w niemały kłopot wprowadziło Jerzego, niespodzianie zdybanego na téj rozmowie z dwiema nieznanemi im osobami.

— Pozwól matko, rzekł do kobiéty więcéj niż średniego wieku i dosyć dobréj tuszy, noszącéj na sobie sporo klejnotów, abym cię zapoznał z panią Warrener i z jéj córką, o których nieraz słyszałaś odemnie.

Pani Millerowa skłoniła się chłodno, uważając porę za niestosowną wcale do odwiédzin.

— Zaraz pani powiém dla czego tu jesteśmy w tak spóźnionéj godzinie, rzekła pani Warrener z odwagą, którą czerpała w silném wzruszeniu. Przed kilku miesiącami, młoda osoba, z którą żyliśmy w bardzo przyjaźnym stosunku, utonęła kąpiąc się w morzu—tak sądzono przynajmniéj—podczas wycieczki w Highlandy, którą z nami odbywała. Ale tak nie było. Uciekła gdzieś w świat—dla czego?—tego nie wiém;—a myśmy ją gorzko opłakiwali, bo nam wielce drogą była. Teraz zaś pokazuje się, że syn pani wié gdzie się ona znaj-

duje; a nietylko że nas przez cały ten czas w żalu próżnym pozostawił, ale i dziś kiedy mamy pewność, że byłby w możności zwrócenia téj młodéj dziewczyny rodzinie jéj i przyjaciołom, milczy uporczywie i wszystkiego się wypiéra. A teraz, czy dziwisz się pani, że tu przybyłam, nie mając względu na porę, skoro tak ważna sprawa mię przywiodła?

Głos jéj drżał od oburzenia; nie próbowała już niczego zataić przed temi obcemi osobami, wpatrującemi się w nią ze zdziwieniem.

Jerzy, powiédz mi co to znaczy? spytała pani Miller, na któréj nie było znać żadnego wzruszenia. Czy tu mowa o pannie North?

— Tak mi się zdaje, odpowiedział z nieukontentowaniem; dosyć mi już ona kłopotu sprawiła za życia, a jak widzę, nie skończyło się to jeszcze i teraz. Może pani Warrener potrafi wytłómaczyć zkąd sobie uroiła te niedorzeczne przypuszczenia; co do mnie, nie mam o tém żadnego pojęcia.

— Miéj pan litość nad nami, zawołała pani Warrener, z gniewu przechodząc do rozżalenia, napraw choć teraz swą winę — powiédz, gdzie jest Violetta?

— Nic o tém nie wiém, odpowiedział szorstko. Nie dbam o nią wcale; radbym nigdy już o niéj nie słyszéć i miałbym sobie za szczęście, żeby gdzieś na dnie morza była.

— Dziwnie się naprawdę wyrażasz, Jerzy, rzekła mu matka surowo. Chciéj pamiętać, że rozmawiasz z kobiétą. Ze słów twoich możnaby wnosić, że panna North nie spoczywa na dnie morza, jak to wnoszono dotychczas. Powiédz że, czy wiész gdzie się ona znajduje?

— Nie mam o tém żadnego pojęcia.

— Zapytaj go pani, zawołała pani Warrener, znagła płaczem wybuchając, czy może temu zaprzeczyć, że nasza Violetta żyje? Zapytaj go, czy jéj nie widział? czy nie wié gdzie ona przebywa?

— Jerzy odpowiédz na to natychmiast!

— Cóż za potrzeba odpowiadać na podobne zapytania? Czyż nie jest każdemu wiadomo, że panna North nie żyje.

— Mnie jednak możesz dać odpowiédź. Czy i ty wierzysz w jéj śmierć?

— Nic mię to nie obchodzi, co się z nią stało. Jeśli bliżsi jéj znajomi wierzą że nie utonęła, to niech jéj sobie szukają. Mnie nic do tego i nie mam żadnych objaśnień do dania w tym przedmiocie.

— O wstyd mi doprawdy za pana! zawołała pani Warrener; nie wyobrażałam sobie, aby w duszy człowieka mogło się pomieścić tyle obłudy i okrucieństwa. Nie pozostaje mi, jak odwołać się do

ojca Violetty; on to powinien zająć się tą sprawą. Przepraszam pana i wszystkich w tym domu, za nasze niewczesne odwiedziny. Chodźmy, Amy.

Mówiąc to, gorzko płakała. Zaledwie lekkiém skłonieniem głowy pożegnała panią Millerową, ale ta serdecznie uścisnęła jéj rękę i do sieni odprowadziła ją uprzejmie.

— Wszystko to wydaje mi się bardzo dziwném, kochana pani, rzekła tam do niéj, i nie umiém sobie wytłómaczyć postępowania mojego syna, jeśli w istocie, wié o czémś w téj sprawie. Przyrzekam pani, że uczynię co tylko będę mogła, aby ją wyjaśnić. Tymczasem zaś, nie sądź Jerzego nadto surowo, usprawiedliwiają go może jakieś powody, dla nas nieznane.

Dziwne i sprzeczne wrażenia napełniały duszę pani Warrener, gdy do domu powracała, wśród wieczornéj pomroki; sama nie wiedziała, czy ma się cieszyć czy też smucić, opowiadając bratu jaki był skutek uczynionego przez nią kroku.

— Amy, rzekła do córki, patrzałaś na niego uważnie. Czy ty wątpisz o tém, że on wié wszystko?

— Pewna tego jestem, mateczko, odpowiedziała żywo młoda dziewczyna.

— Mniejsza o to, rzekł Drummond spokojnie; główna tu rzecz, że Violettę naszę znowu mamy;—lada chwila może nam się tu pojawić, z tym skromnym a zarazem ożywionym wyrazem twarzy, jaki zwykle miewała. Nie będziemy jéj o nic wypytywali; ma prawo dla siebie zachowywać swe tajemnice.

— Wszystko to dobrze, Jamesie, odpowiedziała mu siostra z pewnym odcieniem urazy, ale niepodobna mi zapomnieć o wszystkiem cośmy wycierpieli, z powodu tego szalonego jéj wybryku. Czy myślisz, że nie wiém co było przyczyną twojéj choroby? A także, wyobraź sobie jéj biédnego ojca. Kiedy przypomnę sobie, że ten niegodziwy Miller wiedział o wszystkiém i że nas z taką obłudą oszukiwał, bywając tu nieraz, to aż mi się w głowie mąci, i sama nie wiém, które z nich dwojga jest gorsze.

— Saro, nie godzi się tobie nic mówić przeciw Violecie. Nie wiész jakie okoliczności mogły na nią wpłynąć w tym razie. Dosyć nam tego, że ją odzyskaliśmy.

Służąca podawała w téj chwili obiad. Choremu postawiono talerz na krześle, obok jego posłania i w ten sposób brał udział w skromnéj uczcie rodzinnéj. Gdy się już skończyła, rzekł do swéj siostrzenicy:

— Amy, naléj teraz wina w nasze kieliszki. Wypijemy zdrowie naszéj Violetty; niech się niém cieszy, a także szczęściem i wielu

świętami weselszemi od tych, które spędza teraz prawdopodobnie. Nie spodziewałem się nigdy, abyśmy mogli jeszcze wnieść kiedy taki toast. Gdzie ona jest? jakie ją powody skłoniły do opuszczenia nas? i czy ją kiedy zobaczymy?—mniejsza już o to. Niech ma przed sobą długie lata szczęścia, i niech jéj Boska opieka nie odstępuje! Wypijmy z tą myślą.

Pani Warrener spojrzała na drżącą rękę, którą podnosił w górę swój kieliszek, i serce jéj zawahało się nieco w zawtórowaniu tym słowom.

ROZDZIAŁ XIX.

Gość przynoszący z sobą nieszczęście.

Jerzy Miller miał spędzić dwa dni następne z rodziną zebraną w Sydenham-Hill na święta; ale po odwiédzinach pani Warrener, uczuł się usposobiony do zmienienia tego zamiaru. Nawet matka, zdawało mu się, że stroni od niego przez resztę owego wieczoru, i w duchu wyrzucał sobie coraz bardziéj, że człowiek tyle co on rozsądny dał się wplątać w awanturniczo uczuciowe wybryki dziéwczyny niespełna rozumu.

Nazajutrz z rana, wyszedł z domu i wprost się udał do mieszkania Violetty. Im się więcéj ku niemu zbliżał, tém go większy gniew ogarniał; a w chwili, gdy zastukał do drzwi, wzburzenie jego dosięgało już najwyższego stopnia. Chciał, aby raz był koniec temu wszystkiemu i postanowił nic nadal nie miéć wspólnego z całą tą sprawą, w któréj przypadły mu w obec rodziny i przyjaciół Violetty pozory człowieka najniegodziwszego.

Gospodyni domu wyszła mu otworzyć; a zdarzyło się, że ona także była w jak najgorszym humorze, skutkiem zajścia, jakie miała przed chwilą ze swoją służącą.

— Czy mieszka tu panna North.... chcę powiedziéć panna Main? zapytał Jerzy.

— Nie mieszka wcale.

Zdziwił się mocno tą odpowiedzią. Spojrzał na numer umieszczony po nad drzwiami—był to ten sam.

— Mieszkała tu, mówiła daléj gospodyni, patrząc z zadowoleniem na jego zakłopotanie, ale wyjeżdża już całkiem w poniedziałek.

W poniedziałek!.... a teraz gdzież jest?

— Nie wiém tego. Pewnie się gdzie na święto wybrała.

— Ależ pewnie tu wróci zanim się puści w podróż.... do Nowego Yorku?

— Tak i ja myślę, bo rzeczy swoje zostawiła, odpowiedziała obojętnie gospodyni. Ma wrócić w poniedziałek.

— A czy powiedziała o której godzinie?

— Nie wiém tego.

— Dziękuję pani i żegnam.

Zamknęła drzwi, a on przed domem został, przyznając sobie, że trudno, aby się ktośkolwiek znajdował w gorszém od niego położeniu. Z pewnością, Violetta miała już zamówione miejsce na statku. W poniedziałek, wróci do miasta o nie wiedzieć jakiéj porze; zajedzie po swe rzeczy i odrazu uda się na dworzec kolejowy — niewiadomo także na który. Jakże tu podobna dopilnować jéj wyjazdu? Na nicby się nawet nie przydało czatowanie na ulicy, od rana do nocy, bo przecięż całéj doby niepodobna tak przebyć. Do policyi także nie mógł się udać o pomoc; a zresztą, choćby Violettę zatrzymać potrafił, to w żadnym razie — czuł to dobrze — nie zdoła jéj nakłonić do zwolnienia go z uczynionéj obietnicy. Myśl ta, tém go mocniéj udręczała, że w bliskiéj przyszłości widział przed sobą wcale niemiłe spotkanie z Sir Actonem North.

Jerzy szedł tedy zwolna ulicą, w bardzo posępném usposobieniu. Myśl jego krążyła nieustannie około wynalezienia sposobu wyswobodzenia się z matni, w którą został wplątany, tak, iżby sumienie jego nic przeciw temu nie miało. Po długiém upracowaniu umysłu, zdało mu się, że natrafił wreszcie na pomysł ze wszech miar szczęśliwy. Przyrzeczenie, powiadał sobie, o tyle tylko coś znaczy, o ile ma jakiś powód być dotrzymaném. O cóż i tu chodziło Violecie, kiedy żądała odemnie, abym nie zdradził jéj tajemnicy? O to, aby mogła bez przeszkody opuścić Anglią. Skoro więc odjedzie, a stanie się to w przyszły poniedziałek — nic mię nie będzie więcéj wiązało. Żądanie jéj zostało spełnioném; dla czegóżbym więc dłużéj pozostawał kozłem ofiarnym téj niedorzecznéj gmatwaniny?— Postanowił tedy prawdę wtedy wyjawić rodzinie i przyjaciołom Violetty i usprawiedliwić się tym sposobem przed nimi, nie dając im wiedzieć jednak dokąd się udała, aby ją od pogoni uchronić; zamierzał tylko powiedzieć, że opuściła Anglią, nie zostawiając za sobą żadnéj poszlaki co do dalszych swych widoków. Zresztą, wszakże już wiedziano o tém, że ona żyje, nie on zatem zdradził jéj tajemnicę, ale zapewne sama to uczyniła, dopuściwszy się jakiéjś nieostrożności; w takim więc stanie rzeczy, czyż nie miał wszelkiego prawa wyswobodzić się wreszcie od wszelkiego wspólnictwa w jéj dziwactwach?

Violetta tymczasem, z myślą swobodniejszą niż ją oddawna miéwała, udała się była na dworzec kole i i tam siadła do wagonu, ktory ją szybko dowiózł do Windsoru. Rozpogodzony poranek godził się z wewnętrzném jéj usposobieniem. Wszystko już miała do swéj podróży gotowe; zdawało się jéj, że w końcu roztwarły się przed nią wrota owego więzienia, w którém zamknięta była od swego powrotu ze Szkocyi. Zostawiła już była za sobą najboleśniejsze chwile ostatniego pożegnania. Wkrótce, znajdzie się na pokładzie okrętu i ztamtąd spoglądać będzie na cofającą się w dal ziemią swą rodzinną, z przeświadczeniem, że spełniła ofiarę konieczną dla szczęścia tego, którego ukochała nad wszystko; że teraz każda chwila zbliża go bardziéj ku spokojowi i ku swobodzie umysłu dawnych czasów, chwilowo z jéj winy zachwianéj.

I ona także czuła się teraz jakby z niewoli wyzwoloną. Minęły już owe dni jednostajne w kantorze spędzone, owe posępne wieczory w samotnéj izdebce, gdzie udręczała ją wiekuiście obawa, że zostanie kiedykolwiek wykrytą; już teraz nie będzie jéj téż ciągle nęciła pokusa błąkania się w pobliżu tego cienistego wzgórza, którego widok tak ciężką boleść w niéj zawsze obudzał. Poprzedniego dnia odbyła ostatnią swą pielgrzymkę w owę stronę; — straszna to była zaprawdę godzina. Czuła, że życia całego jéj nie wystarczy do zapomnienia tego wigilijnego wieczoru, owego cichego, mrocznego wieczoru, w którym do widziadła podobna błędnego, podkradała się pod ten dom ukochany, by mu przesłać milczące, od nikogo nie dosłyszane pożegnanie serca, zamierającego pod przemocą cierpienia. Już tego wszystkiego więcéj nie będzie. Jaśniejsze dni ma ona teraz przed sobą. Wszakże sama powiedziała, że tych których kocha, chce sobie wystawiać w szczęściu i w niepamięci dawnych goryczy?

Usposobienie pomyślne, w jakiém się znajdowała, pozwalało jéj odczuwać piękności uśmiechniętych krajobrazów, przesuwających się przed jéj oczami. Gdy pociąg dochodził do Windsoru, rozkoszowała się widokiem wspaniałego zamku, oblanego światłem słoneczném, od którego iskrzyły się téż zielonawe tonie rzeki, odbijające domy i drzewa nadbrzeżne. Daléj, widać było czerwone mury i szare wieżyczki Etonu, tak teraz wodą oblanego, że się zdawał wśród wyspy wznosić.

Dowsowie, ojciec i syn, czekali na dworcu na pannę Main. Gdy zajęła miejsce kolo piérwszego na koźle amerykanki, obiecał jéj, że będzie miała obrazy ciekawe po drodze z powodu wylewu. W rzeczy saméj, już z mostu w Eton był widok wspaniały; ogromne przestrzenie zajmowała woda; poznikały pod nią pola, łąki i ogrody; a tylko

drzewa po nad jéj powierzchnią stérczące tworzyły miejscami długie szeregi, miejscami zaś kępy szarawéj zieleni. Spójrzawszy na drogę przed sobą, Violetta ujrzała pewną jéj przestrzeń pod wodą, w niewielkiéj odległości. Zebrana tam była gromadka ludzi, czekających na swoję kolej do łódki, która pieszych przez tę przerwę przewoziła.

— Jakże my to miejsce przebędziemy? spytała Violetta.

— O, nic w tém nie będzie trudnego; odpowiedział spokojnie jéj towarzysz. Woda nie jest tam wcale głęboka.

Może trochę za nadto lekceważył sobie Dowse o wę przeprawę, albowiem koń, którym kierował, nie dosyć pewnie mocno w cuglach trzymany, przy spuszczaniu się ku owemu zaklęśnięciu, potknął się, za co został biczem przez swego pana skarcony. Bądź to, że rozdraźnił się tym drobnym wypadkiem, bądź, że go przestraszył nagle dostrzeżony blask wody pod nogami, stał się od razu dziwnie niesforny. Wspinać się jął i szamotał, rozpryskując wodę wokoło siebie, ku wielkiemu przerażeniu kilku kobiét, czekających w pobliżu na łódkę.

— Trzymaj się pani mocno! zawołał Dowse do swéj towarzyszki.

Przestroga ta w porę była dana; gdyż w téj saméj prawie chwili koń rzucił się raptownie w bok, skutkiem czego amerykanka mocno się przechyliła; a zaraz potém szarpnął ją naprzód z wielką gwałtownością. Woźnica nie miał już nad nim żadnéj przewagi; ale, na szczęście, droga była już tu całkiem równa. Pędzili nią szybko przez spory kawałek, a stary Dowse i Violetta tak wyłącznie byli zajęci rozbieganym koniem, na łasce którego było w téj chwili ich życie, że bynajmniéj się tego nie domyślali, iż w powozie ubyło im trzeciego towarzysza. Wtedy, gdy się tak nagle przechyliła na jednę stronę amerykanka, Edward, siedzący z tyłu, stracił był równowagę i padł całym swym ciężarem na drewniane pale będące koło drogi.

Gościniec przed nimi był teraz gładki, a przytém koń poczynał zwalniać już swój bieg.

Zatrzymał go ostatecznie wóz jakiś w poprzek drogi stojący na szczęście; obeszło się to jakoś bez wypadku, i wtedy dopiéro obejrzawszy się na syna, Dowse spostrzegł, że go nie było na tylném siedzeniu.

— Boże wielki! zawołał, gdzie jest Teddy?

— Spójrzeli po za siebie i ujrzeli kilkoro ludzi biegnących ku nim. Wiadomość, jaką przynosili, straszna była. Młodzieniec padł był głową naprzód i pozostawał całkiem nieprzytomny. Posłano już do Etonu po felczera.

— Spiesz pan do niego, rzekła natychmiast Violetta. a ja tu konia potrzymam.

Stary Dowse zdawał się osłupiały; nie był nawet zdolny zastanowić się nad niebezpieczeństwem, na jakie naraża tę młodą dziewczynę, zostawiając pod jéj opieką konia rozhukanego.

— Tak... zapewne; zostań tu pani na chwilę; wyjąkał, a ja muszę zobaczyć... co się tam stało.

Oddał jéj cugle, a sam niepewnym krokiem podążył w miejsce, gdzie widać było koło drogi gromadkę z kilku osób złożoną.

Wśród niéj leżał Edward, zemdlony i niedający najmniejszego znaku życia. Głowa jego, którą podtrzymywała dłoń jakaś litościwa, nie nosiła żadnych widocznych śladów obrażenia; tylko usta były cokolwiek krwią zwilżone.

— Odstąpcie od niego zawołał surowo ojciec, do otaczających ciekawie bezprzytomnego młodzieńca. Odejdźcie cokolwiek, żeby nie tak duszno mu było. Czy posłaliście po felczera?

— Tak jest, panie.

— Teddy! Teddy! zawołał, łudząc się nadzieją, że może głos jego zbudzi syna. Czyś ty bardzo się rozbił — powiédz, mój chłopcze?

Żadnéj nie było na to odpowiedzi. Stary z rozpaczą spójrzał wkoło siebie.

— Czy nie ma tu kto z sobą trochę wódki? zapytał.

Na to także nic mu nie odpowiedziano. Szczęściem, nadjechała w téj chwili kareta jakaś; kobiéta w wieku, która w niéj siedziała sama jedna, sąsiadką była Dowsów i znała ich z widzenia. Dowiedziawszy się o wypadku, jaki się zdarzył, oddała natychmiast swój powóz do rozporządzenia strapionego ojca. Pomieszczono w nim tedy młodzieńca ciągle bezprzytomnego; stary zajął przy nim miejsce i ruszono w drogę powoli.

Gdy kareta dojechała do miejsca, gdzie stała amerykanka, Violetta blada i strwożona, zapytać chciała co się właściwie stało; ale zaledwie wzrokiem rzuciła wewnątrz powozu, rozpoczęte wyrazy zamarły na jéj ustach.

— Postaraj się pani o kogo, coby cię dowiózł na miejsce, zawołał Dowse mijając ją; i tak też zrobiła, czując, że w podobnéj chwili nie mógł więcéj się nią zająć ten stroskany starzec. Za stosownem wynagrodzeniem, właściciel wozu, który tak szczęśliwie znalazł się był na ich drodze, podjął się dostawić amerykankę do willi Dowsów; swego zaś konia zostawił znajomemu do pilnowania. Jadąc zwolna wślad za powozem wiozącym Edwarda, Violetta przejętą się czuła najsmutniejszemi przeczuciami. Zdawało się jéj, że w téj karecie przed nią ciągnącą, trumna się mieści. Dla czegóż tak jest powiadała sobie, że gdziebądź ona stąpi, śmierć lub też pozory śmierci w ślad za nią spieszą? Pojawienie się jéj gdziekolwiek, zdaje się z so-

bą przynosić nieszczęście; trzyma się jéj ono i udziela tym, co z nią mają jakąkolwiek styczność.

Drżąca i trwogą przejęta zbliżała się do tego domu, gdzie zdawało się jéj, że już słyszy płacz matki nad stratą jedynego syna; wyobrażała sobie wyraz wyrzutu, jaki będą miały jéj oczy, gdy od téj bladéj i zmartwiałéj twarzy, zwrócą się ku owéj obcéj kobiecie, któréj przyjazd w związku był z nieszczęściem najstraszliwszém.

Żadna myśl podobna nie przyszła jednak do głowy strapionéj matce. nie miała do tego zresztą nawet ani czasu; ale wyobraźnia Violetty, rażona tą obawą, tak ją srodze udręczała, że nie odważyła się zaraz po przybyciu na miejsce, pójść do pokoju, gdzie rodzice Edwarda nad nim czuwali, jakbądź drzwi stały na rozcież otworem. Weszła do saloniku i tam w samotności siedziała. Po niedługim czasie, usłyszała przed domem turkot: był to powóz przywożący lekarza.

ROZDZIAŁ XX.

Chwile skruchy.

Nazajutrz po swych odwiédzinach do Jerzego, pani Warrener udzieliła macosze Violetty nadzwyczajnéj wieści, którą już miała za pewną i, usłyszawszy ją Lady North, wyszła chwilowo ze zwykłéj sobie chłodnéj powściągliwości i zimny promień jéj szarych oczu ożywił się niepomierném zdziwieniem.

— Dziwne rzeczy pani opowiadasz; rzekła; ale powiédz czyż sama temu wierzysz? Bywa nieraz, że chorzy miéwają najosobliwsze przywidzenia, a właśnie brat pani był przez długi czas w gorączkowym obłędzie.

— Ta sama myśl przyszła mi na razie, szanowna pani, lękałam się czy nie zapadł znowu w malignę, ale odkąd widziałam się z panem Millerem, utwierdziłam się w mniemaniu, że on wié o Violecie coś, czego nie chce wyjawić. Chciałabym, aby się z nim rozmówił Sir Acton; jego tylko powaga potrafi tę rzecz wyjaśnić.

— Mąż mój jest obecnie w Belgii; czy doprawdy uważasz pani, że wypada, abym mu posłała telegram.

— Mam to za konieczne, odpowiedziała bez zawahania się, pani Warrener.

— Pewna pani jesteś rzeczywistości tego co twierdzisz?

— Jak najpewniejsza.

— Będzie mój mąż myślał, że oszalałam, jeśli mu powiém dla czego żądam jego powrotu.

— Nie potrzebujesz pani o tém wspominać. Proś tylko, aby wracał jak najprędzéj, dla ważnego interesu.

— A tymczasem....

— Tymczasem, umieścimy w pismach ogłoszenie, które wypadkiem wpaść może w oczy Violecie. Kto wié także, czy nie byłoby dobrém, abyś się pani zobaczyła z panem Millerem; może otwartszym będzie z tobą, niż chciał nim być ze mną.

— Ale.... rzekła Lady North, nie umiejąc się jeszcze rozpatrzéć w tém co słyszała, cóż za powód mógł on miéć do zostawienia nas w żalu po niéj, wiedząc, że nie umarła? Wszystko to wydaje mi się tak nieprawdopodobném....

— Objaśnień tu żadnych nie mogę dać pani; ale wiém na pewno, że Violetta jest w Londynie, odpowiedziała stanowczo pani Warrener.

W poniedziałek z rana, ogłoszenie owo pojawiło się w niektórych dziennikach; prawdopodobnie mało kto zwrócił na nie uwagę i zastanowił się nad znaczeniem następujących wyrazów:

Do „Violetty N... Wiémy wszyscy, że żyjesz i że znajdujesz się w Londynie. Błagamy cię o to, abyś powróciła. Uczynimy, co tylko zechcesz, dla zapewnienia twojego szczęścia“. — Skoro tylko przeczytał te słowa Jerzy Miller, rzekł sobie:

— Teraz jestem spokojny. Wiedzą o wszystkiém, choć im nic nie powiedziałem. Nie moja więc w tém wina; nie mam na sumieniu złamania danego słowa, ale czyż mi pozostaje teraz jakikolwiek powód być dłużéj ofiarą przesadnych jakichś pojęć o honorze, skoro raz owa tajemnica już tajemnicą być przestała?

Rozumowanie to przywróciło mu zupełną równowagę duchową. Zresztą, Violetta w tym samym dniu, a najdaléj następnéj nocy opuścić miała Anglią, wszystko więc składało się na to, aby go od poprzednich zobowiązań oswobodzić.

A jednak, miara jego trosk i udręczeń nie była jeszcze dopełnioną. W poniedziałek wieczorem, właśnie kiedy wychodził z domu, żeby się udać do swego klubu, ujrzał zatrzymujący się przed nim powóz, w którym znajdowała się Lady North z Anatolią, dające mu znaki, aby się do niéj zbliżył.

W duchu, powitał ten widok wykrzyknikiem, od którego struchlałyby były pewnie obie te panie, gdyby go mogły dosłyszéć. Przewidywał z przerażeniem powtórzenie sceny, jaką miał już w Sydenham-Hill w dniu poprzednim; wolałby był wszystko, niż miéć w tym razie ciągle do czynienia z kobiétami, których najtrudniéj by-

lo się pozbyć w sposób uprzejmy; daleko mniéjby go było zatrwożyło spotkanie z ojcem Violetty, w owéj chwili.

Usłyszawszy od Lady North, że potrzebowała z nim się rozmówić, poprosił ją bardzo uprzejmie do swego mieszkania i, wprowadziwszy do salonu obie panie, zapytał bardzo grzecznie o cel ich odwiédzin.

— Zdaje mi się, że jest on panu dobrze wiadomy, odpowiedziała mu Lady North, usiłując ukryć swe zakłopotanie pod powłoką chłodnéj wyniosłości.

— Tak i ja myślę, rzekł chmurno Jerzy. Zapewne pani Warrener podzieliła się z panią swemi dziwacznemi przypuszczeniami?

— Czyż je pan w istocie za takie uważasz? spytała Lady North. Nie przypuszczam, abyś miał zamiar żartować sobie z nas w rzeczy tak wielkiéj wagi;—powiédz mi więc szczérze—jest że to prawdą?

— Nie rozumiém wcale, z jakiego powodu udajesz się pani do mnie z tém zapytaniem, rzekł Miller, mniéj teraz zdolny nad sobą panować. Doprawdy, cierpliwość moja już się wyczerpała. Nie daléj, jak wczoraj, przychodzi do mnie z wyrzutami pani Warrener; zarzuca mię pytaniami i oskarżeniami, na które sam nie wiém co odpowiedzieć, tyle są niedorzeczne; a wszystko to się dzieje w obecności mojéj rodziny, podczas dorocznego wieczoru świątecznego, który miałem tym sposobem zatruty. A teraz, o ile uważam, z tém samém pani do mnie się zgłaszasz. Na cóż się to przyda, skoro nic nie mam do powiedzenia o téj sprawie.

— Czy to znaczy, że nic nie chcesz pan o niéj powiedzieć? spytała sucho Lady North.

— Skoro żądasz pani koniecznie prawdy, rzekł jakby powziąwszy już stałe postanowienie, więc ją wiedzieć będziesz—ale nie prędzéj, aż we środę. Będę u pani po południu i wyjawię to, co wiém o téj sprawie. Wcześniéj nie mogę tego uczynić.

— Rzeczywiście, panie Miller, rzekła Lady North, zachowanie się twoje w tym razie jest wielce dziwném.

— Nie przeczę temu, odpowiedział; ale chciałbym, abyś pani wysłuchała tego, co mam do powiedzenia, zanim mię oskarżysz o obłudę i okrucieństwo. Wszakże nie tak daleko mamy do środy. Byłbym też pani bardzo wdzięczny, gdyby się u niéj mogła znaléźć wtedy pani Warrener. Mam kilka słów do powiedzenia jéj.

— Pozwolisz mi pan uczynić uwagę, że zdaniem mojém, pani Warrener postąpiła sobie bardzo właściwie.

— Znajdujesz to pani dla tego, że tak samo, jak jéj, są i tobie obcemi okoliczności, będące w związku ze zdarzeniem, o które tu chodzi.

— Mam nadzieję, że we środę mąż mój już będzie z powrotem: rzekła Lady North, niemało pragnąca jak najprędzéj być uwolnioną od wszelkiéj odpowiedzialności.

— Bardzo mię to ucieszy, odpowiedział z żywością Miller. Jeśli mam stawać jako oskarżony przed rodzinném zebraniem, to już wolę przynajmniéj mieć za sędziego mężczyznę.

Lady North wstała, aby odéjść, nie widząc powodu do przedłużania téj rozmowy,

— Do widzenia zatém we środę, rzekła. Może zechcesz pan być u nas na obiedzie?

— Bardzo pani dziękuję, odpowiedział Jerzy trochę szorstko. Człowiek, mający przed sobą potępiający go wyrok, nie powinien zasiadać do stołu tych, co go wydadzą. Wszakże wiész pani, że nie mogę się spodziéwać uniewinnienia, dodał z goryczą.

— Przykro mi, jeśli zbyt surowym sądem pana uraziłam, rzekła Lady North; ale chciéj przyznać, że niejedno może w tym razie usprawiedliwiać.

Miller nie czuł się jednak wcale usposobiony do uznania tego. Po owych niemiłych odwiedzinach, udał się zaraz do klubu, z duszą przepełnioną zamiarami pomsty, którą szczególniéj chciał skierować ku pani Warrener, będącą według niego główną sprawczynią całego tego powikłania. Tyle był prawie na nią zagniewany, ile na Violettę; to jedno go tylko cokolwiek uspokajało, że widział bliskim przed sobą kres wszystkich przykrości, na które go dotąd narażała owa opłakana sprawa.

Jedząc obiad, do którego na ten raz nie szukał towarzystwa, obmyślał plan swéj obrony i udało mu się go ułożyć w sposób, zdający mu się być wcale zręcznym. Czuł się niewinnym, zatém należało mu przedewszystkiém zrzucić z siebie brzemię niezasłużonego zarzutu. Otóż podała mu była środek do tego pani Warrener, napomykając przed nim, że się czuje winną nagłego opuszczenia Highlandów przez Violettę;—cóż mu tedy przeszkadza odwołać się do tego jéj wyznania i na niém opiérać swe usprawiedliwienie? Jeśliby nawet wnioski, jakie wyprowadzał z jéj słów, nie były całkiem uzasadnione, to któżby mu tego mógł dowieść, w nieobecności Violetty? Wnioski te były następujące. Od pewnego czasu, zwłaszcza odkąd dowiedziała się od niego panna North o ciężkiéj chorobie Drummonda, nie mógł wątpić o gorącéj miłości, jaką ukochała tego dawnego swojego przyjaciela; że zaś ten ostatni wzajemnością odpłacał owo uczucie, świadczyła o tém aż nadto myśl nieodstępna, przewijająca się bez przerwy nawet po przez błędne majaczenia jego choroby. Raz to stwierdziwszy, zarówno, jak wynikającą ztąd możliwość przyszłe-

go połączenia tych dwojga ludzi, w kimże można było upatrywać prawdopodobieństwo niechęci przeciw temu związkowi, niechęci biorącéj swe źródło, bądź to w wyrachowaniach samolubnych, bądź téż w przekonaniu, że nie może on być szczęśliwym? Nazwisko pani Warrener nastręczało się myśli każdego w odpowiedzi na pytanie tak postawione; z jéj to pewnie powodu postanowiła Violetta usunąć się od tych drażliwych stosunków, w taki sposób, aby do nich nie było dla niéj powrotu, choćby go nawet sama zapragnęła. W miarę im się więcéj Miller wpatrywał w zarysy tego obrazu, piérwotnie skréślonego przez samę tylko wyobraźnią, poczynał coraz bardziéj wierzyć, że mimowoli natrafił na prawdę, macając wśród ciemności; należy więc stwierdzić na jego usprawiedliwienie, że zanim dzień się skończył, był już całkiem w dobréj wierze, co do swéj przyszłéj obrony, i duszę jego przejmowało szczére oburzenie przeciw téj obłudnéj kobiécie, która dla tego tylko, aby nie ujrzéć zmniejszonym swego udziału w skromnym dochodzie brata, sprawić potrafiła wokoło siebie tyle nieszczęścia i przykrych powikłań.

Gdy się Jerzy udał na Euston-Square, we środę o godzinie oznaczonéj, wyglądał na człowieka, który nie myśli komukolwiek dać sobie ubliżyć. Czuł się teraz na siłach i tak miał umysł swobodny, że nawet ułożył był swą przyszłą przemowę w sposób jak najkorzystniejszy, przeplatając ją miejscami retorycznemi ozdobami.

Sir Acton North, którego zastał już Jerzy, milczący był i poważny, nie chciał zapewne wyrazić żadnego zdania, przed wysłuchaniem młodzieńca. Pani Warrener, także tu obecna, miała wyraz żywego zaniepokojenia na swéj twarzy, zwykle tak tchnącéj spokojem. Lady North uzupełniała to zebranie, do którego żadna z jéj córek nie została dopuszczoną.

— Jakbądź, nie mam tu z sobą prawnego obrońcy... począł mówić Jerzy, ale mu zaraz przerwał Sir Acton.

— Nie jest to przedmiot, stosowny do żartów, panie Miller, rzekł surowo. Odpowiédz mi natychmiast, czy żyje moja córka?

— Żyje—była krótka odpowiedź młodzieńca. Pani Warrener w ręce klasnęła radośnie; najbliżsi Violletty pewnie jéj tyle nie kochali co ona.

— Gdzież więc jest?

— Nie wiém tego.

Czoło Sir Actona North chmurno się namarszczyło.

— Słuchaj no pan, rzekł, jeśli ci żarty podobne uchodziły z temi paniami, to nie sądź, aby ci one na dobre wyszły ze mną.

— Nie wiém wcale gdzie się ona znajduje, mówił daléj Jerzy z wyrazem najzupełniejszéj obojętności, przypuszczam jednak, że

w téj chwili jest w drodze do Ameryki. A teraz opowiém wszystko, co wiém o niéj; możecie mi państwo uwierzyć, lub też nie; wasza to już rzecz, róbcie, jak się wam spodoba. Przypuszczam wszelako, że wysłuchawszy mnie, uznacie może, iż nadto był pośpieszny i nadto surowy sąd wasz o człowieku, którego przecię nie od wczoraj znacie. Miesiąc temu dopiéro dowiedziałem się, że panna North jest przy życiu, a stało się to wypadkowo w klubie Judoeum, którego jestem członkiem. Należący także do niego syna pewnego kupca z Regent-Sreet począł mi razu jednego opowiadać różne szczegóły o młodéj osobie, utrzymującéj księgi rachunkowe w zakładzie jego ojca, i dowodził, że ją otacza dziwna jakaś tajemniczość. Powiadał, że o ile mu się zdaje, musi ona znać kogoś w naszym klubie. Gdy do tego dodał, że się nazywa panna Main, ciekawość moja się obudziła, gdyż takie samo nazwisko nosiła ochmistrzyni, u któréj pobierała nauki panna North. Raz na trop wpadłszy, po niedługim czasie mogłem się przekonać, że młoda osoba wychodząca co wieczór ze sklepu na Regent-Street, była istotnie tą, któréj szukałem; ale w krótkch rozmowach, jakie z nią miewałem od tego czasu, niczego się nie dowiedziałem, co do powodów, dla których chciała uchodzić za nieżyjącą. O zamiarach też swoich na przyszłość, tyle mi tylko powiedziała: że wkrótce opuści Anglią; a zarazem zażądała odemnie przyrzeczenia, iż nikomu na świecie nie powiém, że ją widziałem...

W tém miejscu swojego opowiadania, Jerzy zarumienił się cokolwiek.

— Może przychodzi państwu na myśl, że w téj chwili przeniewierzam się danemu słowu, ciągnął daléj; ale dwa względy mię tu tłómaczą: najprzód osoba, któréj uczyniłem tę obietnicę, nie potrzebuje dziś obawiać się, aby została odszukaną, powtóre wiadomém już wam było, że nie umarła; nie widziałem więc powodu przedłużać bez korzyści dla niéj, położenia tyle dla mnie przykrego i drażliwego.

Tę ostatnią przyczynę wypowiedział Jerzy prawie mimowolnie; nie obejmował jéj poprzednio opracowany plan jego przemowy, od którego odstępował w chwilach większego ożywienia.

— Gdy się dowiedziała o chorobie pana Drummonda, mówił, znowu odłożyła swój wyjazd do czasu, w którym już będzie mogła być o niego spokojna. Co dnia prawie musiałem przynosić jéj o nim wiadomość; ale nigdy w tych naszych spotkaniach, nie zdołałem dowiedzieć się od niéj dla czego tak raptownie opuściła dom swoich przyjaciół; mówiła tylko, że to uczyniła dla tego, że jéj obecność była dla nich nieszczęściem, że wié, iż po pewnym czasie zapomną o niéj i odzyskają dawny spokój...

— Cóż więc dalej? rzekł Sir Acton, przechadzający się tymczasem po pokoju, z rękami w tył założonemi i z wyrazem zaledwie widocznym wzruszenia na posągowych swych rysach.

— Nic nie mam więcéj do powiedzenia.

— Ale z jakiego powodu mogła umknąć z Highlandów w ten sposób? zawołała Lady North. Co ją skłoniło do czynu tak szalonego?

— Pytasz mię pani o to, jak gdybym ja jeden o tém wiedział, rzekł na to z żywością Miller, i wiém, że tak samo, jak pani Warrener, zrzucasz na mnie całą odpowiedzialność tego co się stało. Pozwól że mi chociaż powiedzićć, co ja o tém myślę. Wiém, w jaki sposób najłagodniejsze nawet kobiéty umieją swą niechęć okazywać w sposób dotkliwy młodéj dziewczynie którą chce zaslubić brat ich lub syn, wbrew ich życzeniu. Violetta nadto miała dumy, aby rozdwojenia w rodzinie przez siebie spowodowane znieść potrafiła. Nie zataję tu niczego. Przyznaję, że sam pragnąłem poprzednio ją poślubić; ale przekonałem się, że nic z tego być nie może; kochała pana Drummond nad wszystko;—a czém ona dla niego była, o tém najlepiéj wié pani Warrener. Sądzę, że gdyby nie postronne wpływy, związek ten byłby przyszedł do skutku; z początku myślałem, że się z własnego popędu cofnęła przed nim Violleta, ale później odkryłem, że wszystkich jéj myśli i uczuć był przedmiotem pan Drummond. A teraz, czy domyślacie się państwo, kto stał się przyczyną jéj nieszczęścia? Kto tu wywołał tyle cierpień i tyle zamętu?

Lady North pochwyciła rękę młodzieńca i zawołała:

— Mów pan, na miłość Boga!..

Odwrócił się od ojca Violletty, do którego mowę zwracał dotychczas i ujrzał panią Warrener, zanoszącą się od płaczu, z twarzą rękami zakrytą. Sroga to była zaiste kara, za te kilka słów oburzenia, które mu przedtém rzuciła. Ale biédna kobiéta wysiłkiem woli pohamowała się po chwili i wśród łkania mówić spróbowała.

— Niech mi Bóg przebaczy, jeślim tu zawiniła, skutkiem nieszczęśliwéj pomyłki, rzekła. Nie znacie mię chyba, jeśli wątpić możecie o tém, że dom mój stał zawsze otworem dla Violetty tak samo, jak dla niéj stało otworem moje serce... Kochałam ją szczérze... i droższąby mi się jeszcze stała, poślubiwszy mojego brata. Panie Miller, jeśli niesłusznemi obraziłam cię podejrzeniami, przebacz mi to.

— Widzisz pani teraz, rzekł trochę już łagodniéj, jak pomimo woli mojéj zostałem wciągnięty w tę sprawę. Przepraszam cię nawzajem, jeśli niesprawiedliwym byłem w moich przypuszczeniach co do stosunku twojego z Violettą. Sama wiész pani najlepiéj, jakim on był rzeczywiście; co do mnie, tylko na domysły mogłem zdobyć się w tym względzie.

Sir Acton North, słuchający niecierpliwie tych wyjaśnień zbaczających od przedmiotu, który go głównie zajmował, położył im koniec, żądając od Millera dalszych wiadomości co do Violetty.

— Odpłynęła zeszłego poniedziałku do Ameryki, odpowiedział młodzieniec.

— Ale do któréj jéj części?

— Tego nie wiém wcale.

— Nie możesz pan przecię przypuszczać, rzekł Sir Acton, zatrzymując się przed nim w swéj gorączkowéj przechadzce po pokoju, że opuściła kraj nazawsze, nie zostawiając za sobą żadnego śladu, coby dozwolił ją odszukać.

— Takim właśnie był jéj zamiar.

— Ależ to rzecz potworna! to nie do pojęcia! Cóż za szał opętał to dziéwczę? A pan... pan coś mógł nam był o tém powiedziéć przed tygodniem!..

— Zapominasz pan, że dane słowo wzbraniało mi tego. Uczyniłem co mogłem, aby ją odwieść od téj podróży, ale usiłowania moje były daremne.

— Jak się nazywa ten kupiec z Regent—Street, w którego sklepie miała zajęcie?

— Dowse — firma Dowse i Syn.

— A czy wiész pan, gdzie ci Dowsowie mieszkają?

— Gdzieś po za miastem; nie wiém dokładnie w któréj stronie ale do jutra będzie można dowiedziéć się o tém.

Przez cały ten czas, pani Warrener siedziała w milczeniu, z głową spuszczoną, a na twarzy jéj nie znać było, aby ją cośkolwiek obchodziło to, co się dzieje wkoło niéj. W rzeczy samej, myśli jéj były gdzieindziéj,—daleko odbiegły one w przeszłość, którą teraz rozpatrywać usiłowała, za pomocą nowego całkiem światła, strasznego a dziwnie rozjaśniającego niejedno. Zemsta obmyślona przez Jerzego aż nadto mu się powiodła; okropna trwoga przejmowała serce téj nieszczęśliwéj kobiéty, pojmującéj teraz ile okropnych możliwości mieściło się w następstwach jéj pomyłki. Mało ją to obchodziło, że została pokrzywdzoną niesłusznemi podejrzeniami; tym razem, tak samo, jak zawsze, łatwo umiała za siebie przebaczać; zresztą, cóż w tém dziwnego było, że człowiek praktyczny i ceniący dosyć pieniądz, jakim był młody Miller, trochę za skorym się okazał do upatrywania w kimś innym chciwości? Ale jeśli inne jego twierdzenia są z prawdą zgodne? Jeśli ona w istocie zatruła szczęście dwojga ludzi, uwagami czynionemi im w jak najlepszéj wierze? Czyż na prawdę zniweczyła tym sposobem przyszłość tych, co po własném dziecku najdroższemi jéj są na świecie?

Podniosła się z miejsca, blada i drżąca, chcąc się pożegnać. Prosiła Sir Actona, aby jéj dał wiedzieć o skutku swych poszukiwań i wyraziła nadzieję, że nie będą bezowocne. Millera raz jeszcze przeprosiła za słowa, wyrzeczone w piérwszéj chwili rozżalenia, potém odeszła;—a wszystko to czyniła, jakby machinalnie; zdawało się, że cała jéj duchowa istota wewnątrz duszy zstąpiła i tam w coś jest zapatrzona.

Gdy się do domu dostała, nie zdjąwszy nawet z siebie kapelusza i okrycia, poszła zaraz do brata pokoju. Ale przededrzwiami zatrzymać się musiała, nie mając już siły iść daléj. Dziwne dreszcze po niéj przebiegały; chwyciła się klamki, szukając dla siebie podpory, w oczach jéj się ćmiło. Usiłowała obmyśléć sobie, co ma jemu powiedziéć, i nie była w stanie tego uczynić. Uzyskanie przebaczenia za niepowetowaną krzywdę, jaką zrządziła, było teraz jedyném jéj pragnieniem.

Wszedłszy w końcu do pokoju chorego, zastała go leżącego z zamkniętemi oczami na kanapie. Zdawał się drzémać. Zamknęła drzwi ostróżnie i, zbliżywszy się, uklękła przy bracie. Spójrzała na tę twarz bladą i wychudłą, na te ręce, bezsilnie zwieszone;—ona to doprowadziła go do tego opłakanego stanu.

Nie spał jednak;—po chwili zwrócił się ku siostrze i spójrzał na nią z pewném zdziwieniem. Nie była jeszcze w stanie przemówić.

— Saro, co się stało takiego? zapytał.

Wzięła tylko w swe dłonie jego białą, wychudłą rękę i namiętnie ją ucałowała, płaczem wybuchając. Spróbował wtedy podnieść się, i wynędzniałe jego rysy przybrały wyraz, dziwnie uroczysty.

— Wszystko to przywidzeniem tylko było, rzekł spokojnie;—już jéj nigdy nie zobaczymy.

— O, Jamesie, Jamesie! zawołała z niewysłowioném rozżaleniem, serce mi chyba pęknie, zanim ci to powiém! Violetta żyje... ona to w istocie przyniosla ci owe kwiaty... nigdy cię kochać nie przestała... Może ją znowu zobaczysz, ale... jakże jéj w oczy ja teraz spójrzę? A ty... czyż mi kiedy potrafisz przebaczyć, jeżeli... to wszystko jest prawdą!... a wydaje się to być tak straszliwie prawdopodobném!

W oczach jego odbijało się wrażenie każdego z tych wyrazów, z trudnością wydobywających się z jéj piersi; ale, gdy skończyła mówić, oparł znowu głowę o poduszki i z westchnieniem ulżenia rzekł tylko:

— Więc Violetta żyje...

— Posłuchaj mię jeszcze Jamesie, mówiła daléj, tym razem szybko już i wyraźniéj, choć jéj nieraz łkania głos tamowały;—posłuchaj tego, co ci muszę powiedziéć; a potém, przebacz mi, jeśli potrafisz.

Pomyliłam się w sposób opłakany, i przez to wprowadziłam was w błąd oboje; sądziłam, że ona ciągle kocha Millera, że poróżnienie ich było tylko jednem z owych zajść dosyć zwyczajnych pomiędzy zakochanymi. Tymczasem, tak nie było wcale; przez cały czas teraz pozostawała w Londynie, i Jerzy zapewnia, że nie przestała ani na chwilę kochać cię całém sercem, a dla niego była zawsze całkiem obojętną. Teraz już wszystko rozumiém;—błagałam cię, abyś nie żądał od niéj żadnych wyjaśnień, obawiając się, aby uczucie szlachetnéj dumy nie nakazało jéj dotrzymać, nawet wbrew żądaniu serca, zobowiązań przyjętych zbyt pośpiesznie, tymczasem, ona wytłómaczyła sobie niepokój i smutek twój jako dowód, że ustępstwo jéj tylko czyniłeś, skłaniając się do tego związku.

— Saro, rzekł Drummond, podnosząc się cokolwiek, wsparty na ręku i w oczy jéj patrząc; wszystko, co mówisz, bardzo jakoś niedorzecznie wygląda. Bezpotrzebnie siebie oskarżasz. Zdawałoby się, iż sądzisz, że na stosunek mój z Violettą ty najwięcéj wpłynęłaś, i że sobie wyrzucasz, iż ten wpływ na niekorzyść nam wyszedł obojgu. Mylisz się w tym względzie. W rzeczy, tak ważnéj, nie byłbym się nigdy spuścił na niczyje zdanie, nawet na twoje, jakbądź, w przyjaźni będąc z Violettą, lepiéj mogłaś znać odemnie jéj wewnętrzne uczucia. Nic sobie nie masz do wyrzucenia. Zerwanie tego chwilowego węzła było poprostu przebudzeniem się ze snu, rozproszeniem mgły tumanu; uczyniliśmy to oboje z własnéj woli i po dostateczném wyjaśnieniu naszego wzajemnego położenia. Znieść nie mogłem widoku jéj smutku. To, co mi powiedziałaś wtedy o jéj usposobieniu względem Millera, wydało mi się prawdopodobném; niemniéj jednak u niéj saméj szukałem ostatecznego rozjaśnienia owych ciemności. Nie zapomnę nigdy wyrazu wdzięczności i rozradowania, jaki zabłysnął w jéj oczach, gdym ją zapytał, czy nie pragnęłaby oswobodzić się z łączących nas zobowiązań? Oddawna nie widziałem u niéj twarzy, tak rozjaśnionéj; dosyć tego było dla mnie, poznałem wtedy całą prawdę.

— A jeśli téż, rzekła posępnie pani Warrener, radość ta inny miała powód? Jeśli jéj tę myśl podsunięto, że innego nie masz dla niéj uczucia, jak prostą przyjaźń? jeśli w téj chwili myślała, że cię zwalnia od węzła, któryby się z dniem każdym stawał uciążliwszym?

Podniosła się i rękę po czole przesunęła, jakby machinalnie rozproszyć chciała tym ruchem udręczające przypomnienia; w twarzy miała wyraz znękania, a zarazem gorączkowego niepokoju.

— O, Violetto, rzekła z cicha, dla czegóż nas tak opuściłaś, ani słowa za sobą nie zostawiwszy!

— Gdzież się ona udała? zapytał tak spokojnie, iż sądzić było

można, że ma na myśli swą siostrzenicę, która wybrała się była do jakiéjś znajoméj w odwiédziny.

— Do Ameryki. Tyle wié tylko o niéj pan Miller, który trafem wpadł na jéj ślad, dopiéro miesiąc temu. Wyjednała wtedy od niego przyrzeczenie, że nie zdradzi jéj tajemnicy. O, mój Boże! czemuż się z nią nie mogłam zobaczyć, choć na chwilę! Teraz już wszystko stracone, i kto wié, czy nie boleśniéj nam będzie wyobrażać ją sobie osamotniałą na tém dalekiém wygnaniu, niźli wierzyć, że ją śmierć zabrała.

— Ja ją wynaléźć potrafię—rzekł Drummond półgłosem.

Spójrzała na wychudłą jego postać, na twarz wynędzniałą, i oczy jéj zaszły łzami.

— Odszukam ją, skoro tylko wyzdrowieję, mówił daléj głosem cichym i przerywanym; nie miałem nigdy w życiu nic do czynienia, będzie to przecięż jakieśkolwiek zajęcie. Spełnię dobry uczynek, gdy Violettę zwrócę rodzinie jéj i domowemu ognisku. Dziwna to rzecz pomyśléć, że ją mam znowu zobaczyć. Nieraz bywało, że idąc ulicą, lub na wsi gdzie w polu, widziałem zdaleka postać młodéj kobiéty wysokiego, jak ona, wzrostu; i wtedy myślałem w duchu cobym też powiedział, gdyby to ona była w istocie, wracająca do nas z po za grobowych przestrzeni. O, jakże często wyobrażałem to sobie! A teraz, dalszą moję życiową wędrówkę odbywać będę z przekonaniem, że ją lada dzień ujrzę rzeczywiście, nie marzeniem tylko, ale na jawie, że zobaczę znowu tę naszę ożywioną, postrzeloną Violettę, którą tyle kochaliśmy, pomimo kłopotów, jakie nam nieraz sprawiała.... Pogderamy na nią trochę za te jéj szaleństwa, a potém, już sama tylko radość pozostanie z jéj powrotu. I wszystko wróci do dawnego trybu, do tego dawnego, spokojnego ustroju naszego życia; wtedy, kiedy to miewaliśmy ją tak często u siebie, a mowy nie było o żadnym ślubnym dla niéj związku. O, dosyć już z tąd wynikło późniéj biédy naprawdę... Nie ma tu czego płakać Saro; potrzeba nam raczéj myśléć o tém, abym jak najspieszniej do zdrowia powrócił. Potrzeba nam odwagi, nadziei i siły. Ale téj ostatniéj niewiele mam jeszcze; spójrz no na moje ręce, Saro!

To mówiąc, wyciągał je ku niéj, z uśmiéchem, Ale widzieć ich nie mogła po przez łzy, które jéj wzrok przysłaniały.

ROZDZIAŁ XXI.

Nareszcie!

Blade słońce zimowego poranku świeci po nad ogrodem willi Dowsów, rozweselając cokolwiek widok przeziębłéj zieleni drzew iglastych i czerwonych jagód głogu, tu i ówdzie jeszcze pozostałych na gałęziach z liści ogołoconych. W zamian, przy téj rozjaśnionéj pogodzie, tém smutniejsze sprawia wrażenie dom, którego wszystkie okiennice są pozamykane, jak gdyby stał pustkami. Nigdzie tu śladu życia dostrzédz nie można, i zupełna cisza zaległa zarówno dom, jak i ogród.

Wkrótce jednak, ukazuje się na ścieżce wysmukła postać młodéj dziewczyny, zwolna idącéj. Sama jedna jest i wygląda smutno zadumana, sądząc z wyrazu jéj twarzy. Cóż to ona takiego mówi zcicha do siebie?

— Nie powinni byli żądać odemnie, abym tu pozostała; stanę się dla nich przekleństwem z pewnością, tak jak niém się stałam każdemu, do kogo się zbliżyłam kiedykolwiek. Nigdy w życiu nie miałam na myśli nikogo pokrzywdzić; a jednak nieszczęście idzie za mną, gdzie bądź się zwrócę, i niedola jest jedynym darem, jaki przynieść mogę moim przyjaciołom. Lepiéj będzie, gdy pójdę wśród obcych ludzi, w kraj daleki. Dla czegóż ten biedny młodzieniec, w krótkich chwilach swéj przytomności, prosił mnie, abym z jego matką pozostała? Nie jestem w stanie jéj pocieszyć i tylko coraz więcéj złego sprowadzę na nią i na jéj rodzinę.

W tém miejscu, przerywa jéj służąca, na któréj wezwanie, zwraca się ku domowi; pocichu wchodzi po schodach na górne piętro i tam w korytarzu zatrzymuje się przed pewnemi drzwiami, jakby nasłuchując; ale na cóż się to przydać może, skoro wewnątrz pełne grozy milczenie śmierci zapanowało? Mija tedy owe drzwi i daléj wchodzi do pokoju, w którym zastaje kobietę średniego wieku z włosami srebrzystéj białości, siedzącą posępnie i w znękanéj postawie przy kominku.

— Chodź no tu, moje dziecię—powiada drżącym głosem ta ostatnia;—cóż tedy? czy się już namyśliłaś?

Młoda dziewczyna podchodzi bliżéj i bierze w swe dłonie rękę ku niéj wyciągniętą.

— Tak jest zastanowiłam się nad tém, mówi zcicha. Za tyle dowodów waszéj dla mnie przychylności, chciałabym módz wszystko czego zażądacie uczynić; ale... niepodobna mi w żaden sposób pozostać w Anglii.

— Nie ulitujesz się więc nad tym domem opustoszałym? rze-

kła matka, po twarzy którój łzy poczęły spływać. Była to ostatnia jego wola... stałabyś się córką dla nas....

— Nie mogę... nie mogę!... zawołała z rozżaleniem młoda dziewczyna. Pani tego nie wiész... ile ja wszędzie nieszczęścia przynoszę tym, co mnie pokochają. Pragnę uciec gdzieś daleko— jak najdalej od mojéj rodzinnéj ziemi—i znaleźć się wśród obcych ludzi. Wtedy już, nie zaszkodzę przynajmniéj nikomu z tych, co mi są drogimi. Co zaś do ciebie, droga pani, nie stałabym się nigdy ani w części dla twojego serca tem, coś utraciła, a tylko obecnością moją nieustannie przypominałabym ci to straszne nieszczęście....

— Alboż potrafię w jakimkolwiek razie o niém zapomnieć? przerwała jéj matka.

— Bądź co bądź, zostanę tu jednak na parę tygodni. Potém, musisz Pani także ten dom opuścić; już mi o tém mąż pani wspominał. Czy nie zechcesz wyjść teraz ze mną do ogrodu? Orzeźwi cię cokolwiek świéże powietrze.

Pani Dowse potrząsła tylko głową, w znak odmowy. Na kolanach jéj leżały jakieś papiery, które z płaczem przeglądała. Były to poetyczne rojenia biédnego Edwarda, w których matka jego upatrywała wyraz najtkliwszéj i najwznioślejszéj duszy, jaka kiedykolwiek istniała na ziemskim padole.

Młoda dziewczyna zeszła pocichu na dół, chcąc wyjść znowu do ogrodu, ale, gdy przez sień przechodziła, na wpół otwarte jéj drwi przysłoniła znagła wyniosła postać jakiegoś mężczyzny. Spójrzała przed siebie z wrażeniem trwogi nieokreślonéj; słaby wykrzyk wybiegł z jej piersi i w piérwszéj chwili cofnęła się niby. Ale zaraz potém, przemogło w niéj dawne serca uczucie; żywo podbiegła naprzód i w mgnieniu oka znalazła się w objęciach wchodzącego.

— Violetto! moje dziecię!... zawołał ów człowiek, usiłując pohamować swe wzruszenie, o którém świadczyło silne drżenie głosu. Nareszcie zwrócona nam jesteś! Ale na Boga, cóż to wszystko znaczyło?....

Serce jéj uderzało tak gwałtownie, że nie była w stanie odpowiedzieć. Niewysłowiona radość przepełniała jéj duszę. Zdawało się, że wszystkie owe posępne jéj przywidzenia i rozpaczliwe chęci opuszczenia nazawsze rodziny i przyjaciół znikły w niéj bez śladu, odkąd wzrok ojca napotkała i uczuła obejmujące ją jego ramiona. Świat ku niéj powracał, wtedy gdy sobie wmawiała, że już prawie do niego nie należy. Na myśl jéj nawet teraz nie przychodziło, że może z sobą przynosić nieszczęście.

— Spójrz na mnie, rzekł Sir Acton, niechże ci się przyjrzę. Niech zobaczę jak wyglądasz, po całém tém strasznéin przejściu.

Odsunął ją trochę od siebie i popatrzał na nią uważnie; światło, dostające się do sieni przez drzwi otwarte, padało wprost na jéj twarz, uwydatniając jéj bladość, oraz wyraz smutku i z męczenia.

— Nie byłaś przez ten czas szczęśliwa. Violetto, rzekł. Dla czegóżeś w świat od nas uciekła? Dla czego...

Ale tu przerwał sobie i zamilkł, gdyż powziął był to samo postanowienie, co i Drummond. Jeśli ta dziwaczna dziéwczyna zwróconą być miała swemu domowemu ognisku, należało uwolnić ją od wszelkich badań i przeszłość puścić w niepamięć.

— Bądź spokojna, Violetto, rzekł; nie potrzebujesz lękać się odemnie żadnych zapytań.

— Wyjdźmy z domu, powiédziała mu zcicha. Czy wiész już ojcze, że on umarł?

— Usłyszałem o tém dziś rano, w zakładzie jego ojca.

Udali się oboje do ogrodu; po dawnemu podawał jéj ramię, ale ręka Violetty mocno drżała i krok jéj nie miał zwykłéj pewności swobodnéj.

— Ojczulku, czy oni już wszyscy o tém wiedzą spytała, twarz mając ku ziemi spuszczoną.

— Ma się rozumiéć, że wiedzą. Jakżeś téż mogła, Violetto... ale nie, nie;—dajmy temu pokój. To, co uczyniłaś, musiało mieć przecię ważne powody. Nie pytam cię o nie...

Dziwnie był zmięszany, i sam nie wiedział, co ma daléj powiedziéć. W obec radości, jaką czuł z odzyskania córki, wszelki wzgląd inny na bok ustępował; wszelako, nieustannie myśl jego usiłowała przeniknąć niezrozumiałą zagadkę, leżącą na dnie téj sprawy tyle dla niego tajemniczéj.

— Czy i pani Warrener wié o tém? spytała Violetta.

— Nie inaczéj. Dla czegóżby wiedziéć nie miała?

— Tyle im smutku sprawiłam, a także i tobie ojczulku, rzekła posępnie;—a teraz wszystko to stało się daremném. Na nic się już nie przyda, jeśli odjadę.

— Jeśli odjedziesz? zawołał z przerażeniem. Ależ tego nie uczynisz, Violetto. Skoro cię teraz mamy znowu, nie damy ci się więcéj wymknąć od nas. Powrócisz ze mną do domu, moje dziecię. A cóż to za traf szczęśliwy oddał mi ciebie! Toż miałaś podobno w poniedziałek puścić się w podróż.

— Tak chciałam w istocie uczynić, odpowiedziała, ale mię pan Dowse uprosił, abym pozostała tu dłużéj. Śmierć syna była dla jego

żony ciosem straszliwym; sądziliśmy zrazu, że go przenieść nie potrafi.

Sir Acton uczuł w téj chwili żywe współczucie dla tych nieszczęśliwych rodziców, których nie widział nigdy w życiu. Z usposobienia, nie był wcale uczuciowy, i człowiek takiego rodzaju, jak Edward Dowse, byłby mu się, z pewnością, wydał najosobliwszym cudakiem za życia, ale śmierć jego, sprawiając opóźnienie wyjazdu Violetty, uczyniła możliwém jéj odszukanie; dla tego może wytwarzało się w sercu jéj ojca głębokie politowanie dla téj osieroconéj rodziny, któréj niedola wiązała się z chwilą, tyle dla niego szczęśliwą.

— O, żal mi bardzo, naprawdę, tych biédnych ludzi, powiadał. Powinnaś dla nich uczynić co tylko będzie w twojéj możności. Ale przedewszystkiém, musisz do nas powrócić, choćby na krótko, żeby twoje siostry ujrzały cię żyjącą i mogły zrzucić swe żałobne suknie. Potém, nie będę nic miał przeciw temu, abyś się tu znowu wybrała.

— Ach! nie, nie, ojcze; za nic w świecie nie wrócę w ten sposób do domu! zawołała, cofając się od niego ruchem, tak gwałtownym, jak gdyby znowu uciekać gdzieś chciała. Nie, to nie podobna! Za wiele złego zrobiłam, abym w oczy śmiała spójrzéć komukolwiek z tych, których znałam dawniéj.

— Oni o wszystkiém zapomną, odpowiedział jéj z żywością; w sercu ich będzie tylko miejsce na radość, gdy cię ujrzą znowu. Co cię jednak mogło zachęcić do podobnego czynu? Czemuż się do mnie nie zwróciłaś z zaufaniem?... Ale nie mówmy lepiéj o tém, wolę o nic cię nie pytać. Jeśli jednak z własnéj woli pragniesz mi dać jakie wyjaśnienia...

Nie czynił tym razem wyjątku w ogólném mniemaniu, jakie miał, że kobiety posiadają właściwy sobie kodeks uczuć i zdań, którego żaden mężczyzna nie może być w stanie zrozumiéć. Domyślał się tu jakiéjś tajemnicy, na zbadanie któréj próżno się było wysilać.

Słuchaj no, Violetto, rzekł po chwili z niejakiém zakłopotaniem, gdym się dziś zrana dowiedział, że tu jeszcze jesteś, pomyślałem... że może miło ci będzie zobaczyć się jak najprędzéj z dawną twoją przyjaciółką, i zawezwałem telegrafem panią Warrener....

Wyraz zaniepokojenia pojawił się na twarzy młodéj dziéwczyny.

— ...Powiém ci tedy, że przyjechała tu zemną. Czy życzysz ją zobaczyć?

Chciała się od tego wymówić, ale, zanim się odezwała, rzekł znowu:

— Jest ona w pobliżu, Violetto; czeka na gościńcu. Pragnie mocno tego spotkania, gdyż, o ile uważam, przypisuje sobie jakiś udział

w tém twojém nagłém wydaleniu się z ich domu i pragnie wytłomaczyć się z czegoś przed tobą. Zdaje się być bardzo zasmuconą.

— A więc dobrze, zobaczę się z nią, rzekła Violetta, zdobywając się na siły o ile mogła. Czy podejdziemy ku bramie, kochany ojcze?

— Nie, wolę ją tu przyprowadzić odpowiedział, uważając za lepsze urządzić to spotkanie w taki sposób, aby sam nie był przy niém obecny. Odszedł tedy, zostawiając Violettę na ławeczce, gdzie czekać miała jego powrotu.

Po kilku chwilach, pani Warrener pojawiła się sama jedna w ogrodzie. Zrazu, nie spostrzegła Violetty, którą zasłaniały krzewy, ocieniające ławeczkę, ale podniosła się młoda dziewczyna i postąpiła ku niéj, smutna i spokojna, z wzrokiem ku ziemi spuszczonym. Serce przyjaciółki boleśnie się ścisnęło na jéj widok,—byłoż to owo wesołe i śmiałe dziéwczę z dawnych czasów?

Violetto, rzekła pani Warrener, drżąc cała, nie dziwię się temu, iż nie życzyłaś spotkać się zemną... Ciężką ci w istocie krzywdę wyrządziłam.

Podobne jednak zachowanie się nie mogło trwać długo pomiędzy niemi. Przez chwilę, stały naprzeciw siebie, jakby jedna od drugiéj czekając piérwszego zwrotu ku dawnéj serdeczności, ale zaraz potém, pani Warrener pochwyciła Violettę w swe objęcia i twarz wsparłszy na jéj ramieniu, wśród łkania, wypowiedziała całe dzieje swéj opłakanéj pomyłki i opłakańszych jeszcze następstw, jakie ona za sobą pociągnęła. Niejedno w tém, co mówiła w swém namiętném rozżaleniu, wśród błagań o przebaczenie, zdziwiło, a nawet zatrwożyło Violettę. Czyż w istocie na piérwszą wieść o jéj bytności w Londynie, uwierzono, iż tam pośpieszyła dla złączenia się z Millerem? Nie wątpiła, że był ktoś jeden chociaż, co nie miał téj myśli ani na chwilę.

— Cóż to będzie Violetto, gdy go zobaczysz, mówiła z płaczem biédna kobiéta; jakiegoż ty bólu doznasz, ujrzawszy zniszczenie, jakie w nim sprawiła choroba! I czy mi wtedy potrafisz przebaczyć, boć to wszystko z mojéj winy się stało? Inny z niego zrobił się człowiek, odkąd uwierzyliśmy, że utonęłaś; o niczém inném myśléć nie umiał; nocami całemi błąkał się po słocie i wichrze; tym to sposobem zapadł w owę gorączkę.

— Wszystko to przezemnie on wycierpiał, wyszeptała młoda dziéwczyna, niepamiętna w téj chwili udręczeń, jakie sama znosiła.

— Ale teraz, moje dziécię, wszystko już będzie inaczéj, mówiła daléj pani Warrener, patrząc jéj w oczy z wyrazem prośby tkliwéj; nie mamy co lękać się więcéj tak smutnych nieporozumień.

Powiém mu wszystko; dowié się dla czego z uśmiechem dałaś mu zerwać łączące was więzy i dla czego nas porzuciłaś; zrozumié, że nikt nie był nigdy tyle, co on, kochanym. Ach, Violetto, znałam ile posiadasz mocy zaparcia się siebie, a jednak o czémś podobném, nie miałam wyobrażenia; szczęśliwym nazwać się może, kto takie potrafił zbudzić uczucie.

— Jeśli nie masz nic pani przeciw temu, rzekła spokojnie Violetta, wolałabym dać mu sama te wyjaśnienia. Chcę niebawem do niego napisać.

Bezwiednie pomieszczony w tych słowach wyrzut, łzy przywołał do oczu pani Warrener. Uczuła go dotkliwie, jak bądź wiedziała, że nie był umyślny.

— Więc do niego zaraz napiszesz? I wkrótce też będziesz u nas, Violetto? O, jakże pragnę, aby ta wszystka niedola raz już koniec swój miała! Stanie się to, gdy do nas zawitasz. Da Bóg, że nam wrócą dobre dawne czasy, i kto wié, czy się znowu w tym roku nie wybierzemy w Highlandy...

Na te słowa, Violetta dreszcz w sobie uczuła.

— Ach nie! rzekła,—toby nadto było okropne...

A więc na południowe wybrzeża, mówiła dalej pani Warrener, z rozpaczliwym wysiłkiem, udając myśl weselszą. Może tam nawet lepsze będzie dla niego powietrze? A skoro tylko zdrów będzie, przestanę wam się naprzykrzać. Nie chcę liczyć się do tych siostr, o jakich wspominał przedemną pan Miller. Dosyć już czasu przebyłam z moim bratem; pora teraz, abym miejsca mojego przy nim ustąpiła...

— Nie ja je zajmę w każdym razie, przerwała jéj z żywością Violetta, a także z pewnym odcieniem smutku w głosie. Na cóż tu nawet mówić o podobnych rzeczach? Gdy on do zdrowia powróci, pani z nim w drogę się wybierzesz.

— Ależ ty go odwiedzisz, Violetto? zawołała z przerażeniem biédna kobiéta. Zamieszkasz u nas znowu jak przedtém? Dasz mi możność okupienia tego co się stało?

— Tak jest, odwiedzę go za parę dni, odpowiedziała spokojnie młoda dziewczyna. Potém muszę tu znowu powrócić. Co zaś dalej będzie—to późniéj postanowię.

Pani Warrener zrozumiéć nie umiała, dla czego Violetta mówi w ten sposób o przyszłości. Czyż nie było najprostszą rzeczą przywrócić dawny stan rzeczy, skoro tylko do zdrowia powróci Drummond? Tymczasem ta młoda dziewczyna wyrażała się tak, jak gdyby zamierzała dotrzymać jakiegoś ślubu wiecznego rozłączenia się ze wszystkiém, co jéj kiedyś drogiém było.

Stanęło na tém, po kilku słowach porozumienia pomiędzy Sir Actonem North a panem Dowse, że Violetta odjedzie następnéj soboty do ojca, a ztamtąd wybierze się do swych przyjaciół tegoż samego wieczora. Przedtém zaś jeszcze, miała napisać do Drummonda.

Długi to był list, z którego ani słowa tu nie przytoczymy. Dla tego człowieka, znękanego chorobą, którego nieustannie nawiedzały rojenia przeszłości, w połączeniu z widziadłami tego, co mogła była dać mu przyszłość, stanowiły te ćwiartki promieniste objawienie, którém się nigdy z nikim nie podzielił. Były to szczerze i tkliwie wypowiedziane dzieje uczucia, pełnego męztwa i szlachetności, którém go obdarzyło serce kobiéty, zdolnéj życie swoje dla niego poświęcić.

Nadszedł tedy ów wieczór. Miała przybyć o ósméj, ale coś mu powiadało, że może wcześniéj ją ujrzy; siedząc tedy, oparty o poduszki na swém posłaniu, rozmawiał niby wesoło z siostrą swoją i z jéj córką, ale w istocie nasłuchiwał ciągle, ażali nie usłyszy turkotu powozu Violetty. Nieraz bywało, iż tak samo spodziéwał się go usłyszéć, nawet wtedy, gdy wiedział, że to jest niepodobieństwem, i często w czasie, gdy ją za umarłą opłakiwał, wyobrażał sobie, że się drzwi jego pokoju otworzą lada chwila, i że ujrzy ją wchodzącą, piękną i uśmiéchniętą. Czyż w istocie żyjącą, dawną Violettę miał teraz zobaczyć, nie zaś ten jéj obraz, który tak często wywoływały jego tęsknoty?

— Chciałbym, rzekł bardzo poważnie do siostry, aby nie było wcale téj przeklętéj zielonéj barwy w moim szlafroku. Pamiętam, że wstręt miała zawsze do niéj w ubraniu.

— Nie zdaje mi się, aby zważała dziś bardzo na twój strój, odpowiedziała mu pani Warrener. Może radbyś także włożyć biały krawat, dla tego, że będziesz miał u siebie młodą pannę na herbacie?

— Biały krawat? Nie,—odpowiedział w roztargnieniu, zajęty będąc rachowaniem upływających minut i ciągłém wytężaniem słuchu. Nie wiém, jakie wrażenia może wywoływać biały krawat, ale z pewnością istnieją one i muszą wywierać tajemnicze wpływy...

Spójrzał znowu na zegarek, zawieszony przy nim na ścianie. Było już po wpół do ósmej.

— ...Ubranie, to znaczna część człowieka zewnętrznego, ciągnął daléj. Zrasta się ono z jego istotą i dopełnia ją poniekąd. Służący, napotkany na ulicy bez liberyi, sprawia ci wrażenie człowieka, któremu czegoś brakuje; kapelusz filcowy odbiéra mu ów wyraz

głupowatéj powagi, z jakim zwykł spełniać czynności swego urzędu... Ale jak też dawno była tu Violetta po raz ostatni?

— Będzie temu około pół roku, odpowiedziała pani Warrener.

— Niemało zaszło zdarzeń w ciągu tych sześciu miesięcy. Przestrzeń ta wydaje się o wiele większa niż była w istocie i sprawia nam dziś wrażenie téj, jaka nas od zagrobowego dzieli świata. Violetta była przez ten czas tak blisko; a tymczasem zdaje nam się teraz, że ona powraca z dalekiéj jakiéjś krainy, o wiele odleglejszéj niż przeciwny brzeg najszerszego morza, i gotowi jesteśmy wyobrażać sobie, że ją ujrzymy dziwną jakąś i dla oczu naszych o wiele zmienioną...

Tu zamilkł, gdyż w dali słyszéć się dawał turkot powozu, z każdą chwilą głośniejszy. Wkrótce, ustał znagła. Amy zerwała się z miejsca i pędem z pokoju wybiegła; w ślad za nią pośpieszyła też jéj matka. James Drummond sam jeden pozostał.

Wzrok miał znowu we drzwi utkwiony; wiedział czyja ręka otworzy je niebawem. Mocno był jeszcze osłabiony, może dla tego drżało tak teraz wychudłe jego ciało. Wkrótce drzwi się zwolna uchyliły, i na progu ukazała się Violetta, blada, z twarzą zalaną łzami. Przez chwilę stała w miejscu, usiłując nad sobą zapanować, zanim się zbliży do chorego; ale zaledwie okiem rzuciła na tego człowieka tak wyniszczonego cierpieniem, z piersi jéj wydarł się mimowolny a straszny wykrzyk boleści i padłszy przy nim na kolana, pochwyciła go po raz piérwszy w życiu w swoje objęcia, wołając z całą goryczą rozżalonego serca:

— O, mój drogi, mój najdroższy! czy to już nie zapóźno?

— Nie; nie zapóźno, odpowiedział z uroczystą powagą. Bądź to na tutejsze życie, bądź na tamten świat, daleko rozleglejszy, który po nad sobą mamy... Violetto, daj mi twoję rękę.

Podniósł się na chwilę i spójrzenia ich zeszły się z sobą;— wzrok jego jasny, spokojny i poważny spotkał się z jéj oczami pełnemi smutku, niepokoju i tkliwości niewysłowionéj. Podał jéj rękę, którą ona w swoję wzięła; i niepotrzeba było więcéj słów pomiędzy tym dwojgiem ludzi, ani na teraz, ani przez resztę czasu, jaki mieli razem przebyć na ziemi.

ROZDZIAŁ XXII.

Radość i trwoga.

Czy człowiek ten był niespełna rozumu, że przykuty osłabieniem do krzesła wyłożonego poduszkami i zaledwie mając siłę podnieść do ust kieliszek z winem, nie przestawał robić igraszki dla swego umysłu ze wszystkiego, co tylko istnieje na świecie; bawiąc się systematami naukowemi, jak gdyby to były piłki przerzucane z ręki do ręki przez zręcznego kuglarza: i tak samo, jak ten ostatni niepostrzeżenie w swych rękach przeistacza przedmioty, zmieniał coraz nagłemi zwroty, treść rozpraw nigdy niewyczerpanych? Biedne te kobiéty nieraz nie były w stanie za nim podążyć. Violetta porównywała go często do pryzmatu, który, powszednie światło dzienne życia wziąwszy w siebie, oddaje je w rozliczne a świetne barwy rozłożone.

Po dawnemu, rozpoczął był owe prelekcye, podczas których mało dbał o to jakich miał słuchaczy, narażając nieraz panią Warrener i Violettę na spożywanie duchowego pokarmu, wcale dla nich nie stosownego. Ale cierpliwości dodawało im w takich razach doświadczenie; wiedziały bowiem, że z mało im zrozumiałéj rozprawy o własności ziemskiéj w Anglii naprzykład, lub o najracyonalniejszym systemacie podatkowym, nauczyciel ich przerzuci się nieraz w pełne poezyi i uczucia spostrzeżenia o metempsychozie, lub też o związku istniejącym pomiędzy duszą ludzką a życiem przyrody.

Szczególnie był rozmowny i ożywiony pewnego dnia, w którym po raz piérwszy zasiadł do obiadu, ubrany według wymagań światowéj etykiety; cieszył się jak dziecko swemi wykrochmalonemi kołnierzykami i, wziąwszy je za punkt wyjścia do swych rozumowań, zapuszczał się myślą w owe błędne wędrówki, do których miał tyle upodobania. Wszystko się składało na rozweselenie go tego wieczoru; nazajutrz mieli wybrać się we czworo w podróż—bo i Violetta do tego gronka się liczyła—na wyspę Wight, gdzie obrali sobie byli na dłuższy pobyt zaciszne ustronie od południowéj strony wybrzeża. Nikogo też i nic nie oszczędzał, w swéj psotnéj żartobliwości; wszystkie trzy jego towarzyszki odcinać jéj się musiały kolejno; Amy zanosiła się od śmiechu na puste koncepta wujaszka, a pani Warrener z większém już zaufaniem poczynała w przyszłość spoglądać.

— Otóż nie daléj, jak jutro, powiadał Drummond, pożegnam na dobre mojego lekarza. Nie mam żadnéj do niego urazy; daj mu Boże

jak najpóźniej oglądać tych wszystkich, których na tamten świat powyprawiał. Ale pomyśl no tylko Violetto: jutro wieczorem będę znowu widział morskie wybrzeże; silny się uczuję i swobodny i będę niedługo przechadzał się sobie po pokładzie statku z cygarem w ustach, jak to bywało na *Kormoranie*, wszak pamiętasz? kiedy się on przemykał po pod chmurnemi urwiskami wyspy Ornsay, podczas owych nocy gwiaździstych...

Nic mu na to nie odpowiedziała, tylko chwilowo jéj usta zadrżały. Wśród tego całego rozweselenia, ciężko jéj było i smutno na sercu, a w twarzy miała wyraz niepokoju. Zdawało się jéj, że on z umysłu na to się wysila, aby w nią wmówić, że się ma już wybornie; czuła, że wszystkie jego żarty i puste koncepta mają głównie na celu dodanie jéj otuchy. Siedziała w milczeniu, słuchając go z wzrokiem ku ziemi spuszczonym. Drżała, gdy mówił tak swobodnie i wesoło o wszystkiém, co robić zamierza, i nie śmiała spójrzeć mu w oczy, lękając się, aby wejrzenie jéj nie zdradziło walki, jaką nadzieja w niéj stacza ze straszliwemi wątpliwościami.

A także, ileż bolesną była dla niéj każda wzmianka o téj ich poprzedniéj wycieczce! Dreszcz ją przebiegał, ilekroć myśl swą zwracała ku tym chwilom słonecznym i ku tym okropnym zdarzeniom, które po nich nastąpiły. Czemuż nie mogła wymazać tego wszystkiego ze swojéj pamięci? Wrażenia te istniały w niéj dotychczas; czas ich osłabić nie umiał, zdawało się, że nazawsze cieniem swoim duszę jéj obrzuciły. Wygasło dziś w niéj prawie zupełnie uczucie nadziei. Gdy w jéj oczach wynoszono z powozu zemdlonego Edwarda Dowse, pewność miała od razu, że on żyć nie będzie; czyż nie było jéj przeznaczeniem wszędzie przynosić z sobą nieszczęścia? Przekonanie to tak się w niéj umocniło, że już z niém nawet nie próbowała walczyć; dręcząca moc jego zatruwała każdą chwilę jéj życia, przysłaniając kirem marzenia szczęścia, ku którym dusza się rwała.

— O Boże! wołała, w tych bezsennych nocach, jakie nieraz spędzała, to rozpatrując się z rozkoszą w odzyskaném szczęściu, to znowu gnębiona strasznemi przeczuciami,—jeśli ma ztąd odéjść jedno z nas dwojga, czemuż ja nie umrę? Ale zaraz potém zdawało jéj się, że ta prośba jest daremną; że nic nie zdoła usunąć téj klątwy, która nad jéj losami ociężała. I nic nie było w stanie uspokoić téj duszy tak boleśnie udręczonéj; nawet modlitwa chwilowo mogła tylko ukołysać jéj cierpienia; zaledwie wychodząc z kościoła, Violetta wzrokiem rzuciła na grobowe kamienie cmentarza, przez który przejść musiała, myśl jéj powracała do niedoli tylu pokoleń, co pod niemi

spoczęły, i przed nieubłaganém prawem cierpienia smutno głowę pochylała.

ROZDZIAŁ XXIII.

Błyski nadziei.

Chociaż uporczywe owe przeczucia, w połączeniu z niepokojem, nieodłącznym w podobnych okolicznościach od głębokiéj miłości, zasmucały często duszę Violetty, wesołe usposobienie wszystkich, co ją otaczali, musiało od czasu do czasu pewien wpływ na nią wywiérać. Tak było szczególniéj w ostatniéj chwili wyjazdu; gdy ojciec jéj przybył na dworzec kolejowy, dla pożegnania się z nią, zastał ją bardzo ożywioną i całkiem zaprzątnioną przygotowaniami mającemi na celu zapewnienie choremu jak największéj wygody w czasie podróży.

— A co, Violetto, rzekł, wszak prawda, że lepiéj w ten sposób wyjeżdżać z Londynu, niżli wyprawiać się saméj jednéj do Ameryki?

Nie odpowiedziała mu, zajęta zabezpieczeniem miejsca, które obrała była dla Drummonda w wagonie, i szczęśliwie się to stało, że nie dosłyszała słów odnoszących się do chwil tyle dla niéj bolesnych.

Podróż koleją do Portsmouth, a ztamtąd dalsza statkiem przeprawa, odbyła się w jak najpomyślniejszych warunkach dla naszych wędrowców. Drummond czuł się coraz rzeźwiejszy; dowodził, gdy zaledwie pociąg wyruszył z Londynu, że już czuje zalatujące go morskie powiewy i że w nich siły czerpie z każdą chwilą większe. Gdy wreszcie nasi podróżni wylądowawszy w Portsee dostali się ztamtąd do zacienionéj willi, położonéj po nad morzem, w nadzwyczaj malowniczém położeniu, w któréj zamówione mieli dla siebie mieszkanie, chory tak się mało zdawał zmęczony całodzienną prawie podróżą, iż prawie można było uwierzyć jego zapewnieniom, że za dni kilka będzie w stanie po dawnemu błąkać się po wzgórzach, ze strzelbą na ramieniu.

Załatwiwszy z umiejętną gorliwością piérwsze czynności, dotyczące urządzenia się w tém nowém miejscu, Violetta odeszła do swego pokoju i, znalazłszy się po raz piérwszy sama, od poranku tego dnia tak pracowicie zapełnionego, usiadła przy otwartém oknie i dość długo pozostała tam, zapatrzona w dal wzrokiem, który się coraz stawał smętniejszy, w miarę jak się bardziéj zapuszczała w te samotne rozmyślania. Jakże odmienny był teraz wyraz tych pięknych oczu,

tak wesołych dawniéj i tak śmiało w świat patrzących! Z jak gorącą prośbą zwracały się one ku owemu uciszonemu morzu, ku tym woniejącym lasom nadbrzeżnym, błagając od nich dobroczynnych wpływów dla tego, który tu przybył szukać uzdrowienia! Chwilami skrzydła nadziei dźwigały ją z pośród dręczących obaw; chyba usłyszą jéj prośbę nieba łaskawe, myślała—chyba nie zapóźno jeszcze?..

Następnego poranku, zmęczenie wywołane podróżą widoczne było jednak na twarzy Drummonda; ale pomimo to, chciał koniecznie rozpocząć tego dnia jeszcze, ze swemi towarzyszkami, wycieczki po okolicy. Wspomniał już o tém podczas śniadania, które spożywali razem zebrani, pod werendą, zkąd wzrok obejmował górzyste wybrzeża i szerokie morza obszary.

— Czyż nie lepiéj, abyś pan najprzód wypoczął? odezwała się na to z żywością Violetta. Co do mnie, nietak bardzo nawet jestem ciekawa tutejszych widoków; ładne są one bez wątpienia, ale nie ma w nich téj wspaniałéj grozy, która szczególnie podziw mój obudza w pięknościach przyrody.

Mówiła z umysłu z takiém lekceważeniem o czarownéj téj okolicy, aby go tém zniechęcić do wycieczek, które zdawały się jéj nadto trudzące dla niego, a może też domyślała się, że mniéj czuje on do nich rzeczywistego upodobania, niźli ma na celu nastręczenie jéj tym sposobem rozrywek, podczas pobytu, którego jednostajność mogłaby jéj się uprzykrzyć. Ale zamówiony powóz już czekał przed domem; wybrali się tedy wszyscy niebawem na owę przejażdżkę.

— Violetto, rzekła Amy, podczas, gdy zwolna jechali samotną dróżyną, wijącą się pośród pagórków, zdobnych świéżą zielenią wiosny; na przyszłą naszę wyprawę musimy sobie wybrać stronę bardziéj górzystą wyspy, żeby nam się przypomniały choć trochę Highlandy.

— Na cóż się to przyda, odpowiedziała jéj towarzyszka, jakby w roztargnieniu, przypominać to sobie, co nieprędko mamy zobaczyć?

— Nieprędko? a dla czegóżby nie téj jesieni? zawołał wesoło Drummond; dla czegóżby nie tego lata nawet—bo na cóż nam czekać dłużéj? Powiém ci, Violetto, że mam w głowie plany, bardzo ważne dla nas wszystkich. Wielki już czas, abym się zwrócił ku istotnym celom życia; czyli inaczéj mówiąc, chcę oto mieć na własność dom w Bayswater i dwa tysiące funtów dochodu. Wszystkie dobre powieści w ten sposób się kończą. A teraz, jakimże sposobem zdobędziemy sobie owę cząstkę raju ziemskiego? Dwie mam drogi ku temu. Pewien wydawca — piérwszy okaz tego

rodzaju, i mówiąc nawiasem, ułożę dla niego wyjątkowy napis grobowy—człowiek ów tedy, rozumny i znający własną korzyść, postanowił na widownię wyprowadzić nareszcie zapoznaną dotychczas znakomitość duchową—i do mnie zgłosił się listownie. Oto, co jest! Czytał rozprawę moję o Teoryach astronomicznych, ze względu na związek ich z religijnemi pojęciami różnych ludów; ocenił naukowość, wyczerpujące opracowania rozjaśniające poglądy tego dzieła.... ale, mówiąc o tém, przypominam sobie, Violetto, żem ci dotąd nie wytłómaczył w zupełności, w jaki sposób zapatruję się na ów przedmiot...

— O, nie potrzebujesz pan zadawać sobie tego trudu, odpowiedziała. Cóż tedy powiada ów wydawca?

— Co też te kobiety mają za poziomy i realistyczny ustrój duchowy! rzekł na to, jakby sobie samemu czyniąc tę uwagę. U nich piéniądz przedewszystkiém zawsze na myśli; a o naukę nie chodzi im wcale.

— Znam wybornie całą tę rozprawę, rzekła z żywością Violetta, któréj twarz oblał w téj chwili gorący rumieniec; czytałam ją; dowiédziawszy się, w jakim przeglądzie ma być wydrukowaną, kupiłam ów zeszyt, chociaż wtedy niewiele miałam piéniędzy do wydawania na książki.

— Zrobiłaś to w istocie, Violetto? rzekł, zapominając chwilowo o swych dziwacznych rojeniach. Potém, ciągnął znowu daléj: Otóż, wydawca ów sądzi, że ten sam pomysł, przyodziany w formę przystępniejszą i więcéj mającą powabu, mógłby podać treść do książki bardzo zajmującéj. Czyż nie może to być droga, która nas prosto zawiedzie do owéj wilii w Bayswater, i to bardo prędko? Czuję się na siłach do napisania książki, która będzie miała ogromne powodzenie. Ważne w niéj zajmą miejsce ludowe podania, mianowicie zaś irlandzkie. Zażądam do nich wspaniałych ilustracyj.

— Możebyśmy rozpatrzyli teraz ów drugi plan, który masz pan w odwodzie, przerwała mu w tém miejscu łagodnie Violetta.

— O, co do tego, odpowiedział z powagą, potrzeba mi czasu i spokojności, aby myśl owa wemnie dojrzała. Czekam tu natchnienia od gór i od morza, na które się ciągle patrzéć będę. A czy wiész o co mi chodzi?

— Nie domyślam się tego wcale dotychczas.

— Oto, chcę zużytkować siły potężne, jakie mieści w sobie przyroda. Tego właśnie próbuje dzisiejsza nauka, ale niczego jeszcze prawie nie dokazała na téj drodze; bo czémże to nazwać można, że w ruch potrafiła puścić pewną ilość statków i lokomotyw, w porównaniu z tém, co pozostaje do zrobienia? Odkrycie, jakie

uczyniłem, muszę do czasu zachować w tajemnicy, ale czy wierzycie teraz, że mi je rząd zapłaci na wagę złota, skoro tylko tego zechcę?

— Nie wątpię o tém, odpowiédziała Violetta.

A jak ci się téż zdaje, co mi może przynieść wynalazek, który da siłę poruszającą, dziesięć razy tańszą od pary, naprzykład?

— Nie wiedzieć, ile milionów, z pewnością.

— A! zeszliśmy się przecię w końcu na jedno. Zdaje mi się, że widzisz już teraz otwiérającą się przed nami bramę owéj wilii mojéj w Bayswater. A jaką karetą tam dojedziemy? czy ma być ona pomalowana na ciemno-zielono, czy téż na brązowo?

— Kareta? gdzież znowu? zawołała Violetta. Niech to lepiéj będzie łódź biała ze złotem, o żaglach z pąsowego atłasu, ciągniona przez parę łabędzi....

— Tak! białych, jak śniégi na szczytach alpejskich....Ale, tymczasem, oto już jesteśmy u krésu naszéj wycieczki. Bardzo ztąd blisko do wodospadu, który przyjechaliśmy oglądać.

Powóz ich zatrzymał się w tém miejscu, ale Violetta wysiąść nie chciała dla podejścia pieszo ku wodospadowi, który zdawała się uważać za rzecz wcale nieciekawą. Pozostała tedy z Drummondem w powozie, podczas, gdy pani Warrener i Amy poszły oglądać owę osobliwość.

— Wszak się pan nie wybiérasz w tych czasach do Szkocyi? spytała po chwili Violetta swego towarzysza, niby obojętnie, ale nie patrząc na niego.

— I owszem, myślę o tém, odpowiedział; dla czegóżbym nie miał zrobić téj wycieczki?

— Powietrze tak tu jest czyste i łagodne, rzekła nieśmiało, możeby lepiéj było dla pana nie ruszać się ztąd jak najdłużéj.... Chociaż pewna jestem, że w górach równiebyś się dobrze czuł jak tutaj, wszelako, ze względu na wiatry, dosyć tam chłodne czasami...

— O, wierzaj mi, odpowiedział, nie przyjdę całkiem do zdrowia, dopóki nie znajdę się znowu w Highlandach. Czuję to wyraźnie. Mogę tu pozostać dopóki więcéj sił nie odzyskam, ale skoro tylko będę mógł, wybierzemy się całą gromadką do Szkocyi; a mam nadzieję, że nastąpi to, zanim się jeszcze rozpocznie pora polowania.

— Z żalem przewiduję.... rzekła, że nie będę mogła należéć do téj wycieczki.

— Jakto? nie pojechałabyś z nami? zawołał; porzuciłabyś nas znowu, kiedyśmy cię zaledwie odzyskali?

Wziął ją za rękę, ale unikała ciągle jego wzroku.

— Przyobiecałam prawie napewno państwu Dowse, rzekła, że spędzę u nich czas jakiś. W swém dzisiejszém osamotnieniu, mają pewne prawo do mojéj pamięci, bo, naprawdę, wiele mi dali dowodów przychylności.

— Nie pojedziesz teraz do nich, Violetto, odparł z żywością. Żal mi szczérze tych biédnych ludzi, ale my mamy dawniejsze prawa do ciebie i nie wyrzekniemy się ich za nic. Jakto? po tak niedawnych cierpieniach tego rozłączenia, miałoby nowe nastąpić? O nie! nic z tego nie będzie. Wierzaj mi, Violetto, ty także nie staniesz się tą samą, co dawniéj, dopóki się znowu nie skąpiesz w górskiém powietrzu, dopóki ci wiatr morski w twarz nie dmuchnie. Bo tam dopiéro, prawdziwe jest morze, a tu? gdzież znowu! I tobie także potrzeba pobłąkać się czas jakiś wśród wrzosów tych naszych Highlandów, ażebyś siebie samę odzyskała; przyglądałem ci się bacznie temi ostataniemi czasy i wcale rad z ciebie nie jestem. Im się wcześniéj tam wybierzemy, tém lepiéj uczynimy. A co? Czym cię teraz przekonał?

Mówił to wszystko wesoło i swobodnie; ona przeciwnie, wyglądała smutno zakłopotana, tak, jakby odważyć się nie śmiała na wypowiédzenie tego, co miała na myśli. W końcu rzekła:

— Możebyśmy teraz wysiedli, żeby przéjść się trochę? Tyle tu cieniu wokoło, a słońce bardzo dogrzéwa.

Uczynił, jak chciała, i wsparty na jéj rameniu szedł zwolna miękką murawą pod drzewami. Przez czas jakiś milczeli oboje; wreszcie, gdy się nieco oddalili od powozu, ona zatrzymała się i rzekła zcicha, z wyrazem prośby gorącéj:

— O, nie żądaj pan odemnie, abym się z wami wybrała w Highlandy.... Zabiłby mię ich widok. Czyż ja mogę powrócić w te miejsca?

— Rozumiém cię, Violetto, odpowiedział jéj łagodnie. Ale czyż nie zdaje ci się, że właśnie tam tylko potrafisz się pozbyć tego uczucia? Raz na miejscu będąc, nie doznasz już téj trwogi, jaka cię teraz dręczy, i wszystko ci się przedstawi w tém samém świetle, co dawniéj.

Potrząsła smutno głową, za całą odpowiédź. Ale on postanowił był pogodzić ją koniecznie ze swoim zamiarem i daléj znowu powiadał:

— Nic nas przecię nie zmusza do zamieszkania znowu w Castle Bandbox. Mamy podostatkiem ładnych okolic do wyboru, w zachodniéj części Highlandów, naprzykład, albo też głębiej się w góry zapuściwszy. A może wolałabyś którą z wysp sobie obrać: Iura, Islaj, albo Mull?

Nic znowu nie odpowiedziała; zdawała się być w sennéj zadumie pogrążona.

— Czy chcesz, abym ci wyznał, Violetto, rzekł po chwili z łagodną powagą, dla czego tak pragnę, abyś się tam z nami wybrała? Oto, radbym, abyśmy jak najwięcéj z sobąbyli—tyle, ile tylko podobna. Nikt nie wié, co się stać może, zatém późniéj.... Ale nie mamy potrzeby o tém mówić; to tylko ci powtarzam, że nie chcę, abyśmy się rozłączali.

Wybuchnęła nagłym i gwałtownym płaczem, usłyszawszy te słowa. Dotąd próbowała mężnie pokonywać wzruszenia, coraz w niéj mocniejsze, ale nad jéj siły było znieść to tak wyraźne dotknięcie myśli, która każdą jéj chwilę zatruwała. W mgnieniu oka jednak, uczuła, jak niewłaściwym był podobny objaw w obecności chorego, któremu samę tylko otuchę dawać była powinna, i rzekła, powstrzymując, o ile mogła, swe łkanie:

— Przebacz mi pan.... Sama nie wiém co mi się stało.... od pewnego czasu, mam nerwy bardzo rozdrażnione... i z tego powodu....

— Nie ma tu czego płakać, Violetto, przerwał jéj łagodnie; co stać się ma, stać się musi; wszakże dawnego hartu duszy nie utraciłaś? Tylko, pozostańmy razem, dopóki to jest w naszéj mocy....

— O mój drogi! mój drogi!... zawołała chwytając jego rękę i w oczy mu patrząc wzrokiem od łez zamglonym,—my nazawsze z sobą zostaniemy! Co ty mówisz takiego? co ty masz na myśli — powiédz? O, wszakże nie to, że mógłbyś odéjść, mnie z sobą nie zabrawszy? Na wszystko mam odwagę, z wyjątkiem tylko tego. Co bądź może nastąpić, ja z tobą pójdę gdzie ty pójdziesz—my razem będziemy — zawsze razem oboje!...

— Uspokój się... uspokój się Violetto, rzekł z poważną słodyczą, widząc, że od siebie odchodziła w udręczeniu bólu i niepokoju straszliwego. Niechże przecię ujrzę w tobie dawną moc duszy. Zdawało mi się, że nie ma na całym świecie nic takiego, czegobyś ty się ustraszyć mogła. Spójrz no na mnie teraz, wszak jesteś już spokojniejsza?

Puściła jego rękę i na twarz jéj wystąpił wyraz całkiem nowy. Nagły ów wybuch uczucia był mimowolném wyznaniem; obecnie zatrważała ją myśl, że się nim może zdradziła, i nieco bezładnie usiłowała swe poprzednie słowa wytłómaczyć.

— Będziemy ciągle razem, wszak prawda? rzekła z przymuszoną wesołością, chociaż jeszcze miała oczy łez pełne. W jaką się bądź wybierzesz część Highlandów, gotowa ci jestem towarzyszyć. Napiszę do pani Dowse, że nie mogę teraz jechać do niéj.

Czyż to podobna, abyśmy się znowu z sobą rozstawali po tak długiém rozłączeniu? W rzeczy saméj, powietrze górskie zdrowszém ci będzie, z pewnością od tutejszego w czasie lata; daleko mniéj tam czuć się dają upały. A skoro jesień nadejdzie, będziemy po dawnemu chodzili razem na polowanie i chybiać będziesz swoim zwyczajem każdego ptaka, który się zerwie przed nami.

Usiłowała uśmiechać się, ale nie bardzo jéj się to udawało.

— Masz w tém słuszność, że powinnam zwyciężyć w sobie te wrażenia przeszłości; gotowa więc jestem zamieszkać w Castle Bandbox, z równą chęcią jak gdziekolwiek indziéj. Chodzi tylko o to, abym wam nie była zawadą; ale przypomnij sobie, że nikt nie umiał lepiéj odemnie robić dla ciebie ładunki.

— O, w tym roku nie wiele się będziesz niemi trudziła, odpowiedział. Nie zdarzy się nam miéć znowu yacht do naszego rozporządzenia; więc się tam nie dostaniemy, gdzie byłoby najwięcéj zwierzyny do strzelania.

— Ależ mój ojciec nam się o statek wystara, zawołała żywo; wiém, że zajmie się tém jak najchętniéj. Za czterdzieści funtów miesięcznéj zapłaty, będziemy mieli śliczny yachcik na nasz własny użytek.

Rozmawiając w ten sposób, powracali ku miejscu, gdzie czekał na nich powóz, a gdy się do niego zbliżali, nadeszła także pani Warrener z córką. Piérwsza zauważyła dziwny jakiś wyraz na twarzy Violetty, ale widząc ją bardzo wesołą, wkrótce przestała nad tém się zastanawiać. W drodze, młoda dziewczyna ciągle była równie ożywiona; układała z panią Warrener plan przyszłéj ich wyprawy w Highlandy, dowodząc, że nie należy z nią się opóźniać, ze względu na deszcze dosyć częste w górach, ku jesieni.

— Zeszłego roku, mieliśmy ich jednak nie wiele, rzekła pani Warrener.

— O, prawda; cieszyliśmy się tam ciągle prawie pogodą, odpowiedziała wesoło Violetta. Nie pamiętam, abym się kiedykolwiek w życiu lepiéj zabawiła. Zdaje mi się, kochana pani, że im prędzéj twój brat w góry te pojedzie, tém pomyślniéj oddziała to na jego zdrowie.

ROZDZIAŁ XXIV.

Głębie niedoli.

Długie, owe ciche i słoneczne dni upływały jedne po drugich w tém ustronném zaciszu, i zdawać się mogło trzem kobiétom czu-

wającym tak troskliwie nad chorym, który tu przybył szukać sił pokrzepienia, że on je w istocie potrochu odzyskuje. Ale jakbądź wszystkie czuwały nad nim z jednakową troskliwością, nikt tylu staraniami go nie otaczał, nikt tak nie umiał odgadnąć każdego jego życzenia, jak Violetta, nieodstępna prawie jego towarzyszka. Nieraz, gdy żal za mimowolną winę przeszłości, zasmucał jeszcze panią Warrener, szukała ulgi w widoku tych dwojga ludzi tyle dzisiaj szczęśliwych, i powiadała sobie, że chwile podobne mogą im opłacić niejedno przebyte cierpienie. Byleby daléj tak poszło ku lepszemu, tego tylko życzyć należało, aby łączący ich węzeł zacieśnił się jeszcze bardziéj; aby nazawsze pozostała ze swoim mistrzem ta powolna jego uczennica, którą dziś miłość tak przeistoczyła, że nic w niéj nie pozostało z dawnéj wyniosłéj niesforności i z owych popędliwych uniesień, do których tyle bywała skłonna. W zacności swéj pani Warrener nieprzystępna była żadnym samolubnym wyrachowaniom; wyglądała tedy chwili ślubu swojego brata z najżywszém upragnieniem.

Violetty myśli także stawały się teraz cokolwiek weselsze. Czyż mogły nie budzić w niéj choć cokolwiek nadziei i wiary w szczęście owe dni pogodne, które spędzała wśród lasów, otoczona woniami wiosny, przechadzając się w cieniu drzew, przez które tu i owdzie przebłyskiwały promienie słoneczne, ze swym mistrzem ukochanym, wyraźnie już teraz silniejszym? Zdawało się jéj, że w świat nowy teraz wstępuje: w świat cudowny, rozpromieniony, królestwo uczucia i wesela zarazem. Nie potrzebowała się już lękać prześladowań miłosnych Millera; czuła bowiem, że go na swéj drodze nie napotka więcéj; skończyły się także raz na zawsze jéj zajścia z macochą, nawet o biédnych Dowsach, samotnych w swym domu opustoszałym, zapominała teraz prawie zupełnie. Tu, miała z sobą świat swój cały. W miarę, jak widziała przedłużającą się miarę jego przechadzek i dostrzegała weselszy wyraz na jego twarzy, a w ruchach większą pewność i swobodę, świat naprawdę cudownym się dla niéj stawał, i usposobioną była pokochać się w tych krajobrazach, które przedtém tak ją mało zajmowały.

Ale kiedy noc znowu nadeszła i cisza zalegała dom cały we śnie pogrążony, wtedy Violetta drogo opłacała owe chwile radośne. Owładnięta trwogą szaloną, nie mogła znaléść spoczynku; nadaremnie usiłowała samę siebie przekonać; wyobraźnia jéj, niby wróg niepozbyty, podszeptów swych zaprzestać nigdy nie chciała. Nie miała przytém nikogo, komuby wyznać mogła swoje obawy, wspomnićć o nich nie byłaby śmiała żadnéj ludzkiéj istocie. Mogłaż

zachwiać błogi spokój jego siostry, lub też siostrzenicy? Nie godziło się jéj zasmucać ich tak ciężko, dla tego tylko, aby sobie cokolwiek ulżyć ciężaru boleści. Pozostawały jéj więc tylko noce bezsenne, które ciągnęły się dla niéj do nieskończoności, wśród męczarni przeczuć najokropniejszych. Przypominały się jéj niektóre słowa, wyrzeczone przez niego w przystępach tkliwszego wylania; wyraz cierpienia, z jakiém niekiedy przerywał swoje przemowy, i jak mimowolnie prawie rękę wtedy kładł na sercu, a twarz jego bladość powlekała chwilowa. Czyż one nic z tego wszystkiego nie zauważyły? Czy nie powstawały ztąd w nich myśli, od których szał rozpaczy duszę ogarnia? Podobnaż im było spokojnie do snu się układać, mając tę straszną groźbę zwieszoną po nad sobą, mogąc lada chwila się zbudzić do dnia najsroższéj boleści? Udręczenia te, tajone w głębi duszy Violetty, zabójcze dla niéj były. W nocy, rozgorączkowana zrywała się nieraz z łóżka i przez długie godziny przy oknie siadywała, słuchając żałosnego jęku fal, rozlegającego się wśród ciszy, a z dniem każdym zwiększała się bladość jéj twarzy i wyraz zmęczenia stawał się na niéj widoczniejszym. Ale to wszystko niedługo trwać miało.

Pewnego wieczora, we dwoje byli w saloniku, gdzie zwykle chory dzień spędzał; leżał teraz na kanapie, ona przy nim siedziała z książką w ręku. Drzwi oszklone, wychodzące na ogród, były otwarte; słyszéć mogli rozmawiającą w nim panią Warrener z córką. Dziwném zrządzeniem, w godzinie téj, myśli Drummonda znowu się zwracały ku dalekim Highlandom, ku wspomnieniom życia, jakie tam wiedli razem i ku niektórym zabawnym szczegółom ich morskiéj wycieczki, na *Kormoranie.*

— Powietrze tutejsze wcale ci jakoś nie służy, Violetto, powiadał. Daleko gorzéj teraz wyglądasz, niż kiedyś tu przyjechała. Z całéj naszéj gromadki, tyś jedna nie skorzystała na téj zmianie pobytu. Koniecznie trzeba temu zaradzić; nie możemy przecię tworzyć nieprzerwanego szeregu chorych,—niby greckiego fryzu, złożonego z pacyentów niosących flaszki z miksturami. Musimy jak najprędzéj wybrać się w Highlandy. Za dwa tygodnie naprzykład — cóżbyś na to powiedziała?

Uklękła obok niego i, wziąwszy go za rękę, rzekła zcicha:

— Nie gniéwaj się na mnie.... sama to czuję ile jestem nierozsądna; ale.... dziwnie się jakoś lękam owych Highlandów. Tak mi się często śniło ostatniemi czasy, że tam znowu byłam—i że rzucona się czułam wśród nocy na ciemne obszary bezbrzeżnego morza.

Drżała, mówiąc to. Przesunął łagodnie rękę po jéj głowie schylonéj.

— Nic w tém dziwnego, rzekł z uśmiechem, że miéwasz sny podobne. Wszakże to cząstką było owéj bajki, którą dla nas wszystkich ułożyłaś. Ale doczekaliśmy przecię weselszego jéj zakończenia. Nie pochłonęły cię ostatecznie owe czarne tonie....

Zamilkł, a po chwili znagła zawołał:

— Violetto!... najdroższa moja!...

Puścił jéj rękę i gwałtownie się chwycił za lewą stronę piersi: twarz jego silnie pobladła od bólu. Jakież przeczucie sprawiło, że go w objęcia swoje natychmiast porwała, z wyrazem śmiertelnéj trwogi w wejrzeniu?

— Violetto!... co to jest?... ucałuj mię!...

W chwilę zaledwie potém, przeraźliwy wykrzyk rozległ się w pokoju. Młoda dziewczyna, zerwawszy się z miejsca, podobna do łani, którą strzał ugodził w samo serce, stała blada z oczami szeroko roztwartemi, z wyrazem dzikiego obłędu na twarzy. Na ten odgłos, śpiesznie wbiegła do pokoju pani Warrener; ale zaledwie przed siebie spójrzała, stanęła w miejscu, grozą zdrętwiała od straszliwego widoku, jaki jéj się przedstawił. Violetta trzymała za rękę zmarłego, śmiejąc się wesoło... Owe ciemne otchłanie, których się tyle lękała, pochłonęły ją były nareszcie.

. . . .

Jeden jeszcze tylko obraz.... Kilka miesięcy czasu upłynęło. Znajdujemy się w jadalnéj sali pomieszkania Lady North, na Euston-Square; Anatolia sama jedna tam jest w téj chwili. Drzwi się otwiérają i wchodzi po cichu młoda osoba wysokiego wzrostu w żałobne suknie ubrana; ciemne jéj oczy mają dziwnie przejmujący wyraz boleści. Anatolia ku niéj podchodzi i, serdecznie za rękę ją ująwszy, prowadzi ku wygodnemu krzesłu, na którém sama przedtém siedziała.

— Czy nie ma dotąd żadnego listu? pyta nowoprzybyłą, powiódłszy po stole smutném i znużoném wejrzeniem.

— Nie, kochanko moja; nic jeszcze nie nadeszło, odpowiada Anatolia, która pomimo swéj powierzchowności mało sympatycznéj, posiada serce zdolne do współczucia. Usta jéj drżą, gdy dodaje:— Staraj się być cierpliwą, Violetto.

— Znowu jeden dzień przybył, a listu jeszcze nie ma; zrozumiéć tego nie umiém, powiada młoda dziewczyna, jakby mówiąc do siebie; potém płakać zaczyna po cichu, a siostra zbliża się do niéj i, objąwszy ją czule za szyję, usiłuje utulić.

Lady North wchodzi w téj chwili do pokoju. Niektóre zmiany zaszły w ciągu tych kilku miesięcy;—dziś te dwie kobiéty, dawniéj tyle sobie nawzajem nieprzyjazne, mówią sobie jedna: „Mate-

czko“, druga: „Moje dziecię“. Witając się z macochą, która ją czule ściska, Violetta znowu się przed nią użalać zaczyna.

— Matko, dla czegóż oni tak długo ten list przetrzymują? Z pewnością, napisał do mnie od dawna; ale nie mogę przecięż jechać do niego, dopóki nie odbiorę jego listu, a on tymczasem dziwić się będzie dla czego nie przybywam. Co rano, wyglądam listonosza— słyszę go na ulicy—jak z domu do domu przechodzi — i każdemu coś przynosi—tylko ja jedna tego listu nie odbiéram, za który oddałabym wszystkie skarby świata. Przecięż nie zaniedbałam nigdy spełnić żadnego jego żądania, byłam mu zawsze w każdéj rzeczy posłuszna—a on teraz dziwić się musi dla czego nie śpieszę do niego, i gotów myśléć, że zapomniałam o nim, znalazłszy się wśród mojéj rodziny. Ale nie.... on tego nie pomyśli.... on wié, że o nim pamiętam.

— Dziecię moje, nie dręcz tak siebie, uspokój się, powiada Lady North, z całém uczuciem na jakie ją stać tylko; a tymczasem Anatolia ciągle gorzkiemi zalewa się łzami. Wszystko pójdzie dobrze; ale staraj się nie być dzisiaj tak smutną, bo wiész przecię, że cię ma odwiedzić pani Warrener z twoją przyjaciółką Amy.

Nie zdaje się to obchodzić ją bardzo.

— Czy pójdziemy dziś po te kwiaty? pyta, podnosząc od ziemi po raz piérwszy swe ciemne oczy łzami zwilżone.

— Moja kochanko, nie jest to dzień, w którym kupujemy kwiaty, wybierzemy się po nie jutro.

— Na cóż się to zresztą przyda? mówi po chwili młoda dziéwczyna, znowu głowę spuszczając posępnie. Ilekroć jestem na cmentarzu, nasłuchuję—nasłuchuję po cichu—i wiém, że go tam nie ma. Kwiaty ładnie się rozrastają, bo nazwisko jego jest na kamieniu; ale jego tam wcale nie ma... On jest daleko bardzo... i miał do mnie napisać. Co dzień wyglądam od niego wiadomości — a oni list ten zatrzymują. Mateczko, czy już całe moje ubranie gotowe?

— Tak jest, moje dziécię.

— Czy na pewno tylko, mateczko?

— Bądź spokojna, moja kochanko, wszystko jest gotowe.

— Wiém, że biały atłas najlepiéj mu się podoba; rad będzie, że mię nie zastanie, jak innych w żałobie. Matko, przecięż niepodobna, aby pani Warrener i Amy miały zamiar przybyć na ślubny obrząd w czarnych sukniach?

— O, z pewnością nie moje dziécię. Ale chodź no i zasiądź teraz do śniadania.

Zajęła swoje miejsce z łagodną powolnością; ale myśl jéj ciągle się błąkała około tego samego obrazu.

— Spodziéwam się, że kościół usiany będzie kwiatami na nasze przejście.... nie dla mnie tego życzę, ale dla niego, bo go to ucieszy.... a przyrzeknę mu więcéj daleko, niż mieści w sobie ślubna przysięga, wtedy gdy uklękniemy obok siebie. Ale czy pewna jesteś mateczko, że wszystko już gotowe?

— Wszystko, moja kochanko.

— I myślisz, że już prędko teraz doczekam się listu od niego?

— Sądzę, że wkrótce nadejdzie, moje dziecię—odpowiada Lady North drżącemi ustami.

KONIEC.

STAN EKONOMICZNY POLSKI

W LATACH 1782—1792.

(Ciąg dalszy.)

Pokolenie sejmu czteroletniego zastało handel zagraniczny w stanie opłakanym. O 128.000 łasztach zboża, które wywiezione były z Gdańska w ostatnim roku wielkości Polski, w pamiętnym 1648 roku, zaginęły już wspomnienia nawet. W XVIII wieku za panowania Sasów, wywóz gdański spadał aż do 3.492 łasztów (w 1715) i 2.392 łasztów (w 1737); zwiększył się on dopiéro od wstąpienia na tron Stanisława Augusta i dosięgnął maximum z XVIII wieku w roku 1768 w cyfrze 57.003 łasztów—były to jeszcze plony z poprzedniego roku.

Po ukończeniu piérwszego rozbioru znalazła się Polska na nowém gospodarstwie z 19.355 łasztami wszelkich zbóż, do Gdańska sprzedanych, t. j. z 9.000.000 zł. zarobku brutto z głównego swego targowiska, z całego zaś handlu zagranicznego, jak wiémy zkąd inąd, 27 mil. Proszę zajrzéć do taksy szewckiéj na str. 613 tomu II, a wtedy się jasno okaże, iż cała ludność Polski ośmio, a chociażby 7-miljonowa, nie zarobiła sobie u obcych na „buty chłopskie z podlejszéj skóry". Więc chodaki i łapcie chłopa polskiego i litewskiego mają prawowitą swą racyą bytu.

Zakrawałoby to na gorzką ironią, gdybyśmy się uwzięli na przeprowadzenie paraleli pomiędzy tą cyfrą wywozu gdańskiego w r. 1776 a handlem Anglii lub Francyi, które rzucały wtedy corocznie swoje wyroby i produkta masami, szacowanemi na sumy półmiliardowe, z naddatkiem. Powiédzmy tylko, że w roju larw, które się podówczas nad ziemią polską tłukły, larwa nędzy roztoczyła też brudne swe skrzydła.

Wątpliwości nie ulega, że jeden przynajmniéj człowiek w Europie owoczesnéj rozumiał tę sytuacyą jasno i usiłował wyzyskać ją z żelazną konsekwentnością, bez litości. Był to król pruski Fryderyk II, zwany, przez Mekoleja nawet, wielkim. Zabierając całe baltyckie wybrzeże, chciał i Gdańsk zagarnąć, a gdy się to okazało niemożliwém, z powodu energicznéj protestacyi ambasadora rosyjskiego, nałożył 12% cła na zboże polskie i wszelkie towary, idące wodą, czy lądem ku Gdańskowi. Nadto, zaraz przy wyjściu z portu, na Neufahrwasser, osadził swoję komorę celną.

Cło takie było śmiertelnym ciosem dla handlowego miasta. Gdańsk upadł i już się nie dźwignął do dawnéj świetności bodaj do dziś dnia pod ojcowską opieką światłéj i sumiennéj biurokracyi pruskiéj. Kołłątaj pisze: „Co był Gdańsk przed rokiem 1773? Co znaczyły w nim posesye przed owym rokiem, a co teraz (w 1788) znaczą“? (1) Korespondent stały Dziennika Handlowego (zdaje się konsul tameczny polski: Hennig) pisze w r. 1789: „Jarmark na ś-ty Dominik zły; budów mniéj i te nie zajęte... dla cła strasznego; zgoła dla Gdańska nie trzeba lat drugie 17 zostawać w takiéj jak dotąd nieczynności w handlach: to, kto dożyje, może śpiewać jak o Troi:

Gdzie był przedtém zamek Troi
Teraz oracz z pługiem stoi (2).

Oprócz 12%, Fryderyk urządził jeszcze taryfę 1775 w taki sposób, że urzędnicy jego celni powinni byli na wielu artykułach pobierać więcéj: waga i miara podaną była podług stopy berlińskiéj; czerwony złoty rachowano po 2⅔ talara, t. j. po 16 zamiast 18 złotych; co do balów i tarcic cena „wzięta od saméj korony drzewa, a nigdy się nie zdarza, żeby z Polski sama korona drzewa do Gdańska spławioną była, tylko najczęściéj wypada ⅓ korony, ⅓ braku, ⅓ brak z braku, a podług tego wniosku rachując, np. od jednéj kopy tarcic za 8 calów 8 sążni, co uczyni talarów 1285, toby tylko uczyniło 755 talarów, od których cło po 12% tylko 90 talarów uczyniłoby—i tak wszystkie inne gatunki podług proporcyi, od których jednak cło i transportowe ekspensa od Fordonia do Gdańska odtrącić trzeba" (3).

---

(1) Listy Anonyma. Część III str. 321.

(2) Dz. Handl. 1789 str. 419.

(3) Jestto „uwaga" dodana do sporządzonéj przez niemca (zapewne celnika pruskiego) „Specyfikacyi wartości wszystkich towarów Wisłą, morzem do Gdańska wchodzących i ze Gdańska wychodzących" na dwóch ogromnych arkuszach po niemiecku i po polsku (lichą polszczyzną) dla Komissyi Skarbu Kor. przesłanéj—rękopism z napisem: „do kancellaryi Komissyi oddana d. 30 marca 1789 r. ze zlecenia P. Komm."

Nadto, urzędnicy celni tak byli gorliwi pod względem fiskalnym, że szacowali częstokroć towar podwójnie; sami nawet komisarze dworu pruskiego podczas układów r. 1787 wyrzucali p. de Launay podstępy przeciwko handlowi polskiemu (1).

Za pomocą podobnych zapewne kombinacyj cło od wina doprowadzaném było do 40%; rząd pruski miał za to rozciągać protekcyą nad towarami polskiemi, ale i o tém „najlepsze świadectwo panowie polscy mogą dać: wiele ludzi z ich dóbr zginęło, powracających z Gdańska i z Elbląga od statków i od spłynionego drzewa, którzy się dostali w połów i którzy w żołdzie pruskim niewolniczą odprawują służbę, pominąwszy wiele set nietylko z wagabundów poddanych, ale i szlachty, przed laty kilkunastu z konfederacyi pobranych," jak pisze Anonim, autor Uwag do Dziennika Handlowego (2).

Jeszcze w ostatnich latach życia, w r. 1784 Fryderyk II zrobił zamach na miasto, wciąż chciwie pożądane—opasał je swojemi wojskami. Uratowała wprawdzie gdańszczan od zaboru interwencya hr. Stackelberga, ale w konwencyi r. 1785 Fryderyk i port w swém posiadaniu utrzymał i nowe uciążliwe warunki nałożył. Za tym przykładem szedł, lubo nie tak gwałtownie, i jego następca, Fryderyk Wilhelm II. Kompania Morska pruska, przez Fryderyka II, przy znacznym udziale funduszów skarbowych, założona, zawarła umowę z dyrekcyą cesarską salin wielickich i podniosła cenę soli o 17 zł. na beczce nad cenę, oznaczoną traktatem r. 1775. Gdy kupcy warszawscy Mejzner i Szulc prowadzili statek z solą zamorską, komora Fordoń zatrzymała go, ponieważ transport ten przynosił uszczerbek Kompanii Morskiéj Pruskiéj. Rezydent polski w Berlinie, Zabłocki, wystąpił z „jak najmocniejszemi reprezentacyami", lecz minister Hertzberg odpowiedział, że sól ta była zakupiona w Gdańsku, a Gdańsk nie może wyprowadzać soli morskiéj, tylko przez Neufahrwasser, że pozwolono sprowadzać sól na własną potrzebę, ale nie dla handlu wolnego za granicę, któryby szkodził Kompanii Pruskiéj (3).

Obok tego Fryderyk II protegował bardzo energicznemi środkami wyroby swoich fabryk. Tak np. dom Splittgerb erów, mający trzy cukrownie w Berlinie, a czwartą we Wrocławiu, posiadał monopol dostarczania cukru dla Polski i tylko Królewiec używał przywileju

(1) Pam. H. P. 1791 str. 222.

(2) Dz. Handl. 1789 str. 1—9.

(3) Z listu Konsyliarza dawnéj Rady do ojca swojego.—Dz. Handl. 1789. str. 85—115 i 145—163.

dostarczania Litwinom cukru zagranicznego, oraz żelaza szwedzkiego, ale sukna francuskie nie inaczéj mogły być brane, jak z magazynów berlińskich i za poprzedniém zamówieniem pewnéj obowiązującéj ilości sukien pruskich; sukna takie rozchodziły się po Polsce pod nazwą angielskich (1). Z tego zresztą, że Fryderyk trzymał się polityki merkantylno-protekcyjnéj, że chciał, aby do krajów jego wchodziło jak najwięcéj, a za granicę wychodziło jak najmniéj pieniędzy, nie można mu czynić zarzutu, ponieważ taki był system, panujący powszechnie w Europie od czasów Colbert'a.

Nie z innemi téż zamiarami przyjeżdżał do Warszawy na zwiady agent austryacki, podobno Degelmann, jeśli radził ściągnąć za pomocą stosownéj ustawy większą część kapitałów polskich do Austryi (2). Nie w innym téż celu domieszczonym został do traktatu r. 1775 akt osobny, którego artykuły 1-szy i 2-gi warowały, że wywożone z Polski towary będą płaciły w Austryi 4%, a wywożone z Austryi do Polski tylko $^{5}/_{12}$%.

Taryfy Józefa II, szczególnie z r. 1784 były niezmiernie surowe: zakazywały po prostu przywóz wszelkich towarów, które były w kraju produkowane, oraz wielu artykułów zbytkownych, bez których zdaniem cesarza naród mógł się obyć (3). Dało się to zaraz uczuć Polsce: „z strony cesarstwa handel nasz już niewielki, jeszcze bardziéj się zmniejsza"—zauważył Switkowski w tym samym, 1784 roku.

Położenie więc handlu polskiego wśród takich warunków musiało być bardzo ciężkie, a nie znamy jeszcze strony najstraszniejszéj, gorzkiego owocu własnych błędów i win narodu szlacheckiego.

Nie chcemy i nie umiémy wyrokować o sporze, o antagonizmie, jaki się wywiązał pomiędzy mieszczanami a rycerską jeszcze szlachtą od czasów króla Olbrachta. Przez cały prawie wiek XVI trwała walka, aż w końcu, po śmierci ostatniego Jagiellona, co to jeszcze kazał wojewodom czynić, „cenę kupiom" przy radzie na ratuszu „wezwawszy ku temu:.. radziec ławników i starszych rzemiosł... kromia zboża, którekolwiek na targ przez kmiotki i inne poddane by-

---

(1) Pam. H. P. 1782 str. 317 nast., art., O handlu naszym z Prussami nowe uwiadomienie.

(2) Dr. L. Kubala—Handel i przemysł za czasów Stanisława Augusta. Odbitka z „Kraju". Kraków 1872, na podstawie rękopisu 525 str. 406: Ueber die Handelschaft in Polen, znajdującego się w bibliotece Ossolińskich, nieznanego mi. Zresztą informacye tego agenta są liche i sprawozdanie jego, o ile wnioskować mogę, nie ma żadnéj wartości. Ustęp przytoczony znajduje się na str. 15.

(3) Beer—Hist. Handlu, tłum. Rosyjskie. II. 371.

wają wożone" (1) —szlachta zwyciężyła. Wątpimy, żeby zwycięztwo w tym razie przypadło słuszniejszéj sprawie w udziale, to pewna przynajmniéj, że szlachta źle z tego zwycięztwa skorzystała. Już z czasów piérwszego bezkrólewia czytał Sztaszic kilka listów do Jana Zamoyskiego „od różnych cudzoziemskich, osobliwie od angielskich kupców, z których jedni w Polsce sadowili się, drudzy po naszych miastach wielkie składy miéwali. Ci, podczas bezkrólewia od szlachty skrzywdzeni, pobici i na publicznéj drodze złupieni będąc, a przez lat 20 w sądzie sprawiedliwości doprosić się nie mogąc, wzywali pomocy sprawiedliwego kanclerza" (2). Na każdym niemal sejmie, w każdéj niemal konstytucyi znajdujemy narzekania, że ludzie kupieccy kraj zubożyli (!), oraz ciągłe domagania się. aby stanowione były „praecia rerum", t. j. taksa na wszelkie towary. Najoryginalniejszą pod tym względem jest konstytucya r. 1643, mocą któréj komisya, odprawiona w Warszawie d. 27 maja t. r., postanowiła, co do towarów zagranicznych „aby każdy kupiec, szynkarz i kramarz, tak advena, jako incola, tak chrześcianin, jako infidelis, jakimkolwiek towarem handlujący w miastach J. K. Mci i Rzpltéj w obec urzędu grodzkiego i miejskiego oddał juramentum, a żydzi przed urzędem wojewódzkim, że towar swój tak będzie przedawał, jakoby po strąceniu wszelkich kosztów nie brał więcéj zysku, jeno, jeżeli krajowiec, 7, jeżeli przybysz, 5, jeżeli niewierny, 3 od sta. Co się ma rozumiéć aby, już z téj kwarty zysku, wychowanie wszystko swoje, familii swojéj i płacą opatrował, i że cła J. K. Mci i Rzplitéj sprawiedliwie oddawać będzie". (3) Widziano w téj konstytucyi zapewne mądrość niepospolitą, gdyż kazano ją „we wszystkich punktach obserwować" w r. 1661, a na Litwie reasumowano wszystkie ustawy taksowe XVII wieku w 1676 roku; nie pomyślano tylko o tém, kto zechce płacić 7% krajowcowi, jeżeli będzie mógł kupić za 3% u niewiernego.

W taki to sposób radzono o fakcie olbrzymim, powszechnym, nieprzepartym, w połowie bowiem XVII wieku objawiło się podwyższenie cen we wszystkich krajach europejskich, skutkiem nadzwyczajnego zwiększenia się ilości srébra, które co dwa lata przywożoném było z Ameryki na „srérbnych flotach" hiszpańskich. Nie robimy ztąd jeszcze zarzutu szlachcie owoczesnéj, ponieważ wiedza

(1) Vol. Leg. II, fol. 688 str. 50.
(2) Staszic—Uwagi nad życiem J. Zamoyskiego str. 54.
(3) Vol. Leg. IV fol. 75 str. 39 tit. Komissya de pretiis rerum et inductis.

ekonomiczna i finansowa była we wszystkich krajach nader ubogą, a z wyjątkiem specyalnie handlowych miast i państewek kupcy nie doznawali nigdzie sympatyi i opieki tak u rządów, jako też u szlachty. Zaznaczamy tylko, że szlachta polska nie posiadała nietylko uzdolnienia, ale nawet instynktów potrzebnych do kierowania handlem.

Skargę przeciwko niéj wynosimy przed trybunał historyi dopiéro od drugiéj połowy XVII wieku, kiedy wszędzie objawiła się widocznie troskliwość rządów o handel, kiedy wszyscy monarchowie zaczęli studyować i badać stosunki handlowe w swoich krajach. Nie mówimy o Anglii i Holandyi, ale przytoczyć winniśmy wybornego szlachcica Ludwika XIV, który co dwa tygodnie prezydował w conseil de Commerce, założoném w r. 1662, Leopolda I cesarza, który, pomimo ciężkich wojen z Turkami, założył Commerz-Collegium w Wiedniu, „wielkiego kurfirsta“ brandenburskiego, który zakładał kompanią Afrykańską i urządzał kolonie aż w odnodze Gwinejskiéj na Brzegu Złotym, królów duńskich, szwedzkich, nareszcie carów Moskwy, którzy uważali się za piérwszych kupców swojego państwa, zasięgali rady swoich „gości“ i powierzali im znaczną władzę w zakrésie policyi handlowéj, poboru ceł i t.p. Piotr zaś Wielki wśród licznych swoich starań o rozszerzenie i spotęgowanie stosunków handlowych założył též kolegium handlu w r. 1715 (1).

Od kogoż się informował rząd i sejm polski o potrzebach i warunkach handlu? Pomimo czynionych dotychczas poszukiwań—nie wiém. Przedmiot taki najbliżéj powinien był obchodzić zarządy skarbu, ale, przeglądając spis podskarbich wielkich, tak koronnych, jak W. X. Lit. nie napotkaliśmy żadnego nazwiska, któreby przywiodło nam na pamięć czy teoryą ekonomiczną, czy reformę handlową i finansową. Niech mi więc przebaczą ich cienie, jeżeli niesłusznie powiém, że postępowego rozwoju stosunków ekonomicznych Europy nie znali i nie rozumieli. A tymczasem od połowy XVII wieku dokonywał się przewrót ogromnéj doniosłości—wytwarzało się gospodarstwo pieniężne, kredyt, polityka handlowa, działali Colbert i Montague, pisali merkantyliści i fizyokraci.

Znaleźliśmy wprawdzie w nocie rękopiśmiennéj, p.t.: „Przedmiot, handlu dotyczący, od 1 stycznia 1717 r. w wykonanie mający być wprowadzonym“ zasadę, niby merkantylną: „W. podskarbi przestrzegać powinien ....żeby pieniądze za granicę nie wychodziły“, ale podany na to sposób zadziwia naiwnością: „żeby ci kupcy, którzy swo-

(1) Voltaire—Siècle de Louis XIV, Beer, Droysen, Storch, Kostomarow (Исторія торговли Моск. госуд. въ XVI и XVII в.)

je towary lub woły we Gdańsku albo w inszych miastach koronnych przedają, obligowani byli za te pieniądze insze towary, które się w Polszcze znajdują, kupować"; przytém nie ma żadnéj wskazówki, co czynić trzeba, jeśli kupiec zagraniczny takiéj „obligacyi" nie usłucha. Zresztą czytamy tylko o cłach, mytach, sposobach ukrócenia przemytnictwa, nadużyciach znoszonych, a wciąż odnawiających się, przepisy fiskalne i usiłowania ku zabezpieczeniu dróg od „ludzi" albo „kup" swawolnych.

Jako zarzut, na podskarbich i całym rządzie polskim leży też zaniedbanie usiłowań Zygmunta Augusta utworzyć marynarkę polską na Baltyku, tém bardziéj, że za Zygmunta III w r. 1626. Hiszpania występowała z korzystnemi propozycyami i prosiła tylko o port na brzegu polskim. A cóż dobrego można było wróżyć z oddania całego prawie handlu krajowego w monopol Gdańskowi?

Jako dowód braku wszelkich pojęć o naturze handlu, może również służyć przywilej, przez szlachtę polską na królach zdobyty, że wszelkie produkta, konie, woły z własnego gospodarstwa, zagranicę wyprowadzane, oraz wszelkie towary zagraniczne, do własnego użytku szlachcicowi potrzebne, są wolne od ceł. Początkiem tego dziwnego przywileju była ustawa Olbrachtowa 1496 r., zwalniająca „poddanych króla wszelkiego stanu.... kmieci....a szczególnie szlachtę, przychodzących na targi dla prywatnych, nie zaś kupieckich interesów, od ceł nowych i nieuświęconych zwyczajem" (1), ale z czasem szlachta przywłasczyła tę wolność dla siebie tylko i rozciągnęła ją na handel zagraniczny. Właściciel transportu, sam, albo jego pełnomocnik, oficyalista, szyper, składał na komorze przysięgę, iż towar do szlachcica należy, do domowego jest przeznaczony użytku, a poborca już nie mógł żądać cła pod zagrożeniem kar bardzo surowych. Cieszył się tedy szlachcic, że za swój produkt bierze cenę, możliwie najwyższą, a za obcy płaci—możliwie najniższą. Ale jakże mógł prowadzić swoje interesa kupiec, jeśli towar zagraniczny do rąk jego przychodził w cenie wyższéj, niż ta, za jaką dostawał się głównemu i najzamożniejszemu konsumentowi? albo jeśli towar krajowy, przez kupca prowadzony, musiał ukazywać się na targowisku zagranicznem obciążony cłem wywozowém (bo i takie pobieranem było), gdy tymczasem konkurujący szlachcic przy niższéj cenie mógł większe zyski osiągnąć? Pozostawała więc kupcowi klientela tylko w niższych i coraz bardziéj ubożejących klasach ludności. Możeby zresztą stan kupiecki w Polsce zdołał jeszcze wytrzy-

(1) Vol. Leg. I. fol. 269 str. 123.

mać i taką presyą, ponieważ cła polskie nie miały charakteru ani protekcyjnego, ani prohibicyjnego, ponieważ były rodzajem podatku niestałego, który można by porównać z dzisiejszemi konsensami, lub opłatami gildyjnemi za prawo handlowania. Możeby znajomość fachu, rozleglejsze stosunki zagranicą, dogodności z kredytu zrównoważyły korzyści, jakie szlachcic, handlu nieświadomy, ciągnął ze swego przywileju. Ale stan kupiecki doznał jeszcze jednego, i to już stanowczego, ciosu—został zohydzony w obec kraju i prawodawstwa. Z grzeszną lekkomyślnością i pychą sejm r. 1633 uchwalił, że „każdy szlachcic szlachectwo traci, jeśli, będąc w mieście osiadły, handlami i szynkami się bawi miejskiemi i magistratus miejskie odprawuje; i potomstwo jego, podtenczas spłodzone, i on sam dóbr ziemskich nie może nabywać.(1)“ Pogarda dla kupców weszła w obyczaje; urobiło się przysłowie o mierzeniu łokciem i kwartą.

W XVII tedy wieku szlachta odniosła nareszcie zupełne nad kupcami zwycięztwo, raczéj podeptała ich. Przyszły potém czasy Jana Kazimiérza i srogie spustoszenie kraju. Gdy burza ta minęła, nie było już Szotów, ani Anglików po miastach polskich; nie było Polaków, coby handel wywozowy na większą skalę prowadzili. Pozostało tylko kramarstwo, drobne kupieckie facyendy, i to w rękach Żydów. „W miastach znajdziemyż, choć kilka polskich kupieckich domów, sławnych dawnym, wielkim i obszernym handlem? Z pomniejszych nawet kupców znajdująż się tacy, którzyby zgromadzaniem i wyprowadzaniem krajowych za granicę produktów bawili się? Jakby dawno słabe, alić przecię jak tak kraj zasilające ustały kanały, któremi złoto z zagranicy wpływa, gdyby zbóż, wołów, koni, wieprzów, drzewa i potażów sama za granicę nie wyprowadzała szlachta, a skór, wosków i gorzałek żydzi! Cały sposób przemysłu miejskiego jest gorzałkę, piwo robić i szynkować, a innym do wypróżnienia beczek swych wiernie dopomagać, co nie potrzebuje owéj ustawicznéj pilności kalkulowania i w pracy stateczności, jak handel“ (2).

Oto są warunki, w jakich znajdował się handel Polski podczas pierwszego rozbioru—warunki okropne. Najśmielszy ekonomista mógłby wpaść w rozpacz, gdyby mu kazano podnosić handel w kraju, pozbawionym morza, opasanym łańcuchem komór Fryderyka II i Józefa II, pełnym uprzedzeń przesadnych, a nie mającym klasy kupców hurtowych.

(1) Vol. Leg. III fol. 806.

(2) Pam. H. P. 1783, str. 596.

Wszakże pokolenie sejmu cztéroletniego i na téj ranie narodowéj rękę położyło. Ciekawym i godnym uwagi jest jego sposób zapatrywania się, jego teoretyczne wyznanie wiary w téj materyi.

Nad spodziewanie znajdujemy spory zasób odwagi, a nawet dobréj fantazyi. Staszic o handel zewnętrzny nie wiele dba; chętnieby się go pozbył nawet. „Dzisiejsze kupiectwo więcéj nieszczęścia, niżeli dobra uczyni. Stworzy ludziom nowe potrzeby, a tych im często dostarczyć nie potrafi. Powiąże najściśléj pomiędzy sobą osoby i państwa, a potém kłócić je będzie.... Gdyby Polska sól miała, mocniéj i dłużéjby swoję szczęśliwość i spokojność zapewniła, gdyby się bez zewnętrznego handlu obeszła". Wié on, że „od podziału Polski handel nasz zewnętrzny upadł. Z kraju więcéj piéniędzy wychodzi, niż przychodzi". Ale dla zatrzymania piéniędzy w kraju zna „dwa sposoby: albo przedawać więcéj, albo kupować mniéj". Gdy piérwszy sposób jest niemożliwy prawie, oświadcza się za drugim. Proponuje przeto prawo oszczędnicze, domaga się od sejmu, aby zakazano wywożenia piéniędzy zagranicę, wprowadzania towarów zagranicznych, a szczególnie wina i t. p. Zauważywszy, że w ciągu 18-u miesięcy wprowadzono 36.000 beczek samego węgierskiego wina na sumę 7 m. cz. zł. zachęca każdego Polaka do mówienia tak: „Milsze jest to piwo, które z własnéj ziemi miéć możemy, niżeli to wino, w którém z rąk nieprzyjaznego cudzoziemca połykamy niewolę". Przemawia potém w czułych wyrazach do króla i nareszcie do szlachetnych Polek, żeby się nie stroiły w zagraniczne fraszki. Przytacza nawet przykłady z łacińskich pisarzy o Rzymiankach (1). Podobno wszakże cała ta wymowa pożądanego skutku nie odniosła.

Kołłątaj przedrwiwa sobie z „nierozsądnych kameralistów", głoszących protekcyą celną i fiskalne dowcipy, odważa się nawet na energiczny wykrzyknik: „Gdybyśmy raz poznali istotne bogactwa, gdybyśmy wiedzieli, zkąd je brać i w którym czasie, ujrzelibyśmy dopiéro, czém jest naturalna siła nasza!" (2).

Jakiś autor uwag obywatelskich decyduje: „Mówić, że kraj być szczęśliwym nie może, jeżeli w bogactwa i dostatki wszelkie nie opływa, jestto błąd bardzo gruby (!). Rzuciwszy okiem na starożytne dzieje, przekonywamy się, że państwa najbogatsze najmniéj

(1) Staszic—Uw. n. Ż. J. Zamoyskiego wyd. Turow. str. 65, 96, 97, 99—107.
(2) Listy Anonyma Cz. III. r. 1788 str. 115.

były szczęśliwe i zawsze na ostatek zwyciężane przez narody uboższe". Ktoś inny znów piorunuje na Kolumba za to, że przez odkrycie Ameryki posypały się do Europy pieniądze i rozpostarły się zbytki. „Tyle to złego narobił syn jednego z wełny czesania żyjącego robotnika w Cogurco, Krzysztof Colomb". A jest i taki ekonomista, który w niechęci swojéj do handlu zagranicznego woła: „Gdyby ludność wyrównywała obfitości, gdybyśmy wszystko spotrzebować mogli!" (1).

Sam Switkowski nareszcie (jak się domyślamy) przepowiada: „Według wszelkiego prawdopodobieństwa nowozaczynający się wiek ekonomiczny nie ostoi się tak długo z powszechném Europy dobrem, jak dotąd trwający wiek paradny. Gdyż jeżeli wszystkie kraje, jak się teraz dzieje, na to się będą sadzić, żeby pieniądze zagranicę nie wychodziły, to te znaki rzeczy i robót wszelkich utracą wiele z swojego szacunku tylko polubnego, a nakoniec te tylko kraje zyskają, które wiele czystego zarobku z gruntów mieć będą. Ojczyzna także nasza jakże naówczas szczęśliwszą się od owych dziś złotem i srébrem zarzuconych krajów okaże!" (2).

Ustęp ten wypisaliśmy z artykułu p. t. „Nowe fizyokratyczne systema". Łatwo się domyśléć można, że szkoła fizyokratów najprędzéj przypadnie do serca młodocianym ekonomistom naszym. W istocie zasadami jéj przejął się i Staszic, ciągle rozprawiający o wyciąganiu podatków z czystego dochodu gruntowego, ale w pieniądzach i Kołłątaj, występujący z oryginalnym projektem zamiany podatków pieniężnych na dziesięciny w snopach, sprzedawane drogą peryodycznych licytacyj, i Switkowski, i inni.

Godném też jest uwagi jednomyślne prawie przekonanie o potrzebie wolności handlu. Ta wolność jest ideałem Staszica, i tylko anormalne warunki spółczesnéj chwili zmuszają go do żądania zakazów (3). Kołłątaj powiada: „dla czego tak wielką liczbę celników opłacać? Dla czego sobie samym robić tyle przykrości w rewizyach... przerzucaniu dobrze upakowanych rzeczy? Należy przestać na wyznaniu, któreby w urzędzie miejskim, lub gdzieby prawo nakazało, uczynił ten, któryby wprowadził zagraniczne towary. Nie miałby on interesu zwodzić zwierzchności krajowéj, ani się przed nią taić, boby wiedział, iż żaden towar do wprowadzenia nie jest mu zakazany, iż od żadnego cła opłacać nie jest winien... Będzie

(1) Pam. Hist. Pol. 1784, str. 251, str. 158 z artykułu zkądinąd wielce pouczającego, p. t. „Niektóre ważne wiadomości pod względem handlu polskiego w dawniejszych czasach i 1784 str. 392.

(2) Pam. Hist. Pol. 1783, str. 20.

(3) Staszic—Uw. n. ż. J. Z. str. 65.

to interesem równym dla kupujących, jako i dla rządu; przyłożą się wszyscy do wyszukania prawdy, kiedy będą mieli ubezpieczoną wolność i zupełną w handlu swobodę.... Cóż to są cła na inwektę i ewektę (przywóz i wywóz), jeżeli nie impozycya i ucisk? Pozwólmy, że kto wywiózł 1.000 korcy pszenicy na ten koniec, ażeby za nią wprowadził sto postawów sukna. Cóż on postanowił zrobić? postanowił zamienić pszenicę na sukno. Na czémże, proszę traci, gdy opłaca cło od sukna? Na pszenicy, bo wartość jéj ma ustanowić wielość sukna.... prawda zawsze będzie jedną, że czyli opłacamy cła za towar obcy, czyli za swój własny, ucisk na nas pada, i sami sobie dobrowolną czynimy szkodę. Jakież repressalia byłyby w téj mierze najskuteczniejsze? Oto nieograniczona wolność i ułatwiony przystęp wszystkim ludziom i krajom. Niesprawiedliwy sąsiad prędkoby doznał odmiany w dochodach, które mu nierozsądnych kameralistów nastręczyły głowy" (1).

Podobnie G. P. P. K. domaga się wolności handlu „nie obłudniczéj, ale rzetelnéj.... Niech tylko z strony rządu będzie opieka i sprawiedliwość.... więcéj od rządu nie potrzebujemy... Najszkodliwsze zaś... zakaz wywozów, taks ustanowienie, monopole i kompanie exkludujące (2). Jakiś „wielki minister i patryota" (którego nazwiska domyśléć się nie możemy), wykładając z talentem znaczenie pieniędzy „na zasadzie odkrytych i dowiedzionych prawd nauki ekonomicznéj" oraz ich obiegu, mniema, że państwa europejskie są „fałszywą ekonomiką wiedzione, jeśli podwyższają ustawicznie cła od towarów". Dziedzice są piérwszymi dystrybutorami wszelkich dóbr ziemskich do potrzeb ludzkich i konsumpcyi służących, które pochodzą jedynie z ziemi... które jako materyał, albo jako wyrobiony towar idą na zamianę między ludźmi". Cła spadają tylko na dziedziców, którzy płacą już stały podatek, więc przez cła mieliby jeszcze drugi podatek—ztąd ruina w nakładach rolniczych, szkoda dla kraju rolniczego, mniéj łatwa sprzedaż, mniéj dobra płatność dla produkcyj ziemskich, upadek agrykultury, zmniejszenie i zubożenie ludności (!). A zebrane z ceł piéniądze rozchodzą się między nieprodukcyjnymi konsumentami. Żąda więc zniesienia ceł dla Polski pomimo ceł w innych krajach „nawet gdyby sąsiedzi tak ją opasali, że od nich tylko mogłaby kupować". „Bogactwa w piéniądzach są skutkiem poprzedzających bogactw w produkcyach ziemskich, które się przez handel zamieniają na piénią-

(1) Listy Anonyma. Cz. III str. 316—318.
(2) Dz. Handl. 1788, str. 451—461.

dze... Wolność tak pożyteczną i potrzebną zatamować i przez zatamowaną chcieć większych sum pieniężnych do kraju nagarnąć i sprowadzić jestto jedno zaiste, co dla przyczynienia wody w kanale jakim, do defluitacyi służącym, zatkać strumień do niego wpływający" (1).

„Autor" Dziennika Handlowego oświadcza się też za wolnością handlową: „Wszelkie zabraniania, chociażby pożytek jakiś ściągały dla kraju, że ścieśniają handel, są szkodliwe handlowi" (2).

Nareszcie Czacki w raporcie do Kommissyi Skarbu Kor. „względem handlu Polski z Galicyą" kończy swoje spostrzeżenia wnioskiem „zdaje się więc, aby te wzajemne cła (wywozowe i przywozowe) nazawsze uchylić w téj prowincyi ruskiéj" (3).

Nie jest mi wiadomo, jak rozumował X. Ossowski, o którym Kołłątaj wspomina w pismach swoich z uwielbieniem, któremu król wypłacać kazał ze skarbu po 1.000 zł. miesięcznie zapewne za powzięty zamiar: „objaśnić powszechność narodu w materyi bogactw krajowych", a który bodaj nie „objaśnił powszechności", bo nic, oprócz projektu sprzedaży starostw i historycznego o starostwach wywodu, nie napisał, o ile mi wiadomo. Zapewne miał pojęcia podobnego zakroju, jeśli Kołłątaj uwielbia go tak gorąco. Ośmielamy się więc zawnioskować, że najznakomitsi statyści i uczeni zajmującego nas pokolenia byli jeszcze niepoprawną szlachtą—ziemianami (nie wyjmując mieszczanina Staszica). Switkowski bowiem mylnie napisał na tytule artykułu: „Nowe fizyokratyczne systema". Nowém było ono we Francyi, gdzie Quesnay i Gournay występowali przeciwko krańcowym wywodom merkantylistów, ale nasi ekonomiści nie potrzebowali w tym razie być uczniami francuzów, ponieważ całe prawodawstwo, wszystkie Volumina Legum, cała historya finansów i handlu polskiego od końca XV wieku nie jest niczém inném, tylko systematem fizyokratycznym w najobszerniejszym rozwoju i w najbardziéj krańcowéj wyłączności. Miała przecież szlachta polska i czysty dochód gruntowy, na pieniądze zamieniany, i podatki od ziemi i wolność od ceł „nie obłudniczą" i nawet prawa oszczędnicze (leges sumptuariae np. 1613, 1620, 1629, 1683 r.). Dla tego też nazywamy Staszica, Kołłątaja, „wielkiego ministra" Czackiego i samego Switkowskiego niepoprawnymi — boć stan owoczesny był wytworem wyłącznego fizyokratyzmu trzech wieków, a

(1) Dz. Handl. 1786, str. 196, 251—272; łączy swój głos „patryota" str. 338.
(2) Dz. Handl. 1787, str. 484.
(3) Dz. Handl. 1788, str. 585.

przecię był okropny i potrzebował reformy rdzennéj. Co się zaś tyczy heroicznego środka — zniesienia zupełnego ceł na granicach kraju, powstrzymuję się od sądu; przytoczę nawet wypadki z praktyki prawie spółczesnéj — zniesienie ceł od zboża w Hamburgu, w r. 1747 na płótno, przędzę i miedź w 1764 oraz wolność handlową Szwajcaryi, przekażę wywody „wielkiego ministra" do podziwiania szkole zwolenników wolnéj wymiany (free-trader'om), ale zastrzegę się tymczasowo wnioskami, jakie nam bilans handlowy nasunie.

Jednakże odzywały się tu i owdzie głosy ze zdaniem przeciwném; jakkolwiek nieśmiało. Autor „Myśli na projekt w Dzienniku dany, ażeby komory skasowane były" oświadcza: „Handel zupełnie wolny, choćby i sąsiedzi na to pozwolili, nie sądzę, aby był pożyteczny dla Polski". Cytuje zdania Nekkera, żąda cła na towary z zagranicy wprowadzane a szczególnie na zbytkowne. „Handel zaś wewnętrzny chciałbym, aby żadnego nie mógł miéć zaporu" (1).

Sandomierzanin, zażądał wprost protekcyi celnéj, gdy się zastanowił, że prócz 12 milionów corocznie płaconych za oliwę, cukier, kawę, rodzenki i t. p. wydaje Polska jeszcze 15 m. na płótna, sukna, papiér, skóry, narzędzia żelazne, które mogłaby we własnych fabrykach wyrabiać. Proponuje nałożyć 12% na towary pruskie, jako odwet za cło gdańskie. O handel zagraniczny bardzo mu idzie i żąda konsulów do miast portowych. Nie przeszkadza to mu zresztą w rok późniéj proponować zniesienie cła na inwekty, „żeby towary zagraniczne były tańsze" (2).

Nareszcie Anonym Patryota, uznając z Wolterem wolność bezwarunkową podług prawa natury dla obywateli świata, proponuje całkowity plan protekcyi celnéj: 1) cło na towary zbytkowne zagraniczne; 2) zakaz przywozu produktów, które się w kraju znajdują; 3) zakaz wywozu surowca; 4) zniesienie ceł od towarów zagranicznych, których potrzebować mogą fabryki krajowe; 5) zniesienie monopolów (chyba tabacznego?); 6) zniesienie ceł wywozowych od fabrykantów krajowych; 7) obrócenie ceł na założenie Banku Narodowego (3).

Przechodząc od zasad kierowniczych do polityki handlowéj wewnętrznéj, do kwestyj bieżących, musimy oddać sprawiedliwość prasie owoczesnéj, że gorliwie zwalczała przesądy, że wykazywa-

(1) Dz. Handl. 1786. str. 422—429.
(2) Dz. Handl. 1786, str. 504, 505. 1877, str. 64.
(3) Dz. Handl. 1786, str. 338—349.

ła wszelkiemi argumentami ważne znaczenie handlu, zachęcała do tworzenia spółek, kompanij handlowych (np. „patryotycznego“ towarzystwa dla tworzenia magazynów zbożowych), domagała się wysłania konsulów zagranicę, szukała informacyj co do zagranicznych targowisk i t. p. Szczególnie dużo pisały Dziennik i Pamiętnik o Chersonie. W istocie, położenie tego miasta i oczyszczenie stepu od Tatarów przez Cesarzowę Katarzynę II było nader ważnym i pomyślnym wypadkiem dla województw, Kijowskiego, Bracławskiego, a nawet Podola. Artykuły o handlu w innych krajach, a szczególnie artykuł Pamiętnika o handlu Rosyjskim, są pisane wybornie (1).

Przejrzyjmy teraz działania rządowe.

Jeszcze konfederacya Czartoryskich r. 1764 zniosła nie tylko „wszelkie partykularne cła, myta, komory, przykomórki i niesłychanym prawie sposobem wynalezione w niektórych miejscach lodowe t. j. od podwód przez lód przechodzących oraz inne.... extorsye“, ale nawet przywilej wolności szlacheckiéj. Wprowadziła „cło generalne“, które, „począwszy od N. Króla aż do ostatniego obywatela i kupca.... tak na wodzie jako i lądzie, nie uważając na żadne generalne libertacye, serwitoraty i protekcye.... wszyscy do Skarbu Rzeczypospolitéj płacić mają“. Konstytucya zaś r. 1766 zaszła tak dalece, że zwolniła od tego cła samych tylko handlujących „duchem ułacnienia drogi do handlów i manufaktur“, ale w r. 1775 cło generalne znowu przywrócone „ad et extra regnum“, ab invectis et evectis.... nie excypując towarów i wszelkich rzeczy nawet na własną konsumpcyę sprowadzonych“ (2).

Pokolenie nasze przeto miało już uprzątniętą jednę wielką niesprawiedliwość, która nad handlem krajowym ciążyła. W obec zagranicy jednakże cło wywozowe szkodziło kupcom naszym, gdyż towar ich wchodził na targowisko obciążony nietylko cłem protekcyi zagranicznéj, ale jeszcze i własném. Trzeba było co rychléj tę zawadę uprzątnąć, ale ani Rada Nieustająca, ani sejm czteroletni decyzyi żadnéj powziąć nie umiał. Gdy Mezer, fabrykant fajansów w Korcu, skarżył się na brak odbytu z powodu konkurencyi fabryk austryackich i dopraszał się u Kommissyi Cywilno-Wojskowéj Łuckiéj „zatamowania wolności wprowadzania fajansów zagranicznych“ Kommissya Skarbu Koronnego dała apokaliptyczną rezolucyą: „że prawo fajansów zagranicznych wprowadzać nie zabrania, ale uży-

(1) Pam. Hist. Pols. 1784 str. 448 i 671.
(2) Vol. Leg. VII, fol. 34 str. 22, f. 436 str. 192, VIII. fol. 149 str. 95.

wać onych zakazuje (?)" (1). Ulegając zapewne wpływowi pism, zalecających zniesienie komor Kommissya Skarbu Kor., rezolucyą z dnia 6 Grudnia r. 1787 zmniejszyła cła o połowę, ale zawsze przywozowe i wywozowe jednocześnie. (2) Są przecięż śladytrosk liwości rządu o zabezpieczeniu interesów handlu w krajach obcych. W Gdańsku zainstalowany konsul Hennig, w Chersonie Zabłocki (brat rezydenta berlińskiego). W Elblągu, Królewcu, Rydze, pomimo nalegań Dz. Handlowego, konsulaty nie były urządzone, w Turcyi zaś konsul rosyjski miał opiekę nad kupcami polskimi (3).

Najkorzystniéj przedstawiały się warunki handlowe od ściany Rosyjskiéj, traktatem bowiem r. 1775 zastrzeżoną była wolność spławu statkom polskim rzeką Dźwiną do Rygi, a gdy wojska rosyjskie zdobyły step Czarnomorski i Krym, cesarzowa Katarzyna pragnęła ożywić tę bezludną krainę i ściągnąć handel do świeżo założonego Chersonu. Nie szczędziła tedy zachęty producentom polskim. I tu wszakże, z powodu niedbalstwa dawnego rządu polskiego, pozostawało wiele do życzenia. W r. 1789 Komissya Skarbu Koronnego okazała już większą czujność, dostarczyła bowiem deputacyi interesów zagranicznych memoryał, zapewne mający posłużyć do układów z Dworem Rosyjskim. Znaleźliśmy ten memoryał w brulionie ręką ówczesnego członka Komisyi, Tadeusza Czackiego pisany (4). Przypomina tam uczony autor, że taryfa polska za Jana III (dawneż to czasy!) wydana, a na mocy prawa r. 1784 przetworzona, jest względną dla Rosyi; przeciwnie taryfa rosyjska z dnia 27 Września r. 1782 jest niekorzystna dla Polski, mianowicie opłata wyszczególniona pod literą B. Ukazem z dnia 22 Grudnia r. 1784 do namiestnictwa „Katarynosławskiego", towary polskie nieprzerobione zostały zwolnionemi od cła tak samo jak poprzednio już wolnemi były takież towary, idące do Białéj Rusi i Małorosyi — tego jednak „nie uważa Komissya za dar dla Polski, bo sam powód ukazu chęci uniżenia fabryk naszych, odbiérając pierwiastkowe materyały, nosi na sobie cechę". Zapatrując się na traktaty, przez rząd rosyjski z Anglią i Francyą zawarte, „widzi Komissya kraj uszkodzonym": Polskim kupcom nie wolno w Rosyi sprzedawać na szczegół towaru w niższéj od 75 rs. cenie „w Polszcze zaś markietani według swego upodobania przedają, a w saméj War-

(1) Dz. Handl. 1790, str. 483.
(2) Dz. Handl. 1787, str. 654.
(3) Raport Czackiego w Dz. Handl. 1788, str. 677.
(4) Napis: pismo Czackiego w materyi handlu 3 lutego 1789 ad N-um 74.

szawie nieraz tutejszych kupców uskarżenie dowiodło, jak wiele zysków bez żadnych opłat ciągną". Domaga się ułatwień w sądownictwie dla kupców polskich, ponieważ „handel nasz, najwięcéj wozami prowadzony, zatrudnia znaczną liczbę ludzi". Uskarża się na taryfę rosyjską: „Polska 4% od produktów moskiewskich biorąc, sama od towarów wielu 30, 40 i 60% opłaca". Ukaz z dnia 18 Listopada r. 1784 upewnił Polakom tranzyt w 15-u warunkach, lecz potrzeba więcéj komór, gdyż jedna dozwolona dotychczas „mimo starań światłego męża JW. Potockiego, starosty Guzowskiego, rządcy Towarzystwa Czarnomorskiego w Krasnolesiu, do małéj części kraju była wygodą". Każe żądać w Chersonie dla Polaków tychże praw co Francuzi mają, ponieważ artykuł 13 traktatu rosyjsko-francuskiego zabronił pożyczać imienia obcym towarom. „Wiadomo zapewne jest P. Deputacyi, jak Rossya, chcąc całą wagę handlu do Chersonu zwrócić, przeszkadzać chciała handlowi Dniestrem, a daléj nakłaniać się zdawała, aby statki polskie pod banderą rosyjską iść mogły. Lecz część województw, Bracławskiego i Kijowskiego oraz Wołynia rzeką Słuczą, tylko zwracać się do Chersonu może, całe zaś Podole i obfita część Bracławskiego przez odległość swoję korzystać z handlu Chersońskiego nie mogąc, życzenia wznoszą do ułatwienia handlu Chersońskiego. Handlowanie zaś pod banderą obcą, nietylko że uniżałoby powagę narodu, ale przeciwném byłoby interesom Polski, aby tego pomoc była używaną, którego zamiar jest usuwać Polaków od zbiegu przedaży jednychże produktów. Nadto, byłoby to przyciemniać te świetne traktaty, które w ciągu pół wieku cztery razy wolność spławiania przez Akerman upewniły i wyrzekać się swobody żeglugi na morzu Czarném i Białém, którą traktat r. 1577 między królem Stefanem a Amuratem III ubezpieczył, i zapomnieć o banderze polskiéj fermanem r. 1699 przyznanéj, a dla zamięszań nieużywanéj". Jest jeszcze parę punktów, które pomijamy.

Tenże Czacki był wysélany do Mołdawii i zawarł z księciem Ypsylantym w Jasach traktat handlowy w r. 1787; raport o tém jest wydrukowany w Dzienniku Handlowym (1788, str. 663—677), podobnie jak raport tegoż Czackiego o handlu Polski z Galicyą (str. 585).

Czytaliśmy także rękopiśmienny „Projekt, przez któryby można odwrócić handel z Brodów i przenieść go na użytek kraju polskiego", bez podpisu i daty, ale zapewne do epoki sejmu czteroletniego odnoszący się. Zasadzał się na tém, aby urządzone były składy towarów (depozytorya) przy urzędach skarbowych: Dubno Wołoczyska, Beresteczko, Radziwiłłów, Cudnów, Bar i Niemirów,

dla kupców rosyjskich i hurtowników tureckich, którzy, znajdując tu, co im potrzeba, nie będą jeździli do Austryi.

Teraz więc handel polski, jeśli nie miał protekcyi celnéj (czego zresztą nie twierdzimy, bośmy bliżéj nie badali instruktarzy), to miał protekcyą polityczną, a przynajmniéj czujną troskliwość rządu.

Zdjętą została nareszcie ohyda z zatrudnień handlowych. Jeszcze w r. 1775 sejm uchwalił konstytucyą, że „szlachcic, wszelkiego rodzaju kupiectwem się bawiący, szlachectwa swego utracać nie będzie“ (1). Uczyniła więc tę restytucyą Polska na 8 lat przed Hiszpanią, gdzie podobne prawo wydaném zostało przez Karola III w r. 1783. Tenże sejm wydał obszerne prawo wekslowe, „chcąc i w krajach naszych handel i kredyt, onemu potrzebny, kwitnący utrzymać.“ Podane tu są formy weksli, określone stosunki trassanta, akceptanta, remittenta etc; przepisany proces i drogi szybkiéj egzekucyi (2).

Objawiła się téż wszędzie ruchliwa zapobiegliwość i ożywiony interes do materyj handlowych. Na rozkaz rady nieustającéj komisya skarbu koronnego ułożyła bilans ewekty i inwekty, t. j. wywozu i przywozu handlowego z lat 1776 i 1777. Ten rachunek sumienia okazał się wielce pożytecznym—cyfry wykazały całą grozę położenia bodaj w przesadnych nawet rozmiarach. Na sejmie przeto grodzieńskim r. 1784 prymas wystąpił z mową, która wywarła ogromne wrażenie w całym kraju, a niemniejsze w izbie. „Imiona handlu, przemysłu na wszystkich prawie brzmiały ustach“. Radzicki, podkomorzy Zakroczymski i Ign. Potocki dopraszali się Banku (3). Sejm wydał uchwałę „uformowania towarzystwa handlowego pod imieniem polskiéj handlów wschodnich kompanii, tak w krajach Rzpltéj, jako i zagranicą czynić mającéj... nietylko protegować przyrzekamy, ale oraz przywileje z nadaniem miejsc w starostwach i królewszczyznach, do składów potrzebnych, i wolności, kompaniom takowym zwyklych, damy, i, aby cło od transportów obywatelskich kompanicznych, tak wodne, jako lądowe, w wywozach z kraju nie było większe, jak 1%, a w przywozach do kraju jak 4%... dajemy moc zupełną radzie, przy boku naszym nieustającéj, negocyacyą całą przez interesowanie się obydwóch dworów cesarskich do uszczęśliwiającego kraje nasze skutku przyprowadzić“ (4).

(1) Vol. Leg. VIII, fol. 183 tit. Warunek, str. 113.

(2) Vol. Leg. VIII, fol. 192 399, str. 119.

(3) Pam. H. Pol. 1784 str. 1112 Dz. Handl. 1786 str. 354 przypisek. Głos podziękowania za laskę Nadw. W. X. L. na sejmie Grodz. 1784 (broszura).

(4) Uchwały téj w Vol. Leg. Ohryzki już nie ma, wzięliśmy ją z przedruku w Dz. Handlowym 1786 str. 378.

Nie wyliczamy późniejszych uchwał, mów i broszur, dotyczących stanu kupieckiego. Wiadomo, że i handel żydowski i stanowisko Żydów stało się przedmiotem licznych rozpraw, które starannie już opracował p. Smoleński w cennéj rozprawie. swojéj: „Stan i sprawa Żydów polskich w XVIII w. (1876. Warszawa. C. Lewicki). Przytoczone fakta wystarczą do przeświadczenia, że i na polu handlowém epoka. stanowiąca przedmiot badań naszych, nie może już być obciążaną tém okropném oskarżeniem, jakie spada na głowę poprzednich pokoleń. Sprawa mieszczan wykaże nam późniéj, że nawet w sferze obyczajowéj dokonała się szybka i wszelkich pochwał godna przemiana.

Czas jest z wyżyn teoryi, dyskusyi literackiéj i prawodawstwa zejść do życia, praktyki i cyfr suchych, ale wymownych po swojemu.

Handel zbożowy od piérwszego podziału. aż do r. 1782 przebywał ciężkie koleje. Wywóz gdański uporczywie trzymał się przeciętnéj cyfry 19.500 łasztów, a w r. 1782, zapewne w skutek nieurodzaju, spadał nawet do 9.019. W epoce zaś 1783—1793 r. (bierzemy rok 1793, żeby zużytkować urodzaje 1792-go, wchodzącego w ramy naszego badania) cyfra średnia podniosła się do 29.072; wszakże nieurodzaj roku 1787, który się odbił i na cenach krajowych, obniżył cyfrę wywozu gdańskiego do 11.885 łasztów, za to rok 1785 dał poważne maximum 40.150 łasztów. (1)

I ta cyfra wygląda jeszcze bardzo skromnie obok cyfr maxymalnych wywozu dzisiejszego, np. 108.960 łasztów w r. 1871. albo 136.585 łasztów z r. 1862, a chociaż wpływ udogodnionych komunikacyj, szczególnie kolei żelaznych, znacznie rozszerzył handlowe terytoryum Gdańska, to jednak uznać wypada, że różnica zbyt jest wielką, że musi ona służyć za nowy dowód wzrostu produkcyi zbożowéj w naszych czasach i stronach, jakeśmy to wykazali inną drogą na str. 579 zeszytu czerwcowego.

---

(1) Posługujemy się cyframi pana Wasilewskiego autora artykułu „Gdańsk" w czasopiśmie Niwa z r. 1876 zeszyt 43, d. 1 Października str. 494. „Cyfry te są wyższe od Czackiego, który obliczał tylko 4 gatunki zboża. Cyfrę 1789 mieliśmy sposobność sprawdzić raportem konsula gdańskiego (Dz. Handl. 1790 str. 95). Zmieniliśmy wszakże cyfrę r. 1790, podaną zapewne przez pomyłkę drukarską na 19.951, gdy u Czackiego jest 24.215; nie śmiąc poprawiać bez podstawy wzięliśmy przeto cyfrę Czackiego. Przy obliczaniu przeciętnéj, pominęliśmy, jak zwykle, dwie pozycye: najwyższą (1785 r.) i najniższą (1788)

Pośpieszamy atoli dodać, że i owoczesne maximum byłoby znacznie większém, gdyby Gdańsk nie znajdował się w warunkach, wyjątkowo niekorzystnych z powodu doznawanego od Prus ucisku.

Należałoby doliczyć całą prawie cyfrę wywozu zbożowego z Elbląga, który doznawał silnéj protekcyi ze strony Fryderyka II i płacił cła tylko 2%. Jakoż, pomimo dawnego przyzwyczajenia i zaliczeń, udzielanych polskim producentom przez gdańszczan, znaczna liczba kundmanów przeniosła się ku szczęśliwemu na ten raz rywalowi. W Elblągu wybudowano 36 nowych magazynów, które wyglądały, jak drugie miasto. Wszakże o ilości przychodzącego tam zboża mamy zaledwo kilka luźnych wiadomości, mianowicie: wywóz r. 1777—9.048, r. 1779—6.630 $^{1}/_{2}$, r. 1780—10.569(1), a w r. 1783 aż 25.000 łasztów (2). Dwie ostatnie cyfry stanowią $^{3}/_{5}$ i $^{21}/_{33}$ wywozu gdańskiego.

Podczas piérwszego podziału objawił się nadto niezwykły wzrost wywozu z Królewca: z 25.199 (r. 1750) na 82.750 (1773), potem na 96.392 (1777), na 97.536 (1780), a w 1779 aż na 102.648 łasztów; największą atoli, kolosalną część w tych cyfrach (77 i 88 tysięcy) stanowią proso, jagły, krupy (3).

Niemnem z Memla wyszło 3.200 łasztów w 1777 r., tyleż prawie w 1787 przez komorę jurborską też Niemnem; Libawa w r. 1781 wyprowadziła żyta, pszenicy i jęczmienia razem 8.255 łasztów; nareszcie Ryga w tymże roku 261 łasztów samego jęczmienia (4), a pewno więcéj żmudzkiéj pszenicy.

Ile szło z Wielkiéj Polski do Szczecina, Anklam, Frankfurtu? wcale nie wiadomo.

Z tych danych nie podobna ułożyć dokładnéj cyfry, chociażby na jeden rok wywozu morskiego przez Bałtyk. Żeby jednakże powziąć jakiekolwiek przybliżone wyobrażenie, sumujemy cyfry Elbląga, Królewca i Gdańska z r. 1780 i doliczamy owe luźne dane z Libawy, Rygi, Memla. Otrzymujemy cyfrę 138.196 łasztów zbóż wraz z owém prosem, jagłami i krupami, które figurują w ogromnéj cyfrze 77.000. Dodać winniśmy, że rok 1780 należy do niepomyślnych (w Gdańsku tylko 18, a w Eblągu 10 tysięcy). Wszakże 77.000 prosa i jagieł budzi w nas nieufność, tém bardziéj, że znajdu-

---

(1) Tabela przy dziełku Uwagi nad Uwagami n. Ż. J. Zamoyskiego.

(2) Pam. H. P. 1784 str. 624.

(3) Tabela przy Uwagach nad Uwagami.

(4) Pam. H. P. 1784 str. 424 i 425, Dz. Handl. 1787 str. 489.

jemy je w jednéj tylko tablicy (1). Dla bezpieczeństwa wolimy ją strącić i poprzestać na bardzo małéj, niekompletnéj, ale zupełnie pewnéj cyfrze 61.196. Ale cyfra królewiecka mieści téż w sobie produkcyą gospodarstw pruskich. Przypuszczając, że ona zrównoważy pominiętą w rachunku produkcyą gospodarstw wielkopolskich z nad Noteci i Warty, oraz wywozu ryskiego, możemy tę cyfrę zatrzymać, a nawet podnieść w stosunku do znanéj nam różnicy z lat urodzajniejszych, która wynosi dla Gdańska 21.835, dla Elbląga około 15.000, a razem 36.835. Doliczając tę różnicę, otrzymamy 98.803, lub okrągłych 100.000 łasztów; tę cyfrę, w braku dokładniejszéj, uznajemy jako cyfrę wywozu zbożowego na morze Baltyckie około r. 1785 z Polski w granicach piérwszego rozbioru.

Łaszt gdański zawiéra 60 korczyków gdańskich, korczyk = 2.761 cali sześciennych paryskich, a korzec warszawski = 6.054 takimże calom czyli 2,19 korczyków. Tym sposobem łaszt powinienby zawiérać tylko 27 korcy, ale gdańszczanie kazali sobie nadsypywać 3 korczyki (dodatek ten zwano Bürgerbest), przez co dla producentów polskich łaszt gdański musiał być rachowany za 28,76 korca warszawskiego (2). A zatém cyfra powyższa 100.000 łasztów = 2.876.000 korcy. Stanowi ona 3,75 % całkowitéj produkcyi zbóż w kraju (obliczonéj przez nas na 76.600.000 korcy); nie będzie przeto zbyt wielką, okaże się raczéj za małą nawet przy doliczeniu wywozu czarnomorskiego i lądowego.

Ceny przeciętne pszenicy w okresie 1783—1793 były: najwyższa 784,8 złt., a najniższa 515 złt., średnia zaś z tych 652 złt. za łaszt czyli 22 złt. 20 gr. za korzec, więc wyższa od ceny warszawskiéj o 3 złt. gr. 18.

Żyta przeciętne ceny: najniższa 344,9, najwyższa 502, średnia z tych 423,1 za łaszt czyli 14,7 za korzec; a więc od ceny warszawskiéj więcéj o 2 złt. gr. 5.

Te różnice musiały pokryć koszta transportu wiślanego, poczém reszta poszłaby na powiększenie czystego zysku.

Znaczną pozycyą w handlu baltyckim stanowi drzewo i potaże, konopie, lny, oraz siemię konopne i lniane, nieco wełny, oleje,

---

(1) Nie usprawiedliwia zresztą tak wysokiéj cyfry wartość wywozu Królewieckiego r. 1780, podana gdzieindziéj w talarach na 1.825.224—Pam. Hist. Polit. 1782 str. 317 nast.

(2) Stosunek ten jest oparty na danych Pam. Hist. Polit. 1783, str. 21. Zresztą i Czacki podaje w swoich tablicach łaszt przy wychodzie z Gdańska około 28 korcy warszawskich.

łoje, woski, skóry; płótna grube na żagle, futra (barany ukraińskie, szczególnie siwe) niedźwiedzie, ale materyał nasz jest zbyt niedostateczny, żebyśmy się o rachubę jakąś pokusić mieli.

Również nie możemy podać cyfr wywozu lądowego do Rosyi, Prus, Austryi, Turcyi. Na Wołoszczyznę w ciągu trzech lat 1784—6 wyszło: żyta parowic 1.427½, pszenicy 3.497, szkła polskiego parowic 86½, lnu nieczesanego i kamieni 30.480, płótna konopnego i pacz. sztuk 16.768, sukna krajowego postawów 3.685 (1).

Nareszcie handel czarnomorski przybrał zapewne dosyć znaczne rozmiary. Dziennik Handlowy zawiadamiał, że w r. 1785 Cherson miał 6 ulic, z których jedna miała 8 wiorst długości, że do portu przyszło statków rosyjskich 23, austryackich 7, tureckich i greckich 106, że jest żądanie ogromne, za pszenicę jednak płacą tylko po 5 złt. korzec. Ale Pamiętnik H. P. ostrzegał, że zamiast miasta handlowego zastaje się fortecę obszerną bez magazynów, oprócz tych które należą do korony, a z pięciu małych okrętów „poświęconych na handel chersoński" rzadko się znajduje jeden albo dwa w porcie. Jeżeli transport przychodzi wtenczas, kiedy okręt ma być ładowany może Polak żądać, co chce, ale nazajutrz po odejsciu okrętu ledwo mu będą dawać czwartą część tego, co wziął wczoraj. Podobnież do towarów zamorskich. Jednakże „stepy pełne są wozów, uwijających się między Chersonem a Kremenczukiem, z których większa część prowadzi amunicye, materyały do budowania i t. d. na conto imperatorowéj. Co od zbudowania Chersonu wyszło z miasta i przyszło do niego lądem na conto partykularnych, nie przechodzi jeszcze sumy 400.000 rubli." Są tam domy handlowe francuskie: Antoine et Sarron (do Marsylii), Fabri i Metz pilnują handlu dunajskiego, Nichelman chciałby podźwignąć obaliny kompanii de Reboul, którą ustanowił Freding z Konstantynopola. Oprócz tych, są niektórzy liweranci skarbowi i może 12-tu kupców Greków, w których ręku jest dotąd wszystek handel w Chersonie. Stanęły tu jednak i kantory polskie: Teppera oraz Prota Potockiego (2).

Pod wpływem reform prawodawczych, działalności prasy i nowego nastroju umysłowego, handel polski, pomimo wielu niedogodnych warunków, ożywił się widocznie. „Polesie nawet, kraj błotnisty i nieurodzajny, który nigdy nie miał tego szczęścia, aby widział do siebie zajeżdżającego kupca, już teraz poczynił kontrakty na dostawę pszenicy lub żyta. A nawet o mil 10 i 12 od portu,

---

(1) Dz. Handl, 1787 str. 495.

(2) Dzien. Handl. 1786 str. 284 Pam. H. P. 1786 str. 741.

jako to w starostwie Kowelskiém, zakupiona jest znaczna partya różnego zboża z dostawą do rz. Bugu“ (1). Znajdują się kupcy hurtowi, spekulujący na zagranicę, i okręty polskie ukazują się aż na Archipelagu. W tym handlu wywozowym najpiérwsze miejsce, jak się zdaje, zajął szlachcic, nawet pan polski, Prot Potocki, starościc Guzowski, późniéj wojewoda Kijowski. Zakrés działań téj firmy określimy własnemi wyrazami Potockiego: „używał przez lat wiele kredytu powszechnego sposobem bankierskim, utrzymując, tak w kraju, jako i zagranicą, najściślejszą punktualność, służąc krajowym obywatelom w rozlicznych interesach, powierzając ku ich dogodności kapitałów, jako od wielu innych, z mocy kredytu swojego, miał sobie powierzone. Nad osiągnięte po przodkach swoich dobra, rozszerzył przez związki rozmaite nabycia dóbr ziemskich i sum wielorakiego rodzaju, dzisiaj majątek swój składających. Pozakładał na różnych miejscach fabryki i rękodzieła. Zaprowadził w niektórych miejscach przemysł handlowy. W szczególności powodując się ojcowskim zamiarom N. Króla Imci i patryotycznym radom J. O. kscia Prymasa, oraz życzeniu i namowom wielu godnych współobywatelów, przywiódł do skutku ważne dla Ukrainy przedsięwzięcie handlu czarnomorskiego i, korzystając z najłaskawszego dla polskich obywatelów udziału, od N. Imperatorowéj Rosyjskiéj dozwolonego, założył dom handlowy w Chersonie pod imieniem Prota Potockiego i kompanii polskiéj. Otrzymał patenta na używanie flagi rosyjskiéj. Zakupił okręty i żeglugę kupiecką w kilku własnych okrętach, oprócz najmowanych, na Czarném i Śródziemném morzu prowadził. A kiedy wojna Rossyi z Portą Otomańską przerwała tę żeglugę, nie przestał tenże dom handlowy ułatwiać silnego odbytu produktów polskich na opatrzenie żywnością floty czarno-morskiéj N. Imperatorowéj i na budowę okrętów wojennych. Tym sposobém niżéj podpisany dał uzyskać wiele milionów obywatelom polskim. Przez które to czynności handlowe ściągnęły się stopniami w dom Chersoński znaczne kapitały... Trzy kantory utrzymywał: w Warszawie (który szczególnie wszelkie śt.-jańskich kontraktów obrachunki załatwiał), Machnówce i Chersonie“ (2).

Z kompanij handlowych czytamy dużo o projektach. Do skutku zaś przyszła bodaj jedna tylko większa kompania czarnomor-

(1) Dzien. Handl. 1790, str. 192 nast.

(2) Memoryał do N. Generalności podany przez W. Prota Potockiego w okolicznościach jego bankowych i kredytowych z Grodna d. 16 kwietnia 1793. Rezolucya konfederacyi z 3 miesięcznym terminem do złożenia bilansu d. 13 maja 1793. w Bibl. Uniw. Warsz VI, 16, 5, 36).

ska, zapewne ta sama, którą sejm sankcyonował pod mianem kompanii handlów wschodnich; kierownikiem jéj był Prot Potocki. Była jeszcze jakaś mniejsza spółka handlu zbożowego w Warszawie, kompania kontraktowo-składowa warszawska, która posiadała swój magazyn na Solcu pod Nr. 2.951 wprost ks. Trynitarzy, ale o działaniach jéj tyle tylko wiémy, że w roku 1788 miała 5 interessów (1). Inne projektowane zapewne nie zawiązały się.

Od Skrzetuskiego dowiadujemy się, że przed podziałem mogła Polska sprzedawać 80.000 wołów, że konie polskie były kupowane najwięcéj pod huzarów i lekką jazdę i że czerwiec, który stracił na targowiskach europejskich wartość od czasu wynalezienia koszenili amerykańskiéj, był jeszcze kupowany przez Turków i Ormian (2).

Oto jest przybliżony do prawdopodobieństwa obraz handlu wywozowego Polski, na jaki zdobyć się możemy przy obecnym stanie materyału.

Handel przywozowy obéjmował nasamprzód sól i wina; artykuły te stanowią przedmiot ciągłych lamentów Staszica, Sandomierzanina i innych. „Za sól cesarzowi koniecznie 12 mil. zł. zapłacić trzeba“. Gdy zaś Kompania Morska pruska sprawiła znaczne podrożenie soli, interweniował już rząd drogą dyplomatyczną, jakkolwiek bez skutku. Sprawa kopalni wielickich należy do najsmutniejszych faktów historyi polskiéj, a sól była jeszcze w XV wieku sprowadzana z zagranicy, pomimo najbogatszych własnych pokładów. Biadania te więc nie mogą budzić w nas współczucia, chyba o tyle tylko, że pokolenie sejmu czteroletniego nie miało już możności naprawienia téj sprawy. Kupowano więc sól morską, wołoską, rosyjską, posełano Czackiego do szukania nowych pokładów i warzelni w kraju, Niemcewicz, starosta Rewiatycki, jeździł do Libawy, żeby tamtędy tańszy transport urządzić.

Wina węgierskie, francuskie, hiszpańskie sprawiały wiele strapienia Staszicowi, niemniéj przeto wchodziły masami i pochłaniały pewno 15 mil. złotych z naddatkiem.

Potém ogromną pozycyą stanowią fabrykaty zagraniczne, „fraszki“, za które kupcy „wyłudzają piéniądze, żeby je wywozić następnie zagranicę“. Co prawda, nic innego nie pozostawało kupcom do czynienia, dopóki trwał przywilej szlachecki wolności od ceł. Szlachcic nie wiedział, zkąd można sprowadzić najładniejsze materye, sukna, koronki, rzeczy galanteryjne. To też Tepper robił dobre interesa już w piérwszéj ćwierci XVIII wieku w najcięższych

(1) Dz. Handl. 1788 str. 259.
(2) Skrzetuski—Prawo Polit. nar. pol. 1787 t. II, str. 229, 230.

i najgorszych czasach. Bo, pomimo zarzekania się, moralizowania i uchwalania częstego praw oszczędniczych (nawet w r. 1776), żaden naród podobno nie był tak łakomym na owe przedmioty zbytku, jak Polacy.

Do scharakteryzowania tego handlu zagranicznego zbytkownego może posłużyć parę przykładów.

Znaleźliśmy notę ze sklepu Hurtiga, adresowaną do W-go Rudnickiego, kasyera generalnego komisyi skarbu koronnego, starosty Brzeskiego Kujawskiego d. 27 czerwca 1774, obejmującą rachunek za różne artykuły damskiéj garderoby, zapewne pani kasyerowéj, na 961 złt. Po roku dopiéro, d. 25 czerwca 1775 r. a conto rachunku zapłacono prawie połowę téj sumy 502 złt. Byłto wypadek, zapewne dosyć pospolity. Rudnicki był, zdaje się, jednym z lepszych urzędników komisyi, a jako kasyer, znał wartość pieniędzy.

Przejrzeliśmy księgę głównego reprezentanta przywozu zagranicznego, Piotra Teppera, z lat 1783—1789 (1). Na początku znajdujemy inwentarz sklepów (bławatnych i galanteryjnych), które mieściły się zapewne w pałacu tepperowskim, obecnie t. z. Grabowskich na ulicy Miodowéj. Czytamy tedy napis ozdobny: Au nom de Dieu commençons l'inventaire suivant des marchandises qui se trouvent aux magasins appartenant à Nous". Idą potém grupy towarów i w każdéj szczegółowe pozycye, wskazujące, ile łokci albo sztuk każdego gatunku znajduje się w sklepie, cena od łokcia i sztuki, oraz wartość całych sztuk w złotych polskich i talarach niemieckich, rachowanych po 1 na 6 złotych. Wszystkie cyfry inwentarza oznaczają cenę kosztu; chcąc wynaléźć cenę sprzedaży, tj. sklepową, należy według dzisiejszych zasad handlu bławatnego, doliczyć na towarach trwałych (réelles) po 20%, na towarach zaś zmiennych co do mody: 25%.

Z takiego to inwentarza wyciągamy następny mały cenniczek w którym obok 1) ceny oryginalnéj, w owczesnych złotych (po 18 złt. na 1 cz. zł.) wyrażonéj umieszczamy: 2) wartość téj ceny podług waluty złotego dzisiejszéj t. j. 3,77 razy zwiększonéj i 3) cenę tychże towarów w r. 1872, podług oszacowania, którego na prośbę naszę łaskawie dokonać zechciał pan Józef Zellt.

---

(1) Archiwum Główne Królestwa Polskiego. Nr. 78. T.

CENNIK PODŁUG INWENTARZA SKLEPÓW TEPPERA.

		Cena oryginalna od łokcia lub sztuki r. 1783.	Taż cena r. 1783 podług waluty dzisiejszéj.	Cena tegoż towaru dzisiejsza z r. 1872.
Velour coupé				
Velour cramoisi	l'aune à f.	26	98	40 złp.
Velour a Velpe.				
Velour a Velpe noir	„	32	120	10
Velour de Cotton.				
Velour de Cotton gros bleu	„	20	75,4	11 (do 9) i 6 (do 4)
Etoffes riches.				
Miroir d'argent	„	40	150,7	20 } (do 15,12 i 10)
Tissu d'or	„	42	158,3	21 } (do 15,12 i 10)
Moire d'Angleterre.				
Moire noir	„	10	37,7	17 (do 13)
Grodetours.				
Grodetour ponceau	„	9 (do 5½)	34	12 (do 9)
Satins unis.				
Satin noir	„	16 (do 4)	60,3	17 (do 4)
Grosdenaples.				
Grosdenaples Violet	„	13 (do 8)	49	8 (do 4)
Taffetas unis.				
Taffetas noir	„	5⅔ (do 4½)	31,4	5 (do 4)
Taffetas quadrillé.				
Taffetas quadrillé V. A. B.	„	6	22,6	9 (do 5)
Mantino.				
Mantino rose	„	7	26,4	7
Indiennes.				
1 pièce indienne	„	54	203½	20
„ mouchoir	„	8	30	3 (do 1 zł. 20 gr.)
Habits pour dames.				
Robe de satin blanc	1 pièce	846	3189,4	600
Robe de satin rose	„	468	1764,3	?
Habits pour hommes.				
1 habit grodenaple indigo	„	564	2126,3	?
Dentelles.				
Garniture de robe		8730	32912,1	32912
Paire de manchettes		180	678,6	—
Chapeaux.				
Chapeau de Paris		26 (do 16)	98	26 (do 16)

Draps d'Anglettere Toille d'Hollande.	27 (do 16)	$101_{,8}$	nie sprowadzają się
1 pièce	576 (do 144)	$2171_{,5}$	403.

. . . .

Przy końcu inwentarza znajdujemy takie zamknięcie:

Transports .... f. 746.724—$_{15}$ . . .		Tal. 124.454—$_{1}$
Plus pour 232 débiteurs specifiés dans le Livre des Compte Bilan Littéra E.	2.140.214—$_{9}$	
Deduisons 133 créanciers suivant le même livre Bilan Litt. E.	1.022.557—$_{10}$	
		1.117.656—$_{29}$
	Tal.	1.242.111— —

To znaczy, że umieszczony w towarach kapitał wynosił 1.242.111 talarów, czyli 7.452.666 owoczesnych, a 28.098.550 dzisiejszych złotych. Godną téż jest uwagi kolosalna cyfra (prawie 13 m. złp. owoczesnych a 47½ m. złp. dzisiejszych) należności od dłużników, których liczba wszakże stosunkowo jest niewielka, bo zaledwo 232 osób. Przeciętna na każdą przypadałaby zatém po 204.000 złp. dzisiejszych. Prowadzi to do przypuszczenia, że klientela Teppera składała się tylko z wielkich panów, a większą część dłużnym był zapewne król Stanisław August.

Ceny wszystkie są tak wysokie w porównaniu z dzisiejszemi, że mogą budzić powątpiewanie. Dla wyjaśnienia przeto rzeczy, podajemy wyjątek z uwag na piśmie nam przez pana Józefa Zeltta uprzejmie udzielonych; nadmieniamy przytém że pan Zeltt nie był świadom stosunku waluty i że miał na względzie tylko oryginalne cyfry Teppera.

Co do Velours à velpe: „te jako w r. 1872 wiele na fabrykach angielskich wyrabiane, z powodu konkurencyi z fabrykami niemieckiemi doszły do cen nader niskich i kosztowały w naszym kraju około złp. 10“.

Co do Velours de coton: tak zwane velvet lub manchester— największéj zmianie w manufakturach podległy, z powodu nadzwyczajnéj konkurencyi w saméj Anglii (Manchester) i kosztowały w Warszawie złp. 4, 5 i 6, zaś ciężkie gatunki na ubrania męskie złp. 9, 10 i 11“.

Co do Etoffes riches ze złotem lub srébrem. „W fabrykach Lyońskich w skutek umiejętnego i ekonomicznego użycia tych metali do tkanin, ceny w roku 1872 o połowę cyfry były tańsze od owoczesnych; oprócz tego do naśladowania używano sztucznego złota i srébra; wyprodukowano tym sposobem najświetniejsze materye w cenach złp. 10, 12 i 15".

Co do Moire d'Angleterre: „Nazwę zmieniły na moirée antique i były w r. 1872 osnowane na bawełnie wyrobu angielskiego na złp. 8, 9 i 10, a czysto jedwabne na złp. 13, 15 i 17; zaś fabryk francuskich czysto jedwabne od złp. 18 do 24.

Co do Satins unis: „fabrykacya ich znacznie staniała i równość cen tylko drogości cen surowego materyału jest do przypisania. W tymże czasie zrobiono postęp fabryczny w atłasach przez osnowanie na bawełnie, co ich cenę o przeszło 40% obniżyło; jednak czysto jedwabne zawsze wartość rzeczywistą zachowały. W warunkach normalnych cena wynosiła od zlp. 4 do 17".

Co do Indiennes: „W skutek prohibicyi dla podniesienia fabrykacyi krajowéj w r. 1872 już nie były sprowadzane. Fabryki Paschalisa (przedtém Lipków a następnie w Łodzi) wyrabiały ten artykuł po cenach nader niskich, a mianowicie od 24 gr. za łokieć, co stanowiło różnicę w stosunku od złp. 20 za nasze, gdy angielskie z owoczesném cłem kosztowały gr. 50, 60 i do 70 dochodziły. Chustki od 1 zł. gr. 20 do złp. 3-ch krajowe".

„Draps d'Angleterre więcéj się nie prowadzą, bowiem krajowe je zastępują".

„Toile d'Hollande dziś żadnego znaczenia nie mają, gdyż fabryki niemieckie, szląskie, przy bardzo znacznéj niższości cen zastąpiły je. Obniżka wyżéj 30%".

Wyjaśnienia te, zdaniem naszém, usuwają wszelką wątpliwość co do niezmiernéj różnicy w cenach zbytku. Przy sprzedaży różnica ta zapewne stawała się jeszcze większą, ponieważ Tepper, przy nielicznéj klienteli, przy utrudnionych komunikacyach, przy uciążliwszym, niż dzisiaj, kredycie i większém risico, nie poprzestawał chyba na 20—25% zysku. Zważywszy nadto niską stopę zamożności publicznéj, zrozumiémy teraz, dla czego statyści i moraliści wyrzekali wciąż na zbytki, oraz na kupców „wyłudzających pieniądze". Zrozumiémy też, jak wielką szkodę i stratę kraj ponosi, jeśli „handel zagraniczny jest własnością obcych narodów", a tak właśnie było z Polską, jak przyznawali bankierowie, Glave i Kaposztas, w swojéj polemice.

Ożywienie ruchu handlowego odbiło się na wzroście interesów bankierskich. Posiadamy urzędową listę bankierów warszawskich

w akcie ich nobilitacyi i indygenatów przez uchwałę sejmową z dnia 9 Listopada r. 1791. Jako pierwsi bankierowie wymienieni są w niéj: 1) Piotr z Ferguszonów Tepper i zięciowie jego; 2) Karol Szulc oraz 3) August Wilhelm Arndt, 4) Fryderyk Kabryt i zięć jego 5) Jan Meysner; 6) Piotr Blanc. Jako drudzy bankierowie uznani: 1) Jan Klug 2) Fryderyk Segebarth; 3) Franciszek Marcin Frybes, Piotr Gotar-Frybes i I. Karol Frybes; 4) Wincenty Laskiewicz; 5) Andrzéj Kaposztas; 6) Fr. Morino; 7) Jan Fenger. Mówi o nich akt że „otwarciem swoich banków handel znaczny ułatwiają, a ztąd dla kraju stają się pożytecznymi".

Byli oni głównymi przedstawicielami kredytu nietylko handlowego, ale też przemysłowego i rządowego, pożyczali bowiem zwykle skarbowi na potrzeby bieżące, dawali zaliczenia i ściągali kapitały na przedsiębierstwa. Dekert, Rafałowicz i Blanc, utworzywszy spółkę, wzięli od skarbu monopol tabaki i wypuścili akcye w r. 1784, które P. Wejnert uznaje za najdawniejszy papiér krédytowy polski i w podobiznie podał w swoich starożytnościach m. Warszawy (1). Prowadzili też zapewne inne przedsiębierstwa, pruski bowiem urzędnik Gronau, piszący o Warszawie w r. 1804, powiada, że ściągnęli od publiczności ogromne kapitały, płacąc 10 i więcéj od sta (2).

Wypadałoby teraz ułożyć bilans całego handlu krajowego. O, zapewne, ale to jest sprawa nader trudna, a może nawet niemożliwa. Posiadamy tylko sporządzone na podstawie raportów celnych owe bilanse z lat 1776 i 1777, które tak wielkie zrobiły na sejmie i kraju wrażenie. Oto są:

Wyprowadzono krajowych produktów za granicę

Z Małopolski	2.813.328	3.005.634
Z Mazowsza	8.311.018	10.631.656
Z Wielkopolski	3.928.960	7.091.070
Z Rusi	5.426.732	7.187.356
Z Ukrainy	1.616.301	1.923.516
Razem	22.096.360	29.838.238

Weszło produktów zagranicznych do kraju:

Do Małopolski	9.113.671	8.894.620
Do Mazowsza	17.468.662	17.313.221
Do Wielkopol.	10.611.882	10.833.221
Do Rusi	8.148.778	7.003.256
Do Ukrainy	3.298.286	3.443.907
Razem	48.640.669	47.488.867

(1) Tom V str. 129.

(2) Ueber den Verfall der Hauptstadt Warschau. 1804. Ragoczy. str. 16.

Przewyżka przywozu wynosi w r. 1716—26.544.308, a w 1777—17.649.629, razem w dwóch latach 44.193.937 zł.

Z tego to powodu mówił prymas w 1780 i powtarzali wszyscy pisarze, iż Polska sprzedaje za 60 a kupuje za 100 m. towarów, że corocznie zatém dopłaca 40 m. Zauważyć jednak musimy, że ten bilans 1) nie zawiéra w sobie handlu Litwy; 2) że do cyfr wywozu nie wchodzi podobno zboże (1); 3) że za miarę rzeczywistego obrotu handlowego służyć nie może, ponieważ jest wyrazem wyjątkowo nieszczęśliwych lat podziału kraju. Już w r. 1777 ujawniła się dążność do polepszenia, w naszém zaś dziesięcioleciu zapewne wypadek obrotu handlowego był nierównie pomyślniejszy. Ale skonstatować tego twierdzenia nie jesteśmy w stanie. Switkowski w r. 1782 obliczał przypuszczalnie dochód z rolnictwa (powiększając produkcyą Galicyą 4 razy) na 47.542.152 złt., a wraz z innemi produktami, które Polska i Litwa wysyła do Gdańska, Rygi, Królewca, Wrocławia, Cieszyna etc. na 81.629.852. Cyfra ta, bardzo prawdopodobna, ma za sobą powagę znanéj nam bystrości Switkowskiego, trafności wnioskowania jego, ale sprawdzić jéj nie możemy. Dodamy tylko, że daje się ona pogodzić z inném obliczeniem, gdzie wartość produktów krajowych, „które obracane bywają na handel tak wewnętrzny jak i zewnętrzny", szacuje się na 401.008.724 (2).

Co do cyfr przywozu nie mamy i takiéj nawet podpory.

Komisya Skarbu Koronnego wydała w d. 3 Listopada r. 1787 rezolucyą względem formowania bilansów prowincyonalnych i generalnego co kwartał, tak z ewekty, jako i inwekty, „na dwie ręce przez pisarzów, mianowicie: 1) na końcu regestrów celnych na komorach; 2) na końcu raptularzów w prowincyi każdéj po ultymie". „Z tego Ur. Kontraregestranci prowincyonalni po każdéj odbytéj ultymie (rewizyi) bilans zrobią i Komisyi w czasach ultimom skarbowym przepisanych z kwartału przeszłego od 1 Stycznia roku 1788 przeszlą. Z tego Regencya Generalna zrobi bilans generalny i Komisyi złoży" (3).

(1) Tak mniema Sandomierzanin. Dz. Handl. 1787. str. 542.

(2) Pam. Hist. Pol. 1782 str. 218—219; szczegółowe pozycye są takie:

Płótna i przędzy konopnéj	za zł.	8,815.140
Wełny surowéj i wyrobionéj, też lnu i konopi . . .	„	8.000.000
Potażów różnych, saletry	„	3.361.960
Wosków, miodów, polci, wołów, łojów, skór, gorzałki, tabaki, ołowiu, sukna etc. .	„	10.000.000
Drzewa budowlanego w klepkach etc.	„	3.910.600
		33.987.700

(3) Pam. H. P. 1873 str. 485.

Stosownie do téj rezolucyi, cła były teraz rozdzielone na dwie kategorye: importationis i exportationis, ale w sumach obie pozycye były łączone. Mieliśmy właśnie sposobność przejrzenia ksiąg percepty z lat 1788, 1789, 1791 i 1792. Ułożywszy sumy podług obu kategoryj oddzielnie, znaleźliśmy następne dane co do cła kupieckiego i szlacheckiego

	1789	1790	1791
Przywozowych	1.197.903	791.963	1.335.232
Wywozowych	574.966	580.229	611.080

Wszakże tabelka taka może nam tylko bardzo ogólnikowe podać wyobrażenie o ruchu handlowym, ile zaś i jakiéj wartości towarów przechodziło przez komory? tego się nie dowiémy nawet z instruktarzami (czyli taryfami) w ręku. Czy były zaś robione bilanse towarów samych? a jeśli były, czy istnieją dotychczas i gdzie się znajdują? nie mogłem dowiedzieć się; wołam przeto, jeśli ktokolwiek je znajdzie, albo na ślad wpadnie, aby zechciał zużytkować je dla dobra nauki. Wtedy moglibyśmy posiadać zupełnie dokładny i wiarogodny bilans handlu polskiego w najważniejszym okrésie z całego XVIII wieku.

Tymczasowo jednak zmuszeni jesteśmy poprzestać na domyśle, że światłe i uczciwe usiłowania ludzi ze stronnictwa reformy dużo polepszyć musiały stan stosunków handlowych. Świetnych jednakże rezultatów otrzymać zapewne nie mogli oni, ponieważ czas był zbyt krótki na dokonanie wielkich przeobrażeń ekonomicznych. Przypuszczamy więc, że i w ostatnich latach bilans handlowy dla Polski zupełnie pomyślnym nie był. Istniała bowiem jeszcze jedna, niemniéj powolnie dająca się leczyć słabość, którą określimy słowami Switkowskiego: naród polski „daje się jak dziecię nietylko rządzić innym narodom, ale też odziéwać, napawać i wszelkiemi do życia i wygody potrzebami opatrywać z niezmierną swą szkodą“ (1). Wszakże, do rozpoznania bliższego téj słabości, potrzeba będzie zbadać jeszcze spółczesny stan przemysłu polskiego. (c. d. n.)

Tadeusz Korzon.

(1) Dz. Handl. 1788, str. 294.
(2) Pam. H. P. 1783, str. 595.

KWESTYE I STOSUNKI AGRARNE [1].

NOWA KSIĄŻKA KSIĘCIA WASILCZYKOWA.

(Dokończenie.)

Ziemlewladienije i ziemledielije w Rossii i drugich jewropiejskich gosudarstwach. Kniazia A. Wasilczykowa. St.-Pietierburg. 1876, 2 tomy, str. 1005.)

IX. Ponieważ interes osobisty jest najpotężniejszym bodźcem do pracy i największą dźwignią produkcyi, koniecznie więc przyznać należy, iż, przy jednakich innych warunkach—najwięcéj produkuje ten, kto pracuje dla siebie, kapitałem swoim, na swoim warsztacie, majątku, gruncie, że już mniéj dogodne dla produkcyi warunki przedstawia dzierżawa, pracownik bowiem znaczną część plonów i dochodów z pracy oddawać musi w ręce właściciela gruntu, a jeszcze mnjéj są dogodne warunki pracy robotnika najemnego, który całą swoję siłę roboczą daje w rozporządzenie najmującego. Jeżeli zniesienie pańszczyzny oszczędza pracy ludzkiéj na jakie 25%, to może zaoszczędziłoby się drugie tyle, gdyby na roli pracował nie najemnik, ale sam gospodarz. Ztąd wynika niezbity wniosek, że między kwestyami: agronomiczną i agrarną, istnieje związek najściślejszy, i że procent, jaki stanowi liczba gospodarzy-rolników w ogólnéj masie ludności rolniczéj ma olbrzymie dla społeczeństwa znaczenie.

Proces wiekowy wywłaszczenia doszedł prawie do ostatecznego krańca w Anglii, gdzie na 30 t. właścicieli i 250 t. dzierża-

---

(1) Ateneum Zesz. Kwietniowy i Majowy r. 1877.

wców liczy się 922.054 najemników rolnych obojéj płci.—Nie zadawalnia autora dzieła, przez nas streszczanego, stan własności we Francyi z jéj proletaryatem wiejskim o trzech milionach przeszło ubogich właścicieli, mających tylko osiadłość, ale zmuszonych do wynajmowania się, nie na czas wolny od roli, ale prawie na cały rok, bo ziemia własna ich nie wyżywi. Wedle obrachowań ekonomistów, aby rodzina rolnika mogła miéć całkowite utrzymanie, nie potrzebując wynajmować się do robót po za domem, wystarczą 33 akry (23,8 morga nowopolsk., czyli około 12 dziesięcin), w Niemczech 40 morgów (około 20 morgów n. p. albo 10 dzies.). Uposażenie nieco mniejsze już zmusza rolnika-gospodarza do szukania zarobków po za domem. Może to być nawet korzystném pod względem rozwoju i postępów uprawy, jeżeli przypuścimy, że istnieją obok siebie dwa systemata—wielkiéj uprawy i drobnéj, które posiłkują się wzajem: wielka uprawa potrzebuje miéć jak najwięcéj taniego robotnika, drobna dba o łatwe zarobki co najbliżéj od domu. Zarobkowanie na bardzo wielką skalę możebne jest jedynie przy najdrobniejszéj uprawie. Ona to dała w Rossyi początek zwyczajowi wędrowania za zarobkiem (tak zwane *otchożyje promysła*); przypuśćmy, że jest trzech braci w chacie, dwaj pozostają na gruncie, a jeden z siekierą za pasem idzie o kilkadziesiąt mil szukać zarobku w dalekiéj gubernii, albo na fabryce, albo w wielkiém mieście, czy stolicy. Zdarza się nawet, że cała ludność męzka zarobkuje gdzieś daleko podczas zimy, a wiosną wraca do prac około roli. Im bardziéj się własność rozdrabnia, tém prędzéj osadnik schodzi na najemnika, staje się parobkiem albo robotnikiem, płatnym dziennie lub od sztuki. Położenie parobka, najmującego się na dłuższy czas, więcéj jest zabezpieczone i więcéj przedstawia dogodności dla człowieka, obarczonego rodziną, lecz bardziéj jest zależne; ztąd pochodzi u ludzi wolnych, mających chociażby najdrobniejszą osiadłość, owa wyraźna niechęć wstępowania do tego stanu, stąd ogólny pochóp, dostrzegany zarówno w Anglii, jak w Niemczech, do przechodzenia z klasy parobków, wynajmujących się rocznie, czy miesięcznie, na dziennie płatnych robotników, ztąd nieudawanie się we Francyi gospodarstwa parobczanego na sposób niemiecki *(Knechtswirtschaft)*. W Anglii na 922.000 ludu, najmującego się do prac około roli, liczą tylko 157 t. parobków. W Prussach w ciągu okresu r. 1805—1858 liczba parobków zmniejszyła się na 3%, a liczba najemników, płatnych dziennie (Tagelöhner) wzrosła do 9%. Jednocześnie fatalnym prawie sposobem zwiększa się suma razem wziętych tak tych, jako i owych robotników najemnych w stosunku do rolników-gospodarzy. Nic to nie znaczy, twierdzą publicyści, mimo zwiększenia się proletaryatu wiejskiego, dobrobyt ogólny klas

roboczych wzmaga się stopniowo, czego dowodem widocznym a niezbitym jest podnoszenie się płacy roboczéj, bardziéj szybkie, aniżeli podnoszenie się cen zboża i innych produktów piérwszéj potrzeby, w jednakich okresach czasu.—Sprawdźmy te założenia, tak pod względem saméj ich zasady, jako i pod względem wyciąganych z nich wniosków. Płaca robotnika-rolnika podniosła się, zaiste, w Europie w ciągu bieżącego wieku najbardziéj w Anglii, bo, przynajmniéj, wedwójnasób, w Niemczech na 50—75%, mniéj nieco we Francyi.—W Prusach szefel żyta kosztował w r. 1744 48 srébrnych groszy, dziś 53; we Francyi hektolitr pszenicy—dawniéj, w początkach wieku bieżącego 20 fr. 87 c., w 1863 trochę mniéj, bo 20 fr. 55 c.; w Anglii ceny staniały w skutek reformy zbożowéj Peela. W całéj Europie odbyło się w tym czasie przejście prostego ludu od mąki żytniéj na pszenną, kosztującą o 50% drożéj, niż żytnia, niewiadomo jednak, czy o tyleż pożywniejszą (we Francyi 1/3 ludności żywiła się pszenicą, dzisiaj przeszło 3/4). Z początku w miastach, a potém po wsiach, weszło w zwyczaje prostego ludu spożywanie mięsa, séra i masła. Dość znacznie zwiększyły się wydatki na pomieszkanie, na oświetlanie mieszkań i paliwo, lecz w jednéj Anglii tylko przyrostowi ludności odpowiada równyż przyrost mieszkań. Więc postawmy robotnikowi w XIX wieku na credit płacę roboczą podwojoną, na debet przewyżkę ceny pszenicy nad cenę żyta (o 50%), po kilka pudów mięsa, nabiału na rok, droższą płacę za pomieszkanie i opał, buty zamiast łapci albo sabotów, piwo zamiast wody. Robotnik trochę lepiéj jé i odziéwa się, lecz czy co zaoszczędza i czy ma możność przy największych wysiłkach zdobycia niezależnego położenia, zostania gospodarzem na własną rękę? Daremne wysiłki: płaca robotnika na rok dochodzi w Anglii do 45 fst., we Francyi do 650 fr., w Saksonii do 160 talarów, przy skromném życiu zaoszczędzić w ciągu roku można najwyżéj 5 fst., 50 fr., 10 talarów; ale i największe oszczędności są liche i drobne w porównaniu z celem, który mają osiągnąć, i stosunkowo wciąż maleją, bo bez porównania prędzéj, niżli płaca robocza, podnoszą się fatalnym biegiem wypadków ceny dzierżawy i gruntu i dochodzą do wysokości, dla robotnika niedostępnéj. W Prusach dzierżawy podrożały od r.1849—1864 o 30%, w Belgii od 1830—1846 o 50%, w Anglii od 1861—1869 o 7%; akr wydzierżawia się za 2 fst. (około 17 rubli od morga n. p., dziesięcina za 40 rs.), dziesięcina dziś wartuje przeszło tysiąc r. w Anglii, do 700 r. we Francyi i Niemczech środkowych (w tym ostatnim kraju płacą rocznéj dzierżawy po 20 rubli za dziesięcinę). Wielka przewaga amerykańskich stosunków ekonomicznych polega nie tyle na wysoko opłacającéj się pracy, która przy niezmiernie drogiém życiu daje mniéj, niżby się zdawało,

możności oszczędzania, ile na tém, że dotąd odbywa się na wielką skalę wyprzedaż gruntów pustych rządowych (public lands) po niskiéj cenie od 2 rubli 30 kop. do 4 rubli 60 k. za mórg (po $4\frac{1}{2}$—9 rsr. za dziesięcinę). Gdyby cała płaca robocza szła wyłącznie na kupno ziemi, dla nabycia jednéj dziesięciny ziemi, trzebaby robotnikowi pracować 1.660 dni w Anglii, 1.250 we Francyi, 423 w Prussach, a tylko 7 dni w Ameryce. Lecz na utrzymanie rodziny robotników zaledwie wystarczy hufa z 30 morgów (przeszło pół piętnasta morga nowopolsk., $7\frac{1}{2}$ dziesięciny), na nabycie zaś ziemi może iść tylko szczupła resztka, zostająca po zaspokojeniu z płacy roboczéj niezbędnych potrzeb życia.—Ztąd wynika, że w Europie robotnik najemny nie może nigdy z pracy własnéj nabyć ziemi tyle, aby stał się właścicielem—gospodarzem, bo ceny ziemi obecne o wielekroć przenoszą możliwe oszczędności całego życia, choćby najskrzętniéj kapitalizowane.—Uzbroiwszy się w takie dane, założenia i poglądy, książę Wasilczyków odbywa ciekawy przegląd stanu rolnictwa w obecnéj chwili w rozmaitych częściach państwa Rosyjskiego, które dzieli na ośm wielkich obszarów. Przyjrzyjmy się z nim razem tym krainom i ich rolniczym stosunkom.

X. *Kraj piérwszy*. Od źródeł Dźwiny zachodniéj przez Moskwę do Uralu: *północna Wielkorossya* nieurodzajna, nieludna, wymagająca bardzo nakładowego gospodarstwa.—Gospodarstw obywatelskich było tu mało, większa część chłopów, byłych poddanych, pracowała na warunkach dowolnie oznaczanego czynszu, czyli tak zwanego *obroku*. Po wyzwoleniu włościan, nieliczne wielkie gospodarstwa poupadały, lub się zmniejszyły, lecz wkrótce potém właścicielom przybyły, na czas pewien przynajmniéj, znaczne źródła dochodu, ponieważ, mimo bardzo znaczne rozległości gruntów, nadanych włościanom, ci ostatni, będąc przyzwyczajeni do uprawiania coraz to nowych gruntów i porzucania ich, skoro wycieńczone zostały, zaczęli się ubiegać o takie pustkowia i nieużytki, które przedtém żadnego prawie nie dawały dochodu. Sposób gospodarowania stał się po usamowolnieniu włościan nadzwyczaj drapieżnym i wyniszczającym. W gubernii Pskowskiéj i przyległych do niéj powiatach, Nowogrodzkiéj, Twerskiéj, Smoleńskiéj, ziemia sprzedaje się przeciętnie po 20 rubli za dziesięcinę, lecz dają częstokroć po 5 rsr., za ziemie wypuszczane pod uprawę zboża, a po 20 rsr. pod len; wszelako po paru latach takiéj uprawy ziemia staje się całkiem płonną. Coraz to częstsze zdarzają się nieurodzaje, coraz mniéj jest bydła, w końcu musi nastąpić ostateczna ruina, upadek produkcyi największy, jaki będzie w całéj Rossyi. W północnéj części gub. Nowogrodzkiéj, w Twerskiéj i Kostromskiéj g. przemaga podobny do poprzedniego

sposób gospodarowania, zwany *ogniowym*, jest to uprawa nowin po wyrąbanym i wypalonym lesie, na tak zwanych *ladinach*, *sękach*, albo *derbakach*. Zarośle i las młody wydzierżawiają się po 25 rs. za dziesięcinę na kilka lat, aż do wycieńczenia gleby, albo za połowę plonu w piérwszym roku, za $^1/_3$ albo $^1/_4$ w latach następnych. Od 25 do 40 lat czasu potrzebuje grunt, w ten sposób wyniszczony, aby znów zarósł.—W niewielu majątkach, porządnie zagospodarowanych, utworzył się już po wyzwoleniu włościan zwyczaj, dogodny dla obu stron, najmowania włościan na uprawę *na koło* (krug), albo *na gniazdo*. Najmującemu się za rs. 23 — 29 dają trzy dziesięciny w polu i dziesięcinę pokosu (tak zwane koło czyli gniazdo) do uprawienia własnym jego sprzężajem, zebrania, zwiezienia i wymłócenia. Włościanin najmujący się jest w ten sposób panem swego czasu i roboty. Jeszcze daléj ku północy, w gub. Ołonieckiéj, Wołogodzkiéj, Archangielskiéj, Permskiéj, Wiackiéj przemagają *tundry* i puszcze leśne, rolnictwo gra rolę całkiem podrzędną, główne zarobki dają leśnictwo, łowiectwo, lecz robotnik ma się bez porównania lepiéj, bo włościanie byli tu bezpańscy, skarbowi, i dano im za mały wykup ogromne uposażenia.—Ostatnią grupę téj krainy stanowią bardzo przemysłowe gubernie: Jarosławska, Włodzimierska, Kałuska, Moskiewska. Tu fabryka przeważa nad rolą, wsie całe wyrzekały się gruntów i zapisywały do klasy mieszczan, uprawą ziemi zajmują się kobiéty i wyrostki, a do lat męzkich dorastający mężczyzna pracuje na fabryce, albo zajmuje się handlem i połowę Rossyi obejdzie, jako kramarz wędrowny (korobejnik, ofenia). Jednak, ani w słynnéj wsi Iwanowie pod miastem Szują, ani w innych najbardziéj przemysłowych okolicach, dobrobyt ludu nie odznacza się wyższym stopniem podniesienia, niż w okolicach całkiem rolnych.

Kraj drugi: *Wielkorossya czarnoziemna* (gubernie: Orłowska, Tambowska, Riazańska, Kurska). Kraj, bardzo żyzny i dobrze, ale nie zbytnio zaludniony, znajdujący się jednak w krytycznym stanie przejścia od całkiem piérwotnéj uprawy, czyli od tak zwanych *perełogów* do trójpolowego gospodarstwa.—Dawne zwyczaje i nałogi pozostały, dawne niepojmowanie potrzeby i warunków uprawy nakładowéj i umiérzwiania gruntu. Cała prawie przestrzeń ziemi zajęta jest pod łany, większa część sianożęci poszła pod zasiew, ceny dzierżawne pozostałych sianożęci bajeczne, dwa razy droższe, niż gruntu rolnego, inwentarz żywy zmniéjsza się dla braku karmu, a pola jałowieją w skutek braku melioracyi, lasy nikną ostatecznie, daje się we znaki brak wody, wysychanie źródeł. Od końca siewów jarych w początkach Maja aż do żniwa w połowie Lipca, rolnik w oczekiwaniu zbioru nie ma nic do roboty. Tłumami odchodzą całe roje robotni-

ków na letnie 2½ miesiąca, na dalekie zarobki, na kosowicę w stepy, rozlegające się nad brzegami Wołgi i morza Czarnego, na roboty ciesielskie, mularskie, strycharskie (wypalanie cegły), na tak zwane *otchożyje promysła*. Przyszłość téj pięknéj krainy jest niepewna, i obawa istnieje klęsk wielkich, jeżeli nie będą na czas przedsięwzięte środki zaradcze, jeżeli nie zostanie wprowadzony płodozmian.

Trzecia kraina: stepowy niż Wołgi od Saratowa do Astrachania, na wschód aż do Uralu, na południe aż do Kaukazu. Kraj to dość pusty, nieuorganizowany, niezakolonizowany; własność chłopska tu przemaga, wielcy właściciele oddają ziemię hurtem chłopom w dzierżawę. Ztąd wyradza się szkodliwe zjawisko, przypominające stosunki irlandzkie, pasorzytna klasa wielkich dzierżawców, którzy, wynajmując dziesiątki tysięcy dziesięcin pól i łąk, podnajmują też grunta drobnemi kawałkami włościanom-rolnikom, albo właścicielom stad bydła, i ciągną bez pracy zyski, wyrównywające 75% płaconéj przez nich dzierżawy.

Kraj czwarty: Noworossya (gub. Jekaterynosławska, Taurycka, Chersońska). W ciągu lat 12 (1860—1872) ceny dzierżaw i ziem potroiły się; są powiaty, w których się one regularnie podnoszą corocznie o 10%. Kraj ten nęci ku sobie bardzo wielką ilość robotnika z północy niezmiernie wysoką płacą roboczą. Przemagającą tu jest własność pańska, lecz uprawiana przez przybyłego robotnika, który latem pobiéra miesięcznie 10—25 r., po 75 k. do 1½ r. za dzień kosowicy, po 7 — 13 rubli za zżęcie i zwiezienie zboża z dziesięciny. Z gubernii Kijowskiéj i Czernichowskiéj, nawet ze Smoleńskiéj, Mohilewskiéj i Witebskiéj, nawet z Galicyi, ciągnie tu robotnik nieraz o półtorasta mil.—Rolnictwo znajduje się tu w okrésie mocnego podnoszenia się i rozwoju.

Kraj piąty: Małorossya zadnieprzańska. Wielkie gospodarstwa ustają, panowie gospodarują mało, niechętnie, zajmują się prawie wyłącznie rodzajami uprawy, najbardziéj wyniszczającemi: tytuniu, lnu.—U kozaków, właścicieli futorów, jest we zwyczaju trzymać całe rodziny komorników *(podsusidków)*, którzy za chatę, ogród i część plonu pracują na gospodarza. Łąk jest mało, a płaca od puszczonéj na paszę sztuki bydła wysoka. Gospodarstwo parobczane niebardzo się powodzi, lecz rozpowszechnia się coraz bardziéj dzierżawa długoletnia, o którą się współubiegają żydzi i drobna szlachta. Płaca robocza dotąd bardzo tam niska, parobka można miéć za rubli 30 -50 na rok, dzień męzki roboczy latem kosztuje od 20 do 50 kop. W wysokiéj cenie ziemi, w ubieganiu się o dzierżawy,

przy małéj płacy roboczéj, autor upatruje ujemne strony rolnictwa i ciągnie z nich złe wróżby na przyszłość.

Z jeszcze większém niezadowolnieniem autor traktuje *kraj szósty*, zachodnio-południowy: Wołyń, Podole, Ukrainę. Tu stanowczo przemaga uprawa wielka nad małą, gospodarstwo folwarczne pańskie nad włościańskiém. Robotnika można dostać dużo i za tanią cenę, rocznie, na lato, miesięcznie lub dziennie; od 40 do 60% pól dworskich wydzierżawiają się, przytém wyjątkowo tylko, małemi kawałkami, i włościanom, a głównie hurtem dzierżawcom, którzy z podnajmowania ich ciągną wielkie zyski. Wielka dzierżawa wciska się, jak zielsko pasorzytne, pomiędzy właściciela gruntu i producenta, jedynie tém zajęta, jakby w najkrótszym czasie wydoić największe zyski z gruntu, podobająca sobie w takich szczególniéj gatunkach uprawy, jak len, konopie, proso, owoce na basztanach.

Z krajem siódmym: Litwą i Białorusią, ma się daleko gorzéj, niż z południo-zachodem, bo ziemia gorsza, uboższa. Mimo drożyznę zboża i mimo napływ osadników z Pruss i prowincyj nadbaltyckich, ceny dzierżawne są niskie, ale i płaca robocza najniższa z tych, jakie się praktykują w całém cesarstwie. Przed usamowolnieniem można było mieć parobka za 20 r. na rok, dziś za 30—50 r.—Autor domyśla się jakiéjś grubéj wady w rolnictwie i przypuszcza, że na obniżenie płacy roboczéj wpływa masa drobnéj szlachty i tych kątników, chałupników, bobylów, którzy, nie mając własnych gruntów, stanowią w wielu miejscach 1/4 albo 1/3 część ludności wiejskiéj.

Na czele wszystkich okolic państwa Rosyjskiego pod względem racyonalnéj uprawy stoi *kraj ósmy: prowincye nadbaltyckie*. Tu systemat płodozmienny panuje nawet u włościan, właściciele gospodarzą zwykle sami, nie wydzierżawiając majątków; parobków trzymają nawet chłopi. Żonaty parobek otrzymuje na familią pieniędzmi i ordynaryą do 175 r. rocznie; rachując, że odrabia z żoną do 400 dni, wypada, że zarabia po 44 kop. dziennie. Latem robotnik pieszy kosztuje do 80 kop., a sprzężajny do 1½ r. Mimo to, włościanie ciągną tłumnie z Estlandyi na chude grunta Pskowskie i Nowogrodzkie z Inflant i żyznéj a pięknéj Kurlandyi na pustkowia litewskie, gdzie najwyższa płaca robotnika nie przenosi nigdy pół rubla, gdzie dobrobytu materyalnego mniéj, ale więcéj nadziei na przyszłość i swobody.

XI. Z tego pobieżnego przeglądu, w którym pominięte całkiem królestwo Polskie, i z którego wynika, że najniżéj pod względem uprawy stoją i najbardziéj są zacofane Nowogród, Psków, Białoruś i Litwa, a najwyżéj stepowa Noworossya i ziemie nadbaltyckie, rodzą się ogólniejsze wnioski i wywody. Rolnicza produkcya urosła

od chwili wyzwolenia, bo, mimo częste nieurodzaje w ciągu 12 lat: 1861—1872, wywóz zboża zagranicę o 50 milionów czetwierti (przeszło 81½ miliona korcy). przewyższył takiż wywóz zboża w ciągu okresu 1850—1861; bo zostały pod uprawę zajęte niezmierne obszary, leżące dawniéj odłogiem, urosły ceny dzierżaw i ziemi, i w większéj części Rossyi podnosi się płaca robocza. Na jasny widnokrąg zachodzą jednak chmury. Najgroźniejszą z takich chmur i najmniéj zaznaczaną jest *ubywanie łąk*, zmniejszenie się produkcyi roślin pastewnych, ubywanie bydła, za czém w niedalekiéj przyszłości nastąpić musi upadek i ruina gospodarstw, po wyczerpaniu i wyjałowieniu gruntu przez chciwą prędkich zysków i drapieżną uprawę. Na całéj płaszczyźnie od morza Białego aż do Czarnego, od dopływów Wisły do Uralu, odbywa się w gospodarstwie rolném trudne i bardzo dotkliwie czuć się dające przejście od jednych sposobów uprawy do drugich.—Rolnik-kolonista za Wołgą i na Uralu spędza i wyciska przenoszące się jurty koczowników.—Na gołym stepie jest jeszcze w powszechném używaniu ten sposób uprawy, który Tacyt znalazł u Germanów: *agros per annos mutant.* W zachodniéj Europie od VIII i IX wieku, trójpolowe gospodarstwo *(Koppelwirtschaft)* rozpowszechniło się zamiast orania na nowinie lub calcu, zamiast tych *perełogów*, od których dotąd nie może się odzwyczaić rolnik wielkorosyjski w środkowéj strefie czarnoziemnéj, ów rolnik, którego konieczność znagla dziś do gospodarstwa intensywnego, nakładowego, a jednak niepojmujący téj nieodzownéj konieczności racyonalnego płodozmianu. Wszędzie mu ciasno, skarży się na szczupłość uposażenia gruntowego, tymczasem zestawienie cyfr statystycznych wystarczy na przekonanie, że obszar ziem uprawnych przewyższa siły robocze, że jest zanadto wielki, by mógł być uprawianym, jak się należy. Odrzućmy posiadłości pańskie, skarbowe i dobra apanażowe (*udieły*); do samych włościan w europejskiéj części Cesarstwa należy 122.730.534 dziesięcin (239.434.998 morgów nowopols.), dworów zaś chłopskich liczą 7,640,362, więc przeszło 16 dziesięcin (31 morg. nowopolsk.) na chatę. Jest to ilość przewyższająca nawet normę amerykańską, ustanowioną przez kongres przed 10 laty przy wyprzedaży public lands osadnikom po 40 akrów, t. j. po 14,8 dziesięciny (28,88 morg. n. p.) na osadę. Zauważmy, że ciż sami włościanie - właściciele dzierżawią, lub najmują się do uprawy ziem pańskich, skarbowych, apanażowych, a tych jest około 90 mil. dziesięcin. Dodajmy przytém niekorzystne dla rolnictwa warunki klimatyczne, które sprawiają, że czas roboczy w roku o dwa, albo i więcéj miesięcy krótszy jest w Rossyi, niż w Europie zachodniéj, nakoniec małe zaludnienie, uprawę ziemi przez przycho-

dniów zdaleka i ztąd ogromną stratę czasu na przenoszenie się robotnika na miejsca uprawy o kilkaset, albo i więcéj wiorst. Przy daleko lepszych warunkach pracy w Anglii, jeden męzki robotnik zaledwie podoła uprawie 8 dziesięcin, w Niemczech 10 dziesięcin. W Rossyi europejskiéj liczą mężczyzn robotników 13.400.000, co w stosunku do 122.730.534 dziesięcin włościańskich daje na robotnika przeszło 9 dziesięcin, lecz, jeżeli zmasujemy wszystkie grunta uprawne (122 m. + 90 m.) około 212 milionów dziesięcin, stosunek da się oznaczyć przez 16 dziesięcin na 1 robotnika.—Mogą być miejscowości, gdzie działy włościańskie są wyjątkowo szczupłe, wszakże te wyjątki nie mogą uchodzić za prawidło, a i niejednostajność wyrównałaby się znacznie, gdyby włościanom wolno było opuszczać grunta i przenosić się z niekrępowaną niczém swobodą z miejsc, gdzie im ciasno, na inne, gdzie im dogodniéj. Stosunki by się wyrównały i uregulowały wedle ekonomicznych praw podaży i popytu. Przy tak wielkim nadmiarze uprawnéj powierzchni w stosunku do siły roboczéj, praca wynagradzana jest zbyt jeszcze nisko i ulegnie znacznemu podniesieniu się w cenie. Przykładami z Ameryki autor dowodzi, że produkcya rolnicza może się podnosić, pomimo bardzo wysokiéj płacy roboczéj, że nie dla braku robotnika rujnują się wielkie gospodarstwa. „I właściciele i rolnicy jak gdyby się zmówili, powiada autor (II, 678), na spustoszenie ziemi; nie oglądając się na nic, upiérali się wciąż przy swoim dzikim sposobie gospodarowania, aż nastała dla piérwszych fatalna chwila konieczności zastąpienia roboty pańszczyznianéj przez najemnika, a dla drugich—płacenia, oprócz innych wydatków, za wykup.—U obu klas nie stało ani środków, ani zdolności dla przebycia tego niebezpiecznego przełomu, który wymagał od piérwszych zmiany życia nad skalę, zmiany środków i pojęcia warunków gospodarstwa racyonalnego; od drugich zwiększonéj pracy i wyrzeczenia się zastarzałych nałogów ekstensyjnéj kultury, koczowania z pługiem, uprawiania samych zapustów".—„Jeżeli obywatel narzeka, mówi w inném miejscu autor (677), że gospodarowanie najemnym robotnikiem nie pokrywa kosztów produkcyi, nie zaprzeczam faktu, ale powiadam: wina w tém nie robotnika, lecz obywatela, który zapuścił łąki, zanieczyścił las i wycieńczył rolę, aż ją doprowadził do minimum dochodu, przy którém już się nie opłacają koszta uprawy racyonalnéj".

Z wyniszczeniem roli idzie w parze *wycinanie lasów*, ze wszystkiemi następstwami, szkodliwym wpływem na cały systemat wód w kraju, na klimat.—Cząstki lasów, włościanom wydzielonych, zostały już obecnie w pień wycięte, a i właściciele więksi, potrzebujący kapitału obrotowego, spieniężali całe puszcze za bezcen.

Trzecie szkodliwe zjawisko stanowi zagnieżdżający się zwyczaj wypuszczania dóbr wielkich hurtowym dzierżawcom, którzy potem poddzierżawiają też dobra małemi kawałkami drobnym rolnikom, z tych zaś ostatnich otrzymują pierwszeństwo ci, którzy dają wyższe ceny za najbardziéj zyskowne, lecz i najbardziéj wyniszczające gatunki uprawy (basztany, słonecznik, konopie, rzepak). Autor potrąca zlekka o wpływ na produkcyą ilości świąt do roku (str. 583). U protestantów świąt takich liczą 65, u katolików rzymskich 90, u wschodnich do 100. Rachując dzień roboczy po 50 k., wypadnie dla protestantów suma 32½ r., dla katolików 45, dla prawosławnych 50 rub., to jest o 17½ r. więcéj, niż w Anglii lub Niemczech północnych; a ponieważ cesarstwo liczy przynajmniéj 6 m. dorosłych robotników męzkich téj wiary, więc się utworzy suma z 105 milionów r. niedoboru.—Za rzecz jednakże szkodliwszą, niźli dwie poprzedzające okoliczności, dla postępów rolnictwa, uważa autor systemat podatkowy, całkiem nieodpowiedni stanowi ziemi i pracy.—Dawny staromoskiewski sposób opodatkowywania ziemi ornéj wedle soch i *wyti*, przy całéj swéj niedokładności, miał tę dobrą stronę, że nie zachęcał do bezmiernego rozszerzania pól ornych i zatrzymywał wielkie obszary nietknięte i w rezerwie. Przełożenie podatku z ziemi na dusze dało popęd stanowczy do najekstensyjniejszéj uprawy, systemat doszedł do zupełnego rozkwitu, gdy nastąpiło wyzwolenie włościan i inne reformy, które przeciążyły włościan wykupami, wszystkich zaś w ogóle posesyonatów, więc tak obywateli, jako włościan i mieszczan, ogromem podatków gruntowych, rozkładanym na osobniki najdziwaczniéj, najniejednostajniéj i bez żadnéj prawidłowości, bez żadnéj proporcyi. Z wszystkich podatków gruntowych (doliczając do nich opłatę *poduszną*, *obroki* i *wykupy)* skarb pobiéra rocznie 176 mil. (drugie tyle, bo 180 milionów przybywa z akcyzy od wódki i soli, ciążących głównie i prawie wyłącznie na ludzie prostym). Jeżeli rozłożymy te 176 m. podatku na 122 m. dziesięcin włościańskich i 77 pańskich, to jest razem na 199 mil. dzies., wypadnie po 90 k. na dziesięcinę.—Lecz ziemia pańska ponosi tylko do 4¼ kop. w guberniach wielkorosyjskich, do których instytucye ziemskie nie są wprowadzone, do 7 kopiéjek w guberniach wielkorosyjskich, gdzie wprowadzone są instytucye ziemskie, i tylko w guberniach zachodnich i zachodnio-południowych 26 kop. (w téj kwocie do 19 k. z dziesięciny kontrybucyi). Ziemia pańska jest dziś od 20 do 12 razy niżéj opodatkowaną, aniżeli włościańska. Ogromna istnieje nierówność w opłatach wykupowych w rozmaitych częściach cesarstwa, przy jednakich nawet warunkach, co do dobroci gruntu i klimatu. Chłopi w dobrach rządowych otrzymali bez porównania

obszerniejsze grunty, niż pańscy, a składają bez porównania mniejsze opłaty. Stosunek podatków i wykupowych opłat chłopów w dobrach prywatnych przenosi podatki i opłaty, przypadające od włościan w dobrach rządowych, na 231% w niektórych powiatach gubernii Riazańskiéj (prof. Janson, str. 51), na 209% w Tambowskiéj, na 290% w Orenburskiéj; różnica nie bywa mniéjsza nigdzie od 134% (Janson, 58 i 59). Cały prawie ten ogrom z 176 m. r., rozłożonych niejednostajnie, obciąża ludność ubogą, liczącą głów męzkich dorosłych 13.400.000, więc na jednę głowę męzką przypada przeciętnie przeszło 13 r. sr. podatków.—Przy najlepszéj i najtroskliwszéj uprawie, ziemia włościańska w większéj części Rossyi nie da takiego dochodu, któryby mógł wystarczyć na opłacenie podatków; opodatkowanemi więc są już nie majątki, ani dochody z majątku, ale same zarobki, sama praca ludzka. Na najzupełniejsze stwierdzenie tego założenia wystarczy kilka cytat z książki prof. Jansona, wziętych ze źródeł urzędowych, bo z raportów ziemstw i z prac komisyi podatkowéj.—W gubernii Petersburskiéj podatki od włościan przenoszą na 134% dochód brutto z gruntów włościańskich, w Moskiewskiéj na 209% (str. 32). Oto obrachowania urzędu ziemskiego Nowogrodzkiego: 1/3 mężczyzn i 2/3 kobiét pracuje około roli i poza domem nie zarobkuje, 1/3 część tak mężczyzn, jako i kobiét przez cały rok zarobkuje po za domem, 1/3 mężczyzn pracuje po za domem zimową porą. Cały zarobek wszystkich pracujących na tak zwanych *odchożych* zarobkach wynosi 8.855.100, obok dochodu z ziemi, dającego 2.680.000.—Ponieważ uprawa roli nie daje ludności dostatecznych środków wyżywienia się, z tego powodu z 8.855.000 zarobków około 3 m. używa się na zakupienie zboża, a 3.278.136 na podatki.—Z pozostałych 2½ milionów przypada na każdy dom włościański rocznie po 12 rub. 65 kop. na sól, odzież, obówie, narzędzia i t. d. Podatki stanowią 37% całego dochodu, obliczonego brutto, a 56% czystego dochodu (str. 35). W gubernii Kostromskiéj robotnik z byłych włościan skarbowych oddaje na podatki 26%, a z byłych poddanych 41% rocznego zarobku. W powiecie Gorbatowskim gubernii Niżnonowogrodzkiéj wsi wielkie, należące do Szeremetewych, nikną, bo się chłopi porozbiegali, nie mogąc znieść ciężaru podatków (str. 37).—Podatek od pracy tam, gdzie praca jest przeważnie rolną, jest podatkiem, obciążającym rolnictwo. „W innych krajach, powiada książę Wasilczyków (662), opodatkowanie ziemi można odosobnić od opodatkowania pracy, bo majątki w jednych są rękach, a praca w drugich. Lecz w Rossyi, tak własność ziemska, jako i praca około roli łączą się w jednym stanie, który posiada 2/3 pól uprawnych, a uprawia i resztującą 1/3 ziem pańskich.

Zajęciem całéj ludności jest rolnictwo częścią na własném gospodarstwie, w części najemne (odchoże).—Komu chodzi o istotę rzeczy, nie zaś o igraszkę wyrazów, ten bezwątpienia przyzna, że w takim kraju wszelki podatek bezpośredni, nałożony na ludność wiejską, spada na rolnictwo, i że, jeżeli renta z ziemi nie pokryje w całości poborów, reszta ich ciągnie się z téjże ziemi, tylko już nie z jéj dochodów, ale z pracy użytéj na jéj uprawę."

Po nad wszelkie inne kwestye reformy, będące na dobie, podnosi się, góruje i potrzebuje rozwiązania pytanie finansowe, rzecz o stanowczéj zmianie systematu podatkowego, przekazanego obecnemu czasowi w spadku przez poprzednie pokolenia i wyrobionego w czasie, kiedy u stéru rządu stały same tylko klasy uprzywilejowane i rządziły w swoim wyłącznie interesie. Rzecz to ważna i trudna, a idąca oporem,—bo oddziałać musi na cały ustrój państwowy i społeczny, bo wpływa na cały byt i dotyka samych podstaw społeczeństwa.—Jest ona w związku bezpośrednim z upodobaniami i zajęciami czasów najnowszych, chwili obecnéj. Myśl o podatku od dochodu, o wynalezieniu podstaw do income-tax'y zajmuje umysły i występuje i w rokowaniach zgromadzeń ziemskich i w literaturze.—Obok téj głównéj reformy są inne, stawiane przez autora, praktyczne wnioski, podawane przezeń do przeprowadzenia w drodze prawodawczéj. Wypadałoby, wtrącając się czynnie w gospodarstwo leśne prywatne, położyć krés niemiłosiernemu wyrębywaniu lasów; wypadałoby wzbronić częstych a nieokreślonych, co do czasu, nowych podziałów gruntów, za własność gromady (miru) uważanych pomiędzy włościanami (tak zwane *peredieły);* szczególniéj zaś wypadałoby ująć w kluby dzierżawę, ograniczyć w widokach dobra ogólnego wolność właściciela przy wynajmowaniu majątków, poddając ten rodzaj umowy surowym obostrzeniom i warunkom.—Od wieków średnich nieprzerwanym ciągiem idą policyjne regulamina, inwentarze, statuta, przepisujące, jak mają się sprawować i gospodarzyć chłopi; nikt w tych regulaminach nie upatrywał gwałtu, ani zamachu na święte prawa własności, nikt nie pomawiał państwa, że się mięsza w to, co do niego nie należy. Obowiązane strzedz sił produkcyjnych kraju, państwo w tysiącznych względach i kierunkach wdawać się musi w stosunki gospodarskie kraju i ograniczać władzę i wolę pana względem jego rzeczy, w widokach dobra publicznego.—Zawsze i wszędzie własność nieruchoma miała znaczenie polityczne, z tego stanowiska trudno zaprzeczyć państwu prawa regulowania pod względem politycznym tak ważnéj umowy, jak dzierżawa, zresztą przykład prawodawstwa angielskiego w Gladstonowskim Irisch land-bill, akcie z r. 1872, wystarczy do udowodnienia, że takie uregulowanie dzierża-

wy nie jest rzeczą ani niemożebną, ani niezwyczajną. Niezwyczajnemi i niewypróbowanemi nigdzie są tylko podawane przez autora propozycye. Książę Wasilczyków sądzi, że trzebaby środkami prawodawczemi zachęcać jak posiadaczy obszernych włości, tak i prostych kmieci do bezpośredniego zajmowania się gospodarstwem na własnéj ziemi, a dzierżawę dopuszczać tylko wieloletnią, nie mniéj, jak na 3 lata, dającą majątek w posiadanie dzierżawcy.—Właściciel, wydzierżawiający majątek, powinienby być zawieszony na ten czas w używaniu praw, które mu z tytułu własności służą, inaczéj mówiąc, cenzu wyborczego do rozmaitych zgromadzeń i urzędów. Dzierżawy na czas krótszy, niż 3 lata, powinnyby być całkiem wzbronione i opieki prawa pozbawione.—Dzierżawca rzetelny, który się uiszczał, jak należy, z obowiązków w ciągu swéj kilkoletniéj dzierżawy, powinienby mieć prawo na przedłużenie takowéj jeszcze na trzechlecie z małym dodatkiem do ceny dzierżawnéj (do 2%).—Z ustaniem dzierżawy, dzierżawca ipso jure powinienby mieć prawo do wynagrodzenia za melioracye, w majątku dopełnione; oszacowania ich, w braku zgody pomiędzy stronami, dokonywaćby powinien sąd.—Nakoniec dzierżawcy nie wolnoby było podnajmować gruntów osobom trzecim w cenie, przewyższającéj tę, którą sam płaci właścicielowi; na skargę podnajmującego ceny podnajmu powinnyby być sądownie obniżane, jako lichwa, do wysokości cen umowy dzierżawnéj.

Propozycya zawieszenia właściciela, wydzierżawiającego majątek, w używaniu tych praw politycznych, które nadaje własność, jest rzeczą całkiem nową, którą autor uzasadnia uwagą, że żadne prawa, ani przywileje nie zachęcą obywateli do zajmowania się gospodarstwem rolném. Nie ma arystokracyi, któraby większych praw używała, niż wielkobrytańska, a jednak absenteizm właścicieli irlandzkich wszedł w przysłowie. Zupełny rozbrat między szlachtą a ludem w Rossyi dokonał się w ciągu ostatnich stu lat, kiedy cały zarząd miejscowy w guberniach był złożony w ręku téj części szlachty, która posiadała 100 dusz, albo 1000 dziesięcin. Rozumując a contrariis, możnaby wnosić, że, jeżeli uprzywilejowanie polityczne nie zachęciło właścicieli do prac około własnéj roli, więc i odjęcie praw nie odstręczy od absenteizmu, zaczém i trafność proponowanego środka podlega wielkiéj wątpliwości. Wynagrodzenie dzierżawcy za melioracye i za wypowiedzenie dzierżawy ma za sobą, oprócz Land-bill-act'u z r. 1871, cały szereg zwyczajów rolniczych, mało znanych przedtém, lecz dziś przez literaturę w ciągu 1860—1870 odkrytych i zaznaczonych. O ulsterskiém odstępnem, pobieranem z mocy tenant rigth od właściciela, albo od następnego dzierżawcy,

mówiliśmy uprzednio tom II, str. 10); w Lincolnshire zamiast odstępnego był zwyczaj płacenia odchodzącemu dzierżawcy za wszystkie udowodnione przezeń melioracye. We Flandryi belgijskiéj istnieje pachtarsregt, bardzo podobne do lincolnshirskiego. Dowiedziono, że tenże zwyczaj panuje w Danii od wieków. — Żadne jednak prawo zwyczajowe nie zna proponowanych przez autora, trzech lat najdłuższéj dzierżawy, jest to pomysł jego własny, powtarzający się bez końca, jako katonowskie: *delenda est Carthago.* Książę Wasilczykow zręcznie i bardzo oryginalnie zespolił kwestyą dzierżawy z kwestyą o tém, co ma piérwszeństwo współwłasność gromadzka, czyli *mirska*, lub téż własność, rozdzielona między chaty.

Przeciwko współwłasności gromadzkiéj powstają głównie, potępiając ją, jako wadliwéj i szkodliwéj dla rolnictwa, ciż sami, którzy w imię świętych praw własności bronią bezwzględnéj wolności wydzierżawiania gruntów, jak chcąc, i jak na krótko chcąc. Autor twierdzi nie bez słuszności, że też same dowody agronomiczne, które są przytaczane przeciwko systematowi spółwłasności gminnéj, z daleko większą mocą dałyby się zastosować do ograniczenia dzierżaw, celem uniknienia złych następstw tego sposobu gospodarowania. Zatrzymajmy się nieco dłużéj na tych wielkiéj wagi postrzeżeniach i uwagach w rzeczy tak mało znanéj i tak opacznie tłómaczonéj, jak system spółwłasności gromadzkiéj. Z wyżyn teoryi, na których kwestya ta stała w czasie reformy włościańskiéj, zeszła ona na poziom praktyki, i po latach kilkunastu próby w całkiem nowém ukazuje się świetle to odrębne urządzenie wielkorosyjskie, odpychane ma się rozumiéć przez te prowincye, które nie zaznały nigdy takiego porządku.—Co stanowi istotę tego systematu, i jaki jest stosunek jego obecny do wręcz mu przeciwnego systematu gruntów rozdzielonych między poszczególne osady? Na te pytania daje się odpowiedź następna.

Przy układaniu ustawy z d. 19 Lutego r. 1861, toczył się bój zacięty o zniesienie, albo utrzymanie *miru*, czyli gminy jako właścicielki gruntów. Rozumiano to dobrze, iż niepodobna jest zwyczaju wielkorosyjskiego gwałtem narzucać innym prowincyom, przyznawano powszechnie, że spólna własność gminna o wiele jest pośledniejszą pod względem agronomicznym od własności indywidualnéj, należącéj do poszczególnych kmieci, zgadzano się, że gmina ma wielkie zalety jako urządzenie administracyjne, że należałoby więc starać się o utrzymanie gminy administracyjnéj i o zniesienie gospodarskiéj, zresztą zostawiono rzecz do rozstrzygnienia czasowi. W artykule 115 spec. ustawy dla Wielkorossyi, Noworossyi i Białéjrusi powiedziano wyraźnie: każdéj spółce włościańskiéj pozostawia

się do woli przemienić użytkowanie spólne na dziedziczne, to jest uchylić podziały peryodyczne i rozdawnictwo ziemi gromadzkiéj, rozdrobnić ją, podzielić ją stanowczo na działki kmiece i rozdać gospodarzom w użytkowanie dziedziczne.—Jakże włościanie skorzystali z artykułu tego w ciągu lat 15? Przykładów przejścia z systematu użytkowania gromadzkiego na indywidualne było bardzo mało, trochę w guberniach: Samarskiéj, Tulskiéj, Kurskiéj, więcéj w Mohylewskiéj, ale i te przykłady w głębokich guberniach Wielkorosyjskich tłómaczą się dążeniem bogatszych włościan do uniknięcia skutków gminy administracyjnéj i pozbycia się solidarnéj odpowiedzialności, czyli tak zwanéj poręki za mniéj zamożnych współbraci (krugowaja poruka). Po dokonaniu podziału ziem na działki stałe na papiérze, włościanie wrócili do wspólności gospodarskiéj i do ponawiania rozdziału (peredieły). Linia, przeciągnięta od Kijowa do Rewla, przez przybliżenie będzie stanowiła granicę obu systematów. Na południe, w gubernii Kijowskiéj i Chersońskiéj, w Besarabii, w Małorossyi zadnieprzańskiéj, oba porządki współistnieją pomięszane. Na Wołyniu i Podolu, przy urzędownie wprowadzoném uposażeniu chat poszczególnych, zdarzały się przykłady, że włościanie zaprowadzali sami coroczne, albo mniéj częste działy ziem pomiędzy chaty, zastosowane do ilości robotników w każdéj chacie. Najwyższym wyrazem systematu wyosobnienia osad wieśniaczych jest inflandzki, albo kurlandzki *gesschlossener Bauernhof*, spadający niepodzielnie na najstarszego syna, kiedy tymczasem w Małorossyi i na Litwie bracia dzielą się gruntem, który im się dostał w spadku.—Ani spółki włościańskie, ani zgromadzenia ziemskie i urzędy (uprawy) nie oświadczyły się nigdzie w Wielkorossyi za porzuceniem współwłasności gromadzkiéj, snać, że ta współwłasność niesprawiedliwa, jeżeli ją uważać za przyrząd administracyjny do wyciskania podatków z całéj gminy ryczałtem, przyrząd, zniewalający bogatszych do uiszczania należności za biedniejszych, ma wszelako swoje zalety ekonomiczne, dla których jest nietylko cierpianą, ale i lubioną tam, gdzie się ustaliła oddawna.—Co więcéj: w koloniach niemieckich saratowskich i samarskich, koloniści, przybysze, sprowadzeni przez Katarzynę II., zachowali swój język i ubiory, lecz zbliżyli się do chłopa wielkorosyjskiego w porządkach spadkobrania, a zarzuciwszy majoraty i własność indywidualną, przyjęli miejscowy zwyczaj, stosownie do którego dzielą się ziemią, jako gromadzką, wedle ilości ciaheł.—W tém upodobaniu w *mirze* teoretycysocyaliści upatrują komunistyczne jakoby podstawy społeczeństwa rosyjskiego. Nic wstrętniejszego dla wieśniaka rosyjskiego, wedle księcia W., nad komunistyczny ideał przymusowéj pracy społem

i na spółkę, celem podzielenia się następnie zapracowanemi w ten sposób produktami, lub pieniędzmi. Zasiewy gromadzkie, szarwarki gminne dokonywane są ze wstrętem; nawet, kiedy wypadnie włości przekopać rów, albo usypać drogę, wieśniacy dzielą natychmiast robotę na sążnie i kawałki wedle ciaheł albo dusz; apostoła zasady komunistycznéj, stosującego ją do praktyki, włościanie przyjęliby, wedle autora, w ten sposób, w jaki niegdyś w koloniach wojskowych nowogrodzkich przyjmowano oficerów Arakczejewa, spędzających lud wedle ordynansu na pole do roboty.—Jest jeszcze mniemaniem, dość rozpowszechnionem, że spółka gromadzka Wielkorosyan jest skamieniałością, szczątkiem z dawnych zamierzchłych wieków, pozostałością, dziwnym trafem ocaloną, instytucyj, które piérwotnie panowały nietylko w Słowiańszczyznie, lecz w całéj Europie, i które, odpowiadając stosunkom bardzo piérwotnym, musiały niknąć z postępem cywilizacyi.—Nic mylniejszego historycznie nad takie przypuszczenie. Już w piérwotnym zawiązku gminy europejskiéj (Gemeinde, commune) tkwią różnice w zasadach osiedlania się i działu gruntów. W Zachodniéj Europie przewodniczyło pojęcie, że dla wyżywienia rodziny chłopskiéj potrzebna jest pewna miara ziemi: włóka (huba, Hufe), przy pewnym sprzężaju z pary wołów, lub koni.—Zamożni gospodarze brali po jednéj takiéj hubie albo włóce, półsprzężajni działki połowiczne, reszta ludności mieściła się, gdzie mogła, na przyrost nie pozostawało nic a nic. W zawiązku więc samym tkwiła arystokratyczna nierówność, podział na mniéj i więcéj zamożnych, konieczność wytwarzania się luźnéj masy nieosiadłych. Była wprawdzie rezerwa z pustkowi, zarośli, torfowisk, (Allmend, Gemeindeflur, wastes, communaux), dodatek małocenny do gruntów uprawnych, na którym dozwalano najbiedniejszym członkom gminy trzymać bydło, albo i uprawiać wylosowane kawałki.—Resztki tych spólnych ziem gminy zostały za naszych prawie czasów ostatecznie podzielone w głównych częściach Europy i przeszły na własność prywatną pod wpływem panujących w ekonomii teoryj indywidualistycznych. Kiedy ten proces ostatecznego podziału dochodził do krésu, zaczęły się budzić pewne żale (Kraus, Stein, Stuart Mill, Laveleye), pewne utyskiwania nad zwiększeniem się proletaryatu wiejskiego w skutek takich separatów.—Chcąc w Europie odszukać ślady stosunków, odpowiednich *mirowi*, należy się rozpatrzéć w samych tylko wyjątkach, w tych niewielu krajach, gdzie piérwotny układ gminy chłopskiéj pozostał demokratyczny i przechował się śród wysoko rozwiniętego rolnictwa i cywilizacyi, w Niderlandach, gdzie niegdzie w Badenie i w Szwajcaryi.—W jednéj prowincyi Drente liczą 43 ziemie gminne czyli *marki*, obejmu-

jące (r. 1860) 58½ tysięcy morgów nowo-pol. Główne bogactwo zamożnych *bóer'ów* holenderskich stanowią spólne lasy.—W górskich kontonach Szwajcaryi obywatele, mający stałą osiadłość (Feur und Licht), uczestniczą w gminnéj Almendzie, w lesie, hali i polu (Holz, Alp und Feld). Prawo to otrzymuje mężczyzna, gdy się żeni i osiada na gospodarstwie. Lasy utrzymane są w najściślejszym porządku, podzielone na wyręby, a każdy obywatel otrzymuje pewną ilość paliwa i budulcu, pewną przestrzeń ziemi na halach, rozmierzaną na *kuhessen* (pastwisko na parę krów w ciągu 5—6 miesięcy letnich) i od 1 do 2 morgów roli w dolinach. W niektórych kantonach uposażenie to dawane jest dożywotnio, w innych podział ponawiany bywa w okrésach lat 15—20.—W kantonie Uri wartość lasów gminnych dochodzi do 4 mil. franków (po 1.300 fr. na gospodarza).

Przykłady zagraniczne są wcale nieliczne, mało znane i wyjątkowe. Ta okoliczność nasunęła autorowi twierdzenie, które wypowiada z dumą Rosyanina i demokraty, iż *spółwłasność gromadzka* jest w najwyższym stopniu urządzeniem oryginalném, prastarém wprawdzie, i słowiańskiém, ale z całéj Słowiańszczyzny tylko przez Wielkorosyan w czystości przechowaném; iż datuje się ona z tych czasów, kiedy zapuszczające się w stepy, albo dziewicze puszcze, artele rybołówców (koczetników) albo rolników (izorników), leśników, włóczęgów, poddanych, uciekających od obywateli, albo roskolników, uchodzących od prześladowań za wiarę, osiadały na nowych miejscach, obejmowały je na własność na rzecz Cara, uznając siebie za ludzi carskich, a potém się dzieliły zajętemi obszarami nie wedle ilości dusz, jak chciały wprowadzane przez rząd od czasów Piotra W., ale wstrętne ludowi porządki, i nie wedle ilości obecnych rodzin czy dworów, bo żaden z osiedleńców nie chciał zamykać wstępu do spółki dzieciom swoim, braciom i krewnym, których miał nadzieję przyciągnąć za sobą do nowéj osady, lecz jedynie wedle ilości dorosłych robotników żonatych, albo raczéj wedle ilości stadeł roboczych, czyli ciaheł, na których ciążą lub ciążyć mogą obowiązki familijne wychowania dzieci, utrzymania rodziców w podeszłym wieku. Ziemi było dostatkiem, rodziny nie trzymały się w kupie, skoro chłopiec podrastał, już tylko myślał o tém, jakby żyć swoim dworem, a żeniąc się brał osobny wydział z ziemi gromadzkiéj, na mocy służącego osobiście każdemu żeniącemu się robotnikowi prawa użytkowania z téj ziemi. (Po śmierci żony, na żądanie robotnika spada z niego pół ciahła). Zamożny gospodarz nie starał się nigdy o przykupienie ziemi i powiększenie nią posiadanego działu; nie trzymał wszystkich dzieci w garści, lecz wyprawiał

podrostka syna na grunt osobny, na własne gospodarstwo (1). Wynalazek sztucznéj, bardzo zmiennéj, ale słusznéj jednostki roboczéj *ciahła* i prawo każdego stadła roboczego, jako ciahła, do wydziału w gruntach gromadzkich—takie są piérworodne, prastare, a bardzo szacowne właściwości społeczeństwa wielkorosyjskiego, które wedle księcia Wasilczykowa pokrzepia rodzinę, robi z małżeństwa prawie konieczność dla robotnika i zachęca do rozpierzchania się na wszystkie strony i zakładania coraz to nowych gospodarstw.

Przedmiot, na którym osnute są te patryotyczne fantazye autora rosyjskiego, bardzo mało jest jeszcze znany i od niedawna badany, każde nowe badanie może albo dorzucić coś całkiem nowego, albo rozwiać przypuszczenia, uchodzące za pewniki.—Jednocześnie z ukazaniem się na świat pracy księcia Wasilczykowa wydana została piérwsza część pracy profesora dorpackiego Keusslera o własności włościańskiéj w Rossyi (*Johannes von Keussler*, Zur Geschichte und Kritik des bäuerlichen Gemeindebesitzes in Russland. 1 Theil 1876, 111 i 304. Ryga i Mitawa), która wniwecz obraca na podstawie bardzo poważnéj masy faktów myśl główną księcia Wasilczykowa, jakoby cecha charakterystyczna *miru*, mianowicie prawo, służące każdemu dorastającemu członkowi gminy do użytkowania z ziemi gromadzkiéj, przez otrzymanie gruntu na wydział, jakoby ta cecha była prastarą i wyłącznie słowiańską. *Mir* czyli gmina i ciahło są to pojęcia niezaprzeczenie prastare, lecz spółka chłopska przed kilku wiekami miała formy, znacznie odmienne od taraźniejszych.—Otwarta dla wszelkich przybyszów, mało spójna gmina ta uległa w Moskwie potężnemu wpływowi rządu, który ją przedewszystkiém użył jako narzędzie dla dopięcia celów policyjnych i finansowych, dla wyciskania podatków przez solidarną odpowiedzialność, czyli tak zwaną porękę, włożoną na jéj członków.—Dla zapewnienia rządowi regularnéj wypłaty podatków, szlachcie zaś czynszów (obroków) i powinności, przytwierdzono włościan do gruntu. Podatek był gruntowy na *sochy* i *obże* obliczony; Piotr Wielki zmienił go na pogłówne *(poduszne)*, hurtem z gminy ściągane. Przy rozkładaniu tego podatku, pobiérano go od robotników, którzy, siedząc na ziemi, mieli z czego płacić, lecz w celu rozłożenia podatków na

(1) Ks. Wasilczykow nie zwrócił uwagi na to, że w rodzinach chłopów wielkorosyjskich często zdarza się, iż głowa rodziny, ojciec, dziad nawet, żeni swych synów, lub wnuków w bardzo młodym wieku, bierze dla nich nadział ziemi, i na wszystkich tych uczątkach razem prowadzi gospodarstwo jedno. — Rozporządzenie robotą i utrzymanie całéj rodziny zależą wtedy zupełnie od głowy domu, jest to więc toż samo trzymanie synów w garści. *(Przyp. Red.)*

jak największą liczbę osób, gmina lub obywatel zmuszali każdego podrostka do żenienia się i do brania wydziału z ziemi, by ciągnąć zeń *obrok* i podatek. Z przymusowego wydzielania ziemi każdemu dorastającemu robotnikowi, wytworzyło się dzisiejsze prawo do ziemi gromadzkiéj, na którém osnuwają swoje teorye rozmaici publicyści rosyjscy, niedomyślający się wcale nowotności wyrobu, specyalnie wielkorosyjskiego, nie zaś słowiańskiego, w jego formie dzisiejszéj i pochodzącego z epoki bardzo bliskiéj.—Jakakolwiek zresztą jest data powstania instytutu, pod który czas dzisiejszy podkłada te lub owe teorye prawne i ekomiczne, główne pytanie, wywoływane przez ten instytut, jest agronomiczne: który system własności kmiecéj, gromadzkiéj, czy indywidualnéj pożyteczniejszym jest dla gospodarstwa krajowego?

Jakkolwiek żarliwy obrońca *miru*, książę Wasilczykow nie zaprzecza, że własność dziedziczna, wydzielana stale na każdą chatę, ma pewne zalety w porównaniu z współwłasnością gminną. Zalety te w skutek częstego ich powtarzania stały się pewnikami oklepanemi: unika się szachownic, melioracye chętniéj dokonywane bywają na gruncie, który stanowi własność prywatną zupełną; wszelkie nowe podziały szkodzą rolnictwu, zniechęcając posiadaczy, odstręczając ich od nakładów, które mogłyby pozostać bez wynagrodzenia w razie przejścia gruntu w inne ręce. Wszystkie te dowody mają wartość zbyt względną, ażeby można na mocy nich stanowczo rozstrzygać kwestye sporne (1). Są właściciele podupadli, którzy tak niedbale

---

(1) Cytowane tu przez ks. Wasilczykowa argumenta, jako używane zwykle w obronie własności osobistéj i dziedzicznéj. dotykają tylko strony technicznéj rolnictwa i dla tego niewiele ważą w obec kwestyi podziału bogactw, ale téż one bynajmniéj kwestyi nie wyczerpują i do dna jéj nie sięgają. O wiele ważniejsze można przytoczyć argumenta. poczerpnięte z natury moralnéj człowieka, która w sprawie rolnictwa, jak i w każdéj ekonomicznéj i społecznéj czynności, jest siłą działającą, motorem, w ruch wprowadzającym wszelkie urządzenia, i dla tego stanowi stronę rzeczy ważniejszą, aniżeli przyrządy mechaniczne. Współwłasność gminna miała niby ustrzédz Rossyą od plagi mnożenia się proletaryatu, ale nam się zdaje, że ogromne przestrzenie ziemi urodzajnéj a nieuprawnéj jeszcze daleko wyraźniéj strzegą od tego Rossyą. Oddanie ziemi na własność spółce gminnéj nie przeszkadza bynajmniéj wielkiemu skupianiu się bogactw w ręku pojedyńczych ludzi, drogami i środkami, mniéj lub więcéj zgodnemi ze sprawiedliwością, dowody na to znaleść możemy w samémże dziele ks. Wasilczykowa. Ale współwłasność gminy zdaje się przeszkadzać stanowczo swobodnemu rozwijaniu się usiłowań ludzkich, w celu poprawienia swego położenia materyalnego i swego stanowiska w społeczeństwie, utrzymując ludność całą w stanie równości, więcéj do nędzy, niż do dobrobytu zbliżonym. Kultura i cywilizacya mogą postępować po rozmaitych drogach, ale sam postęp, samo ich rozwijanie się wypływać tylko może z osobis-

obchodzą się z fortuną, jak obcy gospodarze; odłużony majątek, przy którym właściciel nie ma nadziei utrzymania się, bywa żarliwiéj pustoszony, aniżeli przez najgorszą administracyą, dzierżawa bardziéj nieraz wyniszcza grunt, aniżeli współwłasność, albo i wspólne posiadanie, jest jeden tylko sposób skuteczny i prawie niemylny zapewnienia się na przyszłość, że majątki będą dobrze zagospodarowane: ustanowić fideikomisy, majoraty tak szlacheckie, jako i chłopskie, odjąć właścicielowi prawo rozporządzania, odłużania i alienowania majątku i uchylić możność drobienia go przez działy przy spadkach. Przy równych działach spadku pomiędzy synami muszą się kruszyć fortuny, muszą się tworzyć szachownice, rozprzęgać wielkie, dobrze urządzone gospodarstwa. Anglicy, Niemcy i szlachta w prowincyach nadbaltyckich pojęli to i wprowadzili systemat niepodzielnych osad kmiecych, urządzanych kolonialnie (geschlossene Bauernhöfe). Przez wprowadzenie takiego urządzenia majątki unieruchomiają się, stają się trwalsze, rolnictwo czyni postępy znaczne i widoczne, lecz zmniejsza się liczba właścicieli, i z klasy rolniczéj wyciska się ogromna masa ludzi luźnych, odciętych od ziemi, wywłaszczonych, *masse flotante*, zawiązek proletaryatu. Dobrobyt szczęśliwych wybrańców losu wzmaga się do bardzo wysokiego stopnia, lecz przeciętnie przy największych postępach rolnictwa tworzy się stan i porządek rzeczy, dla ogółu bez porównania uciążliwszy i gorszy. Cóż jest ważniejsze, czego bardziéj życzyć wypadnie: czy podniesienia ogólnego dobrobytu masy, czy podniesienia produkcyi rolniczéj, bez względu na dobrobyt mieszkańców? Co pożyteczniejsze: czy zamożność mierna, podnosząca się zwolna i stopniowo, ale równomiernie, czy też skupienie niezmiernych bogactw w niewielu rękach i spotęgowanie do najwyższego stopnia umiejętnych sposobów uprawy, ale zarazem wybujanie obok tych bogactw olbrzymich najohydniejszéj nędzy? Że kultura i ludzkość mogą być z sobą w rozbracie, to rzecz wiadoma; dowodem tego wszystkie teorye europejskiego socyalizmu i komunizmu, które wyrastają z wadliwego podziału wytwarzanych bogactw. Zagadnienie, w taki sposób stawiane, wyrasta po za granice przedmiotu: organizacyi własności włościańskiéj, trąca o kwestye najżywotniejsze, teraźniejsze i przyszłe, o wielką i małą własność i uprawę w ogóle, o losy arystokracyi

---

tych usiłowań każdego, pojedynczo wziętego obywatela kraju, z usiłowań jego, dążących do oświecania się, do zwiększenia swego dobrobytu, do moralnego podniesienia siebie samego i swego stanowiska; gdzie tych usiłowań nie ma, lub gdzie one są zbyt słabe, tam żadne ogólne urządzenia prawne lub ekonomiczne skutecznie działać nie zdołają. (*Przyp Red.*).

i demokracyi, europejskiéj w ogóle i rosyjskiéj w szczególności, o cele i hasła tych dwóch walczących obozów.—Wszystkie sympatye księcia Wasilczykowa są po stronie demokracyi, w jego rozumowaniach zastanawiają czytelnika, obeznanego z wytycznemi punktami na polu téj walki, zarzuty autora przeciwko nieodpowiedniemu formułowaniu kwestyi spornéj i środki podawane prezezeń do rozwiązania sporu w Rossyi, zgodne z prądem czasu i głównemi kierunkami umysłowemi wieku.

XII. Spiérano się zawzięcie i do przesytu pod dwoma hasłami wielkiéj, albo małéj własności. Spór był o słowa, źle i fałszywie formułowanym. „*Latifundia perdidere Italiam*“, wyrzekł Pliniusz, Anglia przeciwnie zbogaciła się i doszła do najwyższéj kultury przy ześrodkowaniu ziemi w ręku 30.000 właścicieli. Przeciętny obszar angielskiego estate wynosi tylko 458 dz. (1832 m.), a irlandzkiego 889 dz. (3556 m.), więc w Irlandyi ześrodkowanie jeszcze większe, niż w Anglii, lecz fermy irlandzkie są o dziewięć razy mniejsze, niż angielskie, więc na tych kolosalnych, ale wyniszczonych majątkach, gnieżdżą się roje wychudłych i spracowanych nędzarzy, więc przez szczególny zbieg okoliczności największa, co do rozmiaru, własność kojarzy się z najdrobniejszą uprawą rękami bezziemnych proletaryuszów. Dla rolnictwa najobojętniejszą jest rzeczą, jak się dzieli, albo skupia własność, lecz chodzi głównie o to, jak ziemia ta zagospodarowana, więc o wielką, albo małą uprawę, która niekoniecznie chodzi w parze z wielką, albo małą własnością. Dodajmy, że same pojęcia o wielkiéj, albo małéj własności są nadzwyczaj mgliste, niewyraźne i dowolnie rozgraniczone.—Zwykle klasyfikuje się własność na trzy kategorye: największa, średnia i mała. Dla przykładu weźmy podziały czynione w Prussach i Rossyi.

W r. 1849 według Mannteufla, niegdyś ministra, Prussy liczyły na 20 mil. mieszkańców 490 bogatych właścicieli dóbr ziemskich, mających przeszło 8 t. talarów dochodu.—W Rossyi, ks. W. nalicza obecnie na 80 m. mieszkańców, nie więcéj nad 1.500 magnatów, pobierających przeszło 10.000 rs. czystego dochodu. Ten hoher Adel, nobility, zajmuje stanowisko wydatne i wpływowe politycznie nawet po zniesieniu kastowych przywilejów. Szeregi tego możnowładztwa rekrutują się zbogaciałymi parweniuszami, którzy dobijają się z największemi ofiarami, by wejść w zamknięte zaczarowane koło wielkiego świata, by się z noblesą skoligacić. Magnaterya angielska i niemiecka podoba sobie w gospodarstwie rolném, w angielskiéj są we zwyczaju i modzie kosztowne zabawki, fermy wzorowe, niedające żadnego pojęcia o gospodarstwie krajowém, ale świadczące o sielskich gustach wielkich panów i dobre na popis przed cudzo-

ziemcami.—Wiadomo, że grandowie hiszpańscy, panowie włoscy, stronili zawsze od wsi, przekładali miasta, a $^{9}/_{10}$ noblesy francuskiéj gnieździło się w Wersalu, albo Paryżu, krążąc około słońca władzy królewskiéj. Rozbrat całkowity bojarów rosyjskich ze wsią datuje się wedle autora od końca panowania Aleksandra I; cesarz Mikołaj pociągnął ich i przywiązał do dworu i gwardyi. Absenteizm stał się regułą, pobyt na wsi upośledzeniem i karą, wielki pan, agronom (jak naprzykład, hr. Bobryński, założyciel cukrowni w Kijowskiém) uchodził za ekscentryka, marzyciela, czasami nawet zwracano nań uwagę, jako na niebezpiecznego ideologa.—W ciągu ostatnich lat 40, albo 50, wyższa szlachta aklimatyzowała się w Petersburgu, około Moskwy, wyzyskiwała włościan przez pańszczyznę, w innych miejscach puściła ich wolno, biorąc z nich tylko wielkie *obroki*, przez co przybyło chłopom samoistności, lud się od szlachty odzwyczaił, ona téż od ludu; w chwili stanowczéj r. 1861, skutkiem nieznajomości stosunków rolnych, arystokracya nie umiała powstrzymać i zmodyfikować na swą korzyść reformy. Wybujałe drzewo téj magnateryi, tak młodéj jeszcze wedle autora, bo dopiéro od Elżbiety i Katarzyny II datujące swój początek, spróchniałe jest w rdzeniu i chyli się ku szybkiemu upadkowi, nie ma bowiem w gruncie żadnych korzeni. Wyjątek zeń stanowią baronowie prowincyj nadbaltyckich, téj niezdobytéj twierdzy arystokratyzmu.

Od magnateryi różni się wszędzie Junkerthum, gentry, ziemiaństwo, średnie obywatelstwo. Zaraza absenteizmu, grasująca na szczytach towarzystwa, wywarła wpływ przeważny i na całą pomniejszą szlachtę rosyjską. Usuńmy kraj zachodni i południowo zachodni, w wielkoruskich guberniach wszystko co zdolniejsze ciągnęło do armii, do kancellaryi, na roli siedzieli zwyle tylko niedołężni, a i być inaczéj nie mogło przy ogólnéj stagnacyi i politycznéj i ekonomicznéj. Szlachta cała odzwyczaiła się od roli, nikt nie zaprzeczy, że na ogół właściciele zyskali na usamowolnieniu włościan, ale gospodarstwa pańskie się rozprzęgły, pieniądze, otrzymane za wykup, zostały już spożyte, ziemie przechodzą w ręce nabywców z klasy kupieckiéj, albo puszczane są w dzierżawę. Jeżeli większa własność ma swoje niezbite uzasadnienie w tém, że ona jedynie umożebnia gospodarstwo leśne, udoskonalony chów bydła, owczarnie, zakłady rolniczo-przemysłowe, jako to gorzelnie, cukrownie, wszystkie te zalety nikną przy fatalném i agronomicznie najgorszém skombinowaniu się dwóch warunków, wielkiéj własności i drobnéj, prawie ręcznéj uprawy na cudzym gruncie. Nakoniec, mała własność po za pewnemi granicami niechybnie stać się może klęską, źródłem złych następstw, przyczyną skarg na pokruszenie się na proszek i mobilizacyą własności ziemskiéj (Wołowski: De la division du sol en France 1857). Weźmy ubo-

gich właścicieli francuskich, niepłacących zgoła z powodu ubóstwa żadnego podatku 3 miliony (z tymi, co płacą mniéj 5 centów 3.600.000); zaiste, są to ludzie z nazwiska tylko posesyonaci, zarobkujący na życie po za domem i skibą, niczém prawie nieodróżniający się od najemników. W Rossyi na wschodzie za Wołgą od gubernii Niżegorodzkiéj do Saratowskiéj jest pas cały gubernij, w których chłopi, znęceni darem Danaów, pokwapili się na wzięcie zadarmo bez wykupu tak zwanéj ćwierci, czyli inaczéj „żebraczego nadziału“ (*niszczenskij nadieł*), rachując na to, że im dogodniéj będzie najmować cudze ziemie, aniżeli wykupić swoje pola na własność. Dziś ceny dzierżaw i ziemi podskoczyły w górę, i w kraju żebraczego nadziału mamy całe wioski bez gruntów, zawiązek proletaryatu wiejskiego na obszarach, jeszcze bardzo pustych. Więc wielka własność jest wyrazem bez treści, skoro niezawsze odpowiada wielkiéj uprawie, mała własność staje się z czasem przez kruszenie się jeszcze mniejszą i w końcu może się okazać pozbawioną wszelkiéj korzyści, jaką przedstawia zapobiegliwość człowieka na własném gospodarstwie siedzącego, skoro się stanie tak mała, że nie ma prawie na czém gospodarzyć i z czego się wyżywić. Więc, porzuciwszy stare hasła i podziały, należy wynaléźć inne podstawy dla rozumowań.

Nie o wielką, albo małą własność, i nawet nie o wielką, albo małą uprawę chodzi głównie w téj kwestyi, lecz o własne na ziemi swojéj gospodarstwo, lecz o stosunek przestrzeni, na których gospodarują sami właściciele do rozległości gruntów wydzierżawionych. W zachodniéj Europie w skutek przeludnienia, stosunek ten ustawicznie postępuje w jednym kierunku, dzierżawa bierze górę nad gospodarstwem właściciela, renta staje się normą. W Anglii cały prawie obszar ziemi ornéj jest wydzierżawiony, w Belgii dzierżawa ma się do właściwego gospodarstwą jak 3 do 1, w zachodnich Niemczech dzierżawione fermy wyciskają wszelki inny sposób wyzyskiwania gruntu, we Francyi z najmu, lub wydzierżawiania utrzymuje się cały plebs ubogich właścicieli. Klasa wolnych kmieci-właścicieli ginie w całéj Europie! woła autor, zaszła w niéj schyzma, część mniéjsza zbogaciała, zaokrągliła się, przeszła w arystokracyą chłopską, panoszy się stopniowo i przyczepia do szlacheckiego obywatelstwa, wciskając się w jego szeregi, większa część spada coraz niżej w otchłań ludzi luźnych, zdeklasowanych, pracą ręczną z dnia na dzień utrzymujących się najemników. Przez rozszérzającą się między rozszczepionemi klasami szparę wychodzi i kroczy coraz daléj czerwone widmo: droit au travail, poor-taxe, socyalizm, rewolucyjne ruchy i zamachy, które nigdy się jeszcze dotąd nie-

powiodły. Nigdzie dotąd zrewolucyonizowana demokracya nie uorganizowała własności ziemskiéj, a jéj trybunowie i przywódcy dopinali wprawdzie li tylko dla siebie tego wszystkiego, czém nęcili lud: sławy, bogactwa, zaszczytów, lecz osiągali te owoce, jako odstępcy. W żyły arystokracyi wsączało się kropel nieco krwi nowéj, zresztą nic się nie działo dla polepszenia losu klas ubogich i pracujących ręcznie. By zażegnać to widmo, by uniknąć i tych walk ciężkich domowych i szamotań się bezowocnych, książę Wasilczykow proponuje już dzisiaj przedsiębrać środki zaradcze, usuwające niebezpieczeństwo, uprzedzić rozwijanie się proletaryatu i w społeczeństwie, stosunkowo młodém i nowém, gdzie nic się jeszcze nie ustaliło, konsolidować demokracyą na mocnych a racyonalnych podstawach. Nie bierzemy na się obowiązku wyrokowania o tém, na ile zdały się środki proponowane, na ile są praktyczne i racyonalne podawane plany, robimy tylko proste sprawozdanie z myśli głównéj autora, a myśl ta jest następna.

Ideałem dla przyszłego rolnictwa, normalnym pożądanym stanem, do którego dążyć powinny i wszystkie klasy posesyonatów i polityka prawodawcza, powinny być: własna praca i piecza bezpośrednia około swojéj ziemi. Własność musi się dzielić na większą i mniejszą, zarówno są niezbędne obadwa te typy. Dla każdego z tych typów można wykreślić przez przybliżenie normalną wielkość, rozmiar, w granicach którego w ręku umiejętnego gospodarza majątek dostarczy dlań stosunkowo jak największe korzyści. Do typu własności większéj zalicza się każda, którą właściciel administruje przez najętych robotników, dozierając ich tylko, nie zaś pracując na roli. Przez gospodarowanie na większą skalę osiągają się znakomite korzyści, zaoszczędza się praca; jeżeli naprzykład w gospodarstwach włościańskich 10 dziesięcin przypada na 1 męzkiego robotnika, na 100 dziesięcin w gospodarstwie parobczaném wystarczy 7, albo 8 parobków. Skoro majątek jest większy, właściciel nie może już podołać zarządowi onego bezpośredniemu, trzymać musi rządców, urządzać całe bióra, pochłaniające część dochodów, albo wydzierżawiać części majątku, administracya staje się zbyt kosztowną, i majątek daje dochód mniéjszy niżby dały też ziemie, podzielone na folwarki i gospodarstwa szczuplejsze. Takim właśnie folwarkom średniego rozmiaru zawdzięcza Francya bezprzykładnie piękny stan swego rolnictwa (½ miliona właścicieli, posiadających od 52 do 127 morgów n. p. czyli od 27 do 65 dzies.). Nawet w Anglii majątki podzielone są na folwarki, obejmujące od 290 do 500 morgów n. p. (150—250 dziesięcin). Dla środkowych wielkorosyjskich, prowadzących gospodarstwo trójpolowe, autor podaje za normę wła-

snościobywatelskiéj od 200 do 300 dziesięcin (390 do 580 morgów n. p.). Daleko łatwiéj, niż dla większéj własności, da się wyliczyć norma własności małéj, na któréj może gospodarzyć nie ród cały chłopski, nader mnożny, ale jedna rodzina: mąż z żoną i podrastającemi dziećmi. Przy podatku *podusznym* teraźniejszym zwykle wypada w Wielkorossyi na 100 dusz, zapisanych w rewizyi, nieco więcéj nad połowę (50—55) robotników dorosłych, tak, że na dom, czy familią przeciętnie liczyć trzeba 1 mężczyznę dojrzałego i 1 podrostka, czyli 1½ robotnika. Na tak obliczaną rodzinę jakiż winien przypadać obszar ziemi? Tu zaczepiamy o kwestyą, zdawna już roztrząsaną przez uczonych niemieckich, jak trzeba obliczać ten obszar, czy wedle tego, z czego się może utrzymać rodzina, czy wedle tego, ile może własnemi siłami należycie uprawić, spór o przyjęcie jednéj z dwóch zasad: *Nahrungsfläche* albo *Arbeitsfläche*. Norma, zastosowana do sił, zwykle jest większą od normy wedle potrzeb, bo wystarcza nietylko na opędzenie potrzeb, ale i na zaoszczędzenie zasobu. Mimo więc brzmienia ukazów i ustawy 19 Lutego r. 1861, w któréj stawione jest, jako pobudka do reformy, żądanie, aby włościanie zabezpieczeni byli uposażeniem odpowiedniém ich potrzebom, książę W. staje stanowczo po stronie normy sił i oblicza ile przypadnie ziemi na rodzinę, przyjmując w niéj po wielkorosyjsku po 1,5 męzkiego robotnika i tyleż żeńskiego, a w ogóle 3 pełne robocze siły obojéj płci. W Szkocyi obszar ten wynosi 29 morgów n. p. (15 dziesięcin), w Irlandyi 12,7 do 20 m. n. p. (6½ — 10½ dz.), w północnych Niemczech sięga do 29 m. n. p. (15 dzies.)—południowych od 7,8 do 9,7 m. n. p. (4 do 5 dzies). W Rossyi, biorąc na ogół, ziemia nie jest gorsza, aniżeli w Europie, ale klimat surowszy, krótsza więc pora robocza, lecz z drugiéj strony w nałóg weszła uprawa ekstensyjna, więcéj stosunkowo uprawia się ziemi, ale w gorszy, niż w Europie sposób. Przy tych warunkach, na zasadzie bardzo długich i pracowitych obliczeń, wnioskuje autor, że w Rossyi uposażenie całéj rodziny chłopskiéj nie powinno przenosić 19½ do 29 morgów (10 do 15 dzies.), 19½ w guberniach środkowych, gdzie się utrwaliło trójpolowe gospodarstwo, zaś 29 morgów w stepowych, w których robocza pora trwa tylko półroku i grunt nigdy się nie mierzwi nawozem. Nie może być nic gorszego dla włościan nad zbytnią obszerność danego im gruntu; nie będąc w stanie uprawić go, wydzierżawiają, nie znajdując ochotników, zapuszczają i rzucają swoje pola, wycieńczywszy je do ostatka. Odłogiem rzucona ziemia pustuje, a skoro na gminie i jéj członkach urośnie dość znaczna suma zaległości podatkowych, bogatsi chłopi, albo kupcy i przemysłowcy biorą je za pół ceny w dzierżawę. Nie ma gorszego

daru dla włościanina wielkorosyjskiego nad zbyt obszerne grunta, a są zbyteczne tego rodzaju nadziały w skrajnych guberniach wschodnich i północnych [(Wołogodzkiéj, Wiackiéj, Ołoneckiéj po 45 do 51 morg. n. p. (23—26 dz.), Samarskiéj 56½ morg. (29 dzies.), Orenbruskiéj blisko po 90 mor. (46 dz.), Astrachańskiéj po 117 morg. (60 dzies.), ziemi wojsk kozaczych po 340 do 905 morg. (174—464 dzies.)]. Skoro w pewnych częściach państwa dają się czuć niedogodności przeludnienia, inne zaś części cierpią brak odpowiedniéj ludności, trzeba wyrównać przeciwieństwa i zbytkiem ludności jednych zaludnić pustkowia drugich krain i prowincyj. Wszelka polityka agrarna zamykać się musi systematem kolonizacyi, stanowiącym jéj uzupełnienie i koronę. Redaktorowie ustawy z 19 Lutego 1861 przewidywali tę konieczność ułatwienia przesiedleń dla zapobieżenia proletaryatowi, więc warowali po 9 latach (art. 131 Ogól. część ustawy) prawo wolnego przesiedlania się włościan. Kiedy nastąpił rok ów dziewiąty, inne panowały już kierunki, i inni ludzie stali u stéru sprawy włościańskiéj. Przemogły obawy panów nadbaltyckich, aby ich parobcy — Estowie i Łotysze — nie pociągnęli gromadnie na wschód, rzucono przepowiednię o masowych ruchach włościaństwa, które przypomną czasy Pugaczewa; rok dziewiąty zbiegł się przytém z nieurodzajem na północy, ustawa włościańska nie została w tym punkcie dotąd wykonaną, ztąd jéj połowiczność i niedostateczność, zanim nie będzie rozwinięty na szerokich podstawach system kolonizacyi. Nie pójdziemy za autorem w jego treściwym przeglądzie wszystkich nowszych systematów kolonizowania, używanych przez Hiszpanią, Francyą, Anglią, Amerykę, kolonii rządowych i prywatnych, nadawania ziem kompaniom i emerytom służby rządowéj, *colonies à plantations et colonies agricoles*; ciekawe te szczegóły można znaléźć w najlepszém dziś dziele o kolonizacyi Leroy-Beaulieu, De la colonisation des peuples modernes; Paris 1874. Pominiemy również historyczne opisy, jak się zaludniały kraj Doński, kraj za Kaukazem, ziemie z obu stron pasma gór Uralskich. Zatrzymamy się tylko na chwilę nad głównemi prądami emigracyi chłopskiéj obecnie, nad tém, zkąd ciągną i dokąd ciągną bez rządowéj pomocy rodziny przedsiębierczych rolników. Główną skazówką tego ciągnienia są już tylokrotnie wspominane *otchożyje promysła*, zarobkowania wędrownych robotników daleko po za domem i rolą, często o kilka set, albo tysięcy wiorst. W całéj Rossyi przyrost roczny ludności da się oznaczyć cyfrą od 800 do 900 t. (1,12 do 1,14%). Najbardziéj przeludnionemi są środkowe gubernie. Najobfitsza emigracya miała dotąd miejsce z Małorossyi zadnieprzańskiéj (gub. Charkowska i Kurska) na południe i z dorzecza Oki (od Riazania do

Symbirska) na wschód do Uralu i za Ural;—w najnowszych czasach wielki zasiłek do téj emigracyi daje wschodni brzeg strefy czarnoziemnéj, gubernie *żebraczego ćwierciowego nadziału*. Autor wnosi, że powinnoby téż przybywać dużo ochotników z Podola, Wołynia. Ukrainy, gdzie przemaga własność pańska nad chłopską, i gdzie włościanin, poszukujący dzierżawy, współubiega się z drobną szlachtą i żydami. Jako terytoryum, mające być kolonizowaném, autor podaje kraj za Wołgą i Donem, stepy Baszkirskie, Kałmyckie, Kirgiskie aż do podgórza Kaukazkiego. Należałoby położyć koniec rozdawnictwu w tych krainach ziemi rządowéj wysłużonym urzędnikom, zmierzyć ziemię i sporządzić plany, ułatwić komunikacye, urządzić bióra informacyjne dla wysiedleńców, wreszcię rozpocząć sprzedaż ziemi małemi przestrzeniami, nieprzechodzącemi sił roboczych jednéj rodziny osadników, za tanie piéniądze po 3 do 4 rubli za dziesięcinę. Możnaby dopełnić system kolonizacyi urządzeniem instytucyi kredytowéj, którąby skupowała ziemie zajęte już na własność przez wielkich właścicieli i dawała osiedleńcom zaliczki.

Pełna głębokich studyów praca księcia Wasilczykowa porusza tysiące najżywotniejszych kwestyj chwili obecnéj. Rozstając się z nią. kończymy nasze krótkie i niewyczerpujące jéj wcale sprawozdanie życzeniem, aby ukazał się co najprędzéj zupełny jéj przekład w języku polskim.

W. Spasowicz.

KRYTYKA.

Listy Juliusza Słowackiego do matki. Tom I. Listy z lat 1830 — 1835. Tom II. Listy z lat 1836 — 1849. Lwów. 1876.

Niniejsza korespondencya wielkiego poety z całego czasu, spędzonego przezeń za granicą aż do śmierci, obecnie po raz piérwszy oddzielnie wydrukowana, posłużyła już przed 6 laty A. Małeckiemu do skreślenia biografii Słowackiego w cenném dwutomowém dziele o jego życiu i pismach. Małecki przytoczył dosłownie ważniejsze ustępy z tych listów, a z Małeckiego czerpał L. Sowiński w świeżo wydanym III tomie najnowszéj Historyi Literatury Polskiéj (Wilno u Zawadzkiego). Dla tego, pod względem faktów, obeznany z dwoma wymienionemi dziełami czytelnik mało tu znajdzie nowego; wszelako, jako materyał źródłowy i autentyczny, wydana obecnie korespondencya jést ważnym przyczynkiem, ułatwiającym wyrobienie dokładnego pojęcia o charakterze poety, który odbił się w jego dziełach, a jedno i drugie u nas dotychczas bardzo mało były znane. Poezya Słowackiego, ze wszystkiemi jéj dodatniemi i ujemnemi cechami, była samodzielnym wypływem jego potężnego ducha, niezależnym od czynników postronnych: że tak było istotnie, tego dowodzi właśnie niniejsza korespondencya. Ciche życie rodzinne w dworku krzemienieckim, wpływ i urok ojca Euzebiusza Słowackiego, miernego pisarza i profesora, następnie niezbyt świetne studya młodego Juliusza w uniwersytecie wileńskim, który już wtedy chylił się ku upadkowi — wszystko to zgoła nie mogło wzbudzić „w czarnowłosém dziecku“ téj iskry potężnego geniuszu, którym późniéj zabłysnął. „Nie widzimy téż wcale, ażeby piérwsza miłość dziecinna Juliusza do znacznie starszéj od siebie Ludwiki S. wpłynę-

ła na rozwój jego zdolności poetyckich, albo dodała skrzydeł jego natchnieniu, choćby w takim tylko stopniu, w jakim miłość ku Maryli podziałała na Adama. W ogóle piérwsza młodość Słowackiego upłynęła pośród ludzi, pod każdym względem miernych, i w epoce, dość jałowéj, a jednak cudowne dziecko czuło już w sobie iskrę geniuszu i postanowiło zostać sławném. „W dzieciństwie — pisze Słowacki do matki z Paryża, zapewne tylko przypominając znaną jéj dobrze okoliczność—kiedy byłem egzaltowanie nabożnym, modliłem się do Boga często i gorąco, ażeby mi dał życie jak najnędzniejsze, żebym był pogardzany przez cały wiek mój, i tylko za to, żeby mi dał sławę nieśmiertelną po śmierci. Widząc teraz, jak się skierowały wszystkie okoliczności i uczucia moje, widzę wyraźnie i czasem przekonany jestem, że jakaś nadprzyrodzona moc pochwyciła moje prośby i dotrzymała mi układu“.

Poezya Słowackiego jest, jak wiadomo, zupełnie podmiotową, podobnie jak poezya Bajrona, i niedarmo sam poeta cieszył się i z upodobaniem powtarzał, że Plater i inni rodacy w Paryżu nazywali go polskim Bajronem. Fantastyczność, gorycz, duch krytyki rozumowéj, kapryśne zwroty od negacyi do ideałów wiary, miłości i nadziei — wszystko to wylewało się w utworach Słowackiego w miarę tego, jak rozwijało się i rosło w nim samym. Ztąd jego poezye, bardziéj, niż utwory innego jakiego poety, są zwierciadłem jego własnego ducha, a dzieje jego życia są zarazem historyą i kluczem do zrozumienia jego utworów.

Niniejsza korespondencya istotnie stwierdza, że Słowacki nie kłamał, wprowadzając do swéj poezyi swoję własną postać pod rozmaitemi imionami Araba, Mnicha, Hugona, Żmii, Kordyana itp.; ażeby zaś te postacie uważać za doskonałe i własną poezyą za mistrzowską, potrzeba było do tego niepomiernego zamiłowania w samym sobie i zarozumiałości: jakoż charakter poety, odzwierciedlony w jego korespondencyi, wykazuje te wady w stopniu wysokim, bodaj, że najwyższym.

W zupełnéj zgodzie z tém wszystkiém, cośmy powiedzieli, jest czysto osobisty, nawet egoistyczny, charakter całéj korespondencyi, która pod tym względem różni się od podobnych korespondencyj wielu innych znakomitych mężów. W listach innych wielkich ludzi, choćby np. Mickiewicza, odbija się charakter epoki, odzwierciadlają się wypadki spółczesne, występuje mnóstwo osobistości, związanych z główną osobą stosunkami przyjaźni lub węzłami innych wpływów, tak, że owe korespondencye bywają materyałem do dziejów pewnego okrésu i jego ruchu umysłowego. W listach Słowackiego tak dobrze jak nie ma nic z tego wszystkiego: wszystko

w nich ściąga się, prawie wyłącznie i bezpośrednio, do osoby samego poety. Wprawdzie, wszystkie te listy były pisane do jednéj osoby — do matki poety — i ztąd z konieczności mają charakter poufny i rodzinny; ale poeta nie ukrywał nic przed matką, i jeśli potrąca w swojéj korespondencyi o niektóre wypadki i osobistości, to, z wyjątkiem może początkowych wydarzeń i końcowych listów, pisanych pod wpływem towiańszczyzny, aż nadto widoczną jest rzeczą, jak wszyscy i wszystko było obojętném dla Słowackiego, jak mało go obchodziło to, co nie miało związku z jego osobą i sławą literacką. Stosunki jego z ludźmi, nawet przelotne sercowe, były zimne lub kapryśne; ziomków i towarzyszów tułactwa cenił w ogólności mało: tylko Krasińskiego, i to niedługo, a w ostatnich latach Szczęsnego Felińskiego zaszczycał swoją przyjaźnią; innych, zwłaszcza sławnych i zasłużonych, jak np. Lelewela, a szczególniéj Mickiewicza, poeta traktował niechętnie, powodowany głównie — smutno to wyznać — zawiścią. Epoka, w któréj przypadła krótka działalność Słowackiego, tak mało wywiérała na niego wpływu, że, z małym wyjątkiem, możnaby, opuściwszy daty, zapomnieć całkiem o czasie, w którym żył poeta. Zewnętrzne okoliczności i wypadki, pobieżnie dotknięte lub od niechcenia naszkicowane, prześliznęły się bez wielkich wpływów na ducha i twórczość poety, z wyjątkiem może podróży na wschód i znajomości z Towiańskim, ale i tych dwóch okoliczności działanie nie było zbyt znacznem, ani trwałém.

Jeden tylko list piérwszy pisany był przez Słowackiego jeszcze z Warszawy we Wrześniu roku 1830. Poetę nudziła praca biurowa w ministeryum skarbu, a choć wówczas (liczył dopiéro 21 rok życia) nic jeszcze nie był drukował, znano już jednak jego utwory w rękopiśmie. Opisuje tu szczegółowo swoję wizytę u Niemcewicza w Ursynowie i pochlebne zdanie sędziwego poety o tragedyi Mindowe. Wkrótce potém, jak wiadomo, Słowacki nagle wyjechał z Warszawy za granicę. W następnych listach, pisanych z Wrocławia i Drezna, chwilami gorzko tego żałuje, często nawet pogardza sam sobą za to, że nie pośpieszył tam, dokąd inni spieszyli; cieszy się wreszcie, że dostało mu się jakieś polecenie do Londynu i Paryża, które zresztą miało pozostać bezskutecznem. Czas więc jakiś upłynął poecie na działalności praktycznéj, do któréj nie był stworzony. W dalszych listach z Paryża donosi o wydrukowaniu swoich poezyj u panien Pinard r. 1832 i o przelotném uczuciu dla panny Kory Pinard, prędko stłumionem kapryśnie, podobnie, jak i wszystkie inne tego rodzaju stosunki. Poeta był niezmiernie uszczęśliwiony tém, że nakoniec ujrzał się w drukowanéj szacie. Owa piérwsza edycya, która dziś jest rzadkością, zawiérała poemata:

Jan Bielecki, Hugo, Mnich, Arab, Żmija, i dwie tragedye: Mindowe i Marya Stuart. Słowacki chwytał chciwie i skrzętnie notował wszelkie—dość zresztą skąpe—pochwały krytyki: szczególniéj chlubi się uznaniem niektórych cudzoziemców, którzy, jak się zdaje, byli dlań nieco łaskawsi od ziomków. W jednym z listów z końca r. 1832 opisuje piérwsze swoje spotkanie z Mickiewiczem i niechęć, którą powziął ku niemu dla tego głównie, że nie chciał uznać jego przed sobą piérwszeństwa. Nieraz w dalszych listach ironicznie mówi o Mickiewiczu: „ów starszy i większy odemnie"; zniża się nawet aż do drwinek z powierzchowności i ubioru Adama. Późniéj wiadoma wzmianka w Dziadach o d-rze Becu, ojczymie Słowackiego, i również słynne zdanie Mickiewicza o poezyi Juliusza, jako o „pięknym kościele bez Boga", utrwaliły i zaostrzyły owę niechęć. Nie przeszkodziła ona jednak Słowackiemu pisać do matki o „Panu Tadeuszu" w słowach wielce pochlebnych.

Z listów paryskich widać, że Słowacki, od czasu do czasu, rzucał się w wir światowy, odegrywał rolę „petit-maître", jak powiada, dla kontrastu, ażeby nikt, widząc go wieczorem, nie domyślił się, jakim jest zrana. Stan ducha poety był coraz to posępniejszym: do zgryzot nad swoją bezczynnością i do tego nieokreślonego cierpienia, które wielkie umysły częstokroć sobie tworzą, ażeby rozkoszować się boleścią, przyłączyły się kłopoty finansowe, przekonanie o braku uznania ze strony ziomków i wreszcie nieporozumienia z przyjaciołmi Mickiewicza. Ta ostatnia okoliczność spowodowała nawet prawdopodobnie wyjazd Słowackiego do Genewy. W pisanych z tego miasta listach (1832—1836) Słowacki maluje swój stosunek z Eglantyną—z jéj strony serdeczny, ze swojéj—jak zwykle—oziębły i lekceważący, a następnie swoję znajomość z panną Maryą W., o któréj dziś jeszcze trudno powiedzieć, czy istotnie była zabarwiona ze strony poety uczuciem żywszém, czy téż tylko wymarzoném, potrzebném mu do skréślenia cudnego klejnotu erotycznego—poemaciku: „W Szwajcaryi."

Tom drugi rozpoczyna się listami pisanemi z Rzymu i z Neapolu, dokąd poeta uciekł po części przed Eglantyną, jak uprzednio opuścił był Genewę i dom, w którym mieszkała bohatérka poematu: „W Szwajcaryi." Te listy z Włoch są najmniéj może zajmujące, gdyż mało malują nam stan ducha poety, a również daremném byłoby szukać w nich artystycznych opisów klasycznéj ziemi, albo świetnych dziejowych i filozoficznych poglądów, które zdolne obudzić widok ruin tak wielkiéj przeszłości. Treść tych listów odznacza się jakiémś ułamkowém rozproszeniem, zapewne odpowiedniém podobnemuż rozproszeniu ducha i myśli. Rzym i Pompeja bardzo

słabe uczyniły wrażenie na poecie; więcéj przemówił do jego wyobraźni ognisty Wezuwiusz. W tym czasie Słowacki ożywiał się niekiedy, więcéj obcował z ludźmi: w Rzymie to właśnie zawiązał przyjaźń z Zygmuntem Krasińskim, a czas jakiś podróżował wspólnie ze szwagrem Januszewskim. Donosi jednak matce, że zwykle „gryzie się“ codzień od 10-éj do 4-éj, a w zakończeniu jednego z listów powiada: „serce moje pełne łez i boleści, przywykłe do jakiéjś dzikiéj samotności, albo do wzruszeń nagłych i ognistych, nie zaś do ciągłego zapiecowego życia.“ Myśl o smutnéj bez nadziei przyszłości trapiła wrażliwą duszę poety: „prześmiawszy się czasem”, pisze, „nad miarę w teatrze, smutniejszy jestem potém, kiedy myślę o téj mojéj biédnéj przyszłości.“ Z krewnymi nie umiał być zawsze serdecznym, o co sam oskarża się przed matką w jednym z listów; opuścił był ich nawet na cały miesiąc i zostawił w Neapolu, przepędziwszy samotnie cały miesiąc w Sorrento. Po powrocie ztamtąd, pisze, że odzyskał spokój i równowagę, i że „przeszedł w stan petryfikacyi.“

Dalsze listy z podróży na wschód (1836—1837) są częścią korespondencyi, najbogatszą w opisy i obrazy wrażeń. Pobyt w Egipcie i w Grecyi (ten ostatni najskąpiéj odmalowany), kwarantanna w El Arisch, zwiedzenie miejsc świętych, wreszcie samotny pobyt poety w klasztorze na Libanie—wszystko to przedstawione szerokiemi zarysami i mistrzowskiemi rzutami pędzla. Wzruszającym jest opis nocy, spędzonéj przez poetę we łzach i modlitwie u grobu Chrystusa—tam obudziło się w nim potężne uczucie religijne, o którém niekiedy zapominał; piękna ta karta jest jednym dowodem więcéj, że znane słowa Mickiewicza o kościele bez Boga bynajmniéj nie znaczą, jakoby Słowacki był bezbożnikiem: tylko, że niezawsze Juliusz, jako wieszcz, był zarazem kapłanem. Epokę podróży swojéj na wschód sam poeta uważał za najpiękniejszą i najspokojniejszą w swém życiu. „Cóż ja mam robić na tym świecie”, pisze do matki z Bajrutu, „trzeba lecieć, gdzie wiatr powieje, i modlić się u Chrystusa, aby mi dał kiedyś ciszę i spokojność, a mam ufność, że ta podróż zupełnie bezużyteczną nie będzie, choćby tylko promień wspomnień takich pięknych miał upaść na starość moję, jeżeli dożyję starości.“ Wszelako, pod względem wpływu téj podróży na twórczość poetycką Słowackiego, wiadomo, że oprócz Ojca Zadżumionych i kilku postaci o zarysach wschodnich w niektórych jego późniejszych poematach, ta podróż nie natchnęła poety żadną większą kreacyą: znaleziono tylko w jego papiérach pośmiertnych ułamki niewykończonego utworu, który miał być czémś nakształt bajronowskich „Wędrówek Child Harolda.“ Dalsze listy z Florencyi, gdzie

poeta spędził więcéj, niż rok, po powrocie ze wschodu, przepełnione są nudą i niesmakiem. Natchnienia przychodziło mu niewiele, jak zwykle ludziom północy pod niebem włoskiém, podług własnego jego spostrzeżenia. Bywając w towarzystwach, tęskni za samotnością, to znowu pośród samotności pragnie towarzystwa. Włochy go nie zajmują i nudzą Włosi, u których „nie ma innéj wielkości, tylko wielkość gardła.“ Eglantynie, która go namawiała, aby do Genewy wrócił, daje listowną odprawę; ubolewa, że „brak mu jakiéjś podpórki, jakiéjś miłéj osóbki“, zawiązuje krótkotrwały stosunek z panną Anielą M., bogatą rodaczką, ale i ten, jak wszystkie, prędko zrywa. Panna wkrótce umarła, ale poeta pociesza się, że chyba nie z miłości ku niemu. Chwali się wreszcie jakąś florentynką, nową Fornaryną, a wreszcie rzuca wszystko i wyjeżdża do Paryża. Jednocześnie donosi matce, że oddał do druku dalsze swoje utwory, pomiędzy któremi był Anhelli—najlepsze dzieło poety, podług zdania Z. Krasińskiego.

Resztę listów, pisanych z Paryża w ciągu ostatnich 10 lat życia poety, podzielić można na dwie części. Piérwsza, z czasu przed r. 1842, pełna jest wyrazów goryczy i niechęci ku rodakom, do których towarzystwa Słowacki tak tęsknił, gdy był we Florencyi: „żyję z ludźmi, pisze np. w Listopadzie r. 1839, „którzy pełni są zazdrości, głupstw i robią, co mogą, abym ich nienawidził.“ Z Mickiewiczem poeta nasz chwilowo był się zbliżył, ale w r. 1841 znowu się poróżnił: wtedy to właśnie mieli obydwa słynne swe improwizacye na pewnym uroczystym obiedzie; improwizacya Słowackiego była cierpka i wyzywająca, a czarę jego niechęci ku Mickiewiczowi przepełniło żądanie niektórych spółbiesiadników, ażeby Słowacki sam wręczył Adamowi puhar pamiątkowy. Nie chciał na to przystać, ażeby niejako nie uznać się za wasala Mickiewicza. Żółciowe ustępy w wydrukowanym około tegoż czasu „Beniowskim“ powiększyły jeszcze rozbrat Słowackiego z celniejszymi rodakami. Cały ten szereg listów ubarwiają jedynie tkliwe wynurzenia dziecięcéj ku matce miłości. Już to w ogóle w całéj korespondencyi Słowacki dobiéra najbardziéj wymownych i poetycznych, w ich rzewnéj prostocie, wyrażeń swego synowskiego przywiązania: drży i płacze, odbierając listy matki, lub będąc długo pozbawionym od niéj wiadomości; ubolewa ciągle, że nieszczęśliwa jego gwiazda zmusza go do żądania od matki zasiłków; troszczy się o jéj wygody, dzieli się z nią swemi nadziejami i przeczuciami. Nigdzie jednak piękny ten stosunek synowski nie wyraża się tak tkliwie i rzewnie, jak właśnie w tych listach z Paryża, przepełnionych goryczą względem wszystkich innych ludzi.

Druga nakoniec i ostatnia część listów, począwszy od końca roku 1842, zawiéra jedynie marzenia i widzenia towiańszczyzny, któréj Słowacki uległ około tego czasu. Nawet do wyświetlenia i zrozumienia téj nauki, zawsze jeszcze niedokładnie ocenionéj, mało tu przyczynków, gdyż w ogóle marzenia i zachwyty poety w tych listach są dość monotonne, wszystkie mniéj więcéj w tym rodzaju: „świat się zmienia, garstka ludzi zaczyna duchem czystym i boskim spełniać, a raczéj gotować się do spełnienia woli Boga...., jest to proste obudzenie boskości w sercach przez człowieka czystego i bożego, który prowadzi nas małych, i pracujących teraz nad sobą, abyśmy się zmienili w sobie, stworzyli duchem i cierpieniem to, czego nam potrzeba, ten cel, wznioślej pojęty, niż wszystkie dotąd cele.... Sądziłem, że daleką jest epoka, w któréjby tłum cały lub garstka ludzi mogła się zebrać w imię boże i otrzymać od Boga obietnicę, że w pracy mi dopomoże wydrzéć, że tak powiém, nowe przymierze z Panem Panu samemu. Otóż Bóg przyśpieszył tę porę, ludzie stanęli... lecz Bóg pokazuje im tylko pracę dnia każdego, a na każde jutro zapuszcza zasłonę. Kto więc zapyta się tych ludzi: cóż wy zrobicie? nie otrzyma żadnéj zaspokajającéj jego rozum odpowiedzi..... Mojżesz nie wiedział nigdy pracy jutra, wiedział tylko o celu, do którego dążył“ i t. d. Słowacki pisze, że nowa nauka uspokoiła go i pogodziła z ludźmi: istotnie, może chwilowo zmniejszyła jego pychę i obudziła nieco pokory; obiecywał sobie także poeta obfite owoce poetyckie nowego natchnienia, doskonalsze od poprzednich, ale ta nadzieja, jak wiadomo, ziścić się nie miała. Bądź co bądź, usprawiedliwieniem dla wielkich umysłów, które dały się obłąkać mistycyzmowi Towiańskiego, mogą być nieco zmienione słowa Mickiewicza: „nie mieli sposobu, tutaj przyszli go dociec“..... Z ostatnich listów widać, że matka Słowackiego nie podzielała jego marzeń i obawiała się nawet mocno o stan duchowy i umysłowy syna, zwłaszcza po piérwszém od 18 lat, a ostatniém w życiu widzeniu się z nim we Wrocławiu (1848). Ostatni list zbioru, bezpośrednio do matki pisany, nosi datę 11 Września r. 1848, a najpóźniejszy jest list do Januszewskich z d. 4 Marca r. 1849, a więc na miesiąc przed zgonem poety pisany.

W końcu wypada nadmienić, że redakcya listów pozostawia wiele do życzenia pod względem formy: pomyłek korektorskich i innych tu mnóstwo, a wadliwa interpunkcya często sens nadweręża. Usterek językowych i stylowych nie możemy także policzyć na karb poety: wprawdzie mógł mistrz słowa pisać listy poufne nieco niedbale, ale tém bardziéj, ze względu na jego sławę, wypadało dać nam jego korespondencyą w nieco staranniejszéj redakcyi.

S.

Goethe, znaczenie jego prac na polu Biologii i Filozofii przyrody. Studyum, odczytane na publiczném posiedzeniu Towarzystwa Lekarzy Płockich przez D-ra Tymoteusza Stępniewskiego, vice-prezesa tegoż Towarzystwa. Warszawa 1877.

Autor zamierzył zaznajomić szérsze koło publiczności z znaczeniem prac i pomysłów Goethego na polu nauk przyrodniczych. Goethe słynie u nas, tylko jako poeta, mało zaś kto wié o tém, że poezya nie przeszkodziła mu być znakomitym filozofem przyrody, któremu postęp nauki zawdzięcza teoryą: iż liść jest zasadniczym organem rośliny, z którego inne dają się wyprowadzić, teoryą powstania czaszki z kręgów, oraz odkrycie kości międzyszczękowéj u człowieka. Nadto Goethe bardzo jasno naszkicował ogólne zarysy monistycznéj hypotezy rozwoju świata organicznego, która, dopiéro przed kilkunastu laty, zyskała szérszy rozgłos i uznanie. W formie odczytu popularnego udał się D-rowi S. jasno tę rzecz przedstawić, tak, że szerokie koła czytającéj publiczności będą mogły z wszelką łatwością poznać z tego odczytu Goethego, jako naturalistę.

Za mniéj właściwe w broszurze D-ra Stępniewskiego uważamy stawianie paraleli pomiędzy donioslością utworów poetycznych Goethego i prac jego naukowych. Zdaniem autora, że Goethe wystawił sobie trwalszy pomnik ostatniemi, niż piérwszemi, podziela bez wątpienia znaczny poczet uczonych, jednakże pojęcie to jest bardzo względne. Poeci i estetycy, którzy zawsze panowali i panują nad umysłami ogółu, są zupełnie przeciwnego zdania, i z stanowiska objektywnego trudno powiedzićć, która strona ma słuszność. Sąd podobny ma zupełnie indywidualne podstawy, i dla tego téż lepiéj go nie wyjawiać, żeby nie ściągnąć na się zarzutu naturalistycznéj jednostronności. Według naszego zdania, dwóch tych rzeczy wcale porównywać z sobą nie można, gdyż one nie dadzą się pozytywnie sprowadzić do jednego mianownika.

W każdym razie, należy się wzdzięczność autorowi za podniesienie tematu wyrażonego w tytule, tém bardziéj, że odczyt jego opracowany został piérwotnie dla miasta, w którém słabo dotąd uderza tętno życia naukowego. Wypada sobie życzyć, aby przykład jego znalazł wielu naśladowców.

B. R.

KRONIKA NAUKOWA.

Poglądy i teorye kosmiczne dra Falba.

Czasopismo Ausland podaje pod tym tytułem treść dwóch odczytów wymienionego astronoma austryackiego. Bardzo są one interesujące, tak z powodu tematów, którym są poświęcone, jak i ze względu na trafność poglądów i prostotę wywodów. Tytułem piérwszego jest: „*Początek i koniec świata*,“ drugiego zaś: „*O trzęsieniach ziemi i wpływie księżyca na pogodę*.“ Są to przedmioty tak pociągające, że im się najapatyczniejsze umysły oprzéć nie mogą.

W piérwszym swym odczycie Falb rzuca najprzód pytanie, od którego się wszystkie kosmogonie zaczynają: co było na początku? Naturalnie, że rozwiązuje je w taki sposób, iż odpowiédź jego nie wszystkich zadowolni. Niejeden gotów rzec, powiada, że na początku była *przestrzeń*, jako zasadniczy warunek wszystkiego, co w przestrzeni istnieje. Lecz nie możemy sobie wyobrazić przestrzeni bez *czasu*, i samo pojęcie początku każe już przypuszczać istnienie czasu; więc tedy przed przestrzenią musiał *czas* egzystować. Zastanowiwszy się jednak nad tém, zkąd mamy pojęcie o czasie, przychodzimy do wniosku, że świadomość o nim wypływa jedynie tylko z następstwa zjawisk, z *zmiany rzeczy*, w nas i około nas. Zmiana znów jest tylko ruchem najdrobniejszych *cząstek materyi*, *atomów*. Pojęcie zatém czasu jest nieodłączne od pojęcia *materyi*, ruchu zaś materyi nie rozumiémy bez przyjęcia *siły*, która ją porusza. Doszliśmy więc do ruchu i materyi, których istnienie suponuje istnienie *przestrzeni*. Tak więc, powiada Falb, szereg filozoficznéj dedukcyi doprowadził

nas do punktu, z któregośmy wyszli, i znajdujemy się w kółku błędném, z którego nie wybrniemy, jeśli nie przypuścimy, że wcale początku nie było. Przestrzeń i czas, materya, siła i przemiany są odwieczne, siła myśli naszéj, logiczna dedukcya z faktów nam znanych, daléj nas zaprowadzić nie może.

Do tego samego rezultatu dojdziemy, powiada Falb, gdy zastanowimy się nad tematem, obecnie najbliżéj nas obchodzącym, nad powstaniem systemu słonecznego. Do początku materyi i siły, stanowiących składniki systemu słonecznego, nie sięgniemy—możemy zdobyć tylko pojęcie o *początku obecnéj* formy naszego świata.

Jakkolwiek *Kopernik* w niespożytém swém dziele: „De revolutionibus orbium coelestium“, nie podał powszechnie teraz przyjętéj teoryi powstania systemu słonecznego, jednakże stworzył jéj podstawę, bez któréj teorya ta nie byłaby możebną. Zwalił on przez szereg wieków panujący pogląd, że ziemia jest punktem środkowym wszechświata, około którego obraca się sklepienie niebieskie w swym ruchu codziennym, i dowiódł, że glob nasz nietylko nie jest punktem środkowym wszechświata, ale nawet nie znajduje się w centrum naszego systemu słonecznego i, podobnie jak inne planety, dokonywa obrotu naokoło słońca, które w tym systemie miejsce centralne zajmuje. W dwa wieki późniéj, w r. 1755, filozof *Kant*, opiérając się na téj podstawie, uczynił ważny krok naprzód. Zastanawiając się nad zdumiewającym faktem, że planety odbywają obrót około słońca i około swéj osi w jednym i tym samym kierunku, t. j. od zachodu ku wschodowi, że w podobny sposób obracają się księżyce około planet i około swych osi,—wpadł na myśl, że niegdyś wszystkie planety i wszystkie księżyce stanowiły z słońcem jednę wielką, jednolitą, całość, obracającą się od zachodu ku wschodowi. Ogromne to ciało było mgławicą, bardzo rozrzedzoną, ogrzaną do niezmiernie wysokiéj temperatury, i temperatura ta właśnie była przyczyną jego rozrzedzenia. W skutek wypromieniania ciepła w przestrzeń, mgławica stawała się coraz gęściejszą i mniéjszą, a w miarę jéj kurczenia się, powiększała się prędkość jéj obrotu, według znanych praw fizycznych. Przy podobnym zaś, coraz szybszym obrocie musiała powstać przy równiku wypukłość, coraz bardziéj wzrastająca, a przy biegunach spłaszczenie; wreszcie wypukłość owa odłączyła się w postaci pierścienia, który w dalszym ciągu odbywał ruch piérwotny (od zachodu na wschód) i, w skutek nieustannego oziębiania się, rozpadł się nakoniec na pewną liczbę części, z których powstały planety. W każdéj z nich proces powyższy powtórzył na małą skalę i dał początek trabantom planet, czyli księżycom.

Obraz pewnéj fazy podobnéj sprawy daje nam jeszcze teraz Saturn: oprócz księżyców posiada pierścień, który się jeszcze na księżyce nie rozpadł.

Hypotezę tę, którą Niemcy nazywają *Kantowsko-Laplace'owską*, a Francuzi *hypotezą Laplace'a*, gdyż uczony ten niezależnie, choć później od Kanta, opracował ją i rozpowszechnił, — potwierdziły rozliczne odkrycia. Nietylko okazało się, że wszystkie, po ogłoszeniu owéj hypotezy odkryte planety dokonywają obrotu z zachodu na wschód, ale nadto analiza spektralna wykazała, że słońce składa się z jądra rozpalonego, otoczonego gazową atmosferą, złożoną z materyj tych samych, jakie na ziemi napotykamy.

Oprócz tego istnieją jeszcze inne dowody, potwierdzające tę hypotezę. *Herschel* odkrył na niebie tak nazwane mgławice, plamy na lazurze, w postaci chmurek świécących, kształtów nieokréślonych. Badając je bardzo długo za pomocą bardzo silnych teleskopów, przekonał się, że niektóre z nich składają się z gromad gwiazd oddzielnych. Z początku przypuszczał, że wszystkie one okażą się podobnemi grupami. Jednakże później doszedł do przekonania, że wiele z nich przedstawia tylko takie obłoki masy kosmicznéj, jakim musiało być słońce według hypotezy Kanta i Laplace'a. Dojrzał on w nich pewne zmiany formy, zupełnie przypominające tę hypotezę, odróżnił obłoki w różnych fazach będące, od rozpoczynającego się oddzielania pierścienia, aż do rozpadnięcia się jego na pojedyncze gwiazdy. Widocznie więc dzieje się tam to samo, co w naszym systemie słonecznym, tylko na daleko większą skalę, gdyż jedna z mgławic przewyższa 30.000 razy swemi rozmiarami wielkość całego naszego systemu słonecznego, licząc jego promień od środka słońca aż do planety Neptuna. Nie jest jednak fizycznie konieczną rzeczą, aby mgławice tworzyły systemy słoneczne podobne do naszego, t. j. o jedném słońcu: może wśród nich powstać kilka punktów przyciągania, z których powstanie tyleż słońc, tworzących tym sposobem grupę gwiazd.

Herschel jeszcze daléj poszedł, powziął śmiały zamiar poznania kształtu całego świata gwiaździstego, do którego nasz system słoneczny należy. Metoda jego badania jest następująca. Zwracał ku pewnemu punktowi np. drogi mlecznéj teleskop i widział przezeń pewne gwiazdy. Następnie ku temu samemu punktowi kierował drugi, trzeci itd., coraz silniejszy teleskop i za każdym razem odkrywał nowe gwiazdy, przedtém niewidziane. Gwiazdy te pochodziły z coraz większych odległości. Następnie zwracał teleskop w kierunku prostopadłym do piérwszego i znowu coraz silniejszych na-

rzędzi używał. Pokazało się, że w tym kierunku już czwartym np. teleskopem, żadnéj nowéj gwiazdy nie można było odkryć. Okazało się więc, że w tym kierunku granica gwiazd widzialnych jest bliższą niż w piérwszym. Zastosowując podobny rodzaj poszukiwań do innych punktów nieba doszedł wreszcie do wniosku, że system gwiazd, do którego słońce nasze należy, ma postać soczewki, i że droga mleczna, według jego oceny składająca się z około 18 milionów słońc (na resztę nieba przypada tylko 2 miliony), oznacza największe koło téj soczewkowatéj wyspy, unoszącéj się na niezmiernym oceanie przestrzeni świata. Falb, na podstawie współczesnego stanu astronomii, usiłował przedstawić sobie dokładniejszy obraz téj wyspy i doszedł do wniosku, że nasz systemat gwiazdowy podobny jest zupełnie do kuli, okrążonéj dwoma pierścieniami, z których jeden, a mianowicie zewnętrzny, ma średnicę trzy do czterech razy większą od średnicy kuli. Niedość na tém: Falb, wziąwszy pod uwagę ruch własny gwiazd, doszedł do przekonania, że i *te pierścienie obracają się z zachodu na wschód.* Prawdopodobną więc jest rzeczą, że nasz cały systemat gwiazdowy, składający się z 20 milionów gwiazd, przeszedł niegdyś ten sam proces rozwoju, co nasz, stosunkowo bardzo mały, system słoneczny. Środka téj wyspy świata szukać należy mniéj więcéj w obłoczku, znajdującym się w konstelacyi Oryona.

Oto jest wspaniały obraz rozwoju świata, jego przeszłości. Falb zajmuje się daléj dedukcyą o jego przyszłości.

Wniosek o niéj przedewszystkiém wyprowadzić można z odległości słońca od ziemi. Wspomniany Laplace w swéj *Mécanique céleste* uważa średnią odległość ziemi od słońca za stałą, niezmienną. Przeoczył on jednak dwa czynniki, wpływające na zwolnienie biegu ziemi. Jednym z nich jest eter wszechświata, płyn bardzo rzadki, wypełniający całą przestrzeń i roznoszący światło, a drugim gwiazdy spadające, które, w niezliczonéj masie pływając po przestrzeni, krzyżują się z drogą ziemską i, spadając na ziemię, w skutek sumowania się licznych małych działań, bieg jéj powoli opóźniają. Następstwem obu tych czynników jest to, że ziemia zamiast obracać się po jednéj i téj saméj drodze krąży po wężownicy, zbliżając się ku słońcu, na które nakoniec spadnie, z powodu zmniéjszającéj się coraz bardziéj siły jéj lotu i zwiększającéj się atrakcyi, którą słońce na nią wywiéra.

Zetknięcie się ziemi z słońcem, lub inném ciałem niebieskiém, nietylko w ten sposób nastąpić może. Możliwém jest takie zbliżenie się dwóch słońc, na swych drogach, że ciała te utworzą tak zwaną

gwiazdę podwójną, czyli że będą w swych obrotach zawisłe od siebie nawzajem, krążąc około wspólnego punktu ciążenia. Takich gwiazd podwójnych znamy bardzo wiele, a nawet istnieją gruppy z trzech, czterech, dwudziestu i więcéj gwiazd złożone. Drogi planet, do takich gwiazd podwójnych należących, muszą być bardzo zawikłane, w skutek czego możliwe są częste uderzania jednéj planety o drugą lub o słońce. Nadto warunki życia na podobnych planetach muszą chyba być bardzo niepomyślne.

Czy ziemię może taki los spotkać? kto to wié? W każym razie, obecnie nie widzimy żadnéj wskazówki podobnéj przyszłości; jeśli więc stanie się coś podobnego, to chyba po dziesiątkach, czy setkach tysięcy lat. Prawdopodobniejszém jest spotkanie się ziemi z kometami, ale się tego obawiać nie trzeba. Składają się one z gazu tak rzadkiego, że nawet najlżejszego powiewu nie możnaby uczuć, podczas wionięcia komety przez ziemię. Płonną jest także obawa, że kometa gazem swym może zatruć naszę atmosferę. Analiza spektralna wykazała, że gazem tym jest przeważnie nadzwyczaj rozrzedzony węglowodór, a nadto wiadomo, że w wieku bieżącym ziemia przeszła już raz przez jądro, a drugi raz przez warkocz komety, a pomimo to nic złego się nie stało. W dawniejszych wiekach spotkania podobne były zapewne częstszemi, a jednak nikt o nich nie wiedział.

Większém niebezpieczeństwem grozi inna możliwość. Tlen i wodór, stanowiące bardzo znaczną część świecącéj atmosfery słonecznéj, znajdują się w niéj obok siebie w stanie dysocyacyi, t. j. z powodu zbyt wysokiego ciepła, nie mogą się z sobą połączyć. Gdy jednak słońce będzie się coraz bardziéj oziębiało, to przyjdzie chwila taka, że rozżarzony tlen i wodór nie będą już mogły istnieć obok siebie w stanie swobodnym i połączą się na wodę. Przez to jednak spalenie się wodoru tak wielkie ciepło powstałoby, że wszystkie istoty organiczne na ziemi musiałyby uledz zagładzie. Podobny wypadek zdarzył się na gwiazdzie w konstelacyi Łabędzia, która nagłym blaskiem zajaśniała i powoli światło swe traciła (1).

Może być również niebezpiecznėm dla życia organicznego na ziemi całkowite zniknięcie wody z jéj powierzchni. Wiadomo bo-

(1) Pisaliśmy już o tém w jednym z poprzednich zeszytów. Ci, którzy tę gwiazdę obserwowali, przypisywali ów pożar wybuchowi wodoru z wnętrza gwiazdy. Bądź co bądź, rezultat jest jeden i ten sam (P. Spr.)

wiem, że niewszystka woda, wsiąkająca w ziemię, wraca na jéj powierzchnią, przeciwnie, część jéj ginie bezpowrotnie, wszedłszy w ścisły związek ze skałami. Przyjdzie więc może do tego, że ziemia będzie tak suchą, jak księżyc, na którym już dawno nie ma ani kropelki wody.

Wreszcie Falb zastanawia się nad hypotezą Thomson'a, przewidującego koniec świata w stanie spoczynku, w zupełnéj utracie ruchu, która musi spotkać system słoneczny. Thomson'owi służy za podstawę fakt, że ciepło zamienia się na ruch, a ruch na ciepło. Ale ilość ruchu, zamieniającego się w świecie na ciepło, jest daleko większa, aniżeli ilość ciepła przechodzącego w ruch. W skutek ciągłego wypromieniania ciepła ciał niebieskich w przestrzeń, może przyjść do tego, że ciała te całe swe ciepło utracą, że nastąpi powszechne zrównanie temperatur i spokój ogólny. Ale Falb twierdzi, że wniosek ten nie jest uzasadnionym. Eter wszechświata, według niego, w skutek rozgrzania, stara się tak samo, jak para wodna, większą zająć przestrzeń i wywiera parcie na ciała, stojące mu na drodze. To ciśnienie eteru, polegające tylko na drganiu pojedynczych jego cząstek, jest przyczyną wzajemnego przyciągania się ciał niebieskich, a im więcéj będzie eter ogrzany, tém silniéj będzie parł ku sobie ciała niebieskie. Gdyby więc kiedykolwiek przyszło do tego, żeby wszystkie ciała niebieskie spadły na siebie i żeby tylko dwa w całéj przestrzeni pozostały, to eter, ogrzany przez ciepło wypromienione, tak silnie pędziłby te dwa ciała ku sobie, że musiałyby spaść na się, a z tego uderzenia tak silne ciepłoby powstało, że byłoby zdolne do zamienienia całych tych mas na parę, a więc dałoby początek nowemu rozwojowi świata. Koniec wszechświata byłby jednocześnie początkiem wszechświata.

Przechodzimy teraz do drugiego odczytu.

Falb jest gorącym stronnikiem teoryi, według któréj księżyc wpływa na powstawanie i rozchodzenie się trzęsień ziemi. Wielu innych uczonych przyznaje, iż pewien wpływ istnieje, ale jest tak mały, że go nie należy brać w rachunek. Jednakże Falb ma dość znaczną liczbę faktów, przemawiających do umysłu na korzyść jego twierdzenia. I tak *Al. Perrey*, porównywając z sobą 7.000 dni, w których miały miejsce trzęsienia ziemi, wykazał, że w dniach pełni i nowiu, kiedy księżyc i słońce są na jednéj linii z ziemią, zjawiska te były częstszemi i silniejszemi aniżeli podczas kwadratur, że częściéj się przytrafiały, gdy księżyc był bliżéj ziemi aniżeli wtedy, kiedy był więcéj oddalonym i t. d. Nadto Falb obliczył dawniéj, że 7 Lutego r. 1868, nastąpi bardzo znaczne zbliżenie księżyca do

ziemi. W skutek tego zapowiedział na ten dzień wielki przypływ morza i przekonał się rzeczywiście o prawdziwości swoich dedukcyj, gdyż owego dnia gazety doniosły o zalewie wielu wybrzeży—a *jednocześnie o trzęsieniach ziemi*, które wtedy były silniejsze i liczniejsze, aniżeli zazwyczaj. Jednoczesność ta kazała Falbowi szukać jednéj przyczyny obu zjawisk, a ponieważ wnętrze ziemi jest płynném, więc łatwo było dojść do wniosku, *że księżyc wywiéra taki sam wpływ przyciągający na roztopioną masę ziemi, pod jéj zewnętrzną skorupą, jak i na wodę na néj się znajdującą.* W dalszym ciągu swych obserwacyj przekonał się, że owa jednoczesność nie była bynajmniéj przypadkową, a więc wniosek nie był naciąganym. W ogóle nigdy nie doznał zawodu od swéj teoryi, gdy rokował jednoczesność owych zjawisk przy wyżéj wspomnianych stosunkach ciał niebieskich.

Powrócimy jeszcze do tego punktu, mówiąc o pogodzie.

Z badań nad zjawiskami, występującemi przy trzęsieniach ziemi, oraz nad ich statystyką, Falb doszedł do wniosków następujących. Trzęsienia ziemi są trojakie. Jedno następuje w skutek uderzenia pionowego z dołu ku górze, drugie przedstawia ruch falisty, słabszych od poprzedzającego skutków, i trzecie wreszcie, najniebezpieczniejsze, jest wstrząśnieniem wirowém. Działanie wstrząśnienia jest nadzwyczaj gwałtowne: uderzenie, które w r. 1755 zwaliło w gruzy Lizbonę trwało tylko 6 sekund. Po piérwszem, następują setki następnych wstrząśnień, z których żadne nie dorównywa w sile piérwszemu. Trzęsieniu ziemi towarzyszy, jako zapowiedź i epilog, głuchy huk podziemny, a przy bardzo silnych trzęsieniach zauważono też błyskawice. Jeżeli trzęsienie zdarza się jednocześnie w wielu miejscach, to zawsze jedno tylko z nich jest najsilniéj wstrząśnięte, inne zaś słabiéj, w porządku kół współśrodkowych, zakreślonych z punktu najsilniéj dotkniętego podziemném uderzeniem. Wszystkie te koła koncentryczne, stanowiące zakres czyli obszar trzęsienia, zajmują niekiedy wielką przestrzeń ziemi; trzęsienia ziemi przytrafiają się przeważnie w okolicach gór wysokich i przenoszą się w ich kierunku, mianowicie w przerwach pomiędzy górami, a w miejscu skrzyżowania się łańcuchów gór są najsilniejsze.

Studyując katalog trzęsień ziemi od roku 800 do 1843, zawierający 5.500 zjawisk tego rodzaju, Falb zauważył, że trzęsienia są częstsze około czasu nowiu i pełni księżyca, aniżeli kiedyindziéj, że maksimum trzęsień następuje w Styczniu, Kwietniu i Październiku, a minimum w Czerwcu i Lipcu.

Dwie były dawniéj teorye trzęsienia ziemi. Jedna z nich, teorya zapadania się, głoszona już na 90 lat przed nar. Chr. przez

Lukrecyusza, tłómaczyła je na zasadzie przypuszczalnego zapadania się pieczar podziemnych, druga zaś teorya szukała przyczyny wstrząśnień, w ciśnieniu par wodnych, znajdujących się w znacznych głębokościach. Żadna z nich jednak nie mogła objaśnić wszystkich zjawisk, towarzyszących trzęsieniom. I tak np. według drugiéj, wulkany były wentylami, klapami bezpieczeństwa, przez które się nadmiar par i gazów wydobywał,—a więc w blizkości wulkanów trzęsienia ziemi powinnyby być bardzo rzadkie,—tymczasem rzecz się ma przeciwnie, gdyż właśnie około wulkanów zjawiska te najczęściéj się przytrafiają.

Okazawszy niedostateczność tych teoryj, Falb przystępuje do rozwinięcia swojéj własnéj.

Widzieliśmy powyżéj, że w ogólnych zarysach rozwój każdego ciała niebieskiego przechodził jedne i te same fazy. Na zasadzie téj analogii, słońce może nam służyć za obraz tego, czém była nasza ziemia, księżyc zaś, który z powodu swéj małości prędzéj od niéj ostygł może nam dać pojęcie o przyszłości naszéj planety. Na słońcu, znamy plamy słoneczne, będące pływającemi skrzepami, a dowodzące, że słońce się ochładza; nadto zaobserwowano na obwodzie słońca tak zwane wyskoki czyli protuberancye, utwory płomienne klinowate, które z niesłychaną szybkością strzelają do znacznych wysokości po nad powierzchnią słońca. Przyczyną tego zjawiska jest ochładzanie się słońca, w skutek którego ciało to kurczy się, ściska płynną i gazową zawartość w wnętrzu się znajdującą i tym sposobem spowodowuje owe wybuchy. Na księżycu, naturalnie, nie ma już zjawisk podobnych, ale bądź co bądź napotykamy tam ich ślady. Obserwowano na nim wały okalające pusty, wypalony krater, ztąd powstały, że wulkan, coraz to nowemi wybuchami będąc podminowany, musiał się nareszcie zapaść. Podobnemu losowi uległ już prawie zupełnie wulkan na wyspie Santorynie, a Etna ulegnie mu niezadługo, gdyż jéj ściany boczne tak są już podebrane, że, zamiast przez wierzchołek, płomienie buchają już tylko z powierzchni stoków. Taka przyszłość czeka też i wszystkie inne wulkany.

Jednakże chociaż wulkan wygaśnie, to jeszcze nie zniknie przez to bynajmniéj źródło siły, które niegdyś wybuchom dawało początek: siła ta działa w dalszym ciągu pod ziemią, i na miejsce wybuchów wulkanicznych występują trzęsienia ziemi. *Trzęsienia więc są to podziemne wybuchy wulkaniczne, wywoływane przez oziębianie się ziemi.*

Sprawę trzęsienia ziemi możemy sobie wyobrazić w sposób następujący. Chociaż wybuchy wulkaniczne ustały, chociaż dany wulkan wygasł, to jest został zatkany, to jednak może pod nim istnieć wielka czeluść, w którą podczas wybuchu podziemnego wpada roztopiona masa wnętrza ziemi i, nie mogąc znaléść wylotu, przebija sobie w różnych kierunkach kanały w skorupie ziemskiéj, sięgające mniéjszéj, lub większéj odległości od powierzchni. Wrazie gdy wybuch nie jest tak silnym, aby przebił sobie wylot w wulkanie i wydostał się na powierzchnią, wybuchająca masa wstrząsa tylko silną pokrywę swém uderzeniem. Nadto, rozpalona masa, płynąc ku powierzchni, napotyka na drodze wodę na dół ściekającą, zabiéra ją więc, zamienia na parę i unosi ku górze w pęcherzach lawy, które wreszcie pękają. Od pewnego wybuchu lawy, torującéj sobie drogę ku powierzchni ziemi, następuje piérwsze najsilniejsze wstrząśnienie ziemi, częste zaś uderzenia następne, słabszéj siły, pochodzą już od pękania pęcherzy pary, uwięzionéj w lawie.

W świetle tych poglądów łatwo pojąć, dla czego wybuchy wulkaniczne są tak częste na wybrzeżach morskich. Woda morska przesiąka w ziemię w wielkiéj obfitości, w większéj, aniżeli w pośród lądu; natrafiwszy na lawę zamienia się w ogromną ilość pary, która do tego stopnia zwiększa siłę wybuchu, że często skorupa ziemska już się mu oprzéć nie może. Podobnież łatwo jest wytłómaczyć sobie owe burze z błyskawicami, towarzyszące silnym trzęsieniom ziemi: przypisać je należy elektryczności, powstałéj z tarcia pary wulkanicznéj.

Rozmaite kierunki i rodzaje trzęsienia ziemi zależą od okoliczności następujących: miejsce znajdujące się tuż po nad czeluścią doznaje pionowego uderzenia z dołu do góry, a do miejsc obok położonych uderzenie to rozchodzi się falisto; gdy zaś lawa wybucha jednocześnie z kilku czeluści, powstają trzęsienia wirowe.

Częstość trzęsień w blizkości gór ztąd pochodzi, że góry są niejako zewnętrznemi znakami przerw w wnętrzu ziemi. Siła wybuchowa, która je przed wielkim szeregiem wieków wyniosła, jeszcze działać nie przestała i jest silniejszą, aniżeli w innych miejscach.

Po tém, cośmy dotąd powiedzieli, wyjaśni się nam związek pomiędzy częstością trzęsień ziemi a położeniem księżyca i słońca. Ciała te wpływają swém przyciąganiem na ruch roztopionéj masy w wnętrzu ziemi, a przyciąganie to może być wzmocnionem w następujących sześciu przypadkach: najprzód podczas nowiu i pełni

księżyca, kiedy słońce i księżyc przyciągają ziemię w jednym kierunku, a więc głównie podczas zaćmień słońca i księżyca; daléj wtedy, gdy księżyc najbardziéj zbliży się do ziemi, gdy będzie się znajdował w płaszczyznie jéj równika i nakoniec gdy słońce będzie najbliżéj ziemi (1 Stycznia) lub w płaszczyznie jéj równika (21 Marca). W dniach, w których się połączy kilka z tych warunków (w obecnych czasach najprędzéj może się połączyć 5, gdyż najmniejsza odległość ziemi od słońca i przejście słońca przez równik wypadają w terminach o kilka miesięcy od siebie oddalonych) mają miejsce największe wylewy morza i najgwałtowniejsze trzęsienia ziemi, oraz wybuchy wulkanów.

Podobnym do powyższego jest związek księżyca z pogodą.

Jeśli księżyc działa na wody mórz i na płynną zawartość ziemi, to naturalnie wpływ jego nie może być obojętnym dla atmosfery. Działa on zaś w sposób następujący. Wiadomo, że w atmosferze płyną ciągle dwa prądy: pod równikiem powietrze w skutek bardzo silnego ogrzania od słońca wznosi się ciągle jako lżejsze w górę, a na jego miejsce przypływa nieustannie powietrze mniéj ogrzane, z okolic sąsiednich. Na zasadzie równowagi gazów, owo powietrze ogrzane musi odpływać ku sferom zimniejszym, ku biegunom, i na odwrót, bieguny wysyłają ku równikowi prądy zimnego powietrza, dla wynagrodzenia powyższego ubytku. Prąd równikowy ochładza się stopniowo na swojéj drodze, odpowiednio do klimatu okolic przez które przechodzi, prąd zaś biegunowy, przeciwnie, ogrzewa się w swéj wędrówce. Piérwszy więc w strefie umiarkowanéj dąży do obniżenia się, drugi do wzniesienia: ztądto niestałość pogody w naszych okolicach. Jeśli tedy kilka z wyżéj wspomnianych stosunków niebieskich połączy się i wywiérać będzie znaczny wpływ przyciągający, to wstępujący prąd powietrza pod równikiem wzniesie się bardzo szybko w górę i prędko przepłynie ku strefie umiarkowanéj, nie utraciwszy tyle ciepła co zwykle; na odwrót prąd biegunowy popłynie szybciéj ku równikowi i, w tém miejscu, gdzie się spotka z prądem od równika, będzie mniéj niż zwykle ogrzanym. Nastąpi tedy w tém miejscu nagłe oziębienie prądu równikowego i skroplenie znacznéj ilości pary wodnéj, którą ten prąd prowadzi z sobą, a przy takich warunkach powstają burze gwałtowne, nawet podczas zimy.—Dedukcya ta sprawdziła się w świetny sposób roku bieżącego. Falb przepowiedział, że w dniu 27 Lutego, kiedy miało nastąpić (widziane i u nas) zaćmienie księżyca, będzie miał miejsce silny opad atmosferyczny. I rzeczywiście, po pięknych dniach, nastąpiły burze śniegowe, którym gdzie niegdzie towarzyszyły błyska-

wice i pioruny. Podobnież Falb przepowiedział burzliwą pogodę na dzień 29 Marca, kiedy miało miejsce zaćmienie słońca (u nas niewidzialne), do którego inne jeszcze wpływy pomocnicze się przyłączyły. I w tym także razie przepowiednia sprawdziła się.

Wspomnieliśmy powyżéj, że w naszych czasach z sześciu owych stosunków ciał niebieskich, może się co najwyżéj skombinować pięć w jednym czasie. Lecz to nie jest normą nazawsze. Dzień, w którym ziemia jest najbliżéj słońca, zmienia się w biegu wielkich okrésów. Obecnie przypada on 1 Stycznia, lecz w r. np. 4000 przed nar. Chr. przypadał 23 Września. Wtedy więc mogły się zjednoczyć wszystkie owe stosunki w liczbie sześciu, a ztąd, na zasadzie tego cośmy powiedzieli, można przyjąć, iż opady atmosferyczne i wylewy mórz były wtedy niesłychanie wielkie, że, jedném słowem, *powszechne podanie ludów o wielkim potopie nie jest mrzonką, lecz faktem*. Podobna katastrofa powinna znowu nastąpić w r. 6400 po nar. Chr., gdyż wtedy ziemia będzie najbliżéj słońca w dniu 21 Marca, a więc znowu wszystkie owe przyciągające czynniki będą mogły współdziałać.

Teraz możemy także pojąć, dla czego owe maxima i minima trzęsień ziemi przypadają w cytowanych, nie zaś w innych czasach: maxima odpowiadają dniom, w których słońce jest najbliżéj ziemi i równika, a minima czasowi największéj odległości słońca od ziemi (Czerwiec, Lipiec).

W zakończeniu swéj prelekcyi Falb przytoczył jeszcze jedno potwierdzenie całéj swéj teoryi. W roku 1873 przepowiedział na 27 Sierpnia wybuch Etny i, w celu obserwowania go, udał się do Włoch. Professor Silvestri, uchodzący za najwyższą kompetencyą w rzeczach dotyczących Etny, uważał przepowiednią Falba za nieuzasadnioną i utrzymywał, że z pewnych wskazówek wnieść można, iż przed upływem dwóch lat nie będzie wybuchu. Pomimo to, 29 Sierpnia, miał miejsce wybuch, a po nim silne trzęsienie ziemi 26 Września, które także Falb mieszkańcom tamtejszym przepowiedział.

Przyznać należy, iż na zasadzie wszystkich tych danych, mógł Falb z wielką słusznością postawić następujące twierdzenie: *trzęsienia ziemi są to podziemne wybuchy wulkaniczne, wywoływane przez oziębianie się ziemi, przy współdziałaniu siły przyciagającéj słońca i księżyca*. Co się zaś tyczy pogody, to sądzimy, iż Falb ważny krok na téj drodze uczynił, gdyż trudno przypuścić, aby księżyc nie wywiérał ważnego wpływu na atmosferę, jeśli go wywiéra na oceany. Wprawdzie przeciwnego zdania był Humboldt, a za nim wszyscy prawie uczeni od Humboldta, aż do naszych czasów, lecz za tym poglądem

przemawia bardzo jasna analogia pomiędzy atmosferą i oceanem, oraz wiele sprawdzonych przepowiedni, wyrzeczonych już to przez Falbą, już téż (w daleko większéj liczbie) przez niespecyalistów, którzy empirycznie doszli do tego wniosku, po tysiącach, tradycyjnie przekazywanych obserwacyi (1).

Bronisław Rejchman.

---

(1) P. Mecenas Wincenty Majewski, zajmujący się w chwilach wolnych od prac prawniczych astronomią i meteorologią, już przed kilkunastu laty doszedł do przekonania, iż przejście księżyca przez równik ziemi wpływa na zmianę pogody. Przekonał o tém b. dyrektora obserwatoryum astronomicznego warszawskiego, p. Jana Baranowskiego, który, będąc w Królewcu, przedstawił tę hypotezę tamecznemu astronomowi i radził mu, aby zawiadomił marynarzy, mających wypłynąć na morze, aby się zatrzymali przy lądzie przez dni kilka, gdyż z powodu znajdowania się księżyca na równiku, powinna nastąpić burza. Naturalnie astronom królewiecki uśmiechnął się i zbył p. B. zdaniem: „ależ kolego, wszakże Humboldt powiedział, że „księżyc nie ma wpływu na pogodę!" Jednakże.... burza powstała i zniszczyła kilkadziesiąt statków. To dało dużo do myślenia astronomowi królewieckiemu, tak, że postanowił zająć się zbadaniem téj kwestyi. Do czego doszedł, nie wiémy.—P. Majewski dał inicyatywę do zamieszczenia w Bibliotece Warszawskiéj i w kalendarzach (Ungra i Jaworskiego) notatek o najmniejszéj i największéj odległości księżyca oraz o znajdowaniu się jego na równiku. W żadnym z kalendarzy zagranicznych popularnych nie podają tych wiadomości. Może to służyć za dowód, że p. Majewski wyprzedził Falba, gdyż pierwsze owe notatki były drukowane w Bibliotece Warszawskiéj już przed rokiem 1860. — Prawdopodobnie powrócimy jeszcze do tego przedmiotu, jeśli się nam uda zebrać bliższe a ważne szczegóły. *(B R.).*

KRONIKA MIESIĘCZNA.

W tych czasach byliśmy świadkami rzewnéj uroczystości. Pan *Jacek Soplica*, felietonista *Niwy*, obchodził jubileusz czternastomiesięcznych wystąpień kronikarskich w tém piśmie i, z téj racyi, a może z powodu zbliżającego się jarmarku na wełnę, uważał za właściwe zrobić mały rzut oka na swoję pożyteczną działalność.

Przedewszystkiém, szanowny kolega, z niezwykłą w naszych czasach dobrodusznością, przyznaje, że istotnie prowadzona przez niego rubryka: „od niejakiego czasu utraciła na werwie i obfitości traktowanych materyałów". Wnet jednak „przyczyny tego przejściowego zastoju"—objaśnia w następny sposób:

„W chwili, gdy obejmowaliśmy niniejszy dział *Niwy*, pismo to poczynało rozwijać nowy swój kierunek. Podnosząc w górę obalony wszelakiemi klęskami i szarpany wrogiemi rękami sztandar spraw i interesów ziemiańskich, ujrzeliśmy się od razu (zapewne p. Jacek Soplica i redakcya Niwy), pośród zgiełku i tumultu obcych i swojskich wrogich żywiołów, giełdowo-fabrycznych wyzyskiwaczy i przybranych w ich barwy dworaków rozmaitego cechu i intelektualnego kalibru. Trzeba było prawować się z nimi szeroko; wypychać z przywłaszczonego stanowiska; wykazywać żywotność społecznego czynnika, któremu, cokolwiek przedwcześnie śpiéwano już, pogrzebowe psalmy; walczyć przeciw uroszczeniom do monopolu inicyatywy, działania i wpływu, który sobie rozpanoszone jednostki, dla braku śmiałéj opozycyi, zwolna i milczkiem przyswajać już zaczynały — trzeba było nadto budzić uśpionych a krzywdzonych, niecić poczucie solidarności, wskazywać najdotkliwsze rany a zarazem sposoby ich leczenia, oraz środki zaradcze, podawać projekta, zachęcać do kojarzenia usiłowań i stawania na polu publicznéj pracy dla pełnienia obowiązków i praw własnych obrony".

„......Wówczas to znajdowały się gotowe materyały do wstępnych zasadniczych artykułów, wówczas to prowadziły się żywe polemiki z grabarzami ziemiańskiego stanu, wyjaśniały i szczęśliwie rozwiązywały takie sprawy, jak: gminna, sądowa, służebnościowa, cukrownicza, gorzelnicza, melioracyjna, robotnicza i t. p.“

Aha! powié czytelnik,— nic zatém dziwnego, że p. Jacek Soplica, rozwiązawszy szczęśliwie w ciągu roku takie sprawy jak: gminna, sądowa, służebnościowa i t. p., zepchnąwszy uzurpatorów z przywłaszczonych stanowisk, rozniecіwszy poczucie solidarności w klasie ziemiańskiéj i w dodatku zachęciwszy ją do skojarzenia usiłowań i t. d., musiał się w końcu zmęczyć i odpocząć!

Téj to zapewne okoliczności, téj potrzebie spoczynku po dokonaniu prac, o których nie marzyli nigdy dawniejsi bohatérowie półbogi i dzisiejsi genialni mężowie stanu, czytelnik przypisze zapewne brak werwy i obfitości materyałów w felietonach p. Jacka Soplicy. Lecz omyli się. Zahamowanie nadludzkiéj działalności kronikarza Niwy pochodzi z innych całkiem powodów. Oto są one:

„*Z* czasem jednak, gdy nie stało jawnych i głośnych przeciwników, a przebudzone ziemiaństwo ruszyło się na zajęcie odpowiednich stanowisk, poruszanie nowych spraw i nowych projektów wydało się nam zbytecznėm i t. d.“.... „....I oto właśnie powód, dla którego mniéj jest ożywioną i mniéj urozmaiconą prowadzona przez nas rubryka“.

Wyznać musimy, że powód ten wcale nas nie zadawalnia. Jakto, czy redakcya, która „tak szczęśliwie rozwiązała“ sprawy gminne, sądowe, służebnościowe i t. d. która tak trafnie wskazywała „najdotkliwsze rany, sposoby ich leczenia i środki zaradcze i t. d.“ chce ustać w połowie swéj zdumiewającéj zdolności? Czy redakcya nie sądzi, że jednak byłoby dobrze w ciągu roku bieżącego podnieść np. żyzność ziemi naszéj, uregulować Wisłę, pobudować parę linij nowych dróg żelaznych, a wreszcie—skrócić zimę a przedłużyć lato? Ja sądzę, że reformy powyższe są niemniéj ważne i że godziłoby się zrobić parę cudów w sferze zjawisk naturalnych, gdy się już tyle ich zrobiło w sferze społecznéj.

Ludzie, mniéj dobrze obeznani z potęgą *Niwy*, przed zajmującą spowiedzią p. Jacka Soplicy dopuszczali się dwu błędów. Mniemali najprzód, że to cała prasa w ogóle nie zaś Niwa w szczególności *zastanawiła się* nad sprawami gminnemi, sądowemi, służebnościowemi i t. d. Mniemali powtóre, że większy ruch nietylko między wiejską, ale i miejską inteligencyą był nie tyle owocem nawoływań dziennikarskich, ile raczéj spotęgowania się sił społecznych. Obecnie jednak cieszymy się, że nas poinformowano dość wcześnie

i wskazano tak łatwy środek pozbywania się kłopotów. Od tej pory będziemy już wiedzieli, że chcąc wprowadzić jakieś ulepszenie potrzeba tylko odnośny plan wydrukować w Niwie, i że za wszystko złe, jakie u nas jeszcze ma miejsce, odpowiedzialną jest Niwa.

Tak się rzeczy przedstawiają ze stanowiska optymistycznego, pesymiści bowiem mogą je widzieć w całkiem odmiennem świetle.

Taki pesymista zarzuciłby przedewszystkiém Niwie to, że się zmęczyła. A zmęczyła się nietylko dla tego, że musiała „szczęśliwie rozwiązywać“ sprawy gminne, sądowe i t. d., nietylko toczyć żywe polemiki z grabarzami stanu ziemiańskiego,“—„podnosić w górę szarpany wrogiemi rękami sztandar spraw i interesów ziemiańskich“,—ale co gorsza musiała jeszcze „walczyć przeciw uroszczeniom do monopolu inicyatywy, rozpanoszonych jednostek“, — które, „zwolna i milczkiem“, inicyatywę tę przyswajać sobie zaczynały, czyli musiała walczyć — sama z sobą. A wiadomo przecięż, że nic tak nie wyczerpuje, jak walka wewnętrzna!

Zaprawdę w dziwnych żyjemy czasach! Bo o to nietylko p. Jacek Soplica w Niwie, ale jeszcze i p. Wojski w *Echu* (N. 134) również prawi o tém, że „ziemianie nasi (idący samopas) stają się łupem dla swych współzawodników“, że współzawodnicy ci „zapragnęli wyparować ziemian ze stanowisk ich moralnego i społecznego znaczenia“, lecz że „śmiały ten a niewczesny zamysł napotkał w sam czas silną opozycyą, której głos obudził ziemiaństwo z uśpienia i do nowego powołał życia“. I w Echu znajdujemy wzmiankę o „nieproszonych i niepowołanych grabarzach stanu ziemskiego,“ którzy, „spisawszy długi regestr urojonych zbrodni i do znaczenia występków podniesionych błędów przeszłości, wykrzykiwali radośnie: już nie żyje kasta oligarchów, my teraz wszystko znaczymy!“

Doprawdy, czytając to, przypuszczać można jedno z dwojga: albo że p. Jacek Soplica jest gorącym deklamatorem, a p. Wojski jego najukochańszym uczniem, i że obaj nadętemi ogólnikami bałamucą opinią publiczną, albo—że w społeczeństwie naszém istnieją tak niegodne jednostki i klasy, które dla jakichś niepojętych dla nas widoków, chcą „zepchnąć ziemian ze stanowisk ich moralnego i społecznego znaczenia“ i mają odpowiednią siłę.

Czy tak jest rzeczywiście, czy nieszczęśliwe społeczeństwo walczyć musi nietylko z ciemnotą i kłopotami ekonomicznemi, ale jeszcze z rozkładem, ze zgnilizną wewnętrzną?... Lecz, w takim razie, któreż to są owe „swojskie wrogie żywioły,“ owi „dworacy przybrani w barwy giełdowo-fabrycznych wyzyskiwaczy“ — owi „grabarze ziemiańskiego stanu“,—z któremi Niwa prowadzić musiała „żywe polemiki“ tak świetném zakończone zwycięztwem?.... My z owych

polemik jednę tylko pamiętamy, mianowicie dyskusyą z Gazetą Polską, w ciągu którój Niwa w artykule *Nic bez nich* (N. 34, 1876), wystąpiła przeciw wszystkim ludziom mającym pieniądze, gazeta zbiła ją w imię solidarności społecznéj, a Niwa w następnéj odpowiedzi (N. 36, 1876), umywszy ręce od poglądów swego współpracownika, doniosła jednocześnie miastu i światu, że nie chce przeciwstawiać klasy—klasie, lecz, że pragnie, aby reprezentanci stanu ziemiańskiego usunęli się z pod wpływów bankierskich i działać poczęli na własną rękę. Przytaczała przytém (niby to w obronie ziemian) w cudzysłowie zdania, których, przynajmniéj u nas, nikt nie wypowiadał publicznie.

Taki to jest początek „obrony pokrzywdzonych interesów ziemiańskich“. Ktoby jednak zechciał uważnie przeczytać owe artykuły, przekonałby się, że obrona nie miała racyi bytu i że była raczéj przeciwstawieniem klasy—klasie.

Dotychczas prasa nasza nie czuła potrzeby dzielenia się na „broniącą“ i „niebroniącą“ interesów ziemiańskich, wszystkie bowiem klasy, jako składniki jednego społeczeństwa, jednakowém ogarniała uczuciem. Wszystkie dzienne, tygodniowe i miesięczne publikacye nasze zajmowały się sprawą potrzeby udzielenia kredytów melioracyjnych majątkom większym, wszystkie żądały szkółek dla włościan, szkół fachowych dla kupców i rzemieślników, — wszystkie zachęcały inteligencyą wiejską do gorliwego udziału w sądach i administracyi gminnéj. Zdarzały się tu i owdzie poglądy sprzeczne i polemiki, ale, żeby różne te opinie godziło się nazywać: „grabarstwem stanu ziemiańskiego“,—„dworactwem giełdowo-fabrycznych wyzyskiwaczy“, przeciw temu protestujemy stanowczo.

Z tych powodów nie przyznajemy Niwie tytułu: „obrońcy zagrożonych interesów ziemiańskich“, ani p. Jackowi Soplicy stopnia chorążego, który „podniósł do góry obalony wszelakiemi klęskami i szarpany wrogiemi rękami sztandar spraw ziemiańskich“. Jednocześnie zaś nie możemy przyznać stanowi ziemiańskiemu żadnych szczególnych przywilejów. Każdy człowiek ma prawo i obowiązek pracować dla pomyślności swojéj i ogólnéj i solidaryzować się z ogółem. Wszelkie zaś podziały na „ziemian“ i „nieziemian“, wszelkie forytowanie „zagrożonych interesów ziemiańskich“ przed innemi — jest zabawką, mogącą z czasem złe następstwa wywołać.

Posiadacze większych własności stanowią zaledwie $^1/_{1000}$ cząstkę naszego społeczeństwa. Obok nich stoją włościanie, oficyaliści prywatni i wyrobnicy wiejscy, daléj—przemysłowcy, finansiści, rzemieślnicy, kupcy i robotnicy miejscy, którzy także mają swoje interesa i również mogą być przez kogoś zagrożeni. Wszystko, co mo-

że być użytecznem dla którejkolwiek z tych klas, zasługuje na poparcie prasy, wszystko, co jest dla nich szkodliwe — na potępienie. Zarówno niegodziwym jest fabrykant cukru, oszukujący na wadze buraków obywatela ziemskiego, zarówno wstrętnym jest lichwiarz, przyczyniający się do jego ruiny, jak i obywatel ziemski, który kilku kupcom odrazu zboże sprzedaje, który nie dba o interesa ciemnych swoich sąsiadów włościan, który w końcu wyjaławia ziemię, głodzi inwentarz, krzywdzi służbę. I doprawdy nie wiém nawet, kto gorętsze budzi dla siebie współczucie: czy majętny szlachcic oszukany na wadze buraków, czy biédny parobek, którego pensya i ordynarya nie starczą na wykarmienie brudnego, nagiego i półdzikiego potomstwa?

Jakiż zatém cel jest w nazywaniu się organem posiadaczy większych? Czy od téj pory Niwa wychwalać będzie ich cnoty, a ukrywać błędy? Ależ w takim razie, stanie się „dworakiem“ nie zaś pismem publiczném. Czy w starciu się interesów dwu klas: właścicieli większych z włościańską, albo rzemieślniczą, albo handlową, stawać ma zamiar nawet wbrew słuszności po stronie piérwszych?... Ależ w takim razie będzie fałszowała opinią publiczną. Czy może Niwa myśli oddać każdemu co mu się należy, ganić jego wady i chwalić czyny dobre, a zatargi między pojedynczemi klasami sądzić ze stanowiska interesów ogólnych? W takim razie w cóż się obróci jéj barwa specyalna, jéj obrona interesów ziemiańskich?

Pójdźmy jeszcze krok dalej. A może Niwa stanie się rycerzem takiego ustroju społecznego, któryby w piérwszéj linii uwzględniał interesa szlacheckie, wszelkie zaś inne klasy robił satelitami tego słońca?... Nie łudźmy się, z tych pięknych projektów nic nie będzie! Dziś świat jest inny: tylko obowiązki i ciężary mogą być proporcyonalne do wielkości majątku, ale prawa osobiste muszą być równe. Jaśnie Oświecony Rodosław, albo Lubomir i zupełnie ciemny Bartek, Wojtek i Jankiel w obec społeczeństwa tyle tylko są warci ile zrobią dla jego dobra. Tytuły i tarcze herbowe możemy już zawiesić w muzeach, w miejscu ich musimy postawić nasze czyny.

I poeci przydają się na coś. W początkach roku bieżącego p. Henryk Sienkiewicz (Litwos) nadesłał do Gazety Polskiéj z puszcz zachodniéj Ameryki prześliczną powiastkę, p. t. *Szkice Węglem*. Ponieważ p. S. rok dopiéro bawi za granicami kraju, zna więc jego stosunki, a owiany tchnieniem powietrza, jakiego nie spotykamy na warszawskim bruku, przedstawił stosunki owe w sposób tak żywy, że powieść jego, arcydzieło pod względem estetycznym, nabrała wysokiego społecznego znaczenia.

Bohatérem *Szkiców Węglem* jest pisarz gminny, człowiek, który ukończył dwie klasy, czytywał tylko *Izabellę*, nosił kolorowe krawaty, marzył o „córce obywatelskiéj", umizgał się do zamężnéj chłopki, a tym czasem trząsł urzędem gminnym i wyzyskiwał wszystko, co w obrębie jego pisarskich wpływów leżało.

W rezultacie, indywiduum to nad wszelki wyraz nikczemne, słuchając podszeptów gniewu i namiętności miłosnéj, przy pomocy otumanionych przez siebie sołtysów i wójta, dzięki apatyi „inteligencyi wiejskiéj", nietylko okradało wszystkich, ale stało się jeszcze przyczyną tragedyi, w któréj omotany przez niego włościanin zabił własną żonę, spalił dwór i sam naturalnie poszedł do kryminału.

Powieść ta pełna łez, krwi i żółci, a nadewszystko prawdy życiowéj, głębokie wywarła wrażenie. Znalazło się parę konserwatywnych puszczyków, które zarzucały autorowi zamach na „moralne stanowisko ziemian", ogół jednak przyklasnął Szkicom. Od téj téż pory prasa baczniejszą zwróciła uwagę na pisarzy gminnych: posypały się korespondencye, charakterystyki i zjawiła się nawet jedna odpowiédź ze strony oskarżanéj.

W tém miejscu zrobimy uwagę. W kraju naszym, z powodów zresztą od charakteru narodowego niezależnych, istnieje pewien odcień opinii publicznéj, zdradzający inkwizycyjne usposobienie. Czyny, jednostki, instytucye a nawet klasy społeczne sądzone są z bardzo pesymistycznego stanowiska, a tytuły: zdrajca, wyzyskiwacz, grabarz — ciągle znajdują się na porządku dziennym. Pochodzi to z niemożności wyczerpującéj dyskusyi o wielu przedmiotach i z jednostronnych poglądów. Zdanie potępiające coś lub kogoś przyjmujemy bez krytyki i wydajemy często wyrok bez wysłuchania strony obżałowanéj. Niekiedy, co prawda, krzywdzeni przez nas w taki sposób sami są winni, w deklamatorskim bowiem zapale brną tak daleko, że nieraz ani cofnąć się, ani nawet objaśnić intencyj swoich nie mogą.

Dla tego bardzo jest pożądane, aby pisma nasze zbiorowo przystąpiły do wykorzeniania z publiczności pesymizmu, do wskazywania jéj tego, że każda rzecz ma dwie strony, i że przed wydaniem wyroku godzi się oskarżonego przesłuchać. Dla tego téż cieszymy się, że „List pisarza" znalazł miejsce w dziennikach.

Lecz przejdźmy do sprawy.

Pan H. W. z Lubelskiego zarzuca pisarzom obałamucanie włościan i okradanie wszystkich mieszkańców gminy. W pewnéj gminie pisarz zwołał kilkunastu gospodarzy i, powiedziawszy im, że potrzeba dać 500 rs. na zaprowadzenie ksiąg ludności, zapytał ich: w jaki sposób ma być zbiéraną składka: z dymu, z głowy, czy

z morga? Obecni zatwierdzili tę ostatnią formę, lecz przeciw całéj uchwale zaprotestowali właściciele więksi. Najprzód bowiem wydawało się rzeczą niemożliwą, aby gminne księgi ludności mogły kosztować 500 rs., a powtóre uchwała z powodu niedostatecznéj liczby głosujących nie była prawną. W spór wdał się powiat, który ostatecznie sumę na kupno ksiąg zredukował do 125 rs. Obrażony jednak pisarz długi czas potém, za pośrednictwem urzędu gminnego, szykanował „swoich wrogów" właścicieli ziemskich, a w końcu wywołał sądowy proces między wójtem i jednym z obywateli.

Przytoczyliśmy ten wypadek dla bliższego określenia szkodliwéj działalności pisarzy. Faktów jednak dowodzących wielkiéj demoralizacyi wśród téj klasy, każda prawie gmina dostarczyćby mogła. Ja sam znałem pisarza, z których jeden, dla utrzymania się na posadzie, handlował honorem swéj żony,—drugi, po śmierci zostawił kilkaset rubli deficytu w kasie i parę tysięcy długów prywatnych, a trzeciemu najuczciwszemu z téj grupy zarzucano tylko popęd do brania łapówek i składania fałszywych denuncyacyj. Lecz od moich osobistych spostrzeżeń wymowniejszą jest statystyczna notatka p. H. W., dotycząca ruchu pisarzy w jego gminie. Od roku 1869 przewinęło się ich ośmiu. Z téj liczby dwu tranzlokowano „bez żadnego głośniejszego skandalu",—2 wytoczono procesa o fałszerstwa dokumentów, — 3 poszło pod sąd za kradzieże i nadużycia, a tylko jeden.... siedzi od kilku lat w więzieniu!

Nie należy jednak zapominać, że w kraju posiadającym tysiąc kilkaset gmin, mogą być i okolice szczęśliwsze pod tym względem. Jakoż, korespondent z Mławskiego utrzymuje, że w powiecie tym, dzięki *dozorowi* rozciąganemu nad pisarzami przez naczelnika i obywateli, nadużycia pisarzy redukują się do drobnych łapówek. Przyczynę demoralizacyi pisarzy, upatruje korespondent w małéj ich oświacie, młodym najczęściéj wieku, niewielkiéj pensyi, lecz wielkiéj chęci używania i w braku dozoru.

Gdy szlachta przestanie się usuwać od spraw gminnych, gdy sami mieszkańcy o każdém nadużyciu zawiadomią troskliwego naturalnie i energicznego naczelnika,—wówczas szkodliwy wpływ pisarzy bardzo osłabnie.

Trzeci z kolei głos, w swojém i kolegów imieniu, zabiéra pisarz gminny z Kieleckiego. Nie zbija on oskarżeń, ale przyczyny nadużyć wyjaśnia, kładąc nacisk na dwa zarzuty: 1) co do malwersacyi pieniężnych, 2) co do podburzania włościan przeciw szlachcie.

Przyczyną malwersacyi jest mała pensya. Pisarz bierze 180 rs. rocznie, czyli 50 kop. dziennie, musi zaś bardzo często wykarmić żonę i dzieci. „Więksi właściciele (mówi autor) wiedzą dobrze, że

pensya pisarza nie wystarcza, wiedzą dokąd nędza prowadzi? Dla czegóż nie starają się, aby nam wynagrodzenie podwyższono? My dziś postawieni jesteśmy na pochyłości, na której najsilniejszy moralnie człowiek nie utrzyma się; przedewszystkiém tedy, panowie, dajcie nam możność być uczciwymi".

Na ten punkt zapatrywać się można z dwu stron. Gminy są przeciążone wydatkami i na znaczne podwyższenie pensyi mogą nie mieć pieniędzy. Za 180 rs. na wsi, kawaler, mający oprócz tego mieszkanie i opał, utrzymać się może,—żonaci zaś o posady pisarskie w takich warunkach konkurować nie powinni.

Lecz z drugiéj strony, światem nie rządzą oderwane prawidła etyczne, ale głód. Każdy, a więc i żonaty, chwyta zajęcie, jakie ma pod ręką, a postawiony w złych warunkach popełnia nadużycia, choćby nawet początkowo brzydził się niemi. Przytém, ludzie młodzi i wolni a źle wychowani mają liczniejsze zachcianki i łatwiéj popadają w występek, aniżeli żonaci i nieco starsi. Zdaje się więc, że lepiéj byłoby dla gmin miéć pisarzy żonatych, w wieku średnim, i płacić im lepszą pensyą, poprostu dla tego, aby uwolnić gminę od nadużyć, które nierównie więcéj kosztują.

„Zdarza się i to", mówi daléj autor, „że sami więksi właściciele namawiają pisarza do wejścia na bezprawne manowce i wtykają mu łapówkę do ręki, a potém go oskarżają i szydzą z niego".

Ciężki zarzut, ale niekiedy prawdziwy. Wśród téj klasy, któréj „moralnemu i materyalnemu stanowisku zagrażają giełdowo-fabryczni wyzyskiwacze", bywają jednostki zagrażające moralnemu i materyalnemu stanowisku swoich bliźnich. Wszędzie zatém znaléść można krzywdzonych i krzywdzących, demoralizowanych i demoralizujących, dobrych i złych, i dla tego nie godzi się jednéj klasy przenosić w sercu nad inne. Temperatura moralna społeczeństwa przejawia się we wszystkich warstwach prawie w jednakowym stopniu.

Co zaś do zarzutu podszczuwania włościan przeciw szlachcie, oto są odpowiedzi pisarza:

„Stosunki, co prawda nie bardzo serdeczne, jakie po dziś dzień jeszcze pomiędzy większymi a mniejszymi właścicielami istnieją, nie od kilku lat dopiéro wprowadziły się, składało się na nie kilka wieków. Wciągu tych kilku wieków, władza pana nie była ograniczona!!. „Pan który szczerze chciał, mógł sobie zapewnić wpływ potężny, jako opiekun ludzki, człowiek rozumny i dobroczyńca bogaty".

„Gdzie stare, a długo tłumione niechęci istnieją, gdzie grunt do niesnasek gotowy, tam chwast ten rodzi się bez pomocy pisarza. Tam podszczuwacz zawsze się znajdzie: bywa nim czasami pisarz,

a kiedy pisarz robić tego nie chce, to znajdzie się kto inny i to nie jeden, ale całe ich dziesiątki. Główna tedy przyczyna owych niechęci, na które skarżą się więksi właściciele, którzy chcą i umieją pomagać i przyświecać, nawet intryganta pisarza się nie lękają".

„Gniéwa się jeden z korespondentów na krótki surdut pisarza, wita w nim ucznia drugiéj klasy..." „Znamy i my krótkie surduty, które w wyższych klasach nie siadywały; ich właściciele widzieli wprawdzie uniwersytety w Londynie, Paryżu, Berlinie i Wiedniu, ale tylko w czasie spaceru po ulicach tych miast. Oni przecięż mogli byli zasiąść i na ławach uniwersyteckich; my zaś na dojście do drugiéj klassy, cały zapas naszych rodziców wyczerpaliśmy."

Z cytat tych łatwo poznać można stopień i fundamenta rozdrażnienia, jakie istnieje między „demokracyą" i „arystokracyą" wiejską. Przyczyny leżą jak na dłoni. „Doliny" mówią do „gór:" jesteście możniejsi, mędrsi i lepsi od nas, róbcie więc nam dobrze, a będziemy was kochać i ufać wam... Pisarze gminni formułują tylko żądania te i niechęci.

Stosunek inteligencyi do mas wiejskich istotnie zasługuje na poważną uwagę. Nie przesadzę, gdy powiém, że pod tym względem obywateli ziemskich podzielić można na dwie klassy: jedni z nich najzupełniéj usuwają się od wszelkich stosunków z gminą, drudzy walczą z nią, a przynajmniéj starają się w obec niéj ubezpieczyć swoje interesa. Takich, którzyby gminę uważali za pewien rodzaj malutkiéj ojczyzny, którzyby na rzecz jéj gotowi byli ponosić ofiary z części mienia, z czasu, z niezawsze słusznych przekonań i uprzedzeń—nie wielu mamy. A przecięż jest to jedyna droga zdobycia sobie przeważnego wpływu i wyrównania téj przepaści, jaka dziś między szlachcicem a włościaninem istnieje.

Ten sam szlachcic, który przyklaskuje ofiarności miejskiego bogacza, krytykuje jego stosunki do urzędników lub sąsiadów, o stosunku własnym do włościan i dworskiéj służby ma bardzo niejasne pojęcie. Cieszmy się jednak nadzieją, że czas otworzy nam oczy!

Wracając do pisarzy gminnych, przyznać należy, że klasa ta wcale nie przynosi zaszczytu społeczeństwu, lecz że i przyczyny demoralizacyi jéj są jasne.

Piérwszą z nich stanowi niedostateczne wynagrodzenie, przy którém człowiek żonaty, dzietny a uczciwy utrzymać się nie może, skutkiem czego, kandydatów na posady wybiérać potrzeba z pośród mętów małomiasteczkowych, lub wiejskich. Sądzimy, że gdy-

by liczbę gmin w kraju zmniejszono, lepsze pensye dla pisarzy byłyby możliwe.

Drugą przyczyną demoralizacyi pisarzy jest niezdecydowane ich stanowisko społeczne. Pycha nie pozwala im łączyć się z włościanami, od których uważają się za lepszych,—ze szlachtą też żyć nie mogą, ponieważ szlachta ze swéj strony uważa się za lepszą od nich. Według brzmienia ustawy, pisarz zależyć powinien od gminy, lecz w praktyce zależy więcéj od powiatu, skutkiem czego pomiata on wójtem i gromadą, zamiast im służyć. Niedziw, że nie należąc do żadnéj większéj grupy społecznéj, niezsolidaryzowani z nikim, z całą łatwością zatracają uczucia obywatelskie i moralne i tworzą jeden z najsmutniejszych rodzajów materyalnego i duchowego proletaryatu.

Na zakończenie—parę cyfr charakterystycznych. W gubernii Lubelskiéj na 143 wójtów gmin, 88 nie umié czytać ani pisać; między zaś 152 pisarzami gminnymi znajduje się 80 szlachty. Proszę sobie wyobrazić społeczeństwa rządzące się za pomocą głosowania, w którém ciemna większość drze koty z oświeconą mniéjszością, i w którem wójt nie umié pisać, a pisarz ma pańskie zachcianki i małą pensyą!

Po mnóstwie artykułów wstępnych, dyskusyach i zwłokach, Warszawa otrzymuje nareszcie giełdę produktową. Giełdy bywają dwojakie: pieniężne i produktowe, każda zaś z nich jest miejscem, gdzie w oznaczonych godzinach schodzą się posiadacze pewnych przedmiotów, jak: zboża, wełny, spirytusu, papierów procentowych, weksli i t. d., tudzież osoby pragnące je nabyć. Skutkiem tego giełda staje się głównem ogniskiem interesów handlowych, gdzie producent bez kosztownego pośrednictwa faktorów znaleść może nabywcę i gdzie ustanawiają się ceny średnie towarów i papierów.

Miasto nasze posiadało dotychczas tylko giełdę pieniężną. Brak produktowéj objaśniano brakiem instrukcyi dla agentów i samychże agentów. Sądzę jednak, że były i inne powody: oto giełda produktowa miała potężnych przeciwników teoretyków, a oprócz tego, bądź co bądź, zagrażała i zagraża istnieniu całéj armii faktorów.

Teoretyczni przeciwnicy występowali przeciw instytucyi téj w imię zasad moralnych i z obawy *krachów*. Wiadomo, że na giełdach sprzedają się bardzo często wartości fikcyjne, wypuszcza się akcye na kopalnie nieistniejące, na przedsiębierstwa oparte tylko na arystokratycznych nazwiskach ich prezesów, odstępują się wreszcie kontrakty na niebywałe produkta i t. d. Szachrajstwa podobne mia-

ły miejsce w Wiedniu przed znaną katastrofą, a niektórzy galicyjscy ziemianie czynny i wcale niezaszczytny przyjmowali w nich udział. Okoliczności podobne nie mogą jednak przeszkadzać rozwojowi pozytywnego handlu, tak jak samobójstwa dokonywane za pomocą sznurka, nie mogą tamować rozwojowi powroźnictwa.

Co do nas, przypuszczamy, że giełda produktowa, przynajmniéj w początkach, mieć będzie gorzkie przejścia. Nie łudźmy się bowiem: w kraju naszym, jak zresztą i w każdym innym, tendencya do handlu urojonemi wartościami istnieje. Producenci są biedni, nieraz sprzedają zboże na pniu i w większéj ilości, aniżeli z danego gruntu zebrać je można. Z drugiéj znowu strony, pośrednicy nie odznaczają się sumiennością. To tylko pocieszać nas powinno, że otworzenie giełdy nie stworzy złego, bo ono już istnieje, tylko wyprowadzi je na światło i może do pewnego stopnia zmniéjszy.

Ciekawsze jest pytanie: co w obec giełdy poczną legiony faktorów, z których jakaś część straci zajęcie? Jaki taki bowiem, zamiast sprzedawać zboże na miejscu Berkowi, który je odstępuje mieszkającemu bliżéj Warszawy Janklowi, który je znowu sprzedaje mieszkającemu w saméj Warszawie Ickowi, a ten dopiéro młynarzowi,—zechce się wprost układać za pośrednictwem giełdy z młynarzem i wyjdzie na tém lepiéj. Choć znowu słyszeliśmy kiedyś, że młynarze i piekarze wolą układać się za pośrednictwem faktorów, aniżeli wprost z producentem. Wygląda to na paradoks, ale jest możliwe. Młynarz bowiem może nie mieć gotówki, któréj rolnik wymaga natychmiast i otóż zjawia się potrzeba pośrednika z całą falangą jego adherentów.

Dotychczas istniały w Warszawie podobne giełdy pokątnie: jedna na Grzybowie, druga na stacyi drogi Terespolskiéj, i one to ułatwiały handel, one ustanawiały ceny, w których naturalnie uwzględniano interesa faktorów. Czy, jeżeli panowie ci z zaułków Grzybowa przeniosą się do salonów gmachu giełdy na ulicy Królewskiéj, to już tém samém rolnik drożéj sprzeda zboże, a młynarz kupi je taniéj? Bardzo wątpię. Brak gotówki u jednych i drugich sprawi to, że przynajmniéj przez czas jakiś rzeczy pozostaną na dotychczasowéj stopie. Pośrednicy są taką potęgą, że nawet gospodarze młodéj i bogatéj Ameryki, w celu uwolnienia się od ich wpływów, musieli formalny spisek utworzyć. Jeżeli więc giełda ma poprawić interesa rolników i bezpośrednich nabywców ich towaru, wypada, aby obie strony choć od czasu do czasu spotykały się w jéj obrębie. Resztę zapewne agenci przysięgli ułatwią.

Zostawiając przyszłości nowy układ stosunków, zanotujemy tymczasowy program giełdy produktowéj. Ma ona być otwartą natychmiast po ukończeniu gmachu, a zebrania odbywać się będą codzień, po zamknięciu zebrań giełdy pieniężnéj. Wstęp wszyscy mieć będą wolny i bezpłatny. Z pomiędzy kandydatów ubiegających się o posadę agenta, trzéj zostaną zamianowani tymczasowo. Kandydat na agenta musi znać interesa produktowe, wekslowe i bankierskie, złożyć świadectwo, że był kupcem i że nie bankrutował podstępnie. Z pośród takich dopiéro kandydatów najpiérwsi i najzdolniejsi zostaną zamianowani.

Ważnym dla przemysłu naszego faktem będą odczyty dla cukrowników, które urządzić ma zamiar Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Wykłady zaczną się 2 Lipca i trwać mają parę miesięcy. Pan Napoleon Milicer czytać będzie chemią i pod jego téż kierunkiem odbywać się mają prace słuchaczów w laboratoryum; p. Stanisław Kramsztyk ma wykładać fizykę, p. Ludwik Woyno mechanikę, p. Wisbek cukrownictwo, a p. Eugeniusz Zieliński buchalteryą. Opłata wpisowa wynosi 50 rs.; dla zapewnienia sobie słuchaczy, Muzeum rozesłało zaproszenia do cukrowni. Na rok przyszły obiecują nam odczyty o piwowarstwie.

Czytelnicy rozumieją, że wszystkie stereotypowe pochwały dla Muzeum byłyby nie na miejscu. Instytucya to zbyt poważna, abyśmy ją mieli pochlebstwami głaskać, i dla tego wprost przystępujemy do uwag.

Przedewszystkiém pożądaném jest, aby Muzeum, nie ograniczając się na odczytach, przystąpiło do wydawania książek dla użytku rękodzielników. Nauki obchodzące ich są dwojakie: ogólne, jak— arytmetyka, algebra, fizyka, mechanika, chemia, rysunek, i specyalne. Należy więc, nie goniąc za oryginalnością, albo wprost tłómaczyć, albo kompilować odnośne dzieła z obcych języków, dbając głównie o treściwość, dokładność i taniość.

Z pomiędzy książek treści ogólniejszéj, które radzibyśmy, aby Muzeum wydało, zwracamy uwagę na *Tachymetryą*, czyli wykład geometryi, przeprowadzony w sposób namacalny, dla użytku praktycznego. Podobne dziełko istnieje w języku francuskim, pod tytułem: *„Géométrie en trois leçons"*, *p. E. Lagout*, *Paris 1872*.

Powtóre, radzibyśmy, aby Muzeum podobne serye odczytów urządzało częściéj, powiém nawet *nieustannie*, i aby w wyborze treści starało się uwzględniać raczéj rzemiosła drobne, niż przemysł wielki. Cukrownictwo, piwowarstwo, gorzelnictwo są to niewątpliwie piękne i korzystne dla kraju gałęzie, ale prócz nich istnieje jesz-

cze stolarstwo, ślusarstwo, kowalstwo, mularstwo, które potrzebują przynajmniéj nauki rysunku, mechaniki, fizyki i t. p. do pomocy.

Zresztą osoba, która przyjedzie do Warszawy słuchać cukrownictwa, z pewnością łatwiéj potrafiłaby się obeznać z odnośnemi przedmiotami z książek, aniżeli zwykły, drobny rzemieślnik. Dla tego jeszcze raz upraszamy Muzeum, aby w tym kierunku uwagę i siły swoje skierować raczyło.

Aleksander Głowacki.

KONKURS HISTORYCZNY.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk

ogłasza dla chcących ubiegać się o nagrodę zadanie następujące:

Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Elbą a granicami dawnéj Polski, od czasu wystąpienia ich na widownią dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych.

W rozwiązaniu tego zadania pożądany jest szczególny wzgląd na:

a) związek etnograficzny między pomienionemi plemionami słowiańskiemi a ludnością Polski Piastowéj;

b) stan kultury tychże plemion w owéj epoce, mianowicie z rzutem oka na religią, zwyczaje i obyczaje, ustrój polityczny i społeczny, na stan rolnictwa, przemysłu, handlu, budownictwa i sztuki ówczesnéj w ogóle;

c) zewnętrzny przebieg dziejowych wypadków, ze szczególném uwydatnieniem wydarzeń, które spowodowały w różnych stronach Słowiańszczyzny północno-zachodniéj ostateczną zagładę rozmaitych plemion;

d) wreszcie stosunek między temi plemionami a Polską.

Praca, wyczerpująca w zupełności przedmiot ten, oraz mająca, odpowiednie zalety układu i stylu, a obejmująca przynajmniéj *25 arkuszy* druku w dużéj ósemce, otrzyma *1500 marek* nagrody.

Jeźliby między nadesłanemi taka się nie znajdowała, wtedy rozprawa, względnie dobra, to jest odpowiadająca przynajmniéj głównym warunkom zadania, otrzyma *900 marek* nagrody.

Pozostałe *600 marek* zostaną albo w całości przyznane dziełu najlepszemu po poprzedniém, albo też rozdzielą się między rozprawy przynajmniéj częściowo przedmiot wyczerpujące.

Prace, nagrodą uwieńczone, pozostają własnością autorów, którzy jednakże będą obowiązani ogłosić je drukiem w przeciągu roku, po otrzymaniu nagrody. Gdyby tego niespełnili, Zarząd, jeźli uzna stosownem, ogłosi je swym kosztem na dochód Towarzystwa. Manuskrypt przeto musi pozostać w rękach Zarządu.

Każdy rękopism opatrzony być winien dewizą, lub jakim innym znakiem, a nazwisko autora dołączone w zamkniętéj kopercie z równém oznaczeniem.

Ostateczny czas nadsyłania oznaczony na dzień 1-go Października roku 1879, pod adresem:

Hieronim Feldmanowski w Poznaniu, ulica Młyńska 35.

Poznań w Czerwcu r. 1877.

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk Pozn.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.